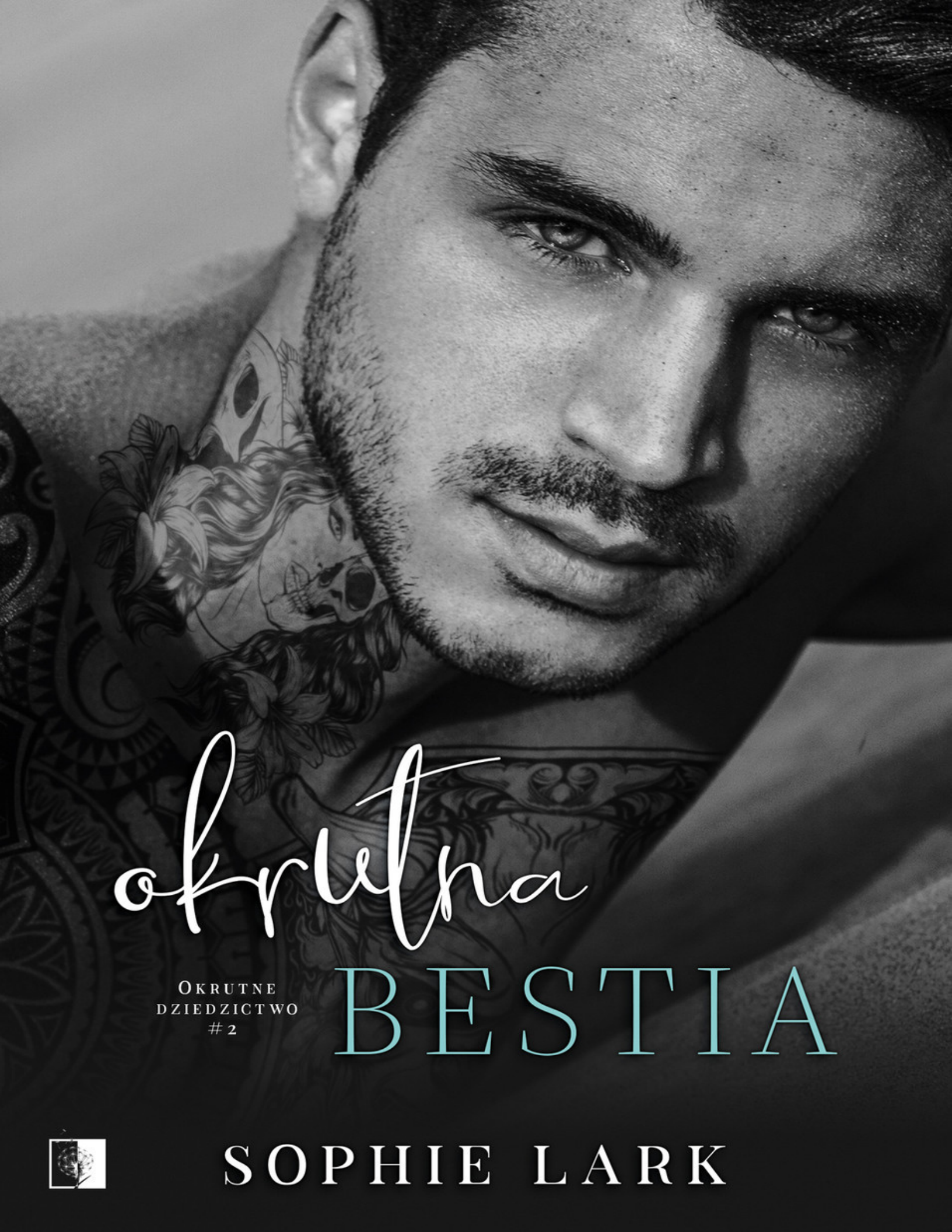




okrutna

OKRUTNE
DZIEDZICTWO
2

BESTIA



SOPHIE LARK

SOPHIE LARK

OKRUTNA BESTIA

OKRUTNE DZIEDZICTWO #2

TŁUMACZENIE

TOMASZ KUPCZYK

OŚWIĘCIM 2022

Tytuł oryginału
Stolen Heir
Copyright © 2020 by Sophie Lark
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2022
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Agnieszka Sajdyk
Korekta:
Anna Adamczyk
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-915-8

SPIS TREŚCI

Playlista

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Przypisy

PLAYLISTA

1. *Blood In The Cut* – K. Flay
2. *Someone You Loved* – Lewis Capaldi
3. *Satin Birds* – Abel Korzeniowski
4. *Earned It* – The Weeknd
5. *Company* – Tinashe
6. *Bad Intentions* – Niykee Heaton
7. *War of Hearts* – Ruelle
8. *As Shadows Fall* – Peter Gundry
9. *Latch (acoustic)* – Sam Smith
10. *Castle* – Halsey
11. *Monsters* – Ruelle

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MIKOŁAJ WILK

Warszawa, dziesięć lat temu

Wracając z pracy, zatrzymuję się, aby kupić świeże chrusty dla Anny. W papierową torbę wsłóżkę tłuszcz, na którym usmażono ciastka zrobione z ciasta śmietanowego i posypane cukrem pudrem. Ich wygląd sprawia, że są znane również pod nazwą „anielskie skrzydła”. Anna dziś zdaje egzaminy wstępne na studia. Ja już wiem, że będziemy mieli powód do świętowania. Anna jest genialna. Jestem przekonany, że zda i będzie miała najwyższe oceny.

Nigdy byście się nie domyślili, że jesteśmy bliźniętami. Moja siostra ma brązowe włosy, zaś moje są jasne jak kukurydza. Ona dosłownie pochłania każdą książkę, jaka wpadnie jej w ręce, a ja porzuciłem szkołę w wieku czternastu lat.

Nie miałem w tej kwestii wyboru, bo ktoś w końcu musiał opłacać nasze małe ponure mieszkanie.

Nasz ojciec miał dobrą pracę w Hucie Warszawa. Pracował jako konserwator i zarabiał prawie sześć tysięcy złotych miesięcznie. To wystarczało, abyśmy chodzili w nowych butach i mieli pełną lodówkę.

Tak było, dopóki tata nie został ugotowany jak homar, pracując przy wielkim piecu. Udało mu się przeżyć. Teraz jednak jego poparzenia i blizny są tak rozległe, że ledwo jest w stanie wciskać przyciski na pilocie w trakcie całodziennych maratonów oglądania telewizji w swoim pokoju.

Matka od nas odeszła. Słyszałem, że poślubiła księgowego i przeprowadziła się do Krakowa. Od tamtej pory nie miałem od niej żadnych wieści.

To nie ma znaczenia. W Delikatesach zarabiam wystarczająco, żeby nas utrzymać. Wierzę, że pewnego dnia Anna zostanie profesorem nauk humanistycznych. Wtedy kupimy mały domek i się stąd wyrwiemy.

Całe życie mieszkaliśmy na Pradze, na prawym brzegu Wisły. Po lewej stronie rzeki mieszczą się dobrze prosperujące sklepiki i punkty usługowe. My z kolei mieszkamy w biednej kamienicy. Wysokie, prostokątne i brudne budynki wzniesione z cegieł przysłaniają nam słońce. Pełno tu również opuszczonych fabryk z czasów PRL-u. Wtedy ta część miasta stanowiła ośrodek przemysłu państwowego. Obecnie okna w dawnych halach produkcyjnych są powybijane, a drzwi zamknięte łańcuchami z ciężkimi kłódkami. Narkomani włamują się tam, aby spać na stertach szmat i wstrzykiwać sobie rosyjskiego „krokodyla”¹, od którego ich ciała zaczynają gnić.

Kiedyś będziemy mieć z Anną porządną domkę z ogródkiem. Nikt nie będzie mieszkał nad nami ani pod nami i nikt przez całą noc nie będzie się tłukł czy wydzierał.

Zakładałem, że Anna nie wróci wcześniej niż za kilka godzin, dlatego też jestem zdezorientowany i zdziwiony, gdy po otwarciu drzwi do mieszkania widzę leżący na podłodze plecak.

Anna niezwykle dba o porządek. Nie rzuciłaby plecaka na podłogę, pozwalając, aby znajdujące się w nim książki rozsypały się po podłodze. Niektóre z nich są mokre i brudne od błota. Leżące obok buty są w takim samym stanie.

Słyszę lejącą się wodę w łazience. To też jest dziwne – Anna nie kąpie się o tej porze.

Rzucam papierową torbę z ciastkami na stół w kuchni i biegnę do łazienki. Pukam do drzwi i wołam siostrę.

Nie odpowiada.

Przyciskam ucho do drzwi i słyszę zagłuszony przez szum prysznica szloch.

Uderzam mocno barkiem w drzwi, a wtedy tanie drewno pęka i zamek ustępuje. Wpadam do niewielkiej łazienki.

Widzę siedzącą pod prysznicem Annę, która wciąż ma na sobie szkolne ciuchy. Jej bluzka została niemal całkiem zdarta z ciała. Cienki materiał przylega jedynie do jej ramion i pasa.

Ramiona, ręce oraz plecy Anny pokrywają liczne rany cięte oraz ślady po uderzeniach. Zauważam ciemne siniaki na jej szyi oraz piersi. Wyglądają bardziej na ślady po ugryzieniach.

Jej twarz jest w jeszcze gorszym stanie. Przez prawy policzek biegnie długie nacięcie. Ma też podbite oko. Wypływająca z nosa krew skapuje do zebranej wokół jej nóg wody i rozplywa się w niej niczym akwarela.

Nie może na mnie patrzeć. Po pierwszym szybkim spojrzeniu na mnie natychmiast chowa twarz w ramionach i szłocha.

– Kto ci to zrobił? – pytam drżącym głosem.

Zaciska usta i kręci głową, nie chcąc mi nic powiedzieć.

To nieprawda, że bliźnięta potrafią sobie czytać w myślach. Znam jednak swoją siostrę. I to bardzo dobrze.

Wiem również, kto jej to zrobił. Widziałem nie raz jak na nią patrzyli za każdym razem, gdy wychodziła z mieszkania do szkoły. Widywałem ich opierających się o swoje drogie samochody ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Na twarzach mieli okulary przeciwsłoneczne, spod których i tak było widać, że się na nią gapią. Czasami coś do niej krzyczeli, jednak Anna nigdy się do nich nie odwracała ani im nie odpowiadała.

Jestem pewny, że to robota Braterstwa. Polskiej mafii.

Wydaje im się, że mogą mieć wszystko, czego tylko zapragną – drogie zegarki, złote łańcuszki, telefony, na które nie wystarczyłaby moja miesięczna pensja. A teraz najwyraźniej postanowili, że będą mieć moją siostrę.

Anna boi się tego, co się stanie i dlatego nic mi nie chce powiedzieć.

Chwytam ją za ramię i zmuszam, by na mnie spojrzała. Ma czerwone, spuchnięte od płaczu oczy. Są pełne przerażenia.

– Którzy to? – syczę. – Ten z ogoloną głową? – Po chwili wahania kiwa głową. – Ten z ciemną brodą? – Kolejne skinienie głową. – Ten w skórzanej kurtce?

Jej twarz wykrzywia grymas.

To on jest hersztem. Widziałem, jak pozostali mu się podporządkowują. To on głównie gapił się na Annę.

– Dorwę ich. Zapłacą za to, każdy co do jednego – obiecuję.

Anna kręci głową, a bezgłośnie wypłakiwane łzy spływają po jej poturbowanych policzkach.

– Nie, Miko – szłocha. – Oni cię zabiją.

– Nie zrobią tego, jeśli ja ich zabiję pierwszy – odpowiadam ponuro.

Zostawiam ją pod prysznicem. Wchodzę do swojego pokoju, po czym podważam jedną z desek podłogowych, pod którą schowałem metalową kasetkę. Znajdują się w niej wszystkie moje oszczędności – pieniądze odłożone po to, aby Anna mogła kontynuować naukę. Nie poszła dziś na egzaminy. W tym roku już nie będzie chodziła do szkoły.

Zwijam banknoty w rulon i chowam je do kieszeni. Następnie opuszczam mieszkanie. Biegnę w deszczu i udaję się do lombardu znajdującego się przy ulicy Brzeskiej.

Za ladą – jak zresztą zawsze – siedzi Jakub. Czyta książkę, której brakuje połowy okładki. Jakub jest przygarbionym, łysiejącym mężczyzną. Na jego nosie spoczywają okulary w szerokich plastikowych oprawkach ze szklami grubymi jak denka butelki po Coca-coli. Patrząc na mnie, mruga tymi swoimi oczkami niczym sowa, która obudziła się zbyt wcześnie.

– Mikołaju, w czym ci mogę pomóc? – pyta chrapliwym głosem.

– Potrzebuję broni – odpowiadam.

– To byłoby nielegalne, chłopcze – odpowiada, chichocząc ochryłym głosem Jakub. – A nie chciałbyś gitary albo Xboxa?

Rzucam zwitek banknotów na blat.

– Skończ z tym pierdoleniem – mówię. – Pokazuj, co tam masz.

Zerka na pieniądze, ale nawet ich nie rusza. Po chwili wychodzi zza lady i podchodzi do frontowych drzwi. Przekręca zamek w drzwiach, po czym, szurając nogami, rusza na tył sklepu.

– Tędy – mówi, nie odwracając się w moją stronę.

Ruszam za nim na zaplecze. To tutaj mieszka – dostrzegam starą kanapę z dziurami w tapicerce, przez które wychodzi wypełnienie.

Jest też telewizor i niewielka kuchnia, pachnąca paloną kawą i papierosami, z wolnostojącą płytą grzewczą.

Jakub prowadzi mnie do komody. Otwiera górną szufladę, a następnie pokazuje mi niewielką kolekcję pistoletów.

– Który chcesz? – pyta.

Nie mam zielonego pojęcia o pistoletach. Nigdy w życiu żadnego nie miałem.

Patrzę na broń. Jest ze stali albo ze stali węglowej. Niektóre egzemplarze są eleganckie, ale inne wyglądają niemal na antyki.

Jeden z pistoletów jest czarny, średniej wielkości, wygląda na prosty i nowoczesny. Kojarzy mi się z bronią Jamesa Bonda. Biorę go do ręki i podnoszę, jego ciężar aż mnie zaskakuje.

– To Glock – oznajmia Jakub.

– Wiem – odpowiadam, chociaż nie ma w tym odrobiny prawdy.

– Kaliber 45. Chcesz też amunicję? – pyta.

– I nóż.

Widzę malujące się na jego twarzy rozbawienie. Myśli, że będę bawić się w komandosa. To bez znaczenia, co sobie myśli – nie chcę, żeby traktował mnie poważnie. Nie chcę, żeby kogokolwiek ostrzegł.

Podaje mi nóż wojskowy Leatherneck w polimerowej pochwie. Pokazuje mi, jak chwycić pochwę, aby wyciągnąć ostrze, zupełnie jakby robił prezentację dla dziecka.

Nie pyta po co mi to wszystko. Nie oferuje zamiast tego niczego innego.

Chowam broń pod ubraniem i szybko wracam do mieszkania.

Chcę sprawdzić, co u Anny. Potem zacznę tropić te żywe trupy, które ośmieliły się położyć łapska na mojej siostrze.

Otwierając ponownie drzwi do mieszkania, czuję dziwny chłód pełnący wzdłuż mojego kręgosłupa.

Nie wiem dokładnie, czym on jest. Wszystko wygląda tak jak wcześniej – plecak nadal leży tam, gdzie leżał, a buty Anny leżą tuż obok niego. Cały czas słyszę cichy szum telewizora dobiegający z pokoju ojca. Jest to dźwięk, który słyszać w naszym domu w dzień i w nocy. Dostrzegam nawet niebieskie światło sączące się pod drzwiami do jego pokoju.

Jednak nie słyszę już szumu wody. Nie słyszę również Anny. Mam nadzieję, że świadczy to o tym, że odpoczywa w swoim pokoju.

Tak myślę. Myślę, że będzie leżała w łóżku, pod kołdrą. Mam nadzieję, że śpi. Idę sprawdzić, co się z nią dzieje. Mijam drzwi do łazienki i waham się.

Z wnętrza łazienki dobiega cichy dźwięk. To odgłos ciągłego kapania. Brzmi jak nie do końca zakręcony kran.

Drzwi są uchylone – rozwalilem framugę, wpadając do środka. Teraz już nigdy do końca się nie zamkną.

Otwieram drzwi, a jasne światło jarzeniówek natychmiast mnie oślepia.

Widzę, że moja siostra leży w wannie, wpatrując się w sufit.

Jej oczy są szeroko otwarte. Są nieruchome, zupełnie martwe. Twarz ma bledszą niż kreda.

Jedna ręka przewieszona jest przez brzeg wanny. Od jej nadgarstka aż po łokieć ciągnie się jaskrawy uśmiech otwartej, długiej rany.

Krew pokrywa podłogę. Spływa od wanny aż na skraj płytek u moich stóp. Wdepnę w nią, jeśli zrobię krok naprzód.

Z jakiegoś powodu mnie to paraliżuje. Chcę pobiec do Anny, ale nie chcę chodzić po jej krwi. To głupie, szalone... ale mam wrażenie, że to mogłoby ją zranić. Mimo że jej śmierć jest oczywista.

Muszę jednak do niej podejść. Muszę zamknąć jej powieki. Nie mogę patrzeć, jak wpatruje się w sufit. Na jej twarzy nie maluje się spokój – wygląda na tak samo przerażoną co wcześniej.

Czuję pieczenie w piersi i aż skręca mnie w żołądku. Podbiegam do niej, ślizgając się na płytkach. Delikatnie unoszę jej rękę i wkładam ją z powrotem do wanny. Skóra Anny wciąż jest ciepła i przez chwilę myślę, że jeszcze jest nadzieja. Potem znowu patrzę w jej twarz i już wiem, jaki jestem głupi. Kładę na niej dłoń, żeby zamknąć jej powieki.

Następnie idę do jej pokoju. Zabieram jej ulubiony koc – ten w księżycy i gwiazdki. Niosę go do łazienki i okrywam nim jej ciało. Wanna wciąż jest pełna wody. Koc zaczyna nasiąkać, lecz to bez znaczenia – chcę tylko ją zasłonić, żeby nikt na nią nie patrzył. Nigdy więcej.

Potem wracam do swojego pokoju. Siadam na podłodze obok pustej kasetki, której jeszcze nie schowałem do kryjówki pod podłogą.

Poczucie winy oraz smutek, który odczuwam, są nie do zniesienia. Nie mogę tego znieść. Dosłownie. Czuję się tak, jakby ktoś kawałek po kawałku obdzierał mnie z ciała. Wszystko po to, by został ze mnie wyłącznie szkielet – nagie kości pozbawione mięśni, nerwów oraz serca.

Serce w mojej piersi zamienia się w kamień. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ciało Anny, biło tak mocno, że niemal czułem jak z tego wysiłku pęka. Teraz rozkurcza się coraz wolniej, coraz słabiej... W końcu wydaje mi się, że przestaje pracować.

Nigdy nie spędziłem całego dnia z dala od swojej siostry. Była moją najbliższą przyjaciółką, jedyną osobą, na której naprawdę mi zależało. Pod każdym względem była lepszym człowiekiem ode mnie. Była mądrzejsza, miłsza i szczęśliwsza.

Często czułem, że gdy formowaliśmy się w łonie matki, nasze cechy zostały rozdzielone. Anna dostała tę lepszą część. Jednak dopóki była w pobliżu mogłem czerpać z jej dobroci i mądrości. Teraz jej nie ma, więc całe światło zgasło wraz z nią.

Jedyne cechy, które pozostały, są we mnie. To koncentracja i determinacja. Towarzyszy im teraz jeszcze moja wściekłość.

To, że Anna nie żyje jest oczywiście moją winą. Powinienem tu z nią zostać. Powinienem jej pilnować i zadbać o nią. Ona właśnie tak by się zachowała.

Nigdy nie wybaczę sobie tego błędu.

Jeśli jednak będę pielęgnować swoje poczucie winy, to wkrótce przyłożę broń do skroni i skończę ze sobą, a do tego nie mogę dopuścić. Muszę pomścić Annę. Obiecałem jej to.

Zbieram okruczności emocji, które we mnie pozostały i chowam je głęboko w swoim sercu. Tylko dzięki sile woli potrafię odmówić sobie odczuwania czegokolwiek. Dosłownie czegokolwiek.

Pozostał mi tylko jeden cel.

Jednak od razu nie mogę go zrealizować. Jeśli spróbuję to zrobić – z pewnością zginę i nie zdołam już niczego osiągnąć.

Zamiast szybkiej zemsty, wybieram oczekiwanie. Spędzam kilka kolejnych tygodni na śledzeniu swoich ofiar. Dowiaduję się, gdzie pracują i mieszkają. Wiem już, gdzie bywają – które kluby ze striptizem, restauracje, kluby nocne i burdele są ich ulubionymi miejscami spotkań.

Wiem też, jak się nazywają: Abel Nowak, Bartek Adamowicz i Iwan Zieliński. Abel jest z nich najmłodszy. To wysoki, chudy, wyglądający na chorego, koleś z ogoloną na łyso głową. Łysa czaszka ma być ukłonem w stronę hołubionej przez niego neonazistowskiej ideologii. Jest dwa lata starszy ode mnie i chodził do tej samej szkoły co ja.

Bartek ma gęstą, czarną brodę. Zdaje się, że odpowiada za prostytutki pracujące w mojej okolicy. Zawsze czai się w nocy na rogu ulicy, upewniając się, że dziewczyny oddają mu wszystkie pieniądze. Nie jest zbyt rozmowny. Nie wdaje się w rozmowę z facetami, którzy szukają towarzystwa jego „podopiecznych”.

Szefem całej trójki jest Iwan. Chociaż bardziej powinienem powiedzieć: zastępcą. Wiem, kto jest nad nimi. I wcale mnie to nie obchodzi. Ta trójka zapłaci za to, co zrobili. I nie będzie to ani szybkie, ani bezbolesne.

Abla odnajduję jako pierwszego. To niezwykle proste, bo często – podobnie jak kilku naszych wspólnych znajomych – odwiedza klub Piwiarnia. Zastaję go siedzącego przy barze. Śmieje się i pije, natomiast moja siostra leży od siedemnastu dni zakopana w ziemi.

Patrzę, jak coraz bardziej się upija.

A potem na drzwiach łazienki przyklejam karteczkę, na której widnieje niezgrabny napis: „zepsuta toaleta”.

Czekam w uliczce nieopodal. Po dziesięciu minutach Abel wychodzi z klubu, żeby się odlać. Rozpina rozporek obcisłych jeansów i kieruje strumień moczu na ceglany mur.

Nie ma włosów, za które mógłbym złapać, dlatego też oplatam przedramieniem jego czoło, aby odchylić jego głowę do tyłu. Potem podcinam mu gardło od ucha do ucha.

Ostrze noża bojowego jest ostre, ale i tak jestem zaskoczony jak mocno muszę ciąć, aby otworzyć mu szyję. Abel próbuje krzyczeć. Jest to jednak niemożliwe – przeciąłem mu struny głosowe, a przy

tym krew spływa mu do gardła. Jedynym dźwiękiem, jaki z siebie wydaje jest zduszony bulgot.

Pozwalam, aby runął na brudny beton. Kładę go na plecach, żeby mógł mi spojrzeć w oczy.

– To za Annę, ty chory fiucie – mówię.

A potem pluję mu w twarz.

Następnie zostawiam go tam po to, by się wił w bólu na ziemi i utopił we własnej krwi.

Wracam do mieszkania. Siadam na łóżku Anny, na którym został wyłącznie materac. Na półce obok łóżka widzę jej ulubione książki. Wszystkie mają pęknięte grzbiety od bezustannego czytania: *Mały książę*, *Szklany klosz*, *Anna Karenina*, *Perswazje*, *Hobbit*, czyli *tam i z powrotem*, *Ania z Zielonego Wzgórza*, *Alicja w Krainie Czarów*, *Ziemia błogosławiona*. Patrzę na przypięte do ściany pocztówki – Koloseum, Wieża Eiffla, Statua Wolności, Tadź Mahal. Marzyła, aby odwiedzić te miejsca, lecz teraz już nigdy ich nie zobaczy.

Dopiero co zabiłem człowieka. Powinienem być przerażony, mieć wyrzuty sumienia albo przynajmniej powinienem czuć, że sprawiedliwości stało się zadość, a tymczasem nic nie czuję. Moje wnętrze jest jedną wielką czarną dziurą. Mogę przyjąć na siebie wszystko bez okazywania żadnych emocji.

Podchodząc do Abła, w ogóle nie czułem strachu. Jeśli to nie sprawi, że moje serce zacznie bić, to już nic tego nie uczyni.

Tydzień później biorę na celownik Bartka. Wątpię, żeby się mnie spodziewał – Abel miał zbyt wielu wrogów, dlatego pozostali nie domyślą się, kto mógł go zabić. Najprawdopodobniej nigdy nie pomyślą o mojej siostrze. Przypuszczam, że nie była pierwszą dziewczyną, którą zaatakowało Braterstwo. A poza tym nikomu nawet nie zająknąłem się słowem o tym, że chcę się zemścić.

Idę za Bartkiem do mieszkania jego dziewczyny. Z tego, co słyszałem, pracowała na ulicy, a potem została jego kochanką. Kupuję czerwoną czapkę oraz pizzę, a następnie pukam do jej drzwi.

Otwiera mi Bartek. Jest nagi, rozczochrany i pachnie seksem.

– Nie zamawialiśmy pizzy – mruczy, zamykając mi drzwi przed nosem.

– No, ale nie mogę jej zabrać – oznajmiam.

Podnoszę pudełko, roztaczając dookoła kuszący zapach pepperoni i sera.

Bartek patrzy na pizzę, na którą nabrał wyraźnej ochoty.

– Nie zapłacę za nią – ostrzega.

– Nie ma sprawy.

Patrząc w oczy Bartkowi, wręczam mu pudełko. Nic nie wskazuje na to, że mnie rozpoznał. Pewnie zdążył już zapomnieć o Annie. Nie wydaje mi się, aby w ogóle się zastanawiał, czy ma brata.

Odbiera ode mnie pizzę, a ja wyciągam broń i trzykrotnie strzelam mu w pierś. Bartek pada na kolana, a na jego twarzy pojawia się zdumienie, które jest wręcz komiczne.

Gdy jego cielsko pada na podłogę, zdaję sobie sprawę, że jego dziewczyna stała tuż za nim. Jest niską, krągłą blondynką, ubraną w tanią koronkową bieliznę. Przyciska dłoń do ust. Zaraz zacznie krzyczeć.

Zdążyła zobaczyć moją twarz.

Do niej również strzelam bez wahania.

Przewraca się i pada na podłogę. Nawet na nią nie patrzę. Spoglądam w dół, na Bartka. Przyglądam się, jak jego skóra traci kolor wraz z upływem krwi, która rozlewa się po podłodze. Musiałem trafić go w płuca, bo świszcze przy każdym oddechu.

Spluwam na niego tak samo jak na Abła, a potem odwracam się i odchodzę.

Iwana może nie powinienem był zostawiać na koniec. Z nim może być najtrudniej. Jeśli w ogóle ma trochę inteligencji, to połączy dwa do dwóch i odgadnie, że ktoś żywi do niego urazę.

Lecz tylko w ten sposób mogę to zrobić – to jedyna szansa, abym mógł odczuć w pełni swoje *katharsis*.

Odnajduję go dość szybko, ale postanawiam odczekać jeszcze dwa tygodnie. Przez ten czas prowadzę obserwację.

Widać, że Iwan się ukrywa. Niczym zwierzę wyczuwa, że ktoś na niego poluje, nawet jeśli nie wie, kto.

Otacza się innymi gangsterami. Zawsze rozgląda się dookoła, czy to wsiada lub wysiada z samochodu, czy też zbiera daninę od podrzędnych dilerów z okolicy.

Mam dopiero szesnaście lat. Jestem szczupły, niewyrośnięty, a pod płaszczem noszę fartuch z Delikatesów. Jestem jak każdy jeden dzieciak z Pragi – biedny, niedożywiony, blady z powodu braku słońca. Dla niego jestem nikim. Tak jak Anna. Nigdy by mnie o nic nie podejrzewał, dlatego obserwowanie go nie jest dla mnie trudne.

Wreszcie udaje mi się zobaczyć, jak opuszcza swoje mieszkanie sam. W ręce trzyma czarny worek marynarski. Nie wiem, co w nim jest, jednak zakładam, że może planować ucieczkę z miasta.

Ruszam za nim. Jestem niecierpliwy i zachowuję się trochę lekkomyślnie. Od śmierci Anny minęło czterdzieści jeden dni. Każdy dzień był przepełnioną pustką udręką. Tęsknię za jedyną osobą, która miała dla mnie jakieś znaczenie. Za jedynym światłem w tym całym moim zasranym życiu.

Patrzę na idącego przede mną Iwana. Ma na sobie czarną skórzaną kurtkę. Nie jest brzydki. Tak naprawdę, to pewnie większość kobiet określiłaby go mianem przystojnego – ma ciemne włosy, a jego kwadratową szczękę pokrywa kilkuniedniowy zarost. Jego oczy są nieco zbyt blisko osadzone. Jestem przekonany, że pieniądze i kontakty, które ma, sprawiają, że nigdy nie brakuje mu zainteresowania ze strony kobiet.

Przeglądałem się, jak wchodził i opuszczał nocne kluby z dziewczynami wieszającymi mu się na ramionach. Burdele również odwiedzał. Nie zaatakował mojej siostry z powodu seksu. Chciał ją skrzywdzić. Chciał ją dręczyć.

Iwan przebiega przez ulicę, a następnie wchodzi przez metalowe drzwi na tyły opuszczonego budynku. Czaję się w zaułku, żeby zobaczyć, czy stamtąd wyjdzie. Nie wychodzi.

Powinienem zaczekać. Tak więc czekam.

Wkrótce mam już jednak dość bezczynności. To wszystko skończy się dziś wieczorem.

Otwieram drzwi i wślizguję się do środka. W magazynie panuje mrok. Słyszę, jak gdzieś w oddali kapie z przeciekającego dachu. W powietrzu unosi się zapach wilgoci i pleśni. Jest tu co najmniej o dziesięć stopni chłodniej niż na zewnątrz.

Magazyn wypełniają szkielety zardzewiałych maszyn. Kiedyś mogła się tu mieścić fabryka tekstyliów lub oświetlenia.

W panującym mroku trudno to stwierdzić. Nigdzie nie widzę Iwana.

Nie zauważam też osoby, która uderza mnie w tył głowy.

Moją czaszkę wypełnia eksplozja oślepiającego bólu. Natychmiast padam na kolana. Wewnątrz budynku zapala się światło i zdaję sobie sprawę, że otacza mnie pół tuzina mężczyzn. Na ich czele stoi Iwan, w ręce wciąż trzyma swój worek marynarski. Po chwili rzuca go na ziemię, tuż przy swoich stopach.

Dwóch kolesi łapie mnie za ramiona i podnosi do pozycji stojącej, po czym jeden z nich zakłada mi ręce za plecy. Nie bawią się w delikatność podczas przeszukiwania. Znalezione pistolet podają Iwanowi.

– Tym zamierzałeś mi strzelić w plecy? – warczy.

Trzymając pistolet za lufę, uderza mnie kolbą w szczękę. Eksplozja bólu. Krew w ustach. Czuję, że jeden z zębów mi się poluzował.

Pewnie zaraz zginę, a mimo to – nie boję się. Czuję jedynie wściekłość, że przed śmiercią nie zdołałem zabić Iwana.

– Dla kogo pracujesz? – warczy stanowczym głosem Iwan. – Kto cię przysłał?

Spluwam na ziemię, kropelki krwi rozpryskują się na jego bucie. Iwan obnaża zęby i unosi broń, chcąc uderzyć mnie raz jeszcze.

– Zaczekaj – rozlega się zachrypnięty głos.

Jakiś mężczyzna wychodzi na przód. Jest średniego wzrostu, ma może pięćdziesiąt lat, jasne oczy i głębokie blizny na obu policzkach – zupełnie jakby oberwał śrutem lub w przeszłości miał problem z wyjątkowo upierdliwym trądzikiem. Kiedy mówi, wzrok wszystkich zebranych w pomieszczeniu mężczyzn skupiony jest na nim. Zapada cisza pełna oczekiwania, która świadczy o tym, że to on jest prawdziwym bossem, a nie Iwan Zieliński.

– Wiesz, kim jestem? – pyta.

Potwierdzająco kiwam głową.

To Tymon Zając. Bardziej znany jako Rzeźnik. Nie byłem pewien, czy Iwan dla niego pracuje, lecz mogłem się tego domyślić. W Warszawie to właśnie Rzeźnik pociąga za wszystkie sznurki.

Zatrzymuje się przede mną. Stoimy teraz oko w oko – sądzę, że kolor jego oczu wyblakł z wiekiem albo z powodu tych wszystkich rzeczy, które widział. Przeszywa mnie spojrzeniem.

Nie spuszcza wzroku. Nie czuję strachu. Nie obchodzi mnie to, co ten człowiek mi zrobi.

– Ile masz lat, chłopcze? – pyta.

– Szesnaście – odpowiadam.

– Dla kogo pracujesz?

– Pracuję w Świeżych Delikatesach. Robię kanapki i sprzątam stoły.

Zajac zaciska usta. Mierzy mnie twardym spojrzeniem, próbując ustalić, czy się z niego nabijam.

– Pracujesz w Delikatesach.

– Tak.

– To ty zabiłeś Nowaka i Adamowicza?

– Tak – odpowiadam stanowczo.

Znowu jest zaskoczony. Nie spodziewał się, że się do tego przyznam.

– Kto ci pomagał? – pyta.

– Nikt.

Teraz wygląda na wkurzonego. Jednak jest wściekły na swoich ludzi.

– Pomywacz na własną rękę śledził i zabił moich dwóch żołnierzy?

Oczywiście to pytanie retoryczne. Nikt nie ma odwagi, by na nie odpowiedzieć.

Raz jeszcze odwraca się w moją stronę.

– Chciałeś dzisiaj zabić Zielińskiego?

– Tak – przytakuję.

– Dlaczego?

Na pyzatej gębie Iwana maluje się cień strachu.

– Szefie, dlaczego... – zaczyna.

Zajac unosi rękę, aby go uciszyć. Wciąż wbija we mnie wzrok, czekając na odpowiedź.

Moje usta są spuchnięte od uderzenia, ale mówię wyraźnie:

– Twoi ludzie zgwałcili moją siostrę, kiedy szła na egzaminy wstępne do szkoły. Miała szesnaście lat. Była dobrą dziewczyną – miłą, łagodną i niewinną. Nie należała do waszego świata. Nie mieliście powodu, żeby ją krzywdzić.

Zajac mruży oczy.

– Jeśli chciałeś zadośćuczynienia...

– Nie chcę żadnego zadośćuczynienia – odpowiadam gorzko. –
Popełniła samobójstwo.

W jasnych oczach Zająca nie widzę ani trochę współczucia –
dostrzegam w nich wyłącznie zimną kalkulację. Uważnie analizuje
moje słowa, biorąc pod uwagę obecną sytuację.

Potem ponownie zerka na Iwana.

– To prawda? – pyta.

Jego podwładny oblizuje usta, wahając się. Widzę, że walczy ze
sobą. Musi wybrać między kłamstwem, a strachem przed swoim
pracodawcą.

– To nie była moja wina – odpowiada w końcu. – Ona...

Rzeźnik strzela mu prosto między oczy. Kula znika w czasie
Iwana, pozostawiając między jego brwiami ciemną, okrągłą dziurę.
Żołnierz wywraca oczami i pada na kolana, po czym upada ciężko na
podłogę.

Myśli w mojej głowie wirują jak na karuzeli. Po pierwsze – czuję
ulgę, że zemsta na oprawcach Anny dobiegła końca. Po drugie –
rozczarowanie, że to Zając pociągnął za spust, a nie ja. Po trzecie –
jestem świadomy, że teraz ja muszę zginąć. Po czwarte – wcale mnie
to nie obchodzi. Ani trochę.

– Dziękuję – mówię do Rzeźnika.

Taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów. Patrzy na moje podarte
jeansy, brudne tenisówki, nieumyte włosy i chudą sylwetkę. A potem
wzdycha.

– Ile zarabiasz w Delikatesach? – pyta.

– Osiemset złotych tygodniowo.

Jego usta opuszcza coś jakby świszczące westchnienie – nigdy już
nie usłyszę, jak wydaje z siebie dźwięk, który by bardziej
przypominał śmiech.

– Już tam nie pracujesz – oznajmia. – Teraz pracujesz dla mnie.
Zrozumiano?

Niczego nie rozumiem, ale i tak kiwam głową.

– Niemniej jednak – mówi ponuro – zabiłeś dwóch moich ludzi.
Nie możesz pozostać bezkarny.

Kiwa głową do jednego ze swoich żołnierzy. Mężczyzna otwiera worek leżący obok ciała Iwana i wyciąga z niego maczetę długości mojego ramienia. Klinga jest ciemna ze starości, lecz została naostrzona i teraz jest ostra jak brzytwa. Żołnierz podaje maczetę swojemu bossowi.

Rzeźnik podchodzi do starego stołu roboczego. Ma połamany blat i brakuje mu nogi, a mimo to wciąż stoi.

– Wyciągnij rękę – rozkazuje.

Jego ludzie mnie puszczają i mogę podejść do stołu. Kładę na nim rękę i rozkładam szeroko palce.

Czuję się dziwnie nierealnie, zupełnie jakbym z odległości niespełna metra przyglądał się sam sobie.

Zając unosi maczetę, po czym opuszcza ją ze świstem, odcinając mój mały palec tuż nad pierwszym knykciem. Boli bardziej niż uderzenie pistoletem. Pali mnie zupełnie tak, jakbym wsadził czubek palca w ogień. Zając podnosi ten niewielki kawałek mięsa, który jeszcze chwilę temu był częścią mojego ciała, a potem rzuca go na zwłoki Iwana.

– I proszę – oznajmia. – Dług został spłacony.

ROZDZIAŁ DRUGI

NESSA GRIFFIN

Chicago, dziesięć lat później

Jadę do Lake City Ballet. Ulice otulają rzędy klonów, których gałęzie są tak grube, że tworzą łuk nad moją głową. Ich liście mają intensywny czerwony kolor. Opadają, tworząc w rynnach dachowych szeleszczące zaspy.

Uwielbiam Chicago jesienią. Zimy w mieście są okropne, więc nie będę miała nic przeciwko, jeśli jeszcze przez kilka tygodni będę mogła oglądać te wspaniałe odcienie czerwieni, pomarańczy i żółci.

Właśnie jestem u Aidy w jej nowym mieszkaniu znajdującym się niedaleko Navy Pier. To fajna miejscówka – kiedyś w tym budynku był kościół. W kuchni wciąż widać oryginalne ceglane ściany i ogromne drewniane belki pod sufitem, które wyglądają jak żebra wieloryba. Aida w swojej sypialni ma nawet witraż. Jak usiadłyśmy na jej łóżku, to światło słoneczne wpadało do środka, zabarwiając naszą skórę tęczowymi barwami.

Jemy popcorn i klementynki, oglądając na jej laptopie szóstą część Harry’ego Pottera. Aida uwielbia fantastykę. Ze wszystkich rzeczy, które mi pokazała, to właśnie ona najbardziej przypadła mi do gustu. Nadal nie mogę uwierzyć, że ma dość odwagi, aby jeść w łóżku. Mój brat ma hopla na punkcie porządku.

– Gdzie jest Cal? – pytam nerwowo.

– W pracy.

Mój brat niedawno został radnym 43 Okręgu. To dodatek do tego, że jest dziedzicem jednej z najbardziej utytułowanych rodzin mafijnych w Chicago.

Zawsze dziwnie się czuję, myśląc o nas w ten sposób – jak o irlandzkiej mafii. Nigdy nie znałam innego życia. Rodzice, brat i siostra są dla mnie ludźmi, którzy mnie kochają i troszczą się o mnie. Nie uważam ich za przestępców, którzy mają krew na rękach.

Jestem najmłodsza w rodzinie i starają się to wszystko przede mną ukrywać. W przeciwieństwie do starszego rodzeństwa nie jestem częścią rodzinnego biznesu. Callum jest prawą ręką ojca, Riona z kolei głównym prawnikiem. Nawet moja mama jest bardzo zaangażowana w nasze interesy.

No i jestem ja: rozpieszczone dziecko, na które chuchają i dmuchają.

Czasami odnoszę wrażenie, że chcą, abym właśnie taka była. Wszystko po to, by w naszej rodzinie była przynajmniej jedna czysta i niewinna osoba.

Stawia mnie to w niezręcznej sytuacji.

Nie chcę robić niczego złego – nie jestem w stanie nawet rozgnieść robaka. Nie umiem także skłamać, aby uniknąć kłopotów. Jeśli próbuję to zrobić, to od razu robię się czerwona jak burak, zaczynam się pocić, jękać i czuję mdłości.

Z drugiej zaś strony czuję się czasami samotna. Zupełnie, jakbym nie pasowała do reszty i tak naprawdę nie była częścią własnej rodziny.

Cal przynajmniej poślubił niesamowitą dziewczynę. Spiknęliśmy się z Aidą od samego początku. Bardzo się od siebie różnimy – ona jest odważna i zabawna. Nigdy nie pozwala, żeby ktoś jej podskakiwał, a w szczególności, aby robił to mój brat. Na samym początku wyglądało na to, że się pozabijają. Teraz nie wyobrażam sobie Cala z nikim innym.

Szkoda, że nie mieszkali z nami dłużej, ale rozumiem, że chcą mieć swoją własną przestrzeń. Na ich nieszczęście zamierzam odwiedzać ich prawie każdego dnia.

To wywołuje we mnie poczucie winy, że nie mam takich samych relacji ze swoją siostrą. Riona jednak jest po prostu taka... poważna. Bez dwóch zdań wybrała odpowiedni kierunek, jeśli chodzi o karierę zawodową – spory to dla niej dyscyplina olimpijska. Płacenie jej za to, to jak płacenie kaczce za pływanie po stawie. Chcę, żebyśmy były

blisko, tak jak inne siostry, ale zawsze mam wrażenie, że ledwo mnie toleruje. Myślę nawet, że uważa mnie za głupią.

Czasami tak się czuję. Lecz nie dzisiaj. Dzisiaj jadę do teatru baletowego, żeby zobaczyć programy wydrukowane z okazji premiery naszego najnowszego przedstawienia o tytule *Błogość*. Pomogłam stworzyć połowę choreografii, więc myśl o tym, że zobaczę to wszystko na scenie, sprawia, że jestem strasznie podekscytowana.

Kiedy miałam trzy lata, mama posłała mnie na lekcje baletu. Chodziłam też na lekcje jeździectwa, gry w tenisa i gry na wiolonczeli, ale to właśnie w taniec się wkręciłam. Nigdy mi się to nie znudzi. Wszędzie chodziłam na palcach, a przez głowę przelatywały mi dźwięki ze *Święta wiosny* i *Pulcinelli*.

Pokochałam taniec. Teraz jest dla mnie tym samym co oddychanie. Nie mogę bez niego żyć. No i jestem w tym dobra. Bardzo dobra. Problem polega na tym, że jest różnica między byciem dobrym a świetnym. Wiele osób jest dobrych, ale ledwie garstka jest wybitna. Jedni i drudzy potrzebują tysięcy godzin przelewania potu i łez. Lecz przepaść między talentem a geniuszem jest rozległa jak Wielki Kanion. Szkoda, że znalazłam się po tej niewłaściwej stronie.

Nie chciałam się do tego przyznać. Myślałam, że odchudzając się i pracując jeszcze ciężiej, będę mogła zostać primabaleriną. Przed ukończeniem szkoły średniej zdałam sobie sprawę, że nie byłam nawet najlepszą baleriną w Chicago. O karierze na skalę krajową nie wypadało więc marzyć. Sądziłam, że to będzie wielkie szczęście, jeśli zostanę praktykantką w jakimś teatrze muzycznym. Jeszcze większą radością byłby potem awans na członka podstawowego składu.

A jednak, studiując na Loyoli, udało mi się dostać od razu do zespołu baletowego w Lake City Ballet. Mogłam dalej tańczyć.

Jackson Wright to reżyser i główny choreograf. Można powiedzieć, że to dupek – ale który dyrektor nim nie jest, prawda? W tej branży takie słowa jak dyrektor czy dyktator są najwyraźniej synonimami. Mimo wszystko trzeba przyznać, że facet jest geniuszem.

Lake City Ballet zajmuje się przedstawieniami współczesnymi i eksperymentalnymi. Wystawiali wszelkiego rodzaju szalone pokazy, chociażby takie, w których użyto wyłącznie czarnego światła

i fluorescencyjnej farby do ciała podczas przedstawienia czy rezygnowano z jakiejkolwiek muzyki, zastępując ją wyłącznie bębnami.

Nasz nadchodzący występ skupia się na radości – to coś w sam raz dla mnie, bo jestem najbardziej pogodną osobą, jaką można spotkać. Niewiele rzeczy mnie przygnębia.

Może właśnie dlatego Jackson zgodził się, abym zajęła się sporą częścią choreografii. Pozwala mi dbać o drobiazgi, odkąd odkrył, że mam do tego talent. Teraz po raz pierwszy sama ułożyłam kilka tańców od początku do końca.

Nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko ożyje dzięki kostiumom i charakteryzacji tancerzy oraz oświetleniu. To zupełnie tak, jakby moje myśli zmaterializowały się na scenie. Wyobrażam sobie, jak moja rodzina siedzi w pierwszym rzędzie i wszyscy są zdumieni, że mogę być też rzeźbiarką, a nie tylko gliną w czyichś rękach. Żeby choć raz byli pod prawdziwym wrażeniem!

Praktycznie wbiegam do budynku szkoły tanecznej. W sali numer 1 odbywają się zajęcia kondycyjne, natomiast w sali numer 2 zajęcia techniczne. Uderza we mnie znajoma mieszanka dźwięków i zapachów: odgłosy stóp stąpających po drewnianej podłodze, pianisty wybijającego rytm, zapach potu, perfum oraz wosku do podłóg. Pachnie jak w domu.

Powietrze jest gęste od ciepła bijącego ze wszystkich ciał. Zdejmuję kurtkę i ruszam prosto do Jacksona.

Drzwi do jego biura są uchylone. Przed wejściem do środka delikatnie pukam w futrynę i czekam na jego lakoniczne zaproszenie:

– Wejść.

Reżyser siedzi za biurkiem i przegląda niechlujnie rozłożone na blacie papiery. Jego gabinet to jedna wielka katastrofa. Pełno w nim oprawionych w ramki zdjęć, plakatów z poprzednich spektakli, chaotycznie rozrzuconych teczek, a nawet fragmentów kostiumów pochodzących z pierwszej fazy projektowania. Jackson kontroluje wszystko, co jest związane z występem.

Jest ode mnie nieco wyższy, wysportowany i szczupły. Wszystko to osiągnął dzięki ścisłej wegańskiej diecie. Jego głowę porasta burza

gęstych, czarnych włosów z kilkoma pasemkami siwizny na skroniach. Jest przeczulony na punkcie swojej fryzury. Ma nawyk przeczesywania ich rękami, gdy mówi. Zdobí go opalenizna, a do tego ma szczupłą twarz i duże, ciemne, pełne wyrazu oczy. Wiele osób się w nim podkochuje, są to zarówno kobiety, jak i mężczyźni.

– Nesso – mówi, unosząc wzrok znad papierów. – Czym zawdzięczam tę przyjemność?

– Isabel mówiła, że wydrukowali już programy! – mówię, próbując się za bardzo nie uśmiechać. Isabel to główna projektantka kostiumów. Umie szyć ręcznie z prędkością maszyny do szycia, jednocześnie wykrzykując wskazówki do swoich asystentów. Ma cięty język i dobre serce. Lubię myśleć o niej jak o swojej tanecznej mamie.

– No tak. Tam – odpowiada Jackson, kiwając głową na kartonowe pudło ustawione na składanym krześle.

Podbiegam do niego i wyciągam leżący na wierzchu plik. Zsuwam z niego gumkę, aby wyciągnąć jeden z programów.

Okładka jest piękna – przedstawia Angelique, jedną z głównych tancerek. Ma na sobie czerwoną, jedwabną suknię. Fotograf uchwycił moment, kiedy unosi się w powietrzu, a jej wygięta pod niemożliwym kątem noga znajduje się tuż nad jej głową. Stopa Angelique jest przy tym wygięta w idealnie wyglądający łuk.

Otwieram program, przeglądam listę tańców, a potem przechodzę do stopki, w której wymieniony jest cały zespół pracujący nad spektaklem. Spodziewam się zobaczyć tam swoje imię – właściwie to chciałam zapytać Jacksona, czy mogłabym zabrać jeden z programów do domu, aby pokazać go rodzicom.

Tymczasem... nic nie widzę. Jackson Wright został wymieniony jako główny choreograf, a Kelly Paul jako drugi. Nie ma tam żadnej wzmianki na mój temat.

– Coś nie tak? – pyta zjadliwie Jackson, widząc malujące się na mojej twarzy oszołomienie.

– Po prostu... Chyba zapomnieli uwzględnić mnie jako choreografkę – mówię niepewnie. Mówiąc „oni” mam na myśli tych, którzy projektowali program. Na pewno to pominięcie jest przypadkowe.

– Nie – odpowiada beztrząsco Jackson. – Niczego nie zapomnieli. Patrząc na niego, a moje usta układają się w wyrażające zdziwienie „o”.

– Co... Co masz na myśli? – pytam.

– Nie zapomnieli – powtarza. – Nie zostałaś wymieniona.

Serce tłucze mi się w piersi niczym ćma o okno. Moja naturalna skłonność do okazywania szacunku i uległości każe mi kiwnąć głową, powiedzieć: „w porządku” i odejść. Nienawidzę sprzeczek. Lecz wiem, że jeśli nic nie powiem, będę się nienawidziła jeszcze bardziej. Muszę zrozumieć, co tu jest grane.

– Dlaczego nie zostałam wymieniona? – pytam, starając się mówić tak spokojnym i nieoskarżającym tonem jak to tylko możliwe.

Jackson wzdycha z irytacją, a potem odkłada papiery, które znikają w panującym na jego biurku bałaganie.

– Nesso, nie jesteś tu choreografką – oznajmia, zupełnie jakby tłumaczył, że jeden plus jeden to dwa. – Jesteś członkiem *corps*². Tylko dlatego, że rzuciłaś kilkoma pomysłami na...

– Ułożyłam cztery tańce! – wypalam, czując jak moja twarz płonie. Zdaję sobie sprawę, że brzmię jak dziecko, ale nie jestem w stanie się powstrzymać.

Jackson wstaje od biurka. Podchodzi do mnie i obejmuje ramieniem. Wydaje mi się, że próbuje w ten sposób załagodzić tę sytuację, lecz po chwili uświadamiam sobie, że odprowadza mnie w stronę drzwi.

– Sęk w tym, Nesso – mówi – że włożyłaś w to trochę pracy, ale to, co stworzyłaś, nie jest aż tak oryginalne. Jest bardzo uproszczone. To, co ożywia ten spektakl, co tchnęło w niego życie, wyszło ode mnie. Tylko narobiłabyś sobie wstydu, naciskając, by wymieniono cię w programie jako współtwórcę choreografii, a na to nie zasługujesz.

Gardło mam tak spuchnięte ze wstydu, że nie jestem w stanie nic powiedzieć. Desperacko walczę, aby powstrzymać łzy, które palą moje oczy.

– Miło, że wpadłaś – mówi, gdy dochodzimy do drzwi. – Jeśli chcesz, możesz zabrać ten program.

Nie zdawałam sobie sprawy, że ciągle trzymam go w dłoni. Tak mocno zaciskałam na nim palce, że jest strasznie pocięty.

Jackson wypycha mnie ze swojego biura, po czym z cichym parsknięciem zamyka drzwi, zostawiając mnie samą na korytarzu.

Stoję oszołomiona tym, co zaszło i bezgłośnie zalewam się łzami.

Boże, czuję się jak skończona idiotka.

Nie chcąc, by ktokolwiek mnie zobaczył, ruszam korytarzem w stronę wyjścia.

Dotarcie do nich uniemożliwia mi Serena Breglio. Jest w *corps* tak jak ja. Właśnie wychodzi z zajęć kondycyjnych, chcąc podejść do znajdującego się na korytarzu poidelka.

Gdy mnie zauważa, zatrzymuje się. Jej blond brwi ściągają się w oznace troski.

– Nesso! Co się stało?

– Nic – odpowiadam i kręcę głową. – Nic takiego. Byłam... byłam po prostu głupia.

Ocieram policzki wierzchem dłoni i próbuję dojść do siebie.

Serena zerka podejrzliwie w stronę zamkniętych drzwi do gabinetu Jacksona.

– Czy on coś ci zrobił?

– Nie – odpowiadam.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– No to daj się chociaż przytulić – oznajmia, obejmując mnie ramieniem. – Wybacz, że jestem spocona.

Wcale mi to nie przeszkadza. Pot, odciski, złamane paznokcie... to wszystko jest tu równie powszechne jak spinki do włosów.

Serena jest klasyczną blondynką z Kalifornii. Jest szczupła, ma sylwetkę atletki i jakimś cudem ciągle jest opalona, nawet tu, na Środkowym Zachodzie. Wygląda jak ktoś, kto powinien pływać na desce surfingowej, a nie nosić baletki. Jednak jest na tyle niezła, że lada dzień może zostać przeniesiona na stanowisko koryfejski³.

Kiedy przebywa w studiu, jest bardzo nastawiona na współzawodnictwo, lecz poza nim jest niezwykle kochaną osobą.

Osobiście nie przeszkadza mi, że widzi mnie w tym stanie. Wiem, że niczego nie wypapla innym dziewczynom.

– Idziesz z nami dziś wieczorem? – pyta.

– A gdzie idziecie?

– Niedawno otworzył się nowy klub, Jungle.

Waham się.

Nie powinnam chodzić do takich miejsc, a już w szczególności bez informowania o tym swoich rodziców lub brata. Jeśli jednak im to powiem, z pewnością nie pozwolą mi nigdzie iść albo wyślą któregoś ze swoich ochroniarzy, żeby mnie pilnował – kogoś pokroju Jacka Du Ponta, który będzie siedział w kącie i patrzył na mnie groźnie, odstraszać każdego, kto chciałby poprosić mnie do tańca. To krępujące, a przy tym sprawia, że moi przyjaciele dziwnie się czują.

– Sama nie wiem... – mówię.

– Och, daj spokój. – Serena ściska moje ramię. – Idzie też Marnie. Chodź z nami, wypijesz drinka i przed dwudziestą trzecią będziesz w domu.

– W porządku – odpowiadam. Czuję, że już zgadzając się, jestem buntowniczką. – Zróbmy to.

– Tak! – Serena wyrzuca pięść w powietrze. – Dobra, lepiej wróć zanim dostanę opierdół od Madame Brodeur. Będziesz tu czekała?

– Nie. – Kręcę głową. – Będę w kawiarni obok.

– Świetnie – mówi Serena. – Kup mi drożdżówkę.

ROZDZIAŁ TRZECI

MIKO

Chicago

Siedzę w znajdującym się na tyłach klubu biurze i zapisuję liczby w księdze rachunkowej.

Obecnie prowadzę dwa kluby nocne oraz trzy ze striptizem. Wszystkie na swój własny sposób są rentowne. Nawet ten, który otworzyłem raptem kilka tygodni temu. Cel ich funkcjonowania jest jednak zupełnie inny. Działają jako pralnia brudnych pieniędzy.

Jakakolwiek branża, w której dokonuje się mnóstwo płatności gotówką, nadaje się do tego najlepiej. Pralnie, salony samochodowe, taksówki, restauracje... wszystko to służy jako kosz, do którego można wrzucić zarobione legalnie pieniądze, a także te pochodzące z kradzieży, handlu narkotykami oraz bronią, a także z prostytucji.

W dawnych czasach można było otworzyć dowolny sklepik, nawet nie zwracając sobie głowy, aby go w cokolwiek zaopatrywać. Al Capone miał właśnie taki sklep tutaj, w Chicago. Na wizytówce miał napisane: „Handlarz meblami używanymi”. W dzisiejszych czasach księgowość kryminalistów jest bardziej zaawansowana, przez co wymaga prowadzenia dobrze prosperującego interesu.

Celem końcowym tego proceduru jest wprowadzenie brudnej forsy do banku. Powinno się to robić stopniowo i regularnie. Dzięki codziennym wpłatom można mieszać brudną gotówkę z czystą. Najlepiej jest, jeśli lewa gotówka stanowi zaledwie dziesięć lub piętnaście procent całej wpłaty.

Trzeba jednak uważać, bo w bankach pracują pierdolone szczury. Jeśli się zorientują, że wasza maleńka pizzeria nagle zarabia milion dolarów lub zobaczą, że wasze zyski znacznie przewyższają czeki,

które wypisujecie waszym dystrybutorom, to zgłoszą was do urzędu podatkowego.

A gdy pieniądze już staną się częścią systemu, możecie je skierować w dowolne miejsce. Można je wysłać do rajów podatkowych nad morzem, wpakować w spore nieruchomości albo konta maklerskie...

Po zliczeniu wszystkich moich aktywów ich wartość ma osiem cyfr. Patrząc na mnie, nigdy byście tak nie pomyśleli. Nie afiszuję się z bogactwem i zmuszam swoich ludzi, aby zachowywali się tak samo. W przeciwnym wypadku człowiek robi się leniwy, niechłujny, ekstrawagancki i zwraca na siebie uwagę niewłaściwych ludzi.

Obecnie kieruję chicagowskim Braterstwem, w czym pomaga mi brat, Jonasz. Nie łączą mnie z nim jednak żadne więzy krwi, lecz przynależność do mafii. Obaj jesteśmy adoptowanymi synami Tymona Zająca. Przez dziesięć lat pracowałem dla niego. Był również moim mentorem – uczył mnie i szkolił.

Mój biologiczny ojciec zmarł w Warszawie. Nawet nie wiem, gdzie znajduje się jego grób. Nie obchodzi mnie to. Moja noga nigdy więcej w Polsce nie postanie. Nawet nie lubię myśleć o tym kraju.

Tymon sprowadził mnie do Ameryki. Mówił mi, że bogactwo naszej ojczyzny w porównaniu z imperium, które zbudujemy, będzie niczym. A ja mu uwierzyłem i jego marzenie stało się również moim. Dzięki temu miałem po co żyć.

Przez pewien czas się rozwijaliśmy. Zaczęliśmy przejmować to miasto dzielnicą po dzielnicę.

Tyle że nie jesteśmy jedynym gangiem w Chicago.

Wdaliśmy się w konflikt z Kolumbijczykami, Rosjanami, Włochami oraz Irlandczykami.

Zmiażdżyliśmy Kolumbijczyków, przejmując ich ścieżkę przerzutu narkotyków. Właśnie wtedy naprawdę zaczęły spływać do nas pieniądze, dzięki którym mogliśmy finansować nasze pozostałe działalności.

Następnie Departament Sprawiedliwości wyświadczył nam przysługę, bo ukrócił proceder handlu bronią, którym zajmowała się rosyjska Bratwa.

To sprawiło, że mogliśmy zaatakować Włochów, a konkretnie rodzinę Gallo. Jednak Enzo Gallo wcale nie okazał się tak starym i beztroskim człowiekiem jak liczyliśmy. Jego synowie posłali naszych trzech ludzi do piachu i zakopali ich pod fundamentami stawianego przez nich drapacza chmur przy Oak Street.

Zanim zdążyliśmy kontratakować, Gallo niespodziewanie sprzymierzyli się z Griffiniami, chicagowską irlandzką przestępczą arystokracją. Gallo wydali swoją jedyną córkę za Calluma, jedyne syna Griffiniów.

To było wielce niespodziewane. Zupełnie jakby Izrael sprzymierzył się z Palestyną albo koty z psami.

Być może właśnie wtedy Tymon popełnił błąd, a nie należał do osób, które mogły popełniać błędy. W tamtej chwili działał jednak pochopnie.

Aida Gallo i Callum Griffin przyszedli do jednego z naszych klubów, aby powęszyć, a my zdołaliśmy ich odurzyć, po czym wywieźliśmy do starej rzeźni znajdującej się w zachodniej części miasta.

To była decyzja podjęta pod wpływem impulsu, nikt tego nie planował. Mimo że Tymon wydawał nam rozkazy, czuję się winny za to, co się stało.

Celowałem do nich z karabinu. Bez wahania powinienem był ich na miejscu zastrzelić.

Tymczasem oni zdołali uciec rurą odpływową.

To był upokarzający błąd. Po wszystkim uklęknąłem przed Tymonem, spodziewając się, że wymierzy mi karę. W ciągu dziesięciu lat nigdy go tak bardzo nie zawiodłem.

Kazał pozostałym wyjść z pokoju.

Zamknąłem oczy, myśląc, że opuści swoją maczetę na mój kark. Tak w naszym świecie wygląda sprawiedliwość.

Zamiast ostrza poczułem jego dłoń na ramieniu – ciężką, lecz nie zdradzającą gniewu.

Spojrzałem mu w twarz.

Przez cały czas, jaki spędziłem u boku Tymona, nigdy nie widziałem, żeby się wahał czy okazywał słabość. Nagle zaczął wyglądać na zmęczonego. Miał dopiero pięćdziesiąt osiem lat,

jednak to były lata, w których przeżył kilkanaście żywotów pełnych krwi, potu i wysiłku.

– Mikołaju – zaczął. – Jesteś moim synem i dziedzicem. Wiem, że nigdy mnie nie zawiedziesz.

Już dawno straciłem zdolność odczuwania czegoś takiego jak miłość. Lecz zdołałem poczuć żar lojalności, który był od niej silniejszy. Tymon dwukrotnie darował mi życie. Nigdy nie będzie musiał robić tego po raz trzeci.

Poczułem ożywienie. Planowałem pracować razem ze swoim mafijnym ojcem, aby zmiażdżyć Włochów i Irlandczyków. Dzięki temu mieliśmy raz na zawsze zająć należne nam miejsce władców tego miasta.

Tymczasem tydzień później Dante Gallo zamordował Tymona. Postrzelił go i zostawił, aby wykrwawił się w rynsztoku.

Muszę się zemścić. Każdy mijający dzień mnie zawstydza.

Należy wziąć pod uwagę dwie rzeczy.

Po pierwsze – moich ludzi. Griffinowie i Gallo razem wzięci stanowią potężną siłę. Mogą liczyć na lojalność kilkudziesięciu irlandzkich i włoskich rodzin. Nie zdołam odnieść zwycięstwa, atakując ich bezpośrednio. W każdym razie, jeszcze nie teraz.

Po drugie – chcę, żeby cierpieli. Mógłbym zabić Calluma lub Dantego. Tylko co by to dało? Chcę zniszczyć ich imperium. Chcę rozdzielić ich rodziny. Moim zadaniem będzie wyeliminowanie ich jednego po drugim.

Aby to zrobić, muszę znaleźć ich słaby punkt.

Dlatego też obserwuję i czekam. Niech myślą, że Braterstwo zostało pokonane, a zabijając Tymona, odcięli węzowi łeb.

W międzyczasie prowadzę swoje interesy. Zabezpieczam teren. Z każdym dniem mam coraz więcej pieniędzy, a to sprawia, że rosnę w siłę.

Nagle rozlega się pukanie do drzwi. To Jonasz. Wchodzi, nie czekając na odpowiedź i niesie w rękach skrzynkę polskiej wódki, Żubrówki. Bierze jedną z butelek, pokazując mi jasnozieloną etykietę z pojedynczym żdźbłem wonnej turówki zanurzonej w trunku o lekko bursztynowym zabarwieniu.

– W samą porę – mówi z uśmiechem. – Zaczynała się nam kończyć.

Jonasz jest barczysty i umięśniony. Ma gęste czarne włosy zaczesane do tyłu i oczy tak ciemne, że praktycznie nie można odróżnić źrenicy od tęczówki. Jego brwi stanowią linię prostą opadającą od zewnętrznego kąca oka ku wewnętrznemu, jak u Spocka. Niestety jego osobowość stanowi przeciwieństwo osobowości Wolkanów⁴. Jonasz nie myśli logicznie. Jest impulsywny – łatwo go rozbawić i równie łatwo wyprowadzić z równowagi, przez co wszczyna awantury. Nie należy do ludzi, którzy lubią wszystko przemyśleć. Właśnie dlatego to ja jestem bossem, a nie on.

Tego właśnie chciał Tymon. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie – teraz, gdy mój przybrany ojciec nie żyje, już nigdy nie będę na drugim miejscu.

– Ile w tym tygodniu zarobiliśmy na sprzedaży alkoholu? – pytam.

– Pięćdziesiąt siedem tysięcy – odpowiada dumnie Jonasz.

To dwanaście procent więcej niż w zeszłym.

– Dobrze.

– Ale jest coś jeszcze – mówi Jonasz, marszcząc brwi.

– Zaczekaj – odpowiadam.

Klepię w ramię dziewczynę, która klęczy między moimi nogami i robi mi laskę. Ma na imię Petra i jest jedną z naszych barmanek – właściwie to jest jedną z najlepszych barmanek. Usta ma równie zwinne co ręce. W przyjemny sposób umila mi żmudne ogarnianie księgowości. Niestety zazwyczaj nie udaje mi się dojść. Petra ciężko pracuje, lecz mój kutas wydaje się półżywy, zresztą jak i reszta mojego ciała.

– Możesz iść – oznajmiam.

Petra wstaje zza biurka i otrzepuje obcisłe czarne spodnie. Poza nimi ma na sobie rozpięty do połowy gorset, który odsłania jej okazałych rozmiarów biust. Na ustach ma rozmazaną szminkę.

Jonasz uśmiecha się, zdając sobie sprawę, że nie byliśmy tu sami. Wbija wzrok w piersi Petry, a potem gapi się na jej tyłek, gdy wychodzi z biura. Zupełnie jakby jej wcześniej nie widział.

– Jak się sprawuje? – pyta. – Nie miałem jeszcze przyjemności sprawdzić.

– W porządku – rzucam krótko. – Co chciałeś mi powiedzieć?

Jonasz wraca do interesów i znowu staje się poważny:

– Myślę, że któryś z barmanów nas okrada.

– Skąd wiesz?

– Ważyłem butelki. Brakuje kilograma.

– Leją zbyt dużo?

– Nie. Założyłem dozowniki.

– Więc rozdają drinki znajomym albo kradną pieniądze.

– Ktoś na pewno – przytakuje Jonasz.

– Przyjrzę się im wieczorem – oznajmiam.

– Świetnie. – Jonasz krzyżuje ręce na piersi, a na jego twarzy ponownie pojawia się uśmiech.

– Czemu się szczerzysz? – pytam, zirytowany.

– Masz zamiar schować kutasa?

Zerkam na swojego umazanego szminką Petry kutasa. Zdążyłem zapomnieć o przerwaniu obciąganiu. Krzywiąc się, chowam go w spodniach.

– Zadowolony? – pytam.

– Owszem.

Idziemy razem do głównej części klubu.

Wieczór dopiero się rozkręca – goście ustawiają się w kolejce do baru, zaś na parkiecie zaczyna się robić tłok. Wszystkie stoliki są zajęte.

Rozglądam się po sali pełnej ludzi. Tętni życiem, a ja widzę jedynie pieniądze i jeszcze więcej pieniędzy. Kelnerki podają klientom drinki po cenie zawyżonej o czterysta procent i wpychają gotówkę do kieszeni swoich fartuchów. Barmani raz za razem przesuwają kartami kredytowymi przez czytnik, przez co każdy z nich w znikomy sposób powiększa bogactwo Braterstwa.

Ściany pokrywa papierowa trawa, boksy natomiast są obite drogim, szmaragdowym aksamitem. Wszystkie blade światła są przyćmione, ale każde z nich rzuca wzorzyste cienie, sprawiające, że klienci mają wrażenie spaceru po wysokiej trawie.

Ten klub to rzeczywiście dżungla, a ja jestem jej królem. Klienci, nawet tego nie wiedząc, oddają mi hołd w momencie, w którym opróżniam ich portfele wraz z każdym zamówionym drinkiem.

Staję w rogu parkietu, udając, że obserwuję klientelę. Tak naprawdę mam na oku swoich pracowników – w szczególności barmanów.

Za głównym barem stoi ich czwórka: Petra, Monique, Bronson i Chaz. Wszyscy pracują szybko i efektywnie. Dziewczyny zostały zatrudnione ze względu na swoje umiejętności oraz seksapil. Chociaż nie wykluczam kobiet z kręgu podejrzanych, to stawiam na mężczyzn. Petra i Monique dostają oszałamiającą liczbę napiwków od samotnych biznesmenów. Bronson i Chaz też radzą sobie całkiem nieźle, ale z doświadczenia wiem, że istnieje coś takiego jak męska chciwość, która nie pozwala facetowi zadowolić się trzema stówami za noc.

Dobry barman jest jak żongler i magik w jednej osobie. Musi rozmawiać z klientami, jednocześnie podrzucając butelki, mieszając drinki shakerami i nalewając dwanaście szotów pod rząd. W tym zawodzie zawsze robi się dziesięć rzeczy naraz.

Trzeba mieć wprawne oko, aby zobaczyć, co tak naprawdę kombinują.

Po dwudziestu ośmiu minutach wiem, kto jest złodziejem.

To nie Bronson, nasz klubowy mięśniak z wdziękiem łobuza. Widzę, jak daje darmowego drinka rozchichotanej blondynce, po czym opłaca go ze swoich napiwków.

Złodziejem jest Chaz, ten podstępny mały skurwiol. Koleś nosi srebrne pierścienie, hipsterską brodę i koka.

Ten egoistyczny zasraniec jednocześnie stosuje dwa oszustwa. Najpierw przyjmuje płatności od trzech bądź czterech klientów naraz, zanoszą gotówkę do kasy i udaje, że polewa wszystkim. Gdy operuje palcami po ekranie, zauważam, że nabija tylko dziewięć z dziesięciu zamówionych drinków, licząc, że liczba transakcji zatuszuje to, co robi, gdy nikt nie patrzy.

A potem robi coś, czego nawet Jonasz nie był w stanie wyłapać: Chaz ma butelkę Crown Royal, którą zdołał przesmuglować do klubu. To alkohol z najwyższej półki. Jedna kolejka kosztuje tutaj

osiemnaście dolarów. Za każdym razem, gdy ktoś to zamawia, Chaz polewa drinki ze swojej butelki, którą odstawia na półkę zamiast mojej flaszki. Po wszystkim wrzuca gotówkę do swojego słoika na napiwki.

Przyglądając mu się, wyliczyłem, że ukradł około siedemdziesiąt sześć dolarów. Według moich wstępnych obliczeń oznacza to, że zarabia ponad dziewięćset dolarów za noc.

Gestem ręki przywołuję do siebie Jonasza.

– To Chaz – oznajmiam.

Jonas zerka na Chaza i ten jego głupkowaty uśmiech, kiedy otwiera cztery butelki Heinekena i przesuwa je po barze w stronę kwartetu hałaśliwych studentek. Na twarzy Jonasza pojawia się posępna mina. Robi krok naprzód, zupełnie jakby chciał chwycić Chaza za koszulę, by od razu wyciągnąć go zza baru.

– Nie teraz – oświadczam, kładąc mu dłoń na piersi. – Niech skończy swoją zmianę. Nie chcemy, żeby brakowało nam dziś rąk do pracy. Dorwij go, gdy będzie wychodził.

Jonasz chrząka i kiwa głową. Przy łazienkach wybucha bójka, więc rusza w tamtą stronę, by przypilnować, żeby bramkarze to ogarnęli.

Opieram się ze skrzyżowanymi na piersi rękami o kolumnę znajdującą się w kącie. Satysfakcja płynąca ze złapania złodzieja już minęła. Jak zawsze wracam myślami do palącego problemu Griffinów i Gallo.

I w tej chwili do klubu wchodzi pewna dziewczyna.

Każdej nocy widzę setki wspaniałych kobiet, wystrojonych w obcisłe sukienki i szpilki. Każda z nich jest wymalowana, ma świeżo ułożone włosy i obsypaną brokatem skórę.

Ta dziewczyna wpadła mi w oko, bo jest ich przeciwieństwem. Jest młoda i wygląda niewinnie. Jest tak czysta, że niemal błyszczący. Jasnobrązowe włosy ma związane w prosty kucyk, a jej oczy są duże i niewinne. Nawet nie próbowała ukryć rozsypanych na nosie piegów.

Ma na sobie lekki, wiązany z przodu sweter, a pod nim blad różowe body niemal w tym samym odcieniu co jej skóra. To dość dziwny strój do klubu nocnego. Jej przyjaciółki ubrały się w zwykłe krótkie bluzki i miniówki.

Gdy tylko ją zauważam, czuję gwałtowny przypływ adrenaliny. Moje mięśnie napinają się jak sprężyny i domyślam się, że rozszerzają mi się źrenice. Wyobrażam sobie, jaki mają zapach jej perfumy. Są lekkie i słodkie, przebijają się ponad zapachem dymu, alkoholu i potu.

To, czego doświadczam, jest reakcją drapieżnika, który dostrzega swoją ofiarę.

Poznaję tę dziewczynę.

To Nessa Griffin. Ukochana córeczka irlandzkich mafiosów. Ich kochane maleństwo.

Zawędrowała do mojego klubu niczym niewinna gazela. Nierozsądna. Zagubiona. Nic, tylko ją pożreć.

To jak znak z nieba. Tylko, że nie wierzę w niebo. Powiedzmy więc, że to znak od diabła.

Patrzę, jak przechodzi przez klub w towarzystwie przyjaciółek. Zamawiają drinki od Bronsona. On, mieszając martini, ostro z nimi flirtuje. Mimo że skupia się na jej blond przyjaciółce, Nessa ciągle się rumieni i nie potrafi spojrzeć mu w oczy.

Zabiera swojego arbuzowego drinka i sączy go, nie mogąc powstrzymać grymasu, który pojawia się na jej twarzy, mimo że to głównie sok. Wypija gdzieś jedną czwartą, po czym odstawia drinka na bar.

Blondynka wciąż chichocze, rozmawiając z Bronsonem. Druga z towarzyszących jej dziewczyn wdała się w dyskusję z facetem wyglądającym na nerda. Zawstydzona i zaintrygowana Nessa rozgląda się po klubie.

Jawnie ją obserwuję. Nie odwracam wzroku, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Skupiam się na jej minie, chcąc zobaczyć, czy wie, kim jestem.

Jej policzki zalewa rumieniec ciemniejszy niż jej top. Odwraca wzrok, a po chwili ponownie zerka w moją stronę, aby sprawdzić, czy wciąż się na nią patrzę. Widząc, że tak jest odwraca się do mnie plecami, po czym pośpiesznie upija łyk drinka.

Nie ma zielonego pojęcia, kim jestem. Zachowuje się jak skrępowana dziewczyna, która woli ukrywać się pośród swoich bardziej pewnych siebie przyjaciółek.

Ruszam z powrotem do swojego biura, lecz przed drzwiami zostaję złapany przez Jonasza.

– Dokąd to? – pyta, widząc, że gdzieś się spieszę.

– Ty dzisiaj pilnujesz parkietu – informuję go. – Mam coś do załatwienia.

– A co z Chazem?

Zatrzymuję się. Bardzo chciałem zobaczyć minę tego oślizłego małego skurwiela, gdy uświadomi sobie, że został przyłapany. Zadowolony uśmieszek zniknie z tego twarzy i zastąpi go najpierw strach, a potem skrajne przerażenie. Zamierzałem zmusić go, aby błagał o litość i posikał się z przerażenia, by następnie zabrać mu jego forszę.

Jednak w tej chwili mam ważniejsze sprawy na głowie.

– Pod koniec wieczoru zabierz go do piwnicy – polecam. – Połam mu ręce. A potem zostaw go pod jego mieszkaniem.

– A co z pieniędzmi? – pyta Jonasz.

– Jestem przekonany, że zdążyły już trafić do jego nosa.

Dochodzę do wniosku, że nie ma opcji, żeby ten gnojek miał czelność ukraść moją forszę tylko po to, aby wpłacić ją na konto oszczędnościowe. Ma swoje nawyki.

Jonasz kiwa głową i wraca do sali tanecznej.

Wchodzę do biura i przetrząsam górną szufladę biurka. Wyciągam z niej nadajnik GPS, który przypomina wielkością i kształtem monetę. Chowam go do kieszeni, a potem wracam na parkiet.

Wypatrzenie Nussy Griffin zajmuje mi tylko chwilę. Tańczy ze swoimi przyjaciółkami, kołysze się w rytm remiksu kawałka *Roses*. Nie tylko ja się jej przyglądam. Swoim zmysłowym tańcem przyciąga wzrok zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Wygląda na to, że zapomniała o swojej nieśmiałości, zatracając się w muzyce.

Podejście do niej i wrzucenie jej nadajnika do torebki jest banalnie proste. Jest niczego nieświadoma. Taniec pochłania ją tak bardzo, że nawet pozwalam sobie przeczesać palcami jej opadający na plecy kucyk. Włosy Nussy są delikatne, jedwabiste i zimne w dotyku. Teraz rzeczywiście czuję jej perfumy. Są łagodne i wyraziste – to lilie, orchidee oraz śliwki.

Odchodzę, nim cokolwiek zauważy.

Teraz, gdziekolwiek się ruszy, będę o tym wiedział.
Pojadę za nią wszędzie, by ją śledzić, a potem porwać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

NESSA

Wcześniej rzadko zaglądałam do nocnych klubów. W sumie to nawet nie jestem wystarczająco dorosła, aby wejść do środka. Serena daje mi nieważny dowód osobisty swojej siostry, która w ogóle mnie nie przypomina, poza tym, że obie mamy brązowe włosy. Na szczęście bramkarz patrzy przelotnie na dokument, po czym niedbałym gestem ręki każe nam wejść do środka.

Po przejściu przez drzwi mam wrażenie, że znalazłyśmy się w zupełnie innym świecie. Światła są tu przyciemnione i migoczące, a muzyka wibruje w moim ciele. Wiem, że ten klub otworzył się całkiem niedawno, ale ma w sobie coś z dawnego imperialistycznego stylu. Zdaje się, że został stworzony dla wysyłanych do Indii brytyjskich kolonistów. Ciemne drewno, wyblakłe srebrne kinkiety i ciemnozielony aksamit wyglądają, jakby pochodziły z jakiejś starej biblioteki.

Bardzo mi się to wszystko podoba. Żałuję tylko, że nie zabrałam ciuchów na zmianę, tak jak pozostałe dziewczyny. Wyglądają równie seksownie i fajnie jak wszyscy obecni w klubie, podczas gdy ja... wcale tak nie wyglądam.

Podchodzimy do baru, a ja nie mam pojęcia co zamówić. Biorę to samo co Serena. Okazuje się, że to arbuzowe martini z odrobiną limonki.

Nawet barman wygląda tu niesamowicie seksownie. Mam wrażenie, że wszyscy pracownicy dorabiają jako modele, bo każdy z nich sprawia wrażenie, jakby ćwiczył chodzenie po wybiegach.

Serenie strasznie się to podoba. Opiera łokcie na barze i z uśmiechem na ustach pyta barmana, ile każdego wieczoru dostaje numerów od dziewczyn.

– Za mało – odpowiada, puszczając oczko. – Na pewno mam jeszcze miejsce w telefonie, aby zapisać kolejny kontakt.

Upijam łyk drinka. Jest obrzydliwie słodki, lecz czuję w nim odrobinę alkoholu. To sprawia, że nieco się dławię. Nie wiem, jak mój brat może pić samą whisky – dla mnie to smakuje jak rozpuszczalnik.

Nie chcę się wstawić, więc odstawiam drinka z powrotem na bar i rozglądam się po klubie.

Uwielbiam obserwować ludzi.

Wcale by mi nie przeszkadzało, jeśli mogłabym po prostu siedzieć w kącie, będąc zupełnie niewidoczną dla innych, i obserwować całą noc kręcących się po klubie ludzi. Lubię zgadywać, kto jest parą, a kto nie, kto świętuje ostatni dzień sesji, a kto przyjechał tu ze znajomymi z pracy. Lubię patrzeć na ludzkie gesty, na ich mimikę, na to jak tańczą, mówią i się śmieją.

Nie lubię natomiast być w centrum uwagi, więc kiedy dostrzegam opierającego się o filar mężczyznę, który intensywnie na mnie patrzy, to czuję, jakby jego spojrzenie było czymś w rodzaju wymierzonego policzka. Spuszczam wzrok, udając, że jestem bardzo zainteresowana swoimi paznokciami. Patrzę na nie tak długo, aż wydaje mi się, że tamten przygląda się już czemuś innemu.

Podnoszę wzrok i dostrzegam, że się myliłam – on wciąż się na mnie gapi. Jest wysoki, szczupły, a jego włosy są tak jasne, że niemal białe. Ma ostre rysy twarzy i bladą cerę. Wygląda, jakby od dawna nic nie jadł ani nie spał. Jego policzki są zapadnięte, a pod oczami dostrzegam cienie. Jest przepiękny – przypomina mi swym wyglądem wygłodniałego anioła. Jego mina nie jest jednak ani życzliwa, ani przyjacielska.

Odwracam się w stronę baru, ponownie biorąc drinka do ręki. Postanowiłam, że skupię się na rozmowie z Marnie i nie będę patrzeć na tego dziwnego mężczyznę.

Po wypiciu drinków przychodzi czas na tańce. Ktoś mógłby pomyśleć, że będziemy miały dość po tych wszystkich ćwiczeniach, które wykonujemy, ale tańczenie w klubie to coś zupełnie innego. Tu nie chodzi o żadną technikę, to jedyny czas, kiedy możemy po prostu wirować bez konieczności myślenia o samym tańcu.

Im dłużej tańczymy, tym bardziej się wygłupiamy. Odstawiamy *Humpty Dance*⁵ i *Cabbage Patch*⁶, potem przychodzi pora na wykonanie *Renegade*⁷ i *Triangle*⁸. Marnie próbuje przekonać DJ-a, aby puścił jakiś kawałek Lizzo, lecz mężczyzna odpowiada, że nie może tego zrobić, bo musi pilnować setlisty.

Chcąc kontynuować flirt z przystojnym barmanem, Serena wraca do baru, aby wypić kilka drinków. Wynik tego jest taki, że jest za bardzo wstawiona, żeby móc dalej tańczyć. Zamawiamy jej z Marnie wodę i wszystkie siadamy w boksie, aby chwilę odpocząć.

– To co, powiesz mi, dlaczego byłaś taka zdenerwowana? – pyta Serena tonem nieznoszącym sprzeciwu i rozsiada się w kącie.

– Och – mówię, kręcąc głową. – To głupie. Myślałam, że zostanę wymieniona w programie naszego przedstawienia jako choreograf.

– Dlaczego nie zostałaś wymieniona? – pyta Marnie. Jest wysoką, szczupłą, czarnoskórą kobietą z uroczą szparą między jedynkami. To świetna artystka, która poza tańczeniem w *corps* czasami zajmuje się dekoracjami.

– Nie wiem. Jackson chyba zmienił większość z tego, co wymyśliłam – odpowiadam.

– Niczego nie zmienił – oznajmia Marnie, kręcąc głową. – Wczoraj wieczorem oglądałam duet. Wszystko wygląda tak samo, jak to wymyśliłaś.

– Och.

Teraz czuję się jeszcze gorzej.

Czy to, co zrobiłam, naprawdę było takie złe, że Jackson uznał, że nie zasługuję na wzmiankę w stopce programu? A skoro tak, to dlaczego wykorzystał moje pomysły w przedstawieniu?

– On cię okrada – oznajmia Serena, kręcąc z obrzydzeniem głową. – Ale z niego dupek.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – pyta Marnie.

– A co mogę zrobić? W świecie tańca jest bogiem – mówię, krzywiąc się. – A ja jestem nikim.

Widzę współczujący wyraz na twarzy Marnie. Wie, że to prawda.

Serena natomiast jest bardziej zapalczywa.

– Pierdolenie! Nie możesz mu na to pozwolić.

– To, co mam zrobić? – pytam. – Zgłosić go do „Baletowego Sądu Najwyższego”? Tu nie rządzi żadna siła wyższa.

– Kojarzysz te paskudne zielone koktajle, które trzyma w lodówce?
– pyta Serena. – Możesz wrzucić do nich kilka środków przeczyszczających. Przynajmniej zemścisz się w ten sposób.

Moja koleżanka zaczyna zanosić się niekontrolowanym chichotem, który sprawia, że głos się jej załamuje. Zdecydowanie jest bardziej pijana, niż się zdaje.

Jej śmiech bawi mnie i Marnie. Chwilę później wszystkie trzy parskamy śmiechem i chichoczemy tak bardzo, że łzy spływają po naszych policzkach.

– Ogarnij się! – mówi Marnie. – Przez ciebie wylecimy.

– Nie ma mowy – odpowiada Serena. – Barman i ja mamy się ku sobie.

Próbuje skrzyżować palec wskazujący oraz środkowy, lecz jej ruchy są na tyle nieskoordynowane, że wychodzi jej znak pokoju. To sprawia, że razem z Marnie zaczynamy śmiać się jeszcze bardziej.

– Lepiej zabiorę cię do domu, kretynko – mówi Marnie.

Mieszkają razem przy Magnolia Avenue. To zaledwie pięć minut jazdy Uberem.

– Zabierzesz się z nami? – pyta Marnie.

– Muszę iść w drugą stronę – odpowiadam. – Zostawiłam jeepa pod studiem.

– Nie możesz iść sama – oznajmia Serena, która próbuje się pozbierać i przez chwilę być poważna.

– To tylko kilka przecznic – zapewniam.

Wypiłam tylko jednego drinka i myślę, że jestem w stanie sama wrócić pod Lake City Ballet.

Rozchodzimy się przy wyjściu. Marnie podpira Serenę, czekając na Ubera, a ja ruszam wzdłuż Roscoe Street.

Mimo późnej pory, ulice nie są zupełnie puste. Chicago to ruchliwe miasto. Mija mnie mnóstwo samochodów, a chodniki oświetlają światła wieżowców oraz staromodne latarnie. Obok mnie przemyka kilkoro nastolatków na deskorolkach, którzy krzyczą coś, czego nie rozumiem.

Jednak kiedy skręcam w Greenview, chodniki robią się puste. Jest chłodno. Obejmuję się ramionami i przyspieszam. Podskakująca torebka uderza o moje biodro. Jej pasek mam wygodnie przewieszony na ukos przez pierś, więc nikt nie będzie próbował mi jej wyrwać. Zastanawiam się, czy powinnam wyjąć klucze – na wszelki wypadek mam do breloczka przyczepiony niewielki pojemniczek z gazem pieprzowym. Ma jednak sześć lat, więc kto wie, czy jeszcze działa.

Nie wiem dlaczego, ale nagle dopada mnie paranoja. Czuję, że skóra zaczyna mnie mrowić. Przy tak energicznym spacerze serce nie powinno mi tak szybko bić.

Może to tylko moja wyobraźnia, ale wydaje mi się, że słyszę za sobą czyjeś kroki. Zdaje się, że są trochę zbyt szybkie, zupełnie jakby ktoś próbował mnie dogonić.

Zatrzymuję się na rogu Greenview i Henderson, po czym zerkam przez ramię.

Widzę, że niecałe sto metrów za mną jest jakiś mężczyzna. Ma na sobie bluzę, a ręce trzyma schowane w kieszeniach. Idzie z pochyloną głową i naciągniętym na nią kapturem, przez co nie widzę jego twarzy.

Pewnie tak jak i ja wraca do domu. Mimo to przechodzę na drugą stronę i zaczynam iść jeszcze szybciej. Nie mam ochoty ciągle się oglądać, żeby patrzeć, czy mnie dogania. Mam ochotę biec.

Przed sobą dostrzegam budynek Lake City Ballet i zaparkowanego przed wejściem białego jeepa. Pozostałe miejsca parkingowe są puste. Wszyscy dawno temu pojechali do domu.

Wsuwam rękę do torebki, aby znaleźć kluczyki. Chcę trzymać je w pogotowiu, żeby szybko otworzyć drzwi do samochodu. Udaje mi się wymacać telefon, balsam do ust, jakąś monetę... ale nigdzie nie czuję kluczyków. Co jest, do cholery? Przecież ta torebka wcale nie jest duża.

Szkoła jest zamknięta, a wszystkie światła są zgaszone.

Znam kod do drzwi. Wszyscy tancerze go znają, bo możemy przychodzić tu ćwiczyć, gdy tylko zechcemy.

Mając przed sobą do pokonania pół przecznicy do celu, zaczynam biec. Biegnę w stronę szkoły, nie mając pewności, czy dudniące kroki,

które słyszę, są moje, czy należą do kogoś, kto mnie śledzi.

Dopadam do drzwi i szaleńczo próbuję wbić kod: 1905. W tym roku Anna Pawłowa po raz pierwszy wystąpiła w *Umierającym łabędziu*. To taka mała obsesja Jacksona.

Moje palce niezgrabnie poruszają się po klawiaturze i dwukrotnie wprowadzam błędną kombinację, po czym zamek w końcu klika i udaje mi się otworzyć drzwi.

Zamykam je za sobą, przekręcam zamek i przyciskam czoło do szyby, wbijając wzrok w mrok. Serce tłucze mi się w piersi, a spocone ręce trzymam na klamce. Spodziewam się zobaczyć, jak jakiś szaleniec biegnie w moją stronę, wymachując nożem.

Tymczasem... nie widzę nic.

Na chodniku nikogo nie ma. Nikt mnie nie śledzi. Facet w bluzie prawdopodobnie skręcił w inną ulicę i w ogóle mnie nie zauważył.

Ale ze mnie idiotka.

Zawsze miałam dziką wyobraźnię. Gdy byłam mała, miewałam najbardziej szalone koszmary i zawsze byłam pewna, że są one prawdziwe – bez względu na to, jak niemożliwe wydawały się mojej siostrze. Czasami chodziło o przemianę w tygrysa lub o to, że znalazłam w naszej lodówce tuzin odciętych głów.

Osuwam się na podłogę i raz jeszcze szukam kluczyków w torebce. I oto są – schowane w bocznej kieszeni. Tam, gdzie ich miejsce. Za bardzo panikowałam, żeby je wymacać.

Sprawdzam też telefon. Nie mam ani jednego SMS-a lub wiadomości od rodziców, mimo że jest już po północy.

To zabawne. Są tak nadopiekuńczy, a jednocześnie tak bardzo zajęci, że nawet nie zauważyli, że mnie nie ma.

No trudno. Siedzę w szkole tańca i daleko mi do bycia zmęczonej po tym, jak przez moje żyły przepłynęło dziesięć tysięcy woltów czystej adrenaliny. Równie dobrze mogę więc poćwiczyć.

Ruszam do swojej ulubionej sali. To najmniejsze studio taneczne ze wszystkich. Podłoga jest tam tak bardzo sprężysta, że tańczy się prawie jak na trampolinie.

Zdejmuję jeansy oraz sweter, zostając w znajdującym się pod nimi trykotem. Następnie wkładam telefon do stacji dokującej i odnajduję swoją ulubioną playlistę. Zaczyna się od *Someone You Loved* Lewisa

Capaldiego. W pomieszczeniu rozbrzmiewa melodyjne intro na fortepianie, a ja rozpoczynam swoją rozgrzewkę przy drążku.

ROZDZIAŁ PIĄTY

MIKO

Stoję na obrzeżach parkingu, trzymając się z dala od ludzkich spojrzeń i śmieję się cicho sam do siebie.

Małą Nessę Griffin tak łatwo przerazić.

Patrzenie, jak pędzi w stronę studia, wywołało dreszcz tak słodki, że prawie poczułem jego smak. Mogłem ją złapać, gdybym tego chciał. Jednak dzisiejszego wieczoru nie mam zamiaru jej porywać.

Gdybym to zrobił tuż po tym, jak wyszła z mojego klubu, to bardzo łatwo można by wywnioskować, że to ja stoję za jej zniknięciem.

Mam zamiar porwać ją tak, by przepadła dla wszystkich jak kamień w wodzie. Sprawię, że na powierzchni wody nie pojawi się ani jeden krąg, który mógłby wskazać, gdzie zniknęła.

Czekam, żeby zobaczyć, czy wyjdzie na dwór i wsiądzie do samochodu, lecz Nessa postanawia zostać w szkole. Chwilę później na drugim piętrze zapala się światło i widzę, jak wchodzi do niewielkiej sali treningowej.

Mam stąd dobre miejsce do prowadzenia obserwacji. Dziewczyna nie zdaje sobie z tego sprawy, ale oświetlone pomieszczenie jest jak zawieszony nad ulicą neon. Widzę każdy szczegół, zupełnie jakbym trzymał na rękach miniaturową dioramę⁹.

Patrzę, jak Nessa zdejmuje sweter oraz jeansy i zostaje wyłącznie w obcisłym body, które miała pod spodem. Jest bladoróżowe i tak przeźroczyste oraz ciasne, że widzę zarys jej piersi oraz żeber, pępek i krągłości jej tyłka, gdy się odwraca.

Nie wiedziałem, że jest tancerką. Powinienem był się tego domyślić – ona i jej przyjaciółki wyglądały właśnie na osoby, które zajmują się tańcem. Nessa jest szczupłą, a według mnie zbyt szczupłą, kobietą o długich nogach i ramionach. Jest również trochę

umięśniona – widzę mięśnie poruszające się na jej krągłych łydkach, ramionach oraz plecach. Szyję ma długą i smukłą niczym łodyga jakiegoś kwiatu.

Zsuwa gumkę z włosów, pozwalając, aby opadły swobodnie na ramiona. Następnie splata je w kok na samym czubku głowy. Nie zawraca sobie głowy zakładaniem butów, na bosaka zajmuje miejsce przy drewnianym drążku biegnącym równolegle do podłogi. Staje przodem do lustra na ścianie, a tyłem do mnie. Teraz widzę ją podwójnie – prawdziwą Nessę oraz jej odbicie.

Przyglądam się, jak się pochyla i rozciąga w ramach rozgrzewki. Jest bardzo gibka. Zdaje się, że jej stawy są z gumy.

Chciałbym usłyszeć muzykę, której słucha.

Ciekawe, czy w sali rozbrzmiewają dźwięki czegoś klasycznego, czy raczej współczesnego? Ciekawe, czy to coś szybkiego, czy wolnego?

Po rozgrzewce zaczyna wirować po parkiecie. Nie wiem, jak nazywają się poszczególne ruchy taneczne, no może wyjątkiem jest piruet. Nie mam zielonego pojęcia, czy jest w tym dobra.

Wiem tylko, że to, co robi, jest piękne. Wygląda na tak lekką, że zdaje się znajdować w stanie nieważkości. Jest niczym liść na wietrze.

Patrzę na nią z podziwem, niczym myśliwy obserwujący wchodzącą na polanę łanię. Nessa jest tą łanią. Jest śliczna. Niewinna. Dokładnie tam, gdzie powinna być – w swoim naturalnym środowisku.

Poślę swą strzałę prosto w jej serce.

Jako myśliwy mam takie prawo.

Przez godzinę przyglądam się, jak tańczy niestrudzenie.

Kiedy zbieram się z powrotem do klubu, ona wciąż tańczy.

Może zostanie w szkole przez całą noc?

Tak czy siak dowiem się tego, bo w torebce wciąż ma mój nadajnik.

Przez cały tydzień śledzę Nessę Griffin. Czasami gdzieś jeździ, czasami idzie. Czasami siedzi przy stoliku w tej samej restauracji.

Nigdy mnie nie zauważa. I mam wrażenie, że od pierwszej nocy nie domyślała się, że ktoś ją śledzi.

Widzę, gdzie się uczy i gdzie robi zakupy.

Widzę, gdzie mieszka, chociaż już wcześniej wiedziałem o posiadłości Griffinów położonej nad jeziorem.

Kilkukrotnie widzę nawet, jak odwiedza swoją szwagierkę. Dobrze wiedzieć, że są blisko. Chcę ukarać Griffinów oraz Gallo. Chcę ich ze sobą skłócić. To nie zadziała, dopóki wszyscy nie odczują straty Nussy Griffin.

Po tygodniu jestem niemal pewny, że Nessa będzie idealnie nadawać się do moich celów.

Nadeszła pora, bym zaczął działać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

NESSA

Tęsknię za bratem, ale cieszę się, że jest szczęśliwy z Aidą. Zdaję sobie sprawę, że po prostu nadeszła pora, aby w końcu zamieszkał na swoim. Jednak teraz w naszym domu daje się odczuć gorszą atmosferę, kiedy nie siada już z nami przy stole.

Przed wszystkim trzymał w ryzach Rionę.

Schodzę na dół, by coś zjeść. Zauważam, że siostra siedzi tam otoczona przez rozrzucone teczki i papiery. Ledwo znajduję miejsce na stole, by móc postawić talerz.

– Nad czym pracujesz? – pytam i nabijam na widelec kawałek chrupiącego bekonu, po czym odgryzam kęs.

Zatrudniamy szefa kuchni, który sprawia, że każdy posiłek wygląda jak z reklamy telewizyjnej, w której jest sok pomarańczowy, mleko, owoce, tosty, naleśniki, bekon i kiełbaski, a wszystko jest tak idealnie ułożone jakby normalni ludzie jedli aż tyle podczas jednego posiłku.

Jesteśmy rozpieszczani i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Nie zamierzam jednak z tego powodu narzekać. Lubię, jak ktoś przygotowuje mi posiłki. Uwielbiam też mieszkać w dużym, jasnym, nowoczesnym domu, który otaczają rozległe zielone tereny z doskonałym widokiem na jezioro.

Jedyne, co mi się nie podoba, to fakt, że moja siostra jest bardzo zrzędliva z samego rana.

Jest już ubrana w strój do pracy, a swoje rude włosy upięła w gładki jak szklana tafla kok. Przed nią stoi kubek czarnej kawy. Ślęczy nad jakąś sprawą, sporządzając notatki kolorowymi długopisami. Kiedy się do niej odzywam, odkłada czerwony cienkopis i patrzy na mnie z irytacją.

- Coś chciałaś? – pyta cierpko.
- Pytałam, nad czym pracujesz.
- Przerwałaś mi, więc teraz już nad niczym – odpowiada.
- Przepraszam. – Krzywię się. – Ale o co tu chodzi?

Riona wzdycha i długo mi się przygląda. Czuję, że chce mi swoim spojrzeniem dać wyraźnie do zrozumienia, że jej zdaniem i tak nie pojmę tego, co mi powie. Ja, w odpowiedzi, próbuję wyglądać niezwykle inteligentnie.

Gdyby moja siostra kiedykolwiek się uśmiechała, byłaby piękną kobietą. Ma cerę jak alabaster, cudownie zielone oczy i usta równie czerwone jak włosy. Niestety ma charakter pitbulla. I to niemiłego pitbulla – takiego, którego szkolono, aby przy każdym spotkaniu rzucał się innym do gardła.

- Wiesz, że jesteśmy właścicielami firmy inwestycyjnej? – pyta.
- Tak.

Nie.

– Jednym ze sposobów używanych do przewidywania trendów w spółkach notowanych na giełdzie jest wykorzystanie danych geolokalizacyjnych pobieranych z aplikacji na smartfony. Hurtowo skupujemy takie dane, a następnie, używając odpowiednich algorytmów, analizujemy je. Lecz zgodnie z nowymi przepisami o prywatności i bezpieczeństwie, niektóre dane, które kupiliśmy w przeszłości, są obecnie kontrolowane. Jestem odpowiedzialna za współpracę z SEC¹⁰, aby sprawdzić czy...

Urywa, widząc malujący się na mojej twarzy totalny brak zrozumienia.

- Nieważne – oznajmia, podnosząc długopis.
- Nie, to brzmi naprawdę... To znaczy, to bardzo ważne, więc dobrze, że jesteś...

Jąkam się jak jakaś kretynka.

– W porządku – przerywa mi Riona. – Nie musisz tego rozumieć. To moja praca, nie twoja.

Nie mówi tego na głos, ale niewypowiedzianym dopowiedzeniem jest to, że nie pracuję w imperium Griffinów.

- Miło się z tobą gadało – oznajmiam.

Riona nie odpowiada. Znowu siedzi totalnie pochłonięta pracą. Biorę sobie jeden plasterek bekonu na drogę.

Kiedy zabieram plecak, do kuchni wchodzi mama. Jej blond włosy uczesane są w boba tak nieskazitelnego, że wygląda niemal na perukę. Oczywiście dobrze wiem, że to jej włosy. Ma na sobie garnitur od Chanel, a na palcu diamentowy pierścionek po babci. Na jej nadgarstku spoczywa zegarek Patek Philippe, który dostała od ojca na ostatnie urodziny. To wszystko oznacza, że najprawdopodobniej wybiera się na jakieś spotkanie zarządu fundacji lub towarzyszy tacie podczas jakiegoś biznesowego lunchu.

Tuż za nią idzie ojciec. Ubrany jest w idealnie skrojony trzyczęściowy garnitur, a dzięki okularom w rogowej oprawie wygląda jak jakiś profesor. Włosy, mimo siwizny, wciąż ma gęste i kręcone. Jest przystojnym i schludnie wyglądającym mężczyzną. Moi rodzice wzięli ślub w dość młodym wieku, a poza tym nie wyglądają na swoje lata. Mama na pięćdziesiąte urodziny dostała ten zegarek.

Teraz, uważając, żeby nie rozmazać sobie szminki, całuje powietrze tuż przy moim policzku.

– Idziesz na zajęcia? – pyta.

– Tak. Najpierw jest statystyka, a potem literatura rosyjska.

– Nie zapomnij, że wieczorem idziemy na kolację z Fosterami.

Udaje mi się zdusić w sobie jęk. Fosterowie mają bliźniaczki w moim wieku i obie są tak samo okropne.

– Muszę iść? – pytam.

– Oczywiście – oznajmia ojciec. – Chcesz się zobaczyć z Emmą i Olivią, prawda?

– Tak.

Nie.

– W takim razie bądź w domu przed osiemnastą – informuje mama.

Człapię do samochodu, próbując wymyślić, co radosnego mogłoby mnie dziś spotkać. Statystyka? Nie. Kolacja? Zdecydowanie nie. Uch, tęsknię za jazdą do szkoły w towarzystwie Aidy. Ona skończyła edukację latem, mi z kolei zostały jeszcze trzy lata. Nawet nie wiem, na czym się skupić. Chodzę na zajęcia z przedsiębiorczości, a także

psychologii. Wszystko jest całkiem interesujące, lecz żadna z tych rzeczy nie rozpala żaru w moim sercu.

Prawda jest taka, że chcę robić coś związanego ze sztuką. Bardzo, bardzo, bardzo podobało mi się układanie tych tańców. Myślałam, że są dobre! A Jackson zgarnął wszystkie moje nadzieje i zgiął je jak jakąś starą gazetę.

Może ma rację? Jak mogę tworzyć wspaniałe dzieła sztuki, skoro w życiu niczego nie doświadczyłam? Całe życie chronią mnie i niańczą, a sztuka pochodzi z cierpienia – albo przynajmniej z jakiś niezwykle przeżyć. Jack London udał się do Klondike i stracił wszystkie przednie zęby z powodu szkorbutu, po czym napisał *Zew Krwi*.

Ja, zamiast do Klondike, jadę do Loyoli, na uroczy kampus z czerwonej cegły, który położony jest tuż nad wodą. Parkuję jeepa i idę na zajęcia. Siedzę na statystyce, która jest mniej więcej równie interesująca co prawnicza praca Riony. Kolejna jest literatura rosyjska. Te zajęcia będą dla mnie mniej męczące, bo omawiamy *Doktora Żywago*. Oglądałyśmy z mamą ten film z dziewięć razy i obie podkochiwałyśmy się w Omarze Sharifie.

Dzięki temu mogę śledzić akcję powieści lepiej niż w przypadku *Ojców i dzieci*. Może nawet dostanę piątkę? Byłaby to moja pierwsza piątka w tym semestrze.

Po przerwie na lunch udaje mi się przeżyć jeszcze jedno zajęcia – psychologię behawioralną. Potem jestem już wolna. Przynajmniej do kolacji.

Wracam do jeepa i opuszczam kampus, zastanawiając się, czy zdążę zakraść się na szybkie zajęcia kondycyjne w Lake City Ballet, zanim będę musiała wrócić do domu i wziąć prysznic. Wolałabym się spóźnić. Zrobiłabym cokolwiek, żeby móc nieco skrócić kolację z Fosterami...

Chwilę po wyjechaniu na główną drogę czuję, że kierownica zaczyna mi drżeć i się trząść. Silnik okropnie zgrzyta, a spod maski bucha kłęb dymu.

Czym prędzej parkuję na poboczu.

Wyłączam silnik z nadzieją, że wóz nie stanie w płomieniach. Mam go dopiero od trzech lat, a kiedy go dostałam był zupełnie nowy.

Wcześniej nie miał nawet pękniętej opony.

Szukam telefonu, myśląc o tym, by zadzwonić do brata czy któregoś z pracowników domu lub do AAA¹¹.

Zanim udaje mi się wybrać którykolwiek numer, zatrzymuje się za mną czarny Land Rover. Zza kierownicy wysiada jakiś mężczyzna. Ma czarne włosy, zarost na twarzy i szerokie ramiona. Wygląda groźnie, lecz gdy się odzywa, słyszę, że ma przyjazny głos:

– Problem z silnikiem?

– Nie wiem – odpowiadam. Otwieram drzwi i również wysiadam. – Nie mam zielonego pojęcia o samochodach. Właśnie miałam po kogoś zadzwonić.

– Pozwól, że rzucę okiem – mówi. – Jeśli to nic skomplikowanego, to być może oszczędzę ci holowania.

Chcę mu powiedzieć, żeby nie zawracał sobie głowy. Dym i wydobywający się spod maski zapach są tak nieprzyjemne, że nie wyobrażam sobie, abym mogła stąd odjechać. Nie ma sensu, by na darmo brudził sobie ręce olejem. Mężczyzna tymczasem już otwiera maskę. Jest ostrożny, bo nie chce poparzyć sobie palców rozgrzanym silnikiem.

Odchyła się do tyłu, żeby kłęb dymu nie buchnął mu prosto w twarz. A potem, gdy wiatr rozwiewa dym, przygląda się silnikowi.

– Ach, w tym tkwi problem – mówi. – Silnik się zagrzał. Spójrz tutaj.

Nie mam pojęcia, na co patrzeć, ale posłusznie podchodzę i zaglądam do środka zupełnie jakbym nagle zrozumiała, czym zajmują się mechanicy samochodowi.

– Widzisz? – Wyciąga bagnet, aby mi go pokazać. To przynajmniej rozumiem, bo widziałam jak Jack Du Pont wymieniał olej we wszystkich samochodach stojących w naszym garażu.

– Jak mógł jechać bez oleju? – pytam.

Jack wykonuje wszystkie prace konserwacyjne.

Czy olej się zużywa, jak się za dużo jeździ?

– Ktoś musiał go spuścić – mówi mężczyzna. – Wszystko jest suche jak wiór.

– To jakiś żart? – pytam zdziwiona.

– Bardziej podstęp – odpowiada mężczyzna.

Dziwaczna odpowiedź.

Zdaję sobie sprawę, że jestem teraz całkiem blisko nieznajomego, który pojawił się akurat w chwili, gdy mój samochód zaczął szwankować. Zupełnie jakby jechał tuż za mną, czekając, aż to się stanie...

Czuję ostre ukłucie w ramię.

Spuszczam wzrok i widzę igłę wbłą w moje ciało. Tłok strzykawki jest wciśnięty aż do samego końca. Następnie patrzę nieznajomemu prosto w oczy. Są tak ciemne, że trudno dostrzec różnicę między źrenicą a tęczówką. Patrzy na mnie z oczekiwaniem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Słyszę swoje słowa.

Dźwięk przejeżdżających samochodów spowalnia i robi się mętny. Oczy mężczyzny przypominają ciemne smugi pośrodku brzoskwiniowej plamy. Czuję się tak, jakby wszystkie kości w moim ciele zaczęły się rozpuszczać. Robię się wiotka jak trzcina i przewracam się na bok. Gdyby nieznajomy mnie mocno nie obejmował, upadłabym na ziemię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

MIKO

Pół roku temu z pomocą dyskretnego pośrednika kupiłem anonimowo jedną z największych chicagowskich rezydencji pochodzących z Wieku Pozłacanego¹². Umiejscowiona jest w północnej części miasta, wśród gęsto rosnących drzew. Gdy się tu przebywa, w ogóle nie czuje się, że jest się w Chicago. Rosnące w pobliżu drzewa są tak gęste, a kamienne mury otaczające posiadłość tak wysokie, że przez okna do środka prawie wcale nie wpada światło słoneczne. Nawet otoczony murem ogród wypełniają rośliny kochające cień.

Do rezydencji przylgnęło miano Baron's House, bo została zbudowana dla piwnego barona Karla Schulte'a. Charakteryzuje ją niemiecki barokowy styl. Mury wzniesiono z szarego kamienia, na który przez lata oddziaływały zmienne warunki pogodowe. Cały budynek zdobią czarne, żelazne balustrady i płaskorzeźby przedstawiające zwoje oraz medaliony, a także dwóch mężczyzn, którzy na swych ramionach podtrzymują portyk¹³.

Kupiłem go z myślą, że będzie moim schronieniem. Miejscem, do którego będę mógł się oddalić, gdy będę miał ochotę być sam.

Teraz zdaję sobie sprawę, że ten specyficzny budynek idealnie nadaje się na więzienie.

Po przejściu przez żelazną bramę równie dobrze można rozpuścić się w powietrzu.

Sprawię, że Nessa Griffin zniknie. Gdy tylko Jonasz ją tu do mnie sprowadzi, nikt więcej nie zobaczy jej twarzy. Nie przypałała się tu żaden szpieg ani żaden świadek. Jej rodzina może cegła po cegle zburzyć całe miasto, a i tak nie natrafią na jej ślad.

Wyobrażanie sobie ich paniki sprawia, że uśmiecham się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Griffinowie i Gallo mają tak wielu wrogów, że nie będą wiedzieli, kto ją porwał. Braterstwo jest ich największym rywalem, ale to, co do tego doprowadziło, jest świeżą sprawą, a oni są na tyle aroganccy, by myśleć, że zniszczyli nas całkowicie, zabijając Tymona. Kurwa, są tak krótkowzroczni, że wątpię, aby w ogóle znali moje imię.

I to mi się podoba. Jestem wirusem, który zaatakuje ich niepostrzeżenie. Dopóki nie zaczną kaszleć krwią, nie będą wiedzieli, że coś się stało.

Słyszę zatrzymujący się na podwórku samochód i nagle czuję wzmożoną niecierpliwość. W sumie to nie mogę się już doczekać spotkania z Nessą.

Moje kroki łomoczą po kamiennej posadzce w holu, gdy pośpiesznie idę w stronę drzwi. Schodzę po schodach i stoję przed autem, zanim Jonasz zdąży w ogóle z niego wysiąść.

Wstaje ociężale z przedniego siedzenia. Wygląda na zadowolonego z siebie.

– Wszystko przebiegło perfekcyjnie – oznajmia. – Kazałem Jędrzejowi zabrać jeepa do dziupli. Najpierw popsuł GPS, więc nikt nie będzie w stanie go wyśledzić. Trafiają jedynie do miejsca, w którym się zepsuł. Kazałem mu wszystko zdemontować, a potem zgnieść. Nie znajdą nawet reflektora.

– Masz jej torebkę? – pytam.

– Jest tutaj.

Zabiera ją z siedzenia pasażera i podaje mi. Jest skórzana i niewymyślna. Ta samą, którą miała przy sobie w klubie. Na szczęście to jedyna torebka, jakiej używa, bo dzięki temu byłem w stanie ją śledzić przez cały tydzień. Gdyby była typową rozpieszczoną arystokratką mającą tuzin markowych torebek, stanowiłoby to dla mnie pewną niedogodność. Ale na pewno by mnie to nie powstrzymało.

– Wyrzuciłem jej telefon do śmietnika w Norwood – oznajmia Jonasz.

– Dobrze. Zabierzmy ją na górę.

Jonasz otwiera tylne drzwi. Nessa Griffin leży na kanapie. Jej ręka zwisa bezwładnie, a oczy drżą pod zamkniętymi powiekami. Śni o czymś.

Mój towarzysz łapie ją za nogi, a ja biorę dziewczynę pod ramiona i zanosimy ją do domu. Jej ciało zwisa bezwładnie między nami. Po chwili mówię:

– Ja to zrobię. – Pewnym ruchem biorę ją na rękę.

Nie jest wcale ciężka, z łatwością wnoszę ją po schodach. To, jak bardzo jest delikatna, jest w sumie niepokojące. Jest za chuda. Jej ptasie obojczyki są wyraźnie widoczne pod bladą skórą. Ten trupi kolor to pewnie zasługa podanej przez Jonasza dawki narkotyków.

Będzie miała dla siebie całe wschodnie skrzydło. Jonasz mieszka na parterze, podobnie jak Jędrzej i Marcel. Ja zajmuję zachodnią część domu.

Jedyną osobą przychodzącą do mojej bezpiecznej przystani jest nasza gospodyni, Klara Hetman. Nie mam żadnych wątpliwości, jeśli chodzi o jej dyskrecję. To, pochodząca z Bolesławca, kuzynka Jonasza. Jeśli nawet umiałyby mówić po angielsku, to wie, że lepiej nie narażać się na mój gniew. Jedno moje skinienie wystarczy, by mógłbym odesłać ją z powrotem do tej polskiej dziury albo sprawić, że wylądowałyby sześć stóp pod ziemią.

Wnoszę Nessę do jej nowego pokoju. Gdy kupowałem ten dom był w pełni umeblowany. Łóżko w tym pomieszczeniu jest zrobione z ciemnego drewna i ma przykurzony, szkarłatny baldachim. Kładę na nim swoją więźniarkę, układając jej głowę na poduszce.

Jonasz szedł za mną i stoi teraz w progu. Jego wzrok omiata bezwładnie leżące ciało bezbronnej Nessy. Na jego twarzy maluje się lubieżny uśmiech.

– Pomóc ci z rozbieraniem?

– Nie – warczę w odpowiedzi. – Możesz iść.

– Dobra. – Odwraca się i wychodzi na korytarz.

Czekam, aż pójdzie, a potem ponownie patrzę na bladą Nessę. Ma ściągnięte brwi, przez co jej wyraz twarzy, nawet przy zamkniętych oczach, wydaje mi się żałosny. Jej brwi są ciemniejsze od włosów. Wyglądają, jakby ktoś narysował je sadzą.

Zdejmuję jej tenisówki i rzucam na podłogę obok łóżka. Pod nimi ma krótkie skarpetki, które zakrywają tylko połowę stopy, tak żeby nie wystawały znad butów. Ściągam je, odkrywając szczupłe, małe stopy. Są poobijane i zmasakrowane. Widzę siniaki, odciski, zgrubienia i plastry na kilku palcach. Mimo wszystko pomalowała sobie paznokcie na różowo, a ta bezcelowa próba ich upiększenia niemal mnie rozśmiesza.

Ciągle ma na sobie jeansy i rozpinaną bluzę z kapturem.

Narkotyki, które podał jej Jonasz, sprawiają, że będzie nieprzytomna jeszcze przez wiele godzin. Mógłbym ją rozebrać do naga, jeślibym tego chciał. To mogłoby być zabawne, bo obudziłaby się w takim stanie, nie mając pojęcia, co się z nią stało.

Moje palce zatrzymują się tuż nad jej mostkiem, muskając suwak bluzy.

Zabieram w końcu rękę, która teraz zwisa swobodnie z boku.

Już i tak będzie wystarczająco przerażona. Nie ma potrzeby wpędzać ją w histerię.

Zamiast cokolwiek robić z jej ciałem – przykrywam ją kocem.

W pokoju zaczyna się już robić ciemno. Szyby w oknach są ze szkła ołowiowego, prawie niemożliwego do zbiccia. A gdyby nawet mogła je otworzyć, jej sypialnia znajduje się na drugim piętrze i nie ma możliwości, aby stąd zejść na dół. Potem natrafiłaby na kamienny mur, kamery oraz czujniki.

Mimo wszystko stawiam na dodatkowy środek ostrożności, czyli opaskę z nadajnikiem, którą trzymałem na tę okazję przy łóżku. Zakładam ją na kostkę Nessy i zatrzaskuję. Jest odporna na uderzenia i wodę. Można ją otworzyć jedynie przy pomocy kodu, który znam wyłącznie ja. Jest smukła i lekka, a jednocześnie wytrzymała jak stalowe kajdany.

Wychodzę z pokoju i zamykam drzwi od zewnątrz.

Potem wsuwam klucz do kieszeni.

Nikt tam nie wejdzie bez mojej zgody.

ROZDZIAŁ ÓSMY

NESSA

Budzę się w obcym łóżku, a pokój otula mrok.

Pierwsze, co zwraca moją uwagę, to zapach stęchlizny. Pachnie tu starym drewnem. Suszonymi płatkami róż. Popiołem. Spleśniałymi zasłonami.

Czuję, że mam spuchniętą i ciężką głowę. Jestem tak zmęczona, że mam ochotę od razu zasnąć. Jednak natarczywy głos w mojej głowie mówi mi, że muszę wstać.

Siadam, a koc, którym byłam przykryta, zsuwa się z mojej piersi. Ten prosty ruch sprawia, że zaczyna kręcić mi się w głowie. Pochylam się, przyciskając dłonie do skroni i próbując się w ten sposób uspokoić.

Gdy mój wzrok nabiera ostrości, mrugając rozglądam się dookoła, próbując ocenić kształt pomieszczenia.

Mimo, że okna są odsłonięte, wpadające tu światło księżyca ledwo wystarcza, abym mogła cokolwiek zobaczyć. Siedzę na łóżku z baldachimem, w pomieszczeniu, które wygląda jak ogromna sypialnia. Pod ścianami stoją masywne meble. Szafa, toaletka i coś, co przypomina sekretarzyk są wielkości niemalże dorosłego słonia. Poza meblami dostrzegam ziejącą w ścianie dziurę. Jest na tyle duża, że mogłabym w niej stanąć. To chyba kominek. Wygląda jak jakaś jaskinia, w której może być dosłownie wszystko.

W mojej głowie pojawiają się krótkie przeblyski wspomnień. Są niczym wirujące wokół ogniska iskry. Drżąca w rękach kierownica... Promienie słońca, po wyjściu z samochodu... Czarnowłosa mężczyzna z życzliwą miną, lecz bez życzliwości w oczach...

Serce zaczyna mi szybciej bić. Nieznany mi mężczyzna sprowadził mnie do obcego domu.

Zostałam, kurwa, porwana!

Ta myśl dla normalnej dziewczyny byłaby obca, ale nie dla mnie. Jestem córką gangsterów. Mogę zatem pływać w skąpanym słońcu morzu, ale muszę też być świadoma obecności rekinów czających się tuż pod powierzchnią wody. Przez cały czas podskórnie wyczuwam zagrożenie – czasami w podsłuchanych rozmowach, które się toczą się w gabinecie ojca, a czasami w pełnych napięcia twarzach moich rodziców.

Przez to wydaje mi się, że chyba zawsze wiedziałam, że może mi się przytrafić coś szalonego. Nigdy nie czułam się zupełnie bezpieczna, bez względu na to, jak bardzo zdawałam się być ochraniana.

Teoria i rzeczywistość to dwie różne rzeczy. Nie tkwię już w objęciach rodziców. Jestem w domu wroga. Nie wiem, kim on jest, lecz wiem, jaki jest. Ci ludzie są brutalni i skłonni do przemocy. Nie znają litości. Cokolwiek mi zrobią, będzie to paskudne.

Dlatego muszę się stąd wydostać.

I to szybko.

Wyślizguję się spod kołdry z zamiarem wybiegnięcia z pokoju.

Lecz gdy tylko dotykam stopami podłogi, zdaję sobie sprawę, że nie mam butów ani skarpetek. Ktoś mi je zdjął.

To nie ma znaczenia. Jeśli podłogi nie pokrywa potłuczone szkło, mogę uciekać boso.

Kolana uginają się pode mną, gdy próbuję zrobić pierwszy krok, przez co padam na twarz. Zdołałam podeprzeć się jednak przy upadku rękami. Moja głowa jest jak balon ledwo umocowany do ramion. Skręca mnie w żołądku, czuję mdłości.

Wymiociny podchodzą mi do gardła. Muszę je przełknąć, choć oczy palą mnie od łez. Nie mam czasu na żadne słabości – ani na rzyganie, ani na płacz. Po prostu muszę stąd uciec.

Pełznę w stronę drzwi. Mam wrażenie, że pokonuję całą długość boiska piłkarskiego. Czołgam się po staroświeckim dywanie, a potem po surowym drewnie, z którego wykonany jest parkiet.

W końcu udaje mi się dotrzeć do drzwi. Dopiero w tej chwili do głowy przychodzi mi myśl, że są pewnie zamknięte na klucz. Ku mojemu zdziwieniu gałka jednak się obraca.

Używając jej, udaje mi się dźwignąć na nogi. Daję sobie chwilę, aby pokój przestał wirować. Oddycham powoli i głęboko. Tym razem moje kolana pozostają nieruchome i mogę chodzić. Wymykam się na długi, ciemny korytarz.

W domu panuje kompletna cisza. Nie świecą się tu żadne światła, nic też nie wskazuje na to, że są tu inni ludzie. To miejsce jest stare i przerażające, przez co łatwo sobie wyobrazić, że w każdej chwili ze ściany może wyskoczyć duch. Czuję się tak, jakbym występowała w jakimś horrorze, a dokładnie w tej części, kiedy to samotna dziewczyna chodzi jak idiotka po miejscu, w którym na pewno spotka ją coś złego i widzę, wiedząc o tym, zasłania oczy.

Przecież nie mogę tu być sama.

Nie jestem tak głupia, żeby wierzyć, że ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby mnie porwać, tylko po to, żeby zostawić mnie tu bez żadnego nadzoru. Porywacze mogą czaić się wszędzie. Być może oglądają mnie teraz przy pomocy monitoringu.

Nie rozumiem, na czym polega ta gra ani czego oni ode mnie chcą.

A może mój porywacz jest jak kot, który bawi się swoim jedzeniem, zanim je zje?

To bez znaczenia. Oprócz ucieczki zostaje mi tylko bierne czekanie na rozwój wydarzeń w pokoju. A tego nie mam zamiaru robić.

Dlatego idę dalej korytarzem, szukając drogi ucieczki.

Przechodzenie obok tak wielu pustych drzwi jest denerwujące.

To miejsce wydaje mi się ogromne – a przynajmniej zdecydowanie większe niż dom moich rodziców. Nie jest jednak w dobrym stanie. Na korytarzu leży wytarty dywan, który ma liczne wybrzuszenia. Muszę szurać nogami, żeby się o niego nie potknąć. Szyby w oknach są ciemne od kurzu, a obrazy wiszące na ścianach przekrzywione. Po ciemku trudno zobaczyć, co przedstawiają. Wydaje mi się, że na niektórych namalowane są sceny wyjęte prosto z mitologii greckiej. Na pewno widzę szeroki olejny obraz przedstawiający kręty labirynt z czającym się w jego sercu Minotaurem.

W końcu dochodzę do szerokich, krętych schodów prowadzących niżej. Zerkam w dół, lecz i tam nie widzę żadnego światła. Boże, chodzenie w ciemności po obcym miejscu jest dezorientujące. Tracę także poczucie czasu, a moja percepcja wyraźnie zaczyna odbiegać

od normy. Każdy dźwięk wydaje się głośniejszy, co tylko bardziej mnie dezorientuje. Słyszę skrzypienie i jęki. Nie mam pojęcia, czy wydaje je jakiś człowiek, czy dom.

Zbiegam na dół, przesuwając opuszkami palców po poręczy. Z każdą minutą mój umysł coraz bardziej się oczyszcza. Moja ucieczka wydaje się mało prawdopodobna, ale może jest możliwa? Może podali mi za małą dawkę tego pieprzonego narkotyku? Może liczyli, że będę spała przez całą noc? A może po prostu są nieudolni? Mogli przecież mnie porwać amatorzy lub szaleńcy, którzy działają bez zastanowienia i dobrego planu.

Muszę uporczywie trwać przy swoim optymizmie. W przeciwnym wypadku zawładnie mną strach.

Po zejściu na dół próbuję znaleźć drzwi na zewnątrz, jednak gubię się w labiryncie pomieszczeń. Dawniej architekci nie przejmowali się chyba czymś takim jak otwarte przestrzenie. Błąkam się po bibliotekach, salonach, salach bilardowych i kto wie, gdzie jeszcze. Kilkakrotnie wpadam na jakiś stolik lub uderzam o kanapę i prawie przewracam lampę, którą udaje mi się złapać, zanim uderzy o ziemię.

Z każdą minutą mam coraz bardziej zszargane nerwy.

Co to, do diabła, za miejsce? Dlaczego tu jestem?

W końcu widzę chłodne blade światło, które widziałam przez okno. Blask księżyca lub gwiazd. Biegnę w tamtą stronę przez dużą szklaną oranżerię wypełnioną tropikalnymi roślinami. Z sufitu zwisają gęste liście. Doniczki są tak ciasno ustawione, że muszę przedzierać się przez zieloną gęstwinę. Czuję, że już prawie jestem na zewnątrz.

Jestem niemalże przy tylnych drzwiach, gdy słyszę czyjś głos:

– W końcu się obudziłaś.

Staję jak wryta.

Widzę przed sobą szklane drzwi. Jeśli zacznę biec, to prawdopodobnie dobiegnę do nich przed osobą, która przed chwilą się do mnie odezwała.

Zdaję sobie jednak sprawę, że znajduję się na tyłach domu. Mogłabym wybiec jedynie na podwórko – o ile drzwi w ogóle są otwarte.

Biorąc pod uwagę to wszystko, powoli odwracam się, by stanąć twarzą w twarz ze swoim porywaczem.

Jestem tak oszołomiona i przerażona, że spodziewałam się zobaczyć kogoś z kłami i pazurami. Prawdziwego potwora.

Tymczasem widzę siedzącego na ławce mężczyznę. Jest szczupły, blady i ubrany w luźne ciuchy. Włosy ma tak jasne, że niemal białe. Są długie i zaczesane do tyłu. W tym świetle jeszcze bardziej widać ostre rysy twarzy mężczyzny – wysokie kości policzkowe, ogoloną szczękę oraz cienie pod oczami. Ma na sobie czarny podkoszulek, a jego obie ręce pokrywają rękawy tatuaży, ciągnące się od grzbietów dłoni, aż po szyję. Oczy tego mężczyzny wyglądają jak dwa odłamki potłuczonego szkła.

Natychmiast go poznaję.

To ten facet z klubu nocnego. Ten, który mi się przyglądał.

– Kim jesteś? – pytam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– A jak myślisz? Kim? – odpowiada.

– Nie mam pojęcia – oznajmiam.

Wzdycha i podnosi się z ławki. Odruchowo robię krok w tył.

To wysoki mężczyzna. Wyższy, niż się spodziewałam. Może i jest szczupły, lecz jego ramiona są szerokie. Porusza się z łatwością, którą dobrze znam. Ten człowiek panuje nad swoim ciałem. Jest kimś, kto decyduje podejmuje szybko i bez zastanowienia.

– Rozczarowałaś mnie, Nesso – oznajmia. Mówi niskim głosem, starannie wymawiając każde słowo. Słyszę, że mówi z obcym akcentem, którego nie jestem w stanie rozpoznać.

– Wiedziałem, że trzymali cię pod kloszem, ale nie przypuszczałem, że jesteś głupia.

Jego zniewaga jest jak smagnięcie biczem. Może chodzi o jego minę, może o wykrzywione w obrzydzeniu usta. A może po prostu o to, że jestem już mocno przerażona.

Zwykle nie bywam porywczą. W sumie to mam pewne zadatki na bycie popychadłem.

Mój mózg postanawia, że nadszedł czas, aby w końcu pokazać charakterek. Akurat teraz, gdy mogę przez to zginąć.

– No wybacz – odpowiadam gniewnie. – Nie spełniam twoich oczekiwań jako zakładniczka? To proszę, oświeć mnie i powiedz, jak

bardzo byłbyś spostrzegawczy, gdyby ktoś cię odurzył i wrzucił do jakiegoś przerażającego, nawiedzonego dworu?

Natychmiast po wypowiedzeniu tych słów, żałuję swojego chwilowego przypływu odwagi. Mężczyzna robi kolejny krok w moją stronę. Jego oczy są zimne i bezlitosne, a mięśnie ramion ma napięte ze złości.

– Cóż – syczy cicho. – Prawdopodobnie byłbym wystarczająco mądry, aby nie drażnić swojego porywacza.

Czuję, że nogi mi się trzęsą. Robię krok w tył, przez co moje plecy stykają się z chłodnym szkłem drzwi. Na ślepo próbuję wymacać klamkę.

– No dalej, Nesso – mówi. Wbija we mnie wzrok, podchodząc coraz bliżej. – Nie możesz być zupełnie nieświadoma tego, co się dzieje w twojej rodzinie.

Zna moje imię. Wysłał czarnowłosego mężczyznę, żeby mnie porwał – co oznacza, że tamten jest jego żołnierzem. Mówi z delikatnym akcentem, subtelnym i niezwykłym. To nie francuski ani niemiecki, być może to akcent bardziej ze wschodniej części Europy. Zresztą wygląda, jakby pochodził z tych rejonów – ma wysokie kości policzkowe, jasną skórę oraz włosy.

Rosjanin? Nie...

Cztery miesiące temu moja rodzina miała zatarg z pewnym polskim gangsterem. Mówili na niego Rzeźnik. Oczywiście nikt mi o niczym nie powiedział. Po prostu jakiś czas później Aida rzuciła o tym mimochodem. Jej najstarszy brat go zabił. Tak to się skończyło.

A przynajmniej tak mi się wydawało.

– Pracujesz dla Rzeźnika – mówię piskliwym głosem.

Mężczyzna stoi przede mną. Góruje nade mną. Niemal czuję bijące od niego ciepło i te fale wstrętu, które wylewają się z niego, gdy patrzy na mnie z wściekłością.

Ten człowiek mnie nienawidzi. Nigdy nikt mnie tak nie nienawidził jak on. Myślę, że z radością obdzierałby mnie ze skóry aż do gołych kości, używając do tego wyłącznie własnych paznokci.

– Nazywał się Tymon Zając – cedzi każde słowo. – Był moim ojcem, a wy go zabiliście.

Chyba chciał powiedzieć, że to moja rodzina go zabiła.

Bardzo żałuję, że w naszym świecie grzechy przechodzą na wszystkich, którzy są połączeni więzami krwi.

W końcu udaje mi się odnaleźć klamkę. Próbuję ją przekręcić za plecami. Ale trwa nieruchomo, zupełnie jakby była bryłą litego metalu.

Jestem tu zamknięta z tą bestią.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

MIKO

Dziewczyna jest przerażona tak bardzo, że aż dzwoni zębami. Rzuca się dziko na klamkę od drzwi, które ma za plecami. Odnajduje ją i próbuje przekręcić, aby uciec do znajdującego się na tyłach rezydencji ogrodu. Tylko że drzwi są zamknięte. Nie ma dokąd iść, chyba że chce przebić się przez lite szkło.

Widzę, że pod cienką, delikatną skórą szyi dudni szalejący puls. W jej oddechu niemal czuję zapach adrenaliny. Jej strach jest niczym sól w jedzeniu – dodaje tej chwili smaku.

Oczekuję, że będzie płakała. Ta dziewczyna najwidoczniej nie ma jaj. Jest słaba i dziecinna. To zepsuta księżniczka amerykańskich elit. Będzie błagała mnie, żebym nie zrobił jej krzywdy. A ja będę przechowywać w pamięci każdą jedną z jej prośb, aby móc je potem przekazać jej rodzinie, gdy będę ich zabijać.

Ona tymczasem nabiera powietrza w płuca i prostuje ramiona. Na chwilę zamyka oczy, a jej usta delikatnie się rozchylają, gdy wydaje z siebie długie westchnienie. Potem podnosi powieki, ukazując swoje duże zielone oczy. Teraz patrzy mi prosto w twarz. W jej spojrzeniu widzę strach, ale też stanowczość.

– Nie zabiłam twojego ojca – oznajmia. – Ale wiem, jak myślą tobie podobni. Was się nie da do niczego przekonać. Nie będę się więc kulić i błagać – prawdopodobnie by ci się to podobało. Rób to, co masz do zrobienia.

Unosi brodę, a jej policzki pokrywa rumieniec.

Myśli, że jest dzielna.

Myśli, że może być silna, gdybym chciał ją torturować, łamiąc każdą jej kość, jedna po drugiej.

Zmuszałem dorosłych mężczyzn, by krzycząc wzywali swoje matki. Mogę sobie tylko wyobrazić do czego, mając wystarczająco dużo czasu, mógłbym ją zmusić.

Oczywiście, gdy tylko unoszę prawą rękę, ona wzdryga się, bojąc się dostać w twarz.

Ale nie mam zamiaru jej bić. Jeszcze nie.

W zamian kładę opuszki palców na jej miękkim, lekko obsypanym piegami różowym policzku. Muszę wykorzystać całe pokłady samokontroli, aby oprzeć się pragnieniu wbicia palców w jej ciało.

Kciukiem głaszczę jej usta. Czuję pod palcem, jak drżą.

– Gdyby to było takie proste, moja mała Balerino – oświadczam.

Jej oczy robią się szerokie, a szczupłe ciało przeszywa dreszcz. To, że tyle o niej wiem, przeraża ją. Wiem, co robi i uwielbia.

Ta dziewczyna nie ma pojęcia, jak łatwo można z niej czytać. Nigdy nie nauczyła się odgradzać murem, aby się chronić. Zdaje się być równie bezbronna co rabata tulipanów. Zamierzam wdrzeć się do jej ogrodu i wyrywać z ziemi każdy kwiat.

– Nie sprowadziłem cię tu, aby zadać ci szybką śmierć – informuję.

– Będiesz cierpieła długo i powoli. Będiesz ostrzem, którym raz po raz będę ranić twoją rodzinę. Wtedy, i tylko wtedy, gdy będą słabi, zdesperowani i nieszczęśliwi, pozwolę im zginąć. Będiesz mogła się temu przyglądać, mała Balerino. To będzie bowiem tragedia – a księżniczka łabędzi ginie dopiero w ostatnim akcie.

Łzy napływają jej do oczu i bezgłośnie spływają po policzkach. Usta drżą jej z obrzydzenia.

Patrząc na mnie, widzi potwora rodem z koszmarów.

I ma całkowitą rację.

Pracując dla Zająca, robiłem niewyobrażalne rzeczy. Szantażowałem, kradłem, biłem, torturowałem i mordowałem ludzi. Robiłem to wszystko, nie czując wyrzutów sumienia lub skruchy.

Wszelkie dobro umarło we mnie dziesięć lat temu. Ostatnia część chłopca, którym byłem, była związana z Zającem – on był jedyną rodziną, jaka mi pozostała. Teraz go nie ma, a we mnie nie ma już ani grama człowieczeństwa. Nie czuję już niczego poza pragnieniem pieniędzy, władzy i zemsty.

Nie ma tego, co dobre i złe, co słuszne i błędne. Są wyłącznie moje cele i rzeczy, które stoją mi na drodze do ich osiągnięcia.

Nessa powoli kręci głową, co sprawia, że łyzy jeszcze szybciej spływają jej po twarzy.

– Nie pomogę ci skrzywdzić ludzi, których kocham – mówi. – Bez względu na to, co mi zrobisz.

– Nie będziesz miała wyboru – oznajmiam. Kąci moich ust unoszą się w uśmiechu. – Mówiłem ci. To tragedia – twój los został już przesądzony.

Jej ciało robi się sztywne i przez chwilę widzę błysk buntu w jej szeroko otwartych oczach. Sądzę, że mogłaby zdobyć się na odwagę i spróbować mnie uderzyć.

Ale nie jest tak głupia.

– Nic nie wiadomo. Jesteś tylko złym człowiekiem, który próbuje udawać boga – mówi. Puszczą klamkę i prostuje plecy, mimo że to jeszcze bardziej nas do siebie zbliża. – Tak samo jak ja nie wiesz, jaka historia jest nam pisana – oznajmia.

Mógłbym ją w tej chwili udusić. Zgasić w ten sposób bunt tłący się w jej oczach. Dzięki temu pokazałbym jej, że ta historia na pewno nie skończy się szczęśliwie.

Ale wtedy pozbawiłbym się tej gorzkiej przyjemności, na którą czekałem przez te wszystkie miesiące.

– Jeśli tak bardzo chcesz pisać swoją historię, to może powiesz mi, kogo mam zabić jako pierwszego? Twoją matkę? Twojego ojca? A może Aidę Gallo? W końcu to jej brat zastrzelił Tymona... – Z każdym wymienionym przez mnie członkiem jej rodziny wzdryga się zupełnie tak, jakbym ją uderzył. Myślę, co zraniłoby ją najbardziej... – A może naszego nowego radnego? – pytam. – To od niego zaczął się ten konflikt – od twojego starszego brata Calluma. Miał się za zbyt dobrego, żeby z nami pracować. A teraz ma w ratuszu takie ładne biuro. Tak łatwo go tam znaleźć. Albo wystarczy po prostu pojechać do jego mieszkania przy Erie Street...

– Nie! – woła Nessa, nie mogąc się powstrzymać.

Boże, to zbyt proste. To praktycznie nie jest zabawne.

– Na chwilę obecną zasady są następujące – oznajmiam. – Jeśli spróbujesz uciec, zostaniesz ukarana. Jeżeli spróbujesz zrobić sobie

krzywdę, zostaniesz ukarana. Jeśli odmówisz wykonania któregoś z moich rozkazów... no cóż, chyba rozumiesz. A teraz przestań się mazać i wracaj do swojego pokoju.

Nessa jest blada i wygląda, jakby ją mdliło.

Buntowała się, myśląc że wyłącznie jej życie wisi na włosku. Lecz gdy wspomniałem o jej bracie i szwagierce, to wszystko stało się dla niej bardziej prawdziwe. W jednej chwili zniknął wszelki opór.

Zaczynam żałować, że wybrałem ją do tej zabawy. Nie wydaje mi się, żeby miała zamiar walczyć.

I rzeczywiście, gdy cofam się o krok, aby zrobić jej przejście, potulnie biegnie z powrotem w kierunku swojego pokoju. Nawet nie rzuca żadnej ciętej riposty, aby ocalić swą godność.

Wyciągam telefon, aby uzyskać dostęp do kamer zamontowanych w każdym kącie tego domu.

Przyglądam się, jak wchodzi po schodach, a potem puszcza się biegiem długim korytarzem do pokoju gościnnego, znajdującego się na końcu wschodniego skrzydła. Zamyka za sobą drzwi, po czym pada na stare łóżko z baldachimem i zaczyna szlochać w poduszkę.

Z powrotem siadam na ławce, aby móc przyglądać się, jak płacze. Szlocha gdzieś przez godzinę, po czym w końcu zasypia.

Przyglądając się jej, nie czuję przyjemności ani nie mam wyrzutów sumienia.

Niczego nie czuję.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

NESSA

Kolejne cztery dni spędzam zamknięta w pokoju.

To, co początkowo było dla mnie ogromną przestrzenią, bardzo szybko zaczyna wywoływać we mnie klaustrofobię.

Drzwi otwierają się wyłącznie trzy razy dziennie. Wtedy, kiedy pokojówka przynosi mi tacę z jedzeniem. Ma około trzydziestki, ciemne włosy, oczy w kształcie migdałów i przywodzące na myśl łuk Kupidyna brwi. Ubrana jest w staromodny uniform pokojówki, składający się z grubych ciemnych rajstop, długiej spódnicy oraz fartucha. Grzecznie kiwa mi głową, kiedy stawia nową tacę i zabiera poprzednią.

Próbuję do niej zagadać, ale najwyraźniej nie mówi po angielsku. Możliwe też, że otrzymała instrukcje, aby mi nie odpowiadać. Raz czy dwa patrzy na mnie ze współczuciem, gdy jestem bardzo rozczochrana i zirytowana. Mimo to nie mam żadnych złudzeń, że mi pomoże. Dlaczego miałaby się narażać dla jakiejś nieznajomej?

Spędzam dużo czasu, wyglądając przez okno, które zgodnie z tutejszą architekturą ma niemal dwa metry wysokości, jest prostokątne i zaokrąglone u góry. W szybie każdego z okien zatopiony jest stalowy drut. A poza tym żadne z nich się nie otwiera. Nawet gdyby było inaczej, to i tak jestem dwa piętra nad ziemią.

Okna osadzono w kamiennym murze o grubości około trzydziestu centymetrów. Jestem zamknięta w miejscu, które przypomina zamkową wieżę.

Cieszę się, że mam tu przynajmniej łazienkę, więc mogę się bez skrzępowania wysikać, wykąpać i umyć zęby.

Kiedy weszłam tam po raz pierwszy i zobaczyłam leżącą obok umywalki nową szczoteczkę do zębów, nic dentystyczną, szczotkę do

włosów oraz grzebień – ze strachu przeszły mnie dreszcze. Zdałam sobie sprawę, że moje porwanie zaplanowano z wyprzedzeniem. Ciągle wyobrażam sobie, jakie jeszcze plany kłębią się w obłąkanym umyśle mojego porywacza.

Wciąż nie poznałam jego imienia. Byłam tak przerażona, gdy się poznaliśmy, że nawet nie zapytałam go, jak ma na imię.

W myślach nazywam go Bestią. Bo tym właśnie dla mnie jest – wściekłym psem, który stracił swojego pana, a teraz próbuje ugryźć każdego, kto znajduje się w jego zasięgu.

Nie ruszam jedzenia z żadnej z tac.

Początkowo wynika to z tego, że z nerwów mam ściśnięty żołądek i nie mam apetytu.

Drugiego dnia jest to już forma protestu.

Nie mam zamiaru grać z Bestią w tę jego psychopatyczną grę. Nie będę jego zwierzątkiem zamkniętym w pokoju. Jeśli sądzi, że będzie mnie tu trzymać tygodniami lub miesiącami tylko po to, żeby ostatecznie mnie zabić, to wolę już teraz głodować i zniweczyć jego plany.

Piję wodę z kranu w łazience – nie mam na tyle odwagi, aby stawić czoła torturom wynikającym z odwodnienia organizmu. Jednak jestem pewna, że mogę dość długo wytrzymać bez jedzenia. Ograniczenie kalorii i balet idą ze sobą w parze. Wiem, jak to jest czuć głód i jestem przyzwyczajona, aby go ignorować.

To sprawia, że jestem zmęczona. Ale to nie szkodzi. I tak nie mam nic do roboty w tym cholernym pokoju. Nie ma tu żadnych książek. Nie ma również papieru w sekretarzyku. Jedynym sposobem na spędzenie czasu jest wyglądanie przez okno.

Nie mam tu drążka, ale wciąż mogę ćwiczyć *pliés, tendus, dégagés, rond de jambe a terre, frappés, adages, a nawet grand battement*¹⁴. Ze względu na stare dywany nie ośmielałam się ćwiczyć żadnych poważnych skoków. Nie chcę się potknąć i skreślić kostki.

Przez resztę czasu siedzę przy oknie i patrzę w dół, na otoczony murem ogród. Widzę znajdujące się tam fontanny i posągi, altany i urocze ławeczki. Wszystko jest zarośnięte – najwyraźniej Bestia nie płaci ogrodnikowi. Widzę też jednak kwitnące astry, lwie paszcze

oraz rosyjską szalwią. Fioletowe kwiaty wyglądają wspaniale na tle czerwonych liści. Im dłużej jestem zamknięta w pokoju, tym bardziej desperacko pragnę tam usiąść i wachać kwiaty oraz trawę, zamiast siedzieć uwięziona w tym ciemnym, zakurczonym pomieszczeniu.

Czwartego dnia pokojówka próbuje zachęcić mnie, abym coś zjadła. Pokazuje na tacę z kanapkami, zupą pomidorową oraz bekonem i mówi coś po polsku.

Kręcę głową.

– Nie, dziękuję – odpowiadam. – Nie jestem głodna.

Chcę ją poprosić o kilka książek, jednak uparta część mnie nie chce o nic błagać moich oprawców. Zamiast tego próbuję sobie przypomnieć najlepsze fragmenty swoich ulubionych powieści, w szczególności tych, które czytałam, będąc małą dziewczynką. Otoczony murem ogród przypomina mi ten z *Tajemniczego ogrodu*. Myślę o Mary Lennox. Była zaledwie dzieckiem, a już miała żelazną wolę. Nie ugięłaby się przy misce zupy, bez względu na to, jak ładnie by pachniała. Rzuciłaby nią o ścianę.

Piątego dnia pokojówka nie przynosi ani śniadania, ani obiadu. Przychodzi dopiero po południu, niosąc w torbie na ubrania zieloną, jedwabną suknię. Zaczyna wlewać gorącą wodę do wielkiej wanny na szponiastych stopach, gestykulując, żebym się rozebrała.

– Zdecydowanie nie – oznajmiam, krzyżując ręce na piersi.

Po każdym prysznicu zakładam te same ubrania, odmawiając założenia czegokolwiek z szafy.

Pokojówka wzdycha i wychodzi z pokoju. Po kilku minutach wraca z krzepkim, czarnowłosym mężczyzną.

Poznaję go. To ten dupek, który udawał, że chce naprawić mój wóz, a potem wbił mi igłę w ramię. Myśl o tym, że dotykał mnie tymi wielkimi, mięsistymi, owłosionymi łapskami, gdy byłam nieprzytomna, sprawia, że przechodzą mnie ciarki.

Wcale nie podoba mi się uśmiech, który maluje się na jego twarzy, gdy znowu mnie widzi. Ma zbyt kwadratowe i zbyt białe zęby. Wygląda jak lalka, której brzuchomówcy używają do występów.

– Rozbierz się – rozkazuje.

– Dlaczego? – pytam.

– Bo szef tak każe – mamrocze.

Gdy ktoś mi każe coś zrobić, odruchowo robię się posłuszną. Przywykłam do czegoś takiego zarówno w domu, jak i w szkole tańca. Jestem osobą wykonującą polecenia.

Lecz nie tutaj. Nie dla tych ludzi.

Mocno obejmuję się ramionami i kręcę głową.

– W przeciwieństwie do ciebie, nie odpowiadam przed twoim szefem – oznajmiam.

Pokojówka rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. Po tym, że stoi w pewnej odległości od czarnowłosego mężczyzny wiem, że go nie lubi. Próbuje powiedzieć mi, żebym z nim nie zadzierała. Że uprzejmość, jaką mi okazuje, jest pozorna.

Mogłam się tego domyślić. Mimo że nie pałam sympatią do Bestii, to wydawał się być inteligentnym człowiekiem. Ten facet wygląda na kompletnego dziwaka o czole jaskiniowca. Na jego twarzy widać złośliwy grymas. Głupi ludzie nie bywają kreatywni, przez co zawsze uciekają się do przemocy.

– Sprawa wygląda następująco – mówi mężczyzna, marszcząc brwi. – Obecna tutaj Klara ma ci pomóc się wykąpać i ubrać. Jeśli jej na to nie pozwolisz, wtedy to ja będę musiał cię rozebrać do naga i namydlić. Robiąc to, nie będę tak delikatny jak Klara, więc w twoim interesie jest współpraca.

Nie jestem w stanie znieść myśli o atakującej mnie mydłem przerośniętej małpie.

– W porządku! – warczę. – Wykąpię się. Ale tylko wtedy, kiedy stąd pójdiesz.

– Nie ty tu dyktujesz warunki – śmieje się małpolud, kręcąc swoją przerośniętą głową. – Mam wszystko nadzorować.

Boże, na sam widok jego zadowolonej gęby chce mi się wymiotować. Nie ma mowy, że będzie przyglądać się jak wchodzę, bynajmniej nie dobrowolnie, do wanny. Co w takiej sytuacji zrobiłaby Mary Lennox?

– Rozerwę tę sukienkę na strzępy, jeśli spróbujesz mnie zmusić, żebym ją założyła – oznajmiam spokojnie.

– Mamy mnóstwo sukienek – odpowiada małpolud, jakby to go wcale nie obchodziło.

Dostrzegam jednak przebłysk irytacji malujący się na jego twarzy. Zgodnie z instrukcjami, które otrzymał, miał zmusić mnie do włożenia tej konkretnej sukienki, a nie byle jakiej.

– Idź sobie, a Klara pomoże mi w przygotowaniach – naciskam.

Uśmiezek zadowolenia znika z jego twarzy. Teraz już nie wygląda jak małpa, tylko nadąsany bachor.

– Dobrze – rzuca krótko. – Lepiej się pospiesz.

Próbując ocalić swą godność, wychodzi na korytarz.

Wygląda na to, że Klara jest spokojniejsza, gdy ten mięśniak wyszedł, a sprzeczka zakończyła się bez ofiar. Wskazuje na wypełnioną prawie po brzegi parującą wodą wannę. Wlała do niej jakiś olejek czy coś w tym stylu, bo w powietrzu unosi się teraz zapach migdałów lub kokosów.

Przynajmniej teraz wiem, jak pokojówka ma na imię.

– Klara? – pytam.

Przytakuje skinieniem głowy.

– Nessa. – Kładę rękę na swojej piersi.

Raz jeszcze kiwa głową. Już o tym wie.

– A on jak ma na imię? – Wskazuję na drzwi, za którymi zniknął małpizjon.

Przez chwilę się waha, lecz potem odpowiada:

– Jonasz.

– Jonasz jest chujem – mamroczę.

Klara nie odpowiada, ale wydaje mi się, że widzę na jej twarzy cień uśmiechu. Jeśli mnie rozumie, to widocznie podziela moje zdanie.

– A co z twoim szefem? – pytam. – Jak on ma na imię?

Jeszcze dłuższa pauza, wydaje mi się, że nie odpowie. W końcu mówi szeptem:

– Mikołaj.

Wypowiada to imię, jakby przywoływała samego diabła i chwilę potem miała się przeżegnać.

To oczywiście, że boi się go bardziej niż Jonasza.

– Wejdz, proszę – mówi po polsku, raz jeszcze wskazując na wannę.

Nie rozumiem nic po polsku, ale przypuszczam, że właśnie zachęciła mnie do wejścia do wanny albo to była prośba o pośpiech.

– W porządku.

Zdejmuję bluzę oraz jeansy, które są już trochę obrzydliwe, po czym rozpinam biustonosz i zsuwam majtki.

Klara przygląda się mojemu nagiemu ciału. Jak większości Europejczyków, jej również nie zawstydza widok nagiego ciała.

– Piękna figura – oznajmia w swoim języku.

Domyślam się, co może oznaczać słowo „figura”. Mam też nadzieję, że „piękna” to komplement, a nie określenie na bycie patykowatym lub przerażającym.

Zawsze lubiłam języki obce. Kiedy byłam mała, rodzice nauczyli mnie irlandzkiego, a w szkole z kolei uczyłam się łaciny oraz francuskiego. Niestety polski jest językiem słowiańskim, więc nie ma z nimi zbyt wielu wspólnych słów. Jestem ciekawa, czy uda mi się namówić Klarę, żeby ze mną porozmawiała, abym mogła zobaczyć, czy ją zrozumieć.

Zdaję sobie sprawę, że nie powinna ze mną rozmawiać. Ale ma mnie ubrać. Im bardziej ją męczę, tym bardziej ustępuje mi pod tym względem. Jest gotowa na wszystko, żebym tylko z nią współpracowała podczas kąpieli i mycia włosów. Szybko uczę się, jak po polsku jest mydło, szampon, gąbka, wanna, sukienka oraz okno.

Klara, wbrew sobie, zdaje się być pod wrażeniem, że jestem w stanie to wszystko zapamiętać. Szybko zamienia to w zabawę, z której ona cieszy się niemal tak samo jak ja. Na koniec uśmiecha się, ukazując piękne białe zęby. I nawet się śmieje z mojej kiepskiej wymowy, gdy próbuję powtórzyć to, co powiedziała.

Wątpię, że może liczyć na równie przyjemną rozmowę z Jonaszem lub kimś innym. Jedynymi ludźmi, jakich tu widziałam, byli potężni gburowaci faceci, których ciała gęsto pokrywają tatuaże. Oczywiście jest i Bestia, który najwyraźniej ma na imię Mikołaj. Chociaż trudno mi sobie wyobrazić, żeby miał prawdziwych rodziców, którzy dali mu ludzkie imię.

Mówił, że Rzeźnik był jego ojcem.

Zakładam, że to możliwe. W końcu mój ojciec też jest gangsterem. Jednak nie wierzę we wszystko, co mówi Mikołaj. Dla ludzi takich jak on kłamstwo jest prostsze od oddychania.

Klara nalega, żeby nie tylko mnie umyć, ale również ogolić każdy centymetr kwadratowy mojego ciała, jaki znajduje się niżej niż brwi. Zastanawiam się, czy się z nią nie kłócić. W końcu jednak zgadzam się, chociażby przez wzgląd na to, że w końcu ze mną porozmawiała i nie chcę, aby ta relacja została skazana na porażkę. Kiedy mnie wyciera, każe jej powiedzieć jak po polsku jest: maszynka do golenia, pianka oraz ręcznik.

Pokojówka najpierw owija mnie ręcznikiem, po czym sadza na krześle i zaczyna czesać.

Moje włosy ostatnio strasznie urosły. Nie zauważyłam tego, bo praktycznie codziennie noszę je upięte w kok lub kucyk. Sięgają mi prawie do pasa, są grube i pofalowane. Ich wysuszenie trwa całą wieczność, podczas której Klara nieustrudzenie z nimi walczy, używając na przemian szczotki oraz suszarki.

Dobrze jej to wychodzi. Wydaje się, że we wszystkim jest dobra.

– Czy kiedykolwiek pracowałaś u fryzjera? – pytam.

Unosi brwi, nie rozumiejąc mojego pytania.

– Salon? Spa? – mówię, pokazując to na suszarkę, to na nią.

Po chwili na jej ślicznej buzi maluje się zrozumienie, lecz kręci przecząco głową.

– Nie – odpowiada.

Po uporaniu się z włosami Klara mnie maluje, a potem pomaga mi założyć zieloną sukienkę oraz złote sandały z paskami. Sukienka jest tak cienka i lekka, że nawet po zapięciu jej suwaka czuję się, jakbym była naga. Pod spodem rzeczywiście nic nie mam, bo przylegający mi do ciała materiał nie pozwala na założenie chociażby stringów.

Klara zakłada mi złote kolczyki, po czym cofa się, aby móc przyjrzeć się swojemu dziełu.

Dopiero wtedy zaczynam się zastanawiać, po co właściwie jestem ubierana. Byłam tak bardzo pochłonięta tym dziwacznym procesem, że nie próbowałam nawet odgadnąć, jaki jest jego cel.

– Dokąd idę? – pytam.

Klara kręci przecząco głową. Nie rozumie, o co pytam albo nie może mi nic powiedzieć.

Wreszcie, po raz pierwszy od prawie tygodnia, jestem gotowa, aby opuścić pokój.

Nic nie poradzę na to, że jestem podekscytowana. W taki właśnie żałosny sposób ograniczono moje poczucie wolności. Wyjście do innego pomieszczenia w domu jest jak podróż do Chin.

Strasznie mi się nie podoba fakt, że eskortuje mnie Jonasz. Dąsa się, że nie mógł przyglądać się, jak biorę kąpiel. Próbuje złapać mnie za ramię, ale ja strząsam jego dłoń, warcząc:

– Mogę chodzić o własnych siłach!

Widać, że go to rozzłościło. Tymczasem ja, niczym kociak, który zaczepił dużego psa i od razu tego żałuje, robię krok w tył.

Grunt, że podziałało. Jonasz pozwala mi iść samej korytarzem. Idzie tak szybko, że ledwo nadążam za nim w tych sandałach.

Po co, do cholery, mnie tak wystroili? Dokąd idę?

Mogę tylko mieć nadzieję, że nie fatygowali się tylko po to, żebym była ładnym trupem.

Jest wieczór. Dom oświetla elektryczność, lecz światła są tak słabe i żółte, że równie dobrze mogą uchodzić za blask świec.

Jeszcze nie dane mi było zobaczyć wnętrza rezydencji w świetle słonecznym. Ale nie może być wtedy jaśniej niż teraz. Wąskie okna i grube kamienne mury nie wpuszczają zbyt wiele światła słonecznego, zwłaszcza że dom prawdopodobnie wzniesiono pośrodku małego lasu.

Nawet nie wiem, czy wciąż jesteśmy w Chicago. Boże, równie dobrze możemy znajdować się w innym kraju. Ale nie wydaje mi się, żeby tak było. Mafia włoska, irlandzka, polskie Braterstwo i rosyjska Bratva – wszyscy od pokoleń walczą o kontrolę nad Chicago. Do tego dochodzi również setka innych gangów oraz zbirów, zarówno tych lokalnych, jak i zagranicznych. Każdy chce kontrolować miasto, bez względu na to, czy ich fortuna się pomnaża, czy gwałtownie kurczy. Nikt też nie zważa, jak obecnie wygląda podział sił...

Nikt nie odpuszcza. Nikt nie rezygnuje z walki.

Bestia chce zemsty, a także władzy w mieście. Nie wywiózłby mnie zbyt daleko, bo wtedy sam byłby z dala od Chicago.

Założę się, że znajdujemy się maksymalnie godzinę drogi od miasta. A może znajdujemy się i w samym Chicago? Jest tu mnóstwo starych rezydencji – mogę być w którejkolwiek z nich.

A jeśli wciąż jesteśmy w mieście... to moja rodzina mnie odnajdzie. Jestem tego pewna. Nigdy nie przestaną mnie szukać. W końcu wrócę do domu.

Ta myśl jest niczym tańczący w mojej piersi motyl.

Podnosi mnie na duchu, gdy milczący Jonasz prowadzi mnie przez podwójne drzwi prowadzące do wielkiej jadalni.

Pomieszczenie wypełnia długi stół, przy którym mógłby ucztować król wraz z całym dworem. Nikt nie zajmuje żadnego z dziesiątek krzeseł ustawionych z obu stron. U szczytu stołu siedzi wyłącznie jedna osoba: Bestia.

Wszystkie półmiski z jedzeniem znajdują się właśnie na tym końcu stołu. Widzę pieczonego kurczaka faszerowanego cytryną, filet z soli, duszone warzywa, surówkę z buraków, puszyste stopy puree ziemniaczanego ociekające roztopionym masłem. Jest też drobno pokrojony, chrupiący chleb razowy oraz waza pełna kremowej zupy grzybowej. Nie brakuje również kieliszków ciemnego, czerwonego wina.

Nakryto tylko dla dwóch osób: dla mnie i dla niego.

Jedzenie stoi nietknięte. Mikołaj czekał na mnie.

Ma na sobie grafitową koszulę z długimi rękawami, które podciągnął do łokci, odkrywając wytatuowane przedramiona. Zawile i ciemne tatuaże pną się ku górze, do samej szyi, przez co wyglądają jak postawiony kołnierzyk. Skóra na twarzy i dłoniach kontrastuje z tą pokrytą tatuażami, jest gładka i wygląda na upiornie błądą.

Ma wilczy wyraz twarzy – maluje się na niej głód oraz wrogość. Jego zwierzęce oczy są niebieskie i lodowate.

Przyciągają mnie, mimo że wcale tego nie chcę. Nasze spojrzenia się łączą, lecz po chwili odwracam wzrok. Coś jednak znowu każe mi na niego spojrzeć. Jesteśmy tu sami, odkąd wyszedł Jonasz.

– Usiądź – mówi ostro Mikołaj.

Wskazuje na miejsce tuż obok siebie.

Wolałabym usiąść o wiele dalej...

Jednak nie ma sensu się kłócić – pstryknięciem palców mógłby wezwać swojego ochroniarza. Z kolei Jonasz nie przebierałby w środkach, żeby usadzić mnie we wskazanym przez swojego szefa

miejscu. Mógłby mnie nawet do niego przywiązać, a ja nie mogłabym nic zrobić, aby go powstrzymać.

Z chwilą, gdy siadam na wyściełanym siedzeniu, w moje nozdrza wwierca się ciepły, kuszący zapach jedzenia. Czuję, jak ślina wypełnia mi usta. Prawie zapomniałam o głodzie, a teraz czuję, że mi słabo i mam zawroty głowy. Desperacko pragnę coś zjeść.

Mikołaj to zauważa.

– Śmiało – mówi.

Wysuwam czubek języka, żeby zwilżyć usta.

– Nie jestem głodna – kłamię nieudolnie.

Mikołaj wydaje z siebie zirytowany dźwięk.

– Nie bądź śmieszna – warczy. – Wiem, że nie jadłaś od kilku dni.

Z trudem przełykam ślinę.

– I wciąż nie zamierzam tego robić – oznajmiam. – Nie chcę twojego jedzenia. Chcę wrócić do domu.

– Nie wrócisz do domu – parska śmiechem. – Nigdy.

O mój Boże.

Nie, nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć.

Nie zostanę tutaj i nie będę jadła nic, co pochodzi od niego.

Splatom palce na kolanach.

– W takim razie będę głodowała – mówię cicho.

Bestia nabija na duży widelec kawałek pieczeni wołowej. Kładzie go na talerzu, bierze nóż i odcina kawałek. Następnie, wpatrując się we mnie, wkłada go sobie do ust, powoli przeżuwa i przełyka.

– Myślisz, że twoje głodowanie mnie obchodzi? – pyta od niechcienia. – Chcę, żebyś cierpiała, mała Balerino. Lecz na moich warunkach, a nie twoich. Jeśli wciąż będziesz odmawiała, to przywiążę cię do łóżka i wepchnę ci do gardła rurkę do karmienia. Nie umrzesz, a przynajmniej póki ja na to nie pozwolę. A stanie się to w idealnym momencie, dokładnie zaaranżowanym przeze mnie.

Jestem naprawdę słaba. Z minuty na minutę mój plan wydaje się być coraz głupszy. Co mi to da, jeśli zostanę przywiązana do łóżka? Co dobrego wynika z głodowania? To mnie tylko osłabia. Nawet jeśli miałabym okazję do ucieczki, byłabym zbyt wyczerpana, aby z niej skorzystać.

Coraz mocniej i mocniej wykręcam ręce.

Nie chcę mu ustępować. Ale nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Jestem w pułapce. Z każdym moim ruchem pętla wokół mnie tylko się zaciska.

– W porządku – mówię w końcu. – Zjem.

– Dobrze – przytakuje. – Zaczynaj od bulionu, żebyś nie zwymiotowała.

– Pod jednym warunkiem – oznajmiam.

– Nie ty tu stawiasz warunki – drwi.

– To nic uciążliwego.

Mikołaj czeka, żeby usłyszeć, co chcę powiedzieć. Prawdopodobnie robi to wyłącznie z czystej ciekawości.

– Nudzę się w swoim pokoju. Chciałabym móc zajrzeć do biblioteki i ogrodu. Masz to ustrojstwo na mojej kostce, kamery oraz strażników. Nie będę próbowała uciec.

Naprawdę nie liczę na to, że się zgodzi. W końcu dlaczego miałyby to zrobić? Powiedział mi, że chce mojego cierpienia. Dlaczego miałyby mi pozwalać na jakiekolwiek rozrywki?

Ku mojemu zdziwieniu rozważa tę propozycję.

– Będziesz codziennie jadła, brała prysznic i zakładała czyste ubrania – oznajmia.

– Tak. – Zbyt ochoczo kiwam głową.

– Wtedy będziesz mogła chodzić po domu i ogrodzie. Możesz chodzić wszędzie, z wyjątkiem zachodniego skrzydła.

Nie pytam o to, co znajduje się w zachodnim skrzydle. Prawdopodobnie właśnie tam są jego prywatne pokoje. Albo trzyma tam odcięte głowy swoich ofiar zawieszane na ścianach niczym myśliwskie trofea. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Mikołaj nalewa mi rosół, ale robi to tak nieostrożnie, że trochę wylewa się z talerza.

– Masz – mówi. – Jedz.

Zaczynam jeść. To bez wątpienia najsmaczniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłam. Ma bogaty, maślany smak i jest fachowo przyprawiona. Mam ochotę podnieść talerz i wszystko wypić.

– Powoli – ostrzega. – Będzie ci niedobrze.

Po zjedzeniu połowy zupy, sięgam po wino. Jest równie pyszne, cierpkie i pachnące. Wypijam tylko jeden łyk, bo na ogół w ogóle nie

piję i zdecydowanie nie chcę tracić głowy przy Bestii. Nie jestem na tyle głupia, aby myśleć, że ściągnął mnie tu wyłącznie po to, aby mnie nakarmić.

Mężczyzna milczy aż do końca posiłku. Niemal całe jedzenie znajdujące się na stole wciąż stoi nietknięte. Byłam w stanie zjeść jedynie trochę zupy i odrobinę chleba. Mikołaj natomiast zjadł wołowinę i niewielką porcję warzyw. Nic dziwnego, że jest taki chudy.

Może nie lubi jedzenia dla ludzi i woli chłeptać ciepłą krew?

Po zjedzeniu swojej porcji odsuwa talerz na bok, kładzie podbródek na dłoni i wbija we mnie lodowate spojrzenie.

– Co wiesz o rodzinnym biznesie? – pyta.

Jedzenie sprawiło, że poczułam ciepło oraz szczęście, lecz teraz natychmiast się zamykam niczym mały uderzony strumieniem zimnej wody.

– Nic – odpowiadam, odkładając łyżkę. – Nic nie wiem na ten temat. Nawet gdybym wiedziała, to i tak nic bym ci nie powiedziała.

– A czemu nie? – pyta. Jego oczy błyszczą z rozbawienia. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu uważa to za zabawne.

– Bo spróbowałbyś to wykorzystać, aby ich skrzywdzić – odpowiadam.

Z udawaną troską zaciska usta.

– Nie wkurza cię to, że nie jesteś częścią tego biznesu? – pyta.

Zaciskam usta, nie chcąc odpowiadać na to pytanie. Mimo to łapię się na tym, że wyrzucam z siebie:

– Nic o nas nie wiesz.

– Wiem, że twój brat zajmie miejsce twojego ojca. Twoja siostra z kolei zrobi wszystko, aby nikt z rodziny nie wylądował w więzieniu. A co z tobą, Nesso? Gdzie w tym wszystkim jest twoje miejsce? Zakładam, że zaplanowali dla ciebie małżeństwo, tak jak to zrobili dla twojego brata. Może z którymś z Gallo... mają trzech synów, prawda? Ty i Aida mogłybyście być siostrami.

Jego słowa, bardziej niż lodowate spojrzenie, chłodzą moje ciało. Skąd on tyle o nas wie?

– Ja nie... Nie jestem... Nie ma żadnego paktu małżeńskiego – mówię, wbijając wzrok w swoje palce. Są tak mocno splątane, że

poblądły od braku krwi. Wyglądają na moich kolanach jak stos robaków.

Nie powinnam tego mówić. Nie potrzebuje więcej informacji niż te, które już posiada.

– Szkoda – chichocze. – Jesteś bardzo ładna.

Czuję, jak moje policzki płoną i strasznie mi się to nie podoba. Nienawidzę swojej nieśmiałości oraz tego, że tak łatwo się zawstydzam. Gdyby Aida lub Riona tu były, to na pewno rzuciłyby mu tym winem prosto w twarz. Nie byłyby przestraszone albo zdeorientowane, nie musiałyby walczyć z cisnącymi się do oczu łzami.

Przygryzam wargę. Robię to tak mocno, że czuję w ustach krew zmieszaną z resztkami wina.

Patrzę w jego twarz, która nie przypomina żadnej, którą dane mi było wcześniej widzieć – jest piękna, szorstka, przerażająca i okrutna. Jego wąskie usta wyglądają, jakby ktoś narysował je atramentem. Czuję, jak przeszywa mnie wzrokiem.

Nie jestem w stanie odzyskać głosu.

– A co z tobą? – Przełykam ślinę. – Mikołaj, prawda? Przybyłeś tu z Polski w pogoni za amerykańskim snem? A jednak nie masz żony, którą mógłbyś sprowadzić do tej swojej posępnej, starej rezydencji. Kobiety nie lubią sypiać z podstępными wężami.

Chciałam go obrazić, a on tylko uśmiecha się do mnie chłodno.

– Nie martw się – mówi cicho. – Nie narzekam na brak kobiecego towarzystwa.

Robię głupią minę. Nie mogę temu zaprzeczyć, że jest, na swój surowy i przerażający sposób, przystojny. Jednak nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał się zbliżyć do kogoś tak okrutnego na odległość mniejszą niż trzy metry.

Niestety ja sama znajduję się w promieniu tych trzech metrów i wkrótce będę jeszcze bliżej, bo skoro już zjedliśmy, Mikołaj spodziewa się dalszych rozrywek.

Prowadzi mnie z jadalni do sąsiadującego z nią pomieszczenia. To sala balowa z prawdziwego zdarzenia. Ma polerowany parkiet i ogromny żyrandol. Sam sufit jest granatowy i widnieją na nim

błyszczące gwiazdy. Ściany są złote, a aksamitne zasłony mają ciemnoniebieską barwę.

Ze wszystkich pomieszczeń, które widziałam, ten pokój jest jedynym, który mi się podoba – reszta domu jest za bardzo gotycka i przygnębiająca. Nie mogę się jednak nacieszyć tą salą, bo teraz gra muzyka, a Mikołaj najwyraźniej liczy, że z nim zatańczę.

Nim udaje mi się uciec. Łapie mnie za prawą rękę, a lewą obejmuje w pasie. Przyciąga moją drobną postać do swojego ciała. Jego ramiona są twardsze niż stal. Jest naprawdę szybki. I jest irytująco dobrym tancerzem.

Wiruje ze mną po pustej sali balowej, stawiając długie, płynne kroki.

Nie chcę na niego patrzeć. Nie chcę z nim rozmawiać.

– Skąd wiesz, jak tańczyć do tej muzyki? – pytam, nie mogąc się powstrzymać.

– To walc – odpowiada – od dwustu lat niewiele się zmienił.

– Byłeś już na świecie, gdy go wymyślili? – pytam niegrzecznie.

Mikołaj tylko się uśmiecha i odsuwając mnie od siebie, zmusza do wirowania.

Poznaję odtwarzany utwór. To *Satin Birds* Abła Korzeniowskiego. Melancholijna i zapadająca w pamięci, piękna kompozycja. Do tej chwili była jedną z moich ulubionych.

Nie podoba mi się myśl, że takie zwierzę ma dobry gust muzyczny.

Wkurza mnie to, z jaką łatwością nasze ciała poruszają się w tandemie. Taniec jest moją drugą naturą. Nie mogę się powstrzymać, by tak jak i on poruszać się po parkiecie sprawnie i płynnie. Nie jestem również w stanie powstrzymać zalewającej mnie fali przyjemności. Po pięciu dniach niewoli cudownie jest mieć tyle przestrzeni, po której można się poruszać.

Zapominam, czyja ręka zsuwa się po moich nagich plecach. Zapominam, czyje palce są splecione z moimi. Zapominam, że jestem uwięziona w ramionach swojego najgorszego wroga i że czuję bijące od niego ciepło.

Zamykam oczy i frunę nad podłogą, wirując wokół osi, którą wyznacza jego dłoń, po czym pochylam się do tyłu, opierając o jego stalowe udo. Tak bardzo pragnę tańczyć, że nie obchodzi mnie to ani

gdzie jestem, ani z kim. W tej chwili to dla mnie jedyny sposób na ucieczkę – poprzez lekkomyślne i bezpowrotne zatracenie się w tej chwili.

Gwieździsty sufit wiruje mi nad głową. Serce bije mi coraz szybciej. Przebywanie w letargu przez tydzień sprawia, że nie jestem już tak wytrzymała. Zielona jedwabna sukienka opływa moje ciało, prawie w ogóle nie dotykając mojej skóry.

A kiedy jego palce przesuwają się w dół mojego gardła i muskają nagie ciało pomiędzy piersiami, otwieram gwałtownie oczy i podskakuję, jednocześnie zatrzymując się w miejscu.

Dyszę i ociekam potem. Udo Mikołaja jest wciśnięte między moje. Jestem boleśnie świadoma, jak cieniutka jest ta sukienka oraz że nie oddziela nas żadna inna bariera.

Wrywam się z jego objęć, potykając o skraj sukni. Cienki jedwab rwie się z odgłosem przypominającym huk wystrzału.

– Puść mnie! – warczę.

– Myślałem, że lubisz tańczyć – mówi drwiąco Mikołaj. – Wyglądało na to, że się dobrze bawiłaś.

– Nie dotykaj mnie! – powtarzam, starając się oddać w swoim krzyku wściekłość, którą czuję. Mam naturalnie miękki głos, który zawsze jest delikatny. Nawet wtedy, kiedy jestem bardzo zła. Przez to czuję się jak jakieś rozdrażnione dziecko.

Mikołaj właśnie tak mnie traktuje. Przewraca oczami z powodu mojej nagłej zmiany nastroju. Bawił się mną, a gdy tylko przestaję odpowiadać jego oczekiwaniom, staję się dla niego bezużyteczna.

– Dobrze – oznajmia. – Wieczór dobiegł końca. Wracaj do swojego pokoju.

Boże, jaki on jest denerwujący!

Nie chcę tu z nim zostać, a jednocześnie nie chcę iść do łóżka. Nie chcę znowu siedzieć zamknięta, znudzona i samotna. Mimo całej pogardy do Bestii, to najdłuższa rozmowa, jaką udało mi się odbyć przez cały ten tydzień.

– Czekaj! – mówię. – A co z moją rodziną?

– Co z nimi? – pyta znudzonym tonem.

– Martwią się o mnie?

Uśmiecha się, lecz nie jest to uśmiech radości. To uśmiech czystej złośliwości.

– Odpierdala im – odpowiada.

Mogę to sobie wyobrazić.

Pierwszej nocy zauważyli, że nie wróciłam do domu. Jestem pewna, że setki razy próbowali dzwonić na mój telefon. Zadzwonili również do moich przyjaciół. Chcąc odtworzyć pokonaną przeze mnie trasę, wysłali swoich ludzi do Loyoli i Lake City Ballet. Prawdopodobnie przeczesywali ulice, poszukując mojego jeepa. Zastanawiam się, czy znaleźli go stojącego na poboczu.

Ciekawe, czy zadzwonili też na policję? Nigdy nie dzwoniemy na policję, jeśli możemy sobie poradzić sami. Przyjęcia z komendantem są miłe, ale nie angażujemy służb mundurowych w nasze sprawy.

To jedyny raz, gdy widzę go uśmiechniętego – kiedy myśli jak przerażona i zaniepokojona musi być moja rodzina. Mam przez to ochotę podbiec do niego i wydrapać mu te lodowate ślepia.

Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam, żeby ze mną tańczył. Czuję, jak skóra, tam gdzie mnie dotykał, płonie od obrzydzenia.

A mimo to nie mogę się powstrzymać od błagania:

– Możesz im przynajmniej powiedzieć, że jestem bezpieczna? – pytam. – Proszę.

Błagam go oczami, miną, a nawet splecionymi na wysokości piersi rękami.

Musi dostrzec mój ból, jeśli ma jakąkolwiek duszę, lecz on zdaje się być pusty w środku.

Po prostu śmieje się, kręcąc głową.

– Nie ma opcji – oznajmia. – To popsułoby całą zabawę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

MIKO

Przez pięć dni przyglądałem się, jak Griffinowie przeczesują całe miasto w poszukiwaniu Nessay. Moi ludzie donoszą mi o ich groźbach, przekupstwach i poszukiwaniach, w wyniku których nie natrafiają na najdrobniejszy nawet trop.

Tylko pięć osób zna miejsce, w którym Nessa została ukryta: Jonasz, Jędrzej, Marcel, Klara oraz ja. Spośród dziesiątek żołnierzy, tylko najbardziej zaufane osoby wiedzą o tym, co kombinuję. Ostrzegłem każdego z nich, że jeśli komukolwiek szepną o tym jakiemuś przyjacielowi czy kochance, to dostaną kulę w łeb.

Cieszę się, widząc jak rodzina Gallo równie szaleńczo szuka Nessay. Wszyscy wyruszyli na łowy: Dante, Nero, Sebastian, a przede wszystkim – Aida Gallo. Patrzenie jak dwie rodziny, które kilka miesięcy temu były śmiertelnymi wrogami, teraz łączą siły, aby desperacko odnaleźć najmłodszą latorośl Griffinów, jest niemal wzruszające.

Albo raczej byłoby wzruszające, gdyby nie to, że ich sojusz jest tym, co pragnę zniszczyć.

Upajam się tą myślą. Strasznie podoba mi się fakt, że obie rodziny nie mają pojęcia, czy dziewczyna żyje. Nie wiedzą, gdzie mogła zniknąć i to doprowadza ich do szaleństwa. Śmierć można zaakceptować, lecz to... to będzie ich dręczyć i zasieje chaos w ich szeregach.

Nessa tymczasem umiera z nudów. Obserwuję ją przez kamery zamontowane w jej pokoju. Widzę, jak chodzi po swojej klatce niczym zwierzę w zoo.

Jej głódówka stanowi problem. Już i tak jest chuda – nie ma zapasów tłuszczu, dzięki którym mogłaby sobie poradzić bez

jedzenia. Nie mogę pozwolić, żeby spierdoliła moje plany tymi irytującymi protestami.

Dlatego też rozkazuję Klarze, aby wystroiła Nessę na kolację. Mam zamiar kusić ją jedzeniem, a jeśli to się nie uda, to wepchnę jej ten posiłek do gardła.

I tak chciałem ją ponownie zobaczyć. Bawi mnie jako widoczna na ekranie telefonu postać, lecz w tej formie nie może się równać z cudownym bukietem strachu oraz wściekłości, który może zapewnić wyłącznie swoją prawdziwą obecnością.

Po tym, jak Jonasz zaciąga ją do sypialni, zauważam, że Klara aż za dobrze wykonała swoje zadanie. Widziałem Nessę wyłącznie w stroju do tańca lub w tym, co zakładała do szkoły. Miała wtedy świeżo umytą buzię i włosy spięte do tyłu. Nessa Griffin jest kurewsko oszałamiająca, jeśli ubierze się ją tak, aby błyszczała.

Po kilku dniach bez jedzenia jest jeszcze smuklejsza niż wcześniej. Zielona jedwabna sukienka przylega do jej ciała, a przy tym unosi się i opada z każdym oddechem dziewczyny. Doskonale widzę, jak nagle wciąga powietrze w płuca, widząc, że na nią czekam.

Jej jasnobrązowe włosy opadają kaskadami na ramiona. Są dłuższe i grubsze, niż się spodziewałem. Światło odbija się od nich tak samo jak od jej sukienki, skóry i dużych, zielonych oczu. Każda część jej ciała jest luminescencyjna.

Jest również niezwykle delikatna. To przerażające, jak chuda jest jej szyja, ramiona oraz palce. Bez wysiłku mógłbym połamać te ptasie kości. Kiedy się odwraca, zauważam jej obojczyki oraz łopatki. Jediną krągłą częścią jej ciała są duże, miękkie i drżące usta.

Cieszę się, że malując Nessie twarz, Klara nie użyła szminki. Jej wargi są jasnoróżowe jak baletki. To taki czysty i niewinny kolor. Zastanawiam się, czy pod jej sukienką kryją się sutki w tym samym odcieniu.

Wciąż mam przed oczami bladobrązowe piegi rozrzucone na jej policzkach i grzbiecie nosa. W przeciwieństwie do zaskakująco ciemnych brwi, które przypominają znaki interpunkcyjne – są słodkie i dziecinne. Unoszą się niczym ptasie skrzydła zawsze wtedy, kiedy jest zaskoczona i żałośnie się kurczą, gdy jest zmartwiona.

Nawet ubrana tak dojrzałe i elegancko, Nessa wygląda niesamowicie młodo. Wygląda świeżo i ożywczo. Jest przeciwieństwem tego domu, w którym wszystko jest wiekowe i zakurzone.

Nie uważam jej niewinności za atrakcyjność. Tak naprawdę uważam, że jest irytująca.

Jak ona w ogóle śmie kroczyć przez życie niczym szklana rzeźba? Czy nie prosi się przez to o to, by ją rozbić? Dla wszystkich dookoła chronienie jej jest ciężarem niemożliwym do udźwignięcia. Nie da się jej pilnować tak, aby ciągle była w swoim idealnym nienaruszonym stanie.

Im szybciej rozpocznę proces jej demontażu, tym lepiej dla wszystkich.

Dlatego też każę jej usiąść i jeść.

Próbuje zawrzeć ze mną jakąś śmieszna umowę, na którą przystaję. Mam to gdzieś, czy będzie się błąkała po domu. Nie może stąd uciec – nie z opaską na nodze. Kontroluję ją przez cały czas, bez względu na to, gdzie się znajduje. Zostanę poinformowany, jeśli spróbuje zniszczyć bransoletkę lub gdyby ta, choćby przez chwilę, przestała monitorować jej puls.

Chętnie zobaczę, dokąd pójdzie i co zrobi. Znudziło mi się oglądanie jej zamkniętej pośród czterech ścian pokoju.

To maleńkie zwycięstwo ją wzmocni, ale też sprawi, że spadnie o wiele niżej. A jeśli trochę mi ufa, jeśli myśli, że można się ze mną dogadać... tym lepiej.

Bycie okrutnym przez cały czas nie polega na wdzieraniu się do czyjejś głowy. To mieszanka dobra i zła, dawania i brania, od której ofiarom odpierdala. Nieprzewidywalność sprawia, że desperacko chcą się przypodobać swojemu oprawcy.

Dlatego po posiłku zabieram Nessę do sali balowej. Kilukrotnie widziałem, jak tańczy – w Jungle, w Lake City Ballet oraz obok łoża z baldachimem, gdy była uwięziona w swoim pokoju.

Taniec ją zmienia. Dziewczyna, która się rumieni i nie potrafi spojrzeć mi w oczy, nie jest tą samą, która odpręża się, słysząc muzykę.

To jak patrzenie na kogoś opętanego. Kiedy biorę ją w ramiona, jej spięte, delikatne ciało staje się luźne i zwiewne jak materiał sukienki. Muzyka przez nią przepływa i sprawia, że Nessa pulsuje energią nieadekwatną dla tak drobnej postaci. Czuję, jak drży w moich rękach. Ma szklane oczy i wydaje mi się, że w ogóle mnie nie dostrzega. Widzi we mnie jedynie narzędzie, które pomaga jej wirować po pokoju.

To prawie sprawia, że czuję się zazdrosny. Zniknęła w miejscu, w którym nie mogę do niej dotrzeć. I teraz czuję coś, czego nie powinienem.

Sprawiam, że kręci się coraz szybciej i szybciej. Z tańcem radzę sobie równie dobrze jak i ze wszystkimi innymi rzeczami – jestem szybki i skoordynowany. W taki właśnie sposób pracuję oraz walczę. Tak samo zresztą się pieprzę.

Lecz nie czerpię z tańca takiej przyjemności jak Nessa. Ona aż przymyka oczy i rozchyła usta. Na jej twarzy malują się takie emocje, które zazwyczaj zarezerwowane są dla osiągnięcia orgazmu. Przez cienki jedwab sukienki czuję bicie jej serca oraz to, jak jej twardniejące piersi wbijają się w moje ciało.

Odchylam ją do tyłu, odsłaniając przy tym jej delikatne gardło. Sam nie wiem, czy chcę ją pocałować czy ugryźć... A może po prostu pragnę zacisnąć palce na jej szyi? Chcę zrobić coś, co wyrwałoby ją z tego miejsca, w którym zniknęła.

To dziwne. Zazwyczaj uwaga kobiet mnie irytuje. Nie cierpię ich zachcianek, zaciskania dłoni. Używam ich, aby sobie ulżyć, ale wyraźnie im mówię, że nie będzie żadnej rozmowy, uczuć i zdecydowanie nie będzie z tego miłości.

Od lat nie całowałem kobiety.

A jednak jestem tutaj i patrzę na jej zamknięte oczy, rozchylone usta, przez co myślę tylko o tym, z jaką łatwością mógłbym przycisnąć do nich swoje. Po to, by wepchnąć język między jej wargi i spić jej smak niczym kwiatowy nektar.

Zamiast tego, dotykam jej gardła o kolorze kości słoniowej. Przesuwam palcami po jej mostku, czuję pod nimi skórę tak miękką, jakby przyszła na ten świat zaledwie wczoraj.

Nessa otwiera oczy i odskakuje ode mnie z wymalowanym na twarzy przerażeniem.

Patrzy na mnie. Dopiero teraz mnie dostrzega... Jej spojrzeniu towarzyszy obrzydzenie.

– Nie dotykaj mnie! – krzyczy.

Czuję gorzkie ukłucie satysfakcji, widząc jak gwałtownie się prostuje. Myśli, że może poszybować ku niebu, gdy tylko zechce? Cóż, już ja ją pociągnę za sobą prosto do piekła.

– Wracaj do swojego pokoju – mówię, czerpiąc przyjemność z tego, że mogę ją odprawić, gdy tylko będę mieć taki kaprys. Balerina jest moim więźniem i lepiej, by o tym nie zapominała. Mogę pozwolić jej poruszać się po domu, ale to nie zmieni dynamiki między nami. Je, kiedy każę. Nosi to, co każę. Przychodzi, kiedy każę. I odchodzi, kiedy ja o tym zdecyduję.

Jest wniebowzięta, że może uciec. Ucieka, a rąbek jej zielonej sukni faluje za nią jak peleryna.

Po tym, jak znika, spodziewam się, że powrócę do swojego codziennego stanu apatii. Uważam, że Nessa tylko chwilowo pojawiła się na moim radarze – jest wstrząsem, który szybko przeminie.

Lecz nie dzisiejszej nocy. Jej zapach wwiercił się w moje nozdrza – to woń słodkich migdałów i czerwonego wina. Moje palce wciąż czują miękkość jej skóry.

Nalewam sobie drinka i wypijam go, lecz nawet wtedy czuję się niespokojny i podniecony. Mój nieprzyjemnie sztywny kutas szturcha mnie w nogę. Wciąż myślę o dotyku smukłego uda Nessy przyciśniętego do niego. Między nami był wtedy wyłącznie materiał moich spodni i niewielki kawałek jedwabnej sukienki.

Wychodzę z domu i jadę do Jungle. Moja tesla przebija się przez nocne korki. Jeżdżę takim samochodem, bo idealnie nadaje się do tego, aby ukryć moją zamożność. Wygląda jak zwykły czarny sedan. Nie przyciąga uwagi glin, mimo że, w pełni wyposażony, kosztował mnie całe sto sześćdziesiąt osiem tysięcy dolarów. Jazda podczas przyspieszenia przypomina jazdę kolejką górską. Mój żołądek podskakuje, gdy w zupełnej ciszy skręcam za róg.

Parkuję za klubem i kiwając głową bramkarzowi, wchodzę do środka tylnymi drzwiami.

Idę, przeciskając się przez tłum pijanych klientów, prosto do głównego baru. Petra jest zasypywana zamówieniami. Kiwam głową w stronę biura, dając jej do zrozumienia, aby poszła tam ze mną. Barmanka natychmiast porzuca swoje obowiązki.

Ma na sobie top od bikini, który ledwo zakrywa jej cycki oraz krótkie szorty odsłaniające dolną połowę pośladków. W przegrodzie nosowej ma kolczyk, którego nie znoszę. Zresztą nie cierpię również żelastwa w uszach, brwiach oraz pępku. Mam to jednak teraz w dupie. Równie dobrze mogłaby nosić kostium goryla, pod warunkiem, że miałbym dostęp do interesującej mnie części jej ciała.

– Nie przypuszczałam, że dziś przyjedziesz – mruczy, idąc za mną do biura.

– Bo miałem nie przyjeżdżać – odpowiadam krótko.

Zamykam za nami drzwi i szarpnięciem zsuwam jej top, uwalniając cycki. Zwykle lubię patrzeć, jak podskakują, kiedy ją pieprzę, lecz dziś widok jej ciała wydaje się... zbędny.

Odwracam ją i zmuszam do pochylenia się nad biurkiem. Patrzenie na jej tył wcale nie pomaga. Jej duży, okrągły tyłek nigdy wcześniej mnie nie odstraszał. Dziki zapach jej potu oraz ciężka woń perfum, które nie maskują zapachu tytoniu, działają na mnie w taki sam sposób. Nigdy wcześniej żadna z tych rzeczy mi nie przeszkadzała. Teraz nagle mnie denerwują.

Jednak mój kutas nie nadąża za pracą mózgu. Wciąż szaleje z powodu dzisiejszego wieczoru i wyskakuje z moich spodni, szturchając Petrę dokładnie między pośladki.

– Ktoś tu jest gotowy – zauważa z zadowoleniem w głosie.

Czasami potrzebuję trochę czasu, aby być „gotowym”. Zdarza się, że w ogóle mi się to nie udaje. Nawet gdy przez pół godziny robi mi laskę, to i tak potrafię ją odesłać bez dokończenia roboty.

Dzisiejszego wieczoru tłumię w sobie tyle agresji, że mógłbym wyruchać całą drużynę cheerleaderek Dallas Cowboys. Nie bawiąc się w żadną grę wstępną, zakładam prezerwatywę i wbijam kutasa w Petrę, pieprząc ją na blacie. Każde pchnięcie sprawia, że biurko podskakuje na podłodze, a obfity tyłek Petry faluje.

Głośno jęczy i zachęca mnie do działania niczym gwiazda porno. Jest równie kreatywna jak dziewczyny z branży – jej krzyki: „Och! Och! Tak! Mocniej!” brzmią jak wyreżyserowane. No i dodatkowo z minuty na minutę robią się coraz głośniejsze.

– Zamknij się – warczę. Łapię ją za biodra i próbuję się skupić.

Petra milczy jak grób.

Zamykam oczy, próbując odtworzyć to poczucie niepokoju, które mnie tu sprowadziło. Raz jeszcze poczuć tę rozpaczliwą potrzebę zaspokojenia.

Zamiast tego przypominam sobie, jak dotykałem nagich pleców Nussy, a moja ręka znajdowała się między jej ciepłą skórą a chłodnymi jedwabistymi włosami. Przywołuję w myślach obraz tego, z jaką gracją poruszała się na parkiecie w czasie tańca – zupełnie jakby jej stopy nie dotykały ziemi. Wyobrażam sobie przyjemność malującą się na jej twarzy, jej zamknięte oczy i rozchylone usta...

Eksploduję wewnątrz Petry, a nadmierna ilość spermy wypełnia prezerwatywę. Zaciskam palce u nasady penisa, bo wychodząc z niej, nie chcę ryzykować, że wycieknie chociaż kropelka. Widziałem, jak Petra wysysa z facetów kasę na napiwki – nie chcę nawet wiedzieć, ile by sobie zaśpiewała za aborcję.

Petra dźwiga się z biurka i z uśmiechem zadowolenia podciąga szorty. Nigdy wcześniej tak szybko nie doprowadziła mnie do orgazmu, więc jest z siebie bardzo dumna.

– Musiałeś tęsknić – mówi, figlarnie bębniąc palcami po mojej piersi.

Cofam się, chcąc znaleźć się poza jej zasięgiem, i wrzucam prezerwatywę do śmieci.

– Ani trochę – odpowiadam.

Uśmiech znika z jej twarzy, a następnie się krzywi. Jeden cycek wciąż wisi jej poza stanikiem. Wygląda na coś koślawego i zużytego, a to sprawia, że mam mdłości.

– Wiesz co? Powinieneś być dla mnie miłszy – mówi ze złością. – Dostaję mnóstwo propozycji od innych facetów, a także od innych barów.

Nigdy nie powinienem był jej pieprzyć więcej niż raz. Przez takie akcje kobiety miewają złe pomysły. Przez to myślą, że skoro facet do nich wraca, to pewnie z innego powodu niż tylko z wygody.

– To koniec – oznajmiam. – Możesz tu pracować lub też nie.

Gapi się na mnie z otwartymi ustami ze zdziwienia.

– Co?!

– To, co słyszałaś. Jeśli chcesz zostać, to wracaj za bar. I popraw top.

Otwieram jej drzwi, lecz nie z grzeczności, a po to, żeby szybciej wyszła.

Widzę, że chce dać upust swojej złości, ale nie jest na tyle głupia, żeby to zrobić. Zamiast tego wypada z biura, nawet nie chowając piersi do stanika. No cóż, klienci będą zadowoleni.

Opadam na krzesło. Czuję, że jestem markotny i niezadowolony.

Pieprzona Petra nie ofiarowała mi spełnienia, którego pragnąłem. W rzeczywistości czuję się gorzej niż zwykle – jestem zestresowany i rozdrażniony.

Wracam do klubu i wyrzucam grupę paskudnych finansistów z jednej łoży dla VIP-ów, żebym sam mógł tam usiąść. Kelnerka przynosi mi schłodzoną butelkę Magnum Grey Goose. Od razu wypijam potrójnego drinka.

Niecałe dziesięć minut później dzieje się coś niezwykłego. Przez drzwi do mojego klubu przechodzi Callum Griffin. Jak zawsze ma na sobie stylowy ciemny garnitur. Ale nie wygląda już na tak zadbanego jak zwykle. Jest nieogolony, a jego włosy wymagają skrócenia. Ma również cienie pod oczami.

Ostatnim razem widziałem go zwisającego na haku na mięso, gdy Zajac poszedł się nim zająć. Dzisiejszego wieczoru wcale nie wygląda lepiej. Torturowanie umysłu jest tak samo skuteczne jak torturowanie ciała.

Wiem, że nie ma przy sobie broni, bo przy wejściu musiał minąć wykrywacz metalu. Mimo to mam nadzieję, że okaże się na tyle głupi, aby mnie zaatakować. Bardzo chętnie bym mu pokazał, że ucieczka ze starej rzeźni była wyłącznie kwestią przypadku.

Griffin omiata wzrokiem pomieszczenie, wyraźnie czegoś szukając. Kiedy mnie zauważa, rusza w moją stronę, przepychając się

przez tłum i odtrącając stojących mu na drodze ludzi ramionami. Staje tuż nade mną i zaciska ręce w pięści. Siedzę na swoim miejscu. Nie wyświadczam mu tej grzeczności, aby stanąć z nim twarzą w twarz.

– Gdzie ona jest? – pyta tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Upijam spory łyk drinka.

– Gdzie jest, kto? – pytam uprzejmie.

Twarz Calluma jest nieruchoma z wściekłości, a jego ramiona przypominają dwa głazy. Widzę, że chce na mnie skoczyć. Być może powstrzymuje go wyłącznie fakt, że u mego boku właśnie pojawił się Szymon, wyczuwając możliwość bolesnej konfrontacji. Pytając unosi brew. Chce wiedzieć, czy powinien interweniować. Odrywam wskazujący palec od trzymanej w dłoni szklanki, dając mu w ten sposób znać, aby zaczekał.

Wyrzucając z siebie każde słowo, jakby to sprawiało mu ból, Callum mówi:

– Wiem, że masz Nessę. Chcę ją odzyskać... NATYCHMIAST.

Leniwie mieszam kostki lodu w szklance. Muzyka w klubie jest zbyt głośna, abym mógł usłyszeć, jak o sobie pogrzeszają.

– Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiadam ze znużoną miną.

W klubie jest ciemno, lecz nie na tyle, abym nie mógł zobaczyć pulsującej żyły na szczęcie Calluma. Wiem, że nigdy niczego w życiu tak nie pragnął, jak mnie uderzyć. Oglądanie, jak próbuje zwalczyć ten odruch, jest przepiękne.

– Jeśli ją skrzywdzisz... – syczy. – Jeśli złamiesz jej chociaż paznokiec...

– Hola, hola, panie radny – mówię. – Grożenie swojemu wyborcy w miejscu publicznym może nie najlepiej wpłynąć na pańskie notowania. Chyba nie chce pan wywołać skandalu tuż po wyborach?

Widzę, że chce się poddać furii, ciskać groźby i spróbować skreślić mi kark. Tylko że żadna z tych rzeczy i tak mu w niczym nie pomoże.

Tylko dzięki tytanicznemu wysiłkowi udaje mu się odzyskać panowanie nad sobą. Próbuje się nawet płaszczyć. Jednak, jak na takiego aroganckiego fiuta przystało, nie trwa to długo.

– Czego chcesz? – warczy. – Co mam ci dać, aby móc ją odzyskać?

Mógłbym mu udzielić tak wielu odpowiedzi...

Twojego imperium.

Twoich pieniędzy.

Twojego życia.

Odda mi to wszystko, a i tak nie odzyska Nessay. Ona teraz należy do mnie. Dlaczego miałbym pozwolić jej odejść?

– Szkoda, że nie mogę ci pomóc – mówię, wypijając ostatni łyk drinka. Odstawiam szklankę i wstaję, więc teraz stoimy twarzą w twarz. Griffin waży trochę więcej niż ja, lecz jestem szybszy. W okamgnieniu mógłbym mu poderżnąć gardło.

Lecz byłoby to zbyt proste i nie tak satysfakcjonujące.

– Był taki czas, gdy mogliśmy sobie nawzajem pomóc – oznajmiam. – Mój ojciec przyszedł do ciebie, zupełnie tak, jak ty przychodzisz teraz do mnie. Pamiętasz, co mu wtedy powiedziałeś?

Szczeka Calluma znowu się porusza, gdy zgrzytając zębami powstrzymuje się przed powiedzeniem tego, co mu się ciśnie na usta.

– Odrzuciłem jego ofertę kupna nieruchomości – odpowiada.

– Nie do końca. Powiedziałeś: „A co mógłbyś mi zaoferować?”. Obawiam się, że teraz zamieniliśmy się rolami. Więc co masz mi do zaoferowania, Griffin? Nic. Zupełnie nic. Więc wypierdalaj z mojego klubu.

Callum rzuca się na mnie, a Szymon i Olie – moi najwięksi bramkarze – odciągają go ode mnie. Patrzenie jak Callum Griffin zostaje wyprowadzony z Jungle i wyrzucony na ulicę na oczach dziesiątek klubowiczów, którzy nagrywają to wszystko swoimi telefonami, jest jednym z najwspanialszych widoków w moim życiu.

Z powrotem rozsiadam się w łóżu, w końcu odczuwając *katharsis*, którego poszukiwałem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

NESSA

Kontakt z Mikołajem rozstraja mnie nerwowo i sprawia, że czuję się niedojrzała. Jego dzikie niebieskie spojrzenie obdziera mnie ze skóry, obnażając każdy nerw w moim ciele. Wszystko po to, by następnie drażnić wszystkie moje najwrażliwsze miejsca, do momentu, w którym nie będę w stanie tego znieść.

Ten mężczyzna mnie przeraża.

Nie jest jednak taki zupełnie odrażający. Przynajmniej nie tak, jak powinien być.

Moje oczy same wędrują w jego stronę. Nie potrafię odwrócić od niego wzroku. Gdy to wspominam, mam przed sobą precyzyjny obraz jego twarzy. Widzę jasny kosmyk włosów opadający mu na prawy policzek i wgłębienie pośrodku górnej wargi. Umiem nawet przywołać obraz jego napiętych ramion.

Co dziwne, kiedy mnie wziął za rękę i jego palce obejmowały moje, byłam zaskoczona ciepłem jego dłoni. Chyba spodziewałam się, że będą lepkie lub pokryte łuską. Zamiast tego doświadczyłam dotyku silnych, elastycznych dłoni artysty. Miał czyste, krótko przycięte paznokcie. Zauważyłam jedną dziwną rzecz: brakowało mu połowy małego palca u lewej ręki.

Lecz nie tylko Mikołajowi brakuje części palca. Jeden ze strażników również jest okaleczony w ten sposób – to ciemnowłosa, przystojny mężczyzna i chyba ma na imię Marcel. Zauważyłam to, kiedy palił pod moim oknem i częstował Klarę papierosami. Ona tylko pokręciła głową i pospiesznie wróciła do domu.

Żyłam wśród gangsterów dość długo, więc wiem, że takie okaleczenia to rodzaj kary w ich świecie. Yakuza tak robi i Rosjanie

też. Bywa, że usuwają również tatuaże, kiedy żołnierz zostaje zdegradowany, albo piętnują go tatuażem hańby.

Nie zbliżyłam się do Mikołaja na tyle, żeby zobaczyć co przedstawiają jego tatuaże. Ma ich więcej niż przeciętny przestępca. Muszą mieć dla niego jakieś znaczenie.

Nie chcę tego, lecz mnie to ciekawi. Strasznie deprymuje mnie fakt, że Mikołaj mnie przyciąga. To jak hipnoza. Czuję się upokorzona tym, że tak łatwo zgodziłam się z nim zatańczyć. Wykorzystał to, co najbardziej kocham, żeby się do mnie dobrać, a kiedy wróciłam do rzeczywistości, trudno mi było uwierzyć, jak bardzo się w tym zatraciłam.

Ten człowiek jest moim wrogiem. Nie mogę, choćby na chwilę, o tym zapominać.

Za każdym razem, gdy na mnie patrzy, z jego twarzy bije nienawiść.

To zabrzmi dziwnie i potwierdzi fakt, że byłam dotychczas wychowywana pod kloszem, ale nikt mnie wcześniej nie nienawidził – nie w taki sposób. Prześlizgnęłam się przez szkołę mając mnóstwo przyjaciół. Nigdy nikt mnie nie zastraszał, ani nawet nie obrażał – przynajmniej nie prosto w twarz. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś patrzył na mnie z odrazą, zupełnie tak, jakbym była owadem lub stosem palących się śmieci.

Zawsze staram się być radosna i uprzejma. Nie cierpię jakichkolwiek konfliktów. Można to uznać za swojego rodzaju patologię, ale... potrzebuję być kochana.

Jestem podniecona, gdy Bestia przygląda mi się, kiedy próbuję mu udowodnić, że nie zasługuję na jego pogardę. Mimo że to niemożliwe, czuję się zmuszona, aby przemówić mu w tej kwestii do rozumu.

To żałosne.

Chciałabym być odważna i pewna siebie. Szkoda, że obchodzi mnie zdanie innych.

Zawsze byłam otoczona ludźmi, którzy mnie kochali. Rodzice, starszy brat... nawet Riona, która może i jest miła jak kaktus, lecz wiem, że w głębi duszy zależy jej na mnie. Nasza służba mnie rozpieszczała i uwielbiała.

Zostałam tego wszystkiego pozbawiona. Kim teraz jestem? Słabą i przestraszoną dziewczyną, która jest tak strasznie samotna, że nawet byłaby zdolna siedzieć na kolacji ze swoim porywaczem, tylko po to, żeby mieć z kim porozmawiać.

To chore.

Muszę znaleźć własny sposób na to, by tu przetrwać i oderwać się od ponurych myśli.

Z tego powodu już następnego ranka, tuż po przebudzeniu, jestem gotowa do zwiedzania domu.

Dopiero co usiadłam na łóżku, a Klara już niesie mi tacę ze śniadaniem. Na jej twarzy maluje się wyczekiwanie oraz nadzieja. Ktoś musiał jej powiedzieć, że zgodziłam się przyjmować pokarm.

Dotrzymując słowa, siadam przy małym stoliku śniadaniowym, który stoi pod oknem. Pokojówka stawia przede mną jedzenie, po czym kładzie mi na kolanach płócienną serwetkę.

Jedzenie pachnie nieziemsko. Jestem jeszcze bardziej głodna niż zeszłej nocy. Rzucam się na bekon i sadzone jajka, a potem pakuję do ust pokrojone w kostkę ziemniaki.

Mój żołądek jest jak niedźwiedź, który dopiero wybudził się z zimowego snu. Chcę, żeby znalazło się w nim wszystko, dosłownie wszystko.

Widząc, jak pakuję ziemniaki do ust, Klara jest tak zadowolona, że kontynuuje lekcję polskiego, wymieniając wszystko, co znajduje się na tacy.

Zaczynam też rozumieć niektóre konstrukcje zdaniowe. Na przykład kiedy wskazuje na kawę i mówi: „To jest kawa” – jestem przekonana, że wiem, jak brzmi to zdanie w moim ojczystym języku.

Można zauważyć, że im Klara czuje się swobodniej, tym chętniej zaczyna mówić pełnymi zdaniami. Robi to wyłącznie z życzliwości. Nie oczekuje, że ją zrozumiem.

Rozsuwając ciężkie szkarłatne zasłony, mówi:

– Jaki piękny dzień.

Przypuszczam, że jej wypowiedź to stwierdzenie, że na dworze jest ładna pogoda albo zachwyca się słońcem. Zrozumiem to, kiedy usłyszę więcej.

Widzę, że Klara ma wszystkie palce całe i, w przeciwieństwie do ludzi Mikołaja, nie ma tatuaży – a przynajmniej nie ma żadnego w widocznym miejscu. Nie sędzę, by należała do Braterstwa. Po prostu dla nich pracuje.

Nie jestem aż tak głupia, żeby ludzić się, że przez to może być po mojej stronie. Jest miła, ale wciąż jesteśmy sobie obce. Nie spodziewam się, że mi pomoże.

Oczekuję, że dzisiejszego dnia opuszczę swój pokój. Mikołaj obiecał, że jeśli będę jadła, to będę mogła chodzić po całym domu. Wyjatek stanowi zachodnie skrzydło.

Po jedzeniu mówię do Klary:

– Chcę wyjść na dwór.

W odpowiedzi kiwa głową, po czym wskazuje na łazienkę.

No tak. Mam wziąć prysznic i się przebrać.

W sypialni stoi olbrzymia wanna na nóżkach, w której Klara kąpała mnie wczorajszego wieczoru. Łazienka jest bardziej nowoczesna, bo jest tu szklana kabina prysznicowa i podwójna umywalka. Szybko się opłukuję, po czym biorę z komody czyste ubranie.

Wybieram białą koszulkę i szare spodenki, mimo że są tu też inne, bardziej modne i eleganckie ubrania. To raczej strój, który należałoby założyć na lekcję wychowania fizycznego, ale nie chcę zwracać na siebie uwagi ludzi Mikołaja.

Klara bierze moje brudne ubranie z podłogi i marszczy nos, bo w ciągu ostatnich kilku dni zrobiły się bardzo brudne, mimo że nie nosiłam ich poza pokojem.

– Wypiorę je – oznajmia po polsku.

Mam nadzieję, że chodzi jej o pranie i nie chce ich wyrzucić do śmieci. Na wszelki wypadek próbuję ją przed tym powstrzymać:

– Nie wyrzucaj ich! – błagam. – To body jest mi potrzebne do tańca.

Wskazuję na trykot i szybko rękami przechodzę z jednej pozycji do drugiej, chcąc jej pokazać, że chcę go nosić podczas ćwiczeń.

Klara kiwa głową.

– Rozumiem – mówi po polsku.

Klara nalega, żeby wysuszyć i ułożyć mi włosy. Robi mi fryzurę z zaplecionymi na czubku głowy warkoczykami, pozostawiając część

włosów rozpuszczoną. Ładnie to wygląda, ale zajmuje zdecydowanie zbyt dużo czasu. Tymczasem już nie mogę się doczekać, aby wyjść z pokoju i pójść zwiedzać dom. Znowu próbuje mnie malować, ale odsuwam od siebie kosmetyczkę. Nigdy się nie zgodzę na codzienny makijaż.

Gotowa na opuszczenie pokoju, zeskakuję z krzesła. Idę w stronę drzwi i podświadomie czuję, że znowu będą zamknięte. Tym razem jednak otwierają się z łatwością. Mogę wyjść bez eskorty na korytarz.

Zaglądam do każdego pomieszczenia, które mijam.

Jak w większości starych rezydencji, znajdują się tu dziesiątki pomieszczeń, którym przypisane są różne dziwne cele. Widzę pokój muzyczny ze stojącym pośrodku gigantycznym Steinwayem. Fortepian ma uniesioną pokrywę i misternie rzeźbione nogi z motywem roślinnych ornamentów. W sąsiednim pomieszczeniu stoi kilka starych sztalug, a ścianę pokrywają oprawione w ramy pejzaże, które mógł namalować poprzedni lokator. Potem są trzy albo cztery sypialnie. Każda z nich udekorowana jest pod kolor jakiegoś kamienia szlachetnego. Moja sypialnia jest czerwona i przywodzi na myśl rubin. W pozostałych pokojach dominują odcienie szmaragdu, szafiru i złocistożółtej barwy topazu. Za sypialniami znajduje się kilka salonów oraz gabinetów, a także niewielka biblioteka.

Ściany w większości pomieszczeń wciąż pokrywają oryginalne tapety, które w niektórych miejscach są złuszczone, a w innych naruszone przez wodę. Większość mebli również jest oryginalna – są tu fikuśne szafki, tapicerowane fotele i szezlongi, stoliki z masy perłowej, połączane lustra i lampy Tiffany’ego.

Nasz dom jest nowoczesny, lecz mama ma słabość do zabytkowego wystroju wnętrza. Zabiłaby za to, żeby tylko móc się tu pokręcić. Na pewno podałyby mi nazwiska projektantów poszczególnych mebli oraz nazwiska malarzy, których obrazy wiszą na ścianach.

Na myśl o mamie doświadczam bolesnego ukłucia w piersi. Niemal czuję, jak jej palce zakładają mi za ucho zbłąkany kosmyk włosów.

Co ona w tej chwili robi? Czy też myśli o mnie? Czy się boi? Czy płacze? Czy wie, że ciągle żyję? W jakiś sposób matki zawsze to wiedzą.

Potrząsam głową, aby wyzbyć się tych myśli.

Nie mogę za nimi podążać. Nie mogę uważać się nad sobą. Muszę zwiedzić dom i teren dookoła. Wszystko po to, by poukładać sobie w głowie, gdzie co jest.

Znowu przechodzę przez wszystkie pomieszczenia. Chcę to rozegrać w strategiczny sposób, lecz szybko, raz jeszcze, zatracam się w ich estetyce.

Nie chcę się do tego przyznawać, ale to miejsce jest fascynujące. Mogłabym spędzić po kilka godzin w każdym z pokoi. Wnętrze każdego z nich zostało dokładnie przemyślane. Mnóstwo tu przeróżnych wzorów w postaci malowanych fryzów¹⁵ lub tkanych dywaników, na malowidłach ściennych lub w formie ościeżnic drzwi. Każda szafka czy lustro są rzeźbione albo ozdobione w inny sposób.

Prawie wcale nie wyglądam przez okna, a gdy w końcu robię, to dostrzegam coś interesującego: między strzelistymi dębami, klonami i jeszcze wyższymi jesionami widzę róg budynku. Drapacza chmur. Jednak nie jest to taki budynek, który znam z widzenia – nie jest to coś tak charakterystycznego jak Tribune Tower czy Willis Tower. Ale dzięki temu jestem przekonana, że wciąż znajduję się w Chicago.

Ta wiedza daje mi nadzieję na to, że moja rodzina mnie odnajdzie nim stanie się coś naprawdę złego.

A może sama zdołam uciec?

Zdaję sobie sprawę, że mam tę cholerną bransoletkę na kostce, ale nie jest niezniszczalna – tak jak Bestia. Jeśli zdołam opuścić teren posiadłości, to będę już w mieście. Będę mogła zadzwonić lub iść na policję.

Z tą myślą ruszam w stronę schodów, aby zejść na parter. Chcę wybadać grunt.

Odnajduję drogę powrotną do jadalni i sali tanecznej. Nie wchodzę do środka, zeszłej nocy już się napatrzyłam na wystrój tych pomieszczeń. Naprzeciwko sali balowej znajduje się wielki hol i frontowe drzwi mające trzy i pół metra wysokości. Wyglądają jakby do ich otwarcia potrzebna była wyciągarka. Są zamknięte na cztery spusty – tędy wyjść nie można.

Dostrzegam idącego w stronę sali bilardowej Jonasza. Nie chcę, żeby mnie zobaczył, więc chowam się w najbliższej wnęce. Do tej

pory minęłam dwóch żołnierzy, którzy najwyraźniej zostali poinformowani, że mogę chodzić po domu i totalnie mnie zignorowali.

Nie sądzę, aby Jonasz był równie uprzejmy. Mam wrażenie, że lubi mnie nękać... tak samo jak jego szef.

Jonasz mija mnie, a ja ruszam w stronę szklanej oranżerii. Za dnia jest tu o wiele cieplej niż w nocy. A mimo to czuję chłód, kiedy mijam ławkę, na której siedział Mikołaj. Teraz jest pusta. Jestem tu sama, no chyba że Bestia kryje się gdzieś wśród tych wszystkich roślin.

Tamtej nocy drzwi na tył ogrodu były zamknięte, dziś już nie. Jestem w stanie przekręcić klamkę i po raz pierwszy od tygodnia wyjść na zewnątrz.

Świeże powietrze zdaje się składać w stu procentach z tlenu. Wypełnia moje płuca, jest czyste i pachnące. Niemal natychmiast czuję się jak na haju. Przyzwyczaiałam się do panującej w domu stęchlizny. Teraz odurza mnie wiatr muskający moją twarz oraz trawa pod stopami. Zdejmuję skarpetki, aby móc chodzić po niej boso i czuję pod sobą miękką ziemię.

Znajduję się wewnątrz ogrodzonego murami ogrodu. Odwiedziłam słynne ogrody w Anglii i we Francji, lecz nawet one nie dorównują temu miejscu pod względem zagęszczenia roślin. Wszędzie, gdzie bym nie spojrzała, jest mnóstwo zieleni. Kamienne mury porasta bluszcz oraz klematis, a na klombach rosną przeróżne kwiaty. Potargane żywopłoty, krzewy róż oraz klony są stłoczone, a miejsca do chodzenia brukowanymi alejkami jest tyle co kot napłakał. Słyszę wodę wylatującą z fontann. Z góry widziałam, że znajdują się tu dziesiątki rzeźb i basenów, lecz są one ukryte w roślinnym labiryncie.

Chcę spędzić tu resztę dnia, zanurzając się w zapachu kwiatów i brzęczeniu pszczół.

Ale najpierw chcę wziąć książkę z biblioteki, żebym mogła poczytać na świeżym powietrzu.

Wracam do środka, oczywiście na bosaka, bo moje skarpetki leżą w trawie.

Przy kuchni skręcam w złą stronę i muszę zawrócić. Szukam znajdującej się na parterze sporej biblioteki. Przechodząc obok sali bilardowej, słyszę niski, szorstki głos Bestii. Rozmawia po polsku z Jonaszem. Co jakiś czas wtrącają słowa lub całe zdania po angielsku, zupełnie jak ludzie, którym łatwiej jest coś powiedzieć w jednym języku niż w drugim.

– Jak długo zamierzasz czekać? – pyta Jonasz.

– Tak długo jak mi się podoba – odpowiada leniwie Bestia.

– Mogli cię śledzić, jak tu jechałeś.

– A chuj tam mogą! – warczy Mikołaj po angielsku. A potem wyrzuca z siebie potok polskich słów, ewidentnie pouczając Jonasza.

Zakradam się bliżej drzwi. Nie rozumiem większości ich słów, ale Mikołaj brzmi na tak wkurwionego, że niemal jestem pewna, że mówi o mojej rodzinie.

– Dobrze, szefie – mówi skarcony Jonasz. – Przepraszam.

To akurat zrozumiałam.

– A co z Rosjanami? – pyta po chwili Jonasz. – Chcą się spotkać.

Bestia zaczyna mu odpowiadać. Mówi kilka zdań po polsku, po czym nagle przerywa.

– Nie znam się na irlandzkich zwyczajach – mówi po polsku. – Ale wydaje mi się, że na całym świecie uważa się podsłuchiwanie pod drzwiami za niegrzeczne.

Mam wrażenie, że temperatura dookoła spadła o dobre dwadzieścia stopni. Znajdujący się w sali bilardowej Mikołaj i Jonasz milczą. Czekają, aż im odpowiem albo się pokażę.

Ja tymczasem chciałabym zlać się z tapetą. Niestety, to nie wchodzi w grę.

Z trudem przełykam ślinę i stoję w progu, żeby mnie zobaczyli.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że zawsze dokładnie wiem, w której części domu jesteś? – pyta Bestia, wbijając we mnie złowrogie spojrzenie.

No jasne. Pieprzona opaska.

Strasznie mnie wkurza, że zawsze brzęczy mi nad stopą i wbija mi się w nogę, gdy próbuję zasnąć.

Jonasz wydaje się rozdarty między chęcią uśmiechnięcia się do mnie a zdenerwowaniem z powodu reprimendy, jaką przed chwilą

otrzymał od Mikołaja. W końcu zwycięża jego natura cwaniaka.

– Kilka godzin temu opuściłaś pokój i już masz kłopoty – mówi, unosząc brew. – Mówiłem Miko, że nie powinien ci pozwalać wychodzić.

Mikołaj rzuca Jonaszowi ostre spojrzenie, wynikające zarówno ze stwierdzenia, że jego podwładny może „coś mu mówić”, jak i z tego, że posłużył się jego pseudonimem.

Zastanawiam się, jak spodobałaby mu się ksywa, którą ja mu dałam.

Kogo ja oszukuję? Prawdopodobnie byłby zachwycony.

– Co chcesz usłyszeć? – pyta szyderczo Bestia. – Hasła do moich kont bankowych? Hasło do systemu bezpieczeństwa? Mogę ci zdradzić każdy swój sekret, a ty i tak nie będziesz mogła nic z tym zrobić.

Czuję, jak policzki zalewa mi rumieniec.

Ma rację. Jestem totalnie bezsilna. Właśnie dlatego pozwala mi kręcić się po swoim domu.

– Dziwię się, że rodzice cię nie wyszkolili – stwierdza zbliżający się do mnie Mikołaj. Patrzy na mnie, a jego twarz wykrzywia grymas pogardy. – Powinni byli wychować wilka, a nie owieczkę. To wydaje się prawie okrutne.

Choć wiem, że wypowiada te słowa celowo to i tak wbijają się one w mój mózg jak dziesiątki małych igieł.

Mój brat potrafi walczyć oraz używać broni palnej. Uczono go, aby był liderem, planistą, spadkobiercą.

Mnie wysyłano na tenisa i lekcje tańca.

Dlaczego moi rodzice nie zastanowili się, co może się stać, jeśli kiedykolwiek opuszczę bezpieczną przystań ich ramion? Sprowadzili mnie na ten mroczny i niebezpieczny świat, a uzbroili mnie w książki, sukienki i baletki...

Wygląda mi to na zamierzone działanie oraz rażące zaniedbanie.

Oczywiście nigdy nie zakładali, że porwie mnie żądny zemsty socjopata.

A może powinni.

– Szkoda, że nie potrafisz oddać, moja mała Balerino. Wtedy byłoby o wiele zabawniej.

Wpatruje się w moją przerażoną twarz.

Przekrzywia głowę niczym drapieżnik próbujący zrozumieć mysz.

Pachnie zupełnie tak, jak pachniałby wilk. Piżmem z prawdziwego futra. Ośnieżonymi, nagimi gałęziami. Sitowiem i bergamotką.

Patrzy na mnie, dopóki nie skurczę się pod jego spojrzeniem. Potem się nudzi i odwraca.

– Nie sądzę, żeby twój ojciec był ideałem! – wołam bez zastanowienia. – Odcinać palec własnemu synowi?

Mikołaj raz jeszcze odwraca się w moją stronę, lecz tym razem jego oczy przypominają wąskie szparki.

– Coś ty powiedziała? – syczy.

Teraz już wiem, że mam rację.

– Rzeźnik odciął ci palec – stwierdzam. – Nie rozumiem, czemu tak bardzo chcesz go pomścić, skoro tak cię potraktował.

Mikołaj w trzech krokach pokonuje dzielącą nas odległość. Nie jestem w stanie wycofać się wystarczająco szybko. Uderzam plecami o ścianę, a on znajduje się tuż przede mną. Jest wystarczająco blisko, aby móc mnie ugryźć. Czuję na twarzy jego oddech.

– Uważasz, że powinien być mnie rozpieszczać? – pyta. Spływająca na mnie fala jego gniewu sprawia, że jeszcze bardziej napieram plecami na ścianę. – Przekazał mi to, co warto wiedzieć. Nigdy mnie nie oszczędzał.

Unosi rękę tak, abym mogła zobaczyć jego długie, giętkie palce – z wyjątkiem małego, wszystkie mają idealny kształt.

– To była moja pierwsza lekcja. Nauczyłem się, że za wszystko trzeba zapłacić. Twoja rodzina też musi się tego nauczyć. Ty również, Balerino.

Jak za sprawą czarów, w jego dłoni pojawia się stalowe ostrze, które wyciągnął z kieszeni szybciej, niż jestem w stanie mrugnąć. Rani mnie w twarz tak szybko, że nawet nie zdążyłam unieść rąk, aby się obronić.

W ogóle nie czuję bólu.

Otwieram oczy. Mikołaj robi krok w tył, a długi kosmyk moich włosów ma owinięty dookoła swojej dłoni. Odciął go.

Piszczę, próbując wymacać, skąd go uciął.

Wiem, że to śmieszne, ale strasznie mnie wkurza znajomy widok jasnobrązowych włosów w jego dłoni. Mam wrażenie, że skradł mi coś o wiele ważniejszego niż włosy.

Odwracam się i uciekam, puszczając się biegiem na górę. W uszach dzwoni mi śmiech Jonasza i Mikołaja.

Wbiegam do swojego pokoju i zatrzasnę za sobą drzwi. Zupełnie tak, jakby Mikołaj miał ruszyć za mną i jakbym była w stanie go powstrzymać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

MIKO

Choć strasznie podoba mi się trzymanie Griffinów w niepewności, która jest dla nich prawdziwą torturą, to nadszedł czas, aby przejść do kolejnego punktu mojego popierdolonego planu, który trzymam dla nich w zanadrzu.

Ta część zaplanowanych przeze mnie działań służy dwóm celom: po pierwsze – będę czerpać przyjemność z wyłudzenia gotówki z ich skarbca. A po drugie – będę mógł zawrzeć sojusz z naszym wspólnym wrogiem.

Kola Kristoff stoi na czele chicagowskiej Bratvy. Rosyjska mafia na Środkowym Zachodzie nie jest tak silna jak na zachodnim wybrzeżu. Właściwie to nie tak dawno stracili znaczną część swoich aktywów, po tym jak ich poprzedni *boss* został zapuszkowany na dwanaście lat. Chicagowska policja zarekwirowała, wartą osiem milionów dolarów, wysokiej klasy rosyjską broń. Łupem przedstawicieli władz stały się pistolety SPP-1 przeznaczone do strzelania pod wodą oraz Vityaz-SN, najnowocześniejsza wersja klasycznego kałasznikowa.

Wiem to, bo jedna ze skrzyń, które przemycono do Chicago, a w których znajdowała się piękna, naoliwiona broń – należała do mnie. Niestety nie została ona przekazana moim ludziom.

Bratva znalazła się w trudnej sytuacji. Nie mają broni ani bossa, a w dodatku brakuje im kasy, aby spłacić klientów, którzy wpłacili zaliczkę na spluwy.

Wiszą mi forszę. Mnie oraz wielu innym osobom.

Potrzebują gotówki, a ja potrzebuję ludzi.

Możemy sobie nawzajem pomóc.

To wybornie ironiczny zbieg okoliczności, bo to właśnie Griffinowie oraz Gallo przekażą mi pieniądze, którymi

przypieczętuje nasz sojusz.

Zapłacą okup w wysokości czternastu milionów dolarów.

Wybrałem tę kwotę, bo Griffinowie oraz Gallo powinni ją bezzwłocznie uzbierać. Będzie to dotkliwy ubytek gotówki, lecz nie doprowadzi ich do bankructwa. Będą gotowi zapłacić i sądzę, że to odpowiednia cena ze Nessę.

Do notki informującej o okupie dołączam odcięty kosmyk jej włosów.

Jestem przekonany, że jej rodzice poznają ten charakterystyczny jasnobrązowy odcień oraz miękkość naturalnych, niefarbowanych włosów. Myślę, że sam byłbym w stanie je rozpoznać, gdybym gdziekolwiek na nie trafił.

Pocieram kosmyk jej włosów między kciukiem i palcem wskazującym, po czym wrzucam je do koperty. Mam wrażenie, jakby jedwabny kosmyk wciąż żył i rósł, mimo że nie jest już częścią jej ciała.

Notatka zawiera jasne instrukcje oraz groźbę:

Żeby udowodnić, że mamy Nessę odcięliśmy jej kosmyk włosów. Jeśli nie dostaniemy okupu, kolejna przesyłka będzie zawierała jej palec, a następna całą rękę. W ostatnim pudełku będzie jej głowa.

Chciałbym zobaczyć ich miny, gdy będą zadręczać się tą myślą.

Pisanie jest fajne, robienie tego wszystkiego już mniej. Podoba mi się torturowanie Griffinów oraz Gallo, lecz nie uśmiecha mi się cięcie Nessay na kawałeczki.

Na szczęście wątpię, że będę musiał to robić.

Obie rodziny szukają Nessay po całym mieście. Jedni informatorzy dostali od nich tysiące dolarów, z kolei na innych czekało lanie lub groźby. Zaatakowali dwie moje kryjówki i wdali się w bójkę z bramkarzami w moim klubie.

Oczywiście niczego nie znaleźli.

Bo nie jestem tak głupi, aby pozwolić, by jakiś szczur czy żołnierz niskiego szczebla poznał moje plany.

Podejrzewają mnie, lecz nie mają pewności, że to ja stoję za porwaniem Nessay. Dlatego też wplątanie Rosjan w okup jeszcze bardziej w tym wszystkim namiesza.

Daję Griffinom na zebranie wyznaczonej kwoty dwadzieścia cztery godziny.

Do notatki z żądaniem okupu dołączam telefon, aby w ostatniej chwili przekazać im, gdzie mają zostawić pieniądze. Nie chcę użerać się z karabinem snajperskim Dantego Gallo lub zasadzką w postaci tuzina ludzi, co bez wątpienia miałoby miejsce, gdybym był na tyle głupi, aby z wyprzedzeniem powiedzieć im, gdzie mają jechać.

Mimo to spodziewam się, że złamię zasady. W końcu są gangsterami. Kiedy zdrapać z nich ich powierzchowną kulturę, wyłania się spod niej twardy charakterek. Sądzę, że są równie zdeterminowani jak ja, aby dostać to, czego pragną.

Telefon do Griffinów wykonuje Jonasz, bo nie zdradzi go polski akcent.

Słyszę cichą odpowiedź Fergusza Griffina. Zachowuje się uprzejmie – nie chce, aby jego charakter naraził córkę na niebezpieczeństwo. Mimo to słyszę tą wrzącą, tuż pod powierzchnią pozornej ogłady, wściekłość.

– Gdzie mamy zawieźć pieniądze? – pyta.

– Na cmentarz Graceland – odpowiada Jonasz. – Jedzie się tam trzynaście minut. Będę szczodry i dam wam kwadrans. Wyślij dwóch ludzi, mają jechać w jednym samochodzie. Niech zabiorą telefon. Brama przy Clark Street będzie otwarta.

Czekamy już przy bramie. Rozstawiłem sześciu ludzi w odpowiednich punktach obserwacyjnych. Kola Kristoff zabrał ze sobą czterech żołnierzy.

Niecałe dwie minuty później Jędrzej przysłał mi SMS-a z informacją, że czarny lincoln opuścił posiadłość nad jeziorem, a za jego kierownicą siedzi wierny pies Irlandczyków, Jack Du Pont. Siedzenie pasażera natomiast zajmuje Callum Griffin. Zgodnie z przypuszczeniami chwilę później dostaję wiadomość od Marcela, w której informuje mnie, że Dante i Nero Gallo opuścili swój wiekowy dom. Każdy jedzie w innym wozie, prawdopodobnie zabrali też kilku swoich ludzi na przejażdżkę.

Jakże przewidywalne.

To nie ma znaczenia. Ograniczyłem im możliwości dostania się na cmentarz, otwierając tylko jedną z bram. W *miesiącach jesienno-*

zimowych cmentarz zamykany jest o szesnastej. Mieliśmy mnóstwo czasu na złapanie dwójki gliniarzy, którzy patrolowali okolicę oraz na rozmieszczenie dookoła własnych ludzi.

Rosjanie nawet przyprowadzili naszą zakładniczkę. Podstawiona dziewczyna ma węzły na nadgarstkach oraz kostkach, ubrana jest w to, co Nessa miała na sobie w dniu porwania – bluzę z kapturem, jeansy oraz tenisówki. Jej głowę zakrywa czarny płócienny wór, spod którego wystają jedynie kosmyki brązowych włosów.

Patrzę na nią okiem znawcy.

– Jest dobrze – mówię do Koli.

Kola uśmiecha się, ukazując białe, ostro zakończone zęby. Ma ciemniejszą karnację niż przeciętny Rosjanin. Jego oczy są wąskie i podługne, a ponad nimi rosną proste, gęste brwi. Prawdopodobnie miał jakiegoś mongolskiego przodka. Niektórzy z najbardziej bezwzględnych członków Bratvy są Tatarami. Kristoff jest młodym i pewnym siebie człowiekiem – wątpię, aby chicagowska rosyjska mafia dalej miała problemy, gdy będzie nimi dowodzić. A to oznacza, że wkrótce możemy znów się poróżnić.

Ale póki co jesteśmy sojusznikami, którzy chętnie łączą siły przeciwko wspólnym wrogom.

– Gdzie ją zaprowadzić? – pyta Kola.

Wskazuję na małą świątynię znajdującą się przy brzegu jeziora. Wygląda jak miniaturowy Partenon. Przez szczeliny między kamiennymi filarami można zobaczyć wszystko, co jest w środku.

– Zaprowadź ją tam – oznajmiam.

Wybrałem cmentarz ze względów strategicznych. Prowadzi do niego jedno główne wejście, a ponadto jest otoczony wysokim murem. To pół kilometra kwadratowego krętych ścieżek pośród rosnących gęsto drzew oraz kamiennych pomników, na tyle dużych i ciasno rozstawionych, że byłoby trudno nas znaleźć bez otrzymania wskazówek.

No i jest to jeszcze sposób na przypomnienie o śmierci. To niewypowiedziana groźba, żeby Griffinowie współpracowali, jeśli nie chcą, aby najmłodszy członek ich rodziny został na cmentarzu już na stałe.

Kola będzie tym, który zabierze okup. Przystał na to, bo nie chce, żeby pieniądze chociaż na chwilę były w niepowołanych rękach. To jego zapłata za połączenie sił.

Zgodziłem się na to, bo bardzo mnie cieszy fakt, że Griffinowie przeniosą uwagę z moich ludzi na Rosjan. Jeśli ktoś ma zostać postrzelony, to chcę, żeby to byli właśnie oni.

Wycofuję się do odosobnionego punktu obserwacyjnego, znajdującego się pośród drzew. Stąd będę wszystko widział, a dzięki słuchawce, którą mam w uchu – jak każdy z nas – będę również słyszał, jak przebiega wymiana.

Mam to w dupie, że chodzę po czyichś grobach w środku nocy. Nie wierzę w niebo ani piekło, duchy ani zjawy. Zmarli nie stanowią zagrożenia, bo już nie istnieją. Jedynie żywi mnie niepokoją. Tylko oni są w stanie stanąć mi na drodze do celu.

Ale nie jestem ignorantem, który nie widzi piękna tego miejsca. Rosną tu potężne, wiekowe dęby. Znajdują się tu również kamienne pomniki, dzieła jednego z najlepszych rzeźbiarzy w całym Chicago.

Jeden z grobów wyjątkowo przyciąga moją uwagę. A to z powodu oszklonej postaci zamkniętej w czymś, co przypomina szklaną trumnę Królowny Śnieżki. Podchodzę do niego, chcąc zobaczyć skrytą w mroku postać.

Wewnątrz pionowego szklanego pudła znajduje się kamienna figura przedstawiająca naturalnej wielkości dziewczynkę. Ma na sobie sukienkę i wiszący na lewym ramieniu kapelusz przeciwsłoneczny. Siedzi na bosaka, a w ręce trzyma parasolkę.

Inskrypcja na grobie mówi:

Inez Clark

1873–1880

Zabita przez piorun,

gdy bawiła się w deszczu.

Zastanawiam się, czy zadaniem szklanego pudła jest chronienie posągu przed dalszymi burzami.

Wiem, co musieli czuć jej bliscy. Szkoda, że to wszystko nie ma sensu. Kiedy straci się kogoś, kogo się kocha, nie można go już

ochronić przed niczym.

Moi zwiadowcy pilnują każdego zakątka cmentarza. Dają mi znać, kiedy Callum Griffin pojawia się pod główną bramą. Chwilę później bracia Gallo zatrzymują się przy Kenmore Avenue z wyraźnym zamiarem wejścia na cmentarz przez mur znajdujący się na tyłach.

Sygnalizuję Jonaszowi, żeby zadzwonił na telefon na kartę. Ma pokierować Calluma nad jezioro znajdujące się w północno-wschodniej części cmentarza.

– Weźcie pieniądze – rozkazuje Jonasz. – I lepiej, kurwa, biegnijcie. Macie tylko trzy minuty.

Pilnowanie czasu jest niezbędne. Chcę, żeby wszystko zakończyło się, zanim Gallo znajdą sposób, aby dostać się na cmentarz. Poza tym chcę, żeby Callum był zbyt rozgorączkowany i zdyszany, by myśleć trzeźwo.

Jezioro stanowi najbardziej otwartą część cmentarza. Jasne światło księżycowego rogała odbija się od tafli wody, oświetlając samotną postać Koli Kristoffa. Rosjanin pali papierosa, wypuszczając dym w niebo, zupełnie jakby nie liczył się z nikim i niczym.

Prawie w ogóle nie patrzy na biegnących ścieżką Calluma Griffina i Jacka Du Ponta. Każdy z nich niesie dwie ciężkie torby. Nawet tu, gdzie stoję, widzę, jak pot spływa im po twarzach.

Callum kiwa do Jacka. Obaj z ciężkim łoskotem rzucają torby pod nogi Koli. Słyszając ten dźwięk, Rosjanin po raz kolejny błyska białymi zębami.

Kiwa głową na jednego ze swoich ludzi, który klęka przy torbach, rozsuwa je i sprawdza ich zawartość.

– Zakładam, że to nieznaczone banknoty, a w torbach nie ma nadajnika – oznajmia Kola.

– Nie jestem z pieprzonego FBI – odpowiada z pogardą Callum.

Dzięki słuchawce w uchu wyraźnie ich słyszę. Głos Koli jest nieco głośniejszy niż Calluma.

Człowiek Koli grzebie w torbach, po czym pokazuje standardowych rozmiarów sztabkę złota, szukając aprobaty swojego szefa.

– To nie gotówka – zauważa Kola, unosząc brew.

– Dałeś nam tylko dwadzieścia cztery godziny – odpowiada Callum. – A złoto miałem pod ręką. Poza tym milion w banknotach

waży ponad siedem i pół kilo. Spodziewałeś się, że przytargamy sto osiem kilogramów?

– Ech, jesteście dużymi chłopcami, dalibyście sobie radę – szydzi Kola.

– Tu jest cała suma – warczy zniecierpliwiony Griffin. – Gdzie moja siostra?

– Za tobą – odpowiada Kola, przeciągając słowa.

Callum odwraca się i dostrzega szczupłą baletnicę stojącą w świątyni. Jej twarz wciąż zasłania założony na głowę worek.

– Lepiej, żeby nie miała ani jednego pieprzonego zadrapania – grozi.

– Jest dokładnie w takim samym stanie, jak wtedy, gdy ją porwałem – obiecuje Kola.

– Gdy ty ją porywałeś? – syczy Callum. – Nie chciałeś powiedzieć, że Mikołaj ją porwał? Gdzie on w ogóle jest? Nigdy nie uważałem cię za chłopca na posyłki, Kristoff.

Rosjanin wzrusza ramionami i po raz ostatni zaciąga się papierosem. Wrzuca niedopałek do jeziora, z miejsca, w którym pet poszedł na dno, rozchodzą się docierające aż do brzegu kręgi.

– Z wami, Irlandczykami, problem polega na tym – mówi cicho – że otaczają was wrogowie, a wy i tak nie boicie się narobić ich sobie więcej. Powinniście nauczyć się życia w przyjaźni.

– Nie przyjaźnisz się z termitami, które wgryzają ci się w fundamenty – mówi zimno Callum.

Słuchawka w moim uchu trzeszczy i słyszę mamroczącego Jędrzeja:

– Gallo się zbliżają.

– Pora ruszać – mówię do Koli.

Kristoff marszczy brwi, patrząc na Calluma i szukając zaczepki. Nie lubi wykonywać moich rozkazów, ale chce pieniędzy. Dlatego w końcu kiwa głową na swoich ludzi, którzy zabierają leżące na ziemi torby.

– Wkrótce się zobaczymy – mówi Kola do Calluma.

– A żebyś, kurwa, wiedział! – warczy Griffin.

Rosjanie biorą okup i biegną w stronę głównej bramy.

Callum kiwa głową na Jacka Du Ponta, wydając mu niemy rozkaz, aby ruszył za Rosjanami. Sam rusza w przeciwnym kierunku. Biegnie w stronę świątyni.

– Jack Du Pont zmierza w twoją stronę – mówię cicho do Marcela.
– Pozwól Rosjanom przejść, a potem poderżnij mu gardło.

Patrzę, jak Callum biegnie przez wysoką trawę, która rośnie na skraju wody przy świątyni.

– Nesso! – Słyszę jego wołanie. – Jestem tutaj! Nic ci nie jest?

Jego głos jest zachrypnięty, widzę, jak ramiona opadają mu z ulgi, kiedy dziewczyna ze związanymi za plecami rękami odwraca się na oślep w jego stronę.

Dante i Nero Gallo docierają w samą porę, aby być świadkami tego spotkania. Dante ma zawieszony na ramieniu karabin. Nero idzie tuż za nim, osłaniając jego tyły. Torują sobie drogę pośród drzew rosnących po przeciwnej stronie świątyni.

Wszyscy patrzymy, jak Callum zdejmuje z głowy dziewczyny czarny płócienny wór, odsłaniając przerażone oblicze Sereny Breglio.

Świeżo ufarbowane włosy bezwładnie spływają na jej ramiona. Rosjanie spierdolili sprawę – ich kolor jest ciemniejszy i bardziej błotnisty, ale na szczęście stała zbyt daleko, aby Callum to dostrzegł.

Ludzie Kristoffa porwali ją dzisiejszego popołudnia spod jej mieszkania przy Magnolia Avenue. Ciuchy Nessy, które im dałem, pasowały na nią wręcz idealnie. Wszystkie baleriny mają takie same szczupłe sylwetki.

Czarna maskara rozmazała się jej po policzkach od godzin płaczu. Mimo knebla w ustach Serena próbuje powiedzieć coś Callumowi.

Jego twarz przypomina wykrzywioną wściekłością i rozczarowaniem maskę. Gdyby był gwiazdą, w tej właśnie chwili eksplodowałby jako supernowa.

Zostawia dziewczynę w świątyni. Nawet nie kłopotczy się, aby ją rozwiązać. Zamiast niego robi to Dante Gallo.

Próbując dogonić Rosjan, Griffin biegnie w stronę głównej bramy.

Unoszę karabin, przyglądając się braciom Gallo przez lunetę.

Mam na celowniku Dantego. Przykucnął przy Serenie i wyciąga knebel z jej ust. Odwrócił się do mnie tyłem. Mógłbym mu wpakować

kulkę w kark, przerywając tym samym jego rdzeń kręgowy. To on zastrzelił Tymona. Mógłbym go w tej chwili wykończyć.

Mam jednak wobec niego zupełnie inne plany.

Opuszczam karabin. Obchodzę jezioro i ruszam za Callumem Griffinem.

Słyszę, jak wyje, kiedy zauważa zwłoki swojego kierowcy. Z tego, co wiem, chodzili razem do szkoły. Marcel poderżnął gardło Jacka Du Ponta, zostawiając go opartego o nagrobek w kształcie krzyża, aby się wykrwawił.

Wydaje mi się, że od teraz Callum sam będzie siadał za kółkiem.

– Idziesz, szefie? – Słyszę pytanie Jędrzeja w swoim uchu.

– Tak – odpowiadam. – Już idę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

NESSA

Dzisiaj w domu nie ma żadnego z mężczyzn.

Nie mam pojęcia, gdzie się podzieli. Zaczynam się przyzwyczajać do normalnego skrzypienia oraz jęków starej rezydencji. Dzięki nim wiem, kiedy słyszę jedynie kapryśne otoczenie i milkną wszystkie kroki, trzaskanie drzwiami, rozmowy po polsku i chichoty facetów.

Klara wciąż tu jest. Słyszę szum odkurzacza, a potem jej śpiew, gdy wyciera kurze na parterze. Dzięki temu jestem pewna, że Bestia zniknął – nie zachowywałaby się tak swobodnie, gdyby kręcił się gdzieś w pobliżu.

Przestali zamykać drzwi do mojego pokoju. Przemykam na parter, chcąc sprawdzić pozostałe drzwi. Są zamknięte, tak samo jak te prowadzące z oranżerii do ogrodu. Bez klucza nigdzie nie wyjdę.

Spodziewałam się tego, ale i tak zastanawiam się, gdzie są klucze. Wszyscy żołnierze powinni je mieć. Klara najprawdopodobniej też.

Mogłabym zakraść się do niej, gdy sprząta i uderzyć ją w głowę wazonem.

Wyobrażam sobie, że robię to jak jakaś filmowa bohaterka, a jednocześnie wiem, że nigdy nie byłabym w stanie tak postąpić.

Nie chcę skrzywdzić Klary. Była dla mnie miła, na tyle, na ile mogła. Uczy mnie polskiego i ochrania przed Jonaszem. Którejś nocy, po tym jak położyłam się do łóżka, słyszałam, jak kłóciła się z nim na korytarzu. On brzmiał tak, jakby był pijany. Odpowiadał jej bełkotliwie, a Klara była ostra i stanowcza. Nie wiem, co próbował zrobić, ale nie wpuściła go do mojego pokoju. Powiedziała w końcu: „Powiem Mikołajowi”. Oczywiście domyśliłam się, co miała na myśli.

Jeśli ucieknę, gdy Klara powinna mnie pilnować, będą mogli ją ukarać, a tego nie chcę. Tym bardziej, że znam repertuar kar, które tu

obowiązują. Odcinanie palców jest tu na porządku dziennym. Nie mogę pozwolić, aby tę dziewczynę to spotkało.

Dlatego też wracam do wschodniego skrzydła z myślą znalezienia sobie nowej książki. Splądrowałam obie małe czytelnie znajdujące się w moim skrzydle jak i większą bibliotekę na parterze.

Tysiące książek czekają, aż je przeczytam: beletrystyka i literatura faktu, klasyka oraz literatura współczesna. Większość z nich jest po angielsku, ale trafiają się również francuskie powieści oraz niemiecka poezja. Jest również egzemplarz *Don Kichota* w oryginalnym dwutomowym hiszpańskim wydaniu.

Ktoś musi dorzucać kolejne pozycje do tego zbioru, bo jest tu mnóstwo polskich wydań, a także polskie dzieła takie jak *Lalka* i *Choucas*, które czytałam na zajęciach z literatury.

Teraz omijają mnie zajęcia w szkole, a także lekcje tańca. Dziwnie jest myśleć o znajomych z klasy, którzy jak zwykle chodzą po kampusie, uczą się i oddają zadania domowe, podczas gdy ja trwam w zawieszeniu. Mam wrażenie, że siedzę tu zamknięta od kilku lat, a tak naprawdę minęły dopiero dwa tygodnie.

Jeśli będzie to trwało jeszcze dłużej, nie będę w stanie nadrobić zaległości. Obleję cały semestr.

Oczywiście opuszczenie szkoły nie będzie miało znaczenia, jeśli Bestia mnie zabije.

Przeglądam zawartość mniejszej czytelni, wodząc palcami po zakurzonych grzbietach. *Wiek niewinności, Rok 1984, Paragraf 22, Lalka...*

Zatrzymuję się. Ostatni tytuł widziałam chwilę temu w polskim wydaniu.

Wyciągam książkę z półki i kartkuję. Następnie wsuwam ją pod pachę i zabieram na parter, gdzie przeszukuję wszystko w poszukiwaniu oryginalnego wydania. I oto jest – *Lalka* w twardej skórzanej okładce w kwiecisty wzór. Mam teraz tę samą książkę w dwóch językach. Porywam obie pozycje i gnam przed siebie.

Moje serce bije jak szalone od biegu oraz podekscytowania z powodu znaleziska. Książki zabieram do swojego pokoju, a następnie kładę się na łóżku, żeby je obejrzeć. Obie otwieram na pierwszym rozdziale:

W początkach roku 1878, kiedy świat polityczny zajmował się pokojem san-stefańskim, wyborem nowego papieża albo szansami europejskiej wojny, warszawscy kupcy tudzież inteligencja pewnej okolicy Krakowskiego Przedmieścia nie mniej gorąco interesowała się przyszłością galanteryjnego sklepu pod firmą J. Mincel i S. Wokulski.

I oto mam ten sam akapit po polsku oraz po angielsku. Mogę czytać książkę zdanie po zdaniu i porównywać obie wersje językowe. Nie jest to tak skuteczne jak podręcznik do nauki danego języka, ale takie podejście do nauki też jest dobrym rozwiązaniem. Mam całe mnóstwo zdań do porównania, aby nauczyć się słownictwa oraz składni.

Polski jest cholernie trudnym językiem i wiem to wyłącznie na podstawie rozmów z Klarą. Niektóre z dźwięków – na przykład „ś” i „sz” – są tak podobne, że ledwo jestem w stanie je rozróżnić. Nie wspominając już o przypadkach oraz tym, że w porównaniu z angielskim szyk zdania jest tu zupełnie odwrotny.

Mam mnóstwo czasu, żeby nad tym popracować.

Prawie cały dzień przeleżałam w łóżku, próbując przebrnąć przez pierwszy rozdział książki w obu językach. Przestaję, gdy w końcu oczy zaczynają mnie boleć, a głowa ćmić.

Zamykam książki, a wtedy do mojego pokoju wchodzi Klara, niosąc tacę z obiadem. Szybciutko chowam swoje „podręczniki” pod poduszkę, na wypadek, gdyby zauważyła, co robię.

– Dobry wieczór – mówię po polsku.

Posyła mi krótki uśmiech stawiając tacę na stole.

– Dobry wieczór – odpowiada również po polsku. Jej wymowa jest o wiele lepsza od mojej.

– Gdzie są wszyscy? – pytam, w jej ojczystym języku. Właściwie chcę zapytać, gdzie są wszyscy żołnierze, lecz poprzestałam na tym, co zamierzałam przez to powiedzieć, a także zignorowałam fakt, że moje zdolności werbalne są na poziomie jaskiniowca.

Klara rozumie mnie wystarczająco dobrze. Szybko zerka w stronę drzwi, zupełnie jakby myślała, że w każdej chwili mężczyźni mogą wrócić.

– Nie wiem. – odpowiada po chwili po polsku, kręcąc przy tym głową.

Może naprawdę tego nie wie?

Wątpię, żeby Mikołaj dawał pokojówce kopię swojego grafiku. Klara jednak jest mądra. Założę się, że wie więcej niż ci wszyscy troglodyci przypuszczają. Po prostu nie chce mi niczego mówić, bo to bez sensu. W ten sposób wpakowałyby się w kłopoty.

Siadam przed tacą, na której – jak zawsze – jest więcej potraw, niż jestem w stanie zjeść. Mam przed sobą grillowanego kurczaka z rozmarynem, cytrynowe ziemniaki, smażone brokuły, świeże bułeczki, a do tego małą, przypominającą deser, przystawkę.

Jedzenie jak zawsze jest fantastyczne.

– Ty to robisz? – pytam po polsku, wskazując na tacę.

– Tak – odpowiada Klara, kiwając głową.

Świadomość, że Klara zadała sobie trud, żeby przygotować to wszystko, sprawia, że czuję się winna z powodu tych wszystkich razów, gdy odmawiałam jedzenia.

– Twoje jedzenie jest niesamowite – mówię po angielsku. – Powinnaś być szefem kuchni.

Rumieniąca się Klara wzrusza ramionami. Nie lubi, gdy ją komplementuję.

– Przypominasz mi Alfreda – mówię. – Kojarzysz Alfreda z *Batmana*? Jest dobry we wszystkim. Tak samo jak ty.

Klara uśmiecha się tym swoim uśmiechem Mona Lisy – nieodgadnionym, ale wyrażającym zadowolenie. A przynajmniej mam taką nadzieję.

– Co to jest? – pytam w jej języku, wskazując na talerzyk deserowy.

Wygląda jak złożone francuskie *crepes*¹⁶ obsypane cukrem pudrem.

– Naleśniki – odpowiada także po polsku.

Odkrawam kawałek, mimo że jeszcze nie skończyłam obiadu. Smakuje jak *crepes* z farszem ze słodkiego twarożku. W sumie to smakuje lepiej niż jakiekolwiek *crepes*, jakie kiedykolwiek jadłam – jest grubsze i bardziej aromatyczne.

– Pyszne! – oznajmiam z zachwytem po polsku.

– Moje ulubione – mówi, uśmiechając się.

Po jedzeniu rozglądam się za swoim body. Chcę się w nie przebrać, żebym mogła przed snem trochę poćwiczyć.

W komodzie znajduję wyprane i złożone body. Lecz nie widzę swoich ciuchów – bluzy z kapturem, jeansów i tenisówek.

– Gdzie są moje ubrania? – pytam po polsku.

Klara rumieni się, nie patrząc mi w oczy.

– Masz dużo ubrań – oznajmia, wskazując na szafę i komodę.

To dziwne.

Dlaczego zabrała moje ciuchy?

No cóż, to bez znaczenia. Najbardziej potrzebne jest mi body.

Chciałabym mieć jeszcze odpowiednie baletki. Tańczenie na bosaka jest w porządku, lecz przez to nie mogę ćwiczyć wszystkiego, co bym chciała. Do tego potrzebna jest mi też większa przestrzeń.

Po przebraniu się idę rozejrzeć się po swoim skrzydle, aby znaleźć lepsze miejsce do tańca. Do tej części domu, poza mną i Klarą, nikt nie zagląda. Traktuję ją jako swój teren, mimo że Mikołaj tak naprawdę nigdy nie powiedział, że mogę korzystać z pozostałych pomieszczeń.

Po sprawdzeniu wszystkich pomieszczeń, dochodzę do wniosku, że najlepiej do tańca nada się pokój artystyczny. Światło jest tam najbardziej naturalne, a także nie ma tam wiele mebli.

Poświęcam gdzieś godzinę, aby dostosować salę do swoich potrzeb. Upycham wszystkie krzesła oraz stoły pod jedną ze ścian, a potem zwijam wszystkie stare dywany, odsłaniając drewnianą podłogę. W jednym miejscu układam sztalugi oraz stojące luźno płótna, a także wszystkie przybory do malowania, które i tak w większości są zniszczone – są to tubki zaschniętej farby, spleśniałe pędzle oraz kawałki węgla drzewnego.

Teraz mam już mnóstwo miejsca. Ale i tak brakuje mi najważniejszej rzeczy.

Schodzę na dół, aby znaleźć Klarę. Stoi w kuchni i szoruje blaty. Na dłoniach ma rękawice ochronne lecz i tak wiem, że od pracy, którą tu wykonuje, ma podrażnioną skórę. To nie jej wina, że wszystko jest zakurzone i panuje tu ponury nastrój – to po prostu za dużo pracy jak na jedną osobę. Trzeba całej armii, aby utrzymać to miejsce

w czystości. Zwłaszcza przy tempie, w jakim idioci pokroju Jonasza wszystko brudzą.

– Klaro – wołam ją od progu i skupiam się na tym, by dobrze powiedzieć po polsku to, co mam na myśli:

– Potrzebuję muzyki.

Dziewczyna prostuje się, marszcząc przy tym brwi.

Początkowo wydaje mi się, że jest zdenerwowana tym, że przerwałam jej pracę, lecz po chwili zdaję sobie sprawę, że była zamyślona.

– Chodź ze mną – mówi po chwili, zdejmując rękawiczki.

Wychodzę za nią z kuchni, a następnie przechodzimy przez salę bilardową, a potem tylnymi schodami na górę, do części domu, której wcześniej nie widziałam. Ta przestrzeń jest prosta i ciasna – prawdopodobnie kiedyś mieściły się tu kwatery służby.

Klara prowadzi mnie aż na strych, który biegnie przez całą środkową część domu. To ogromne pomieszczenie, wypełnione niekończącymi się stosami pudeł oraz starymi meblami. Wygląda na to, że jest to dom dla połowy populacji pajaków w stanie Illinois. Stare pajęczyny rozciągają się od podłogi aż po sufit. Klara z niecierpliwością przedziera się przez nie. Ja natomiast idę za nią, zachowując odpowiedni dystans, bo nie chcę trafić na żadnego pajaka.

Dziewczyna zaczyna grzebać w pudłach. Mam nadzieję, że wie, czego szuka, bo mogłybyśmy spędzić tu sto lat, nie zbliżając się do celu. Widzę pożółkłe suknie ślubne, stosy starych fotografii, ręcznie tkane kocyki dziecięce oraz znoszone skórzane buty.

Widzę sukienki pochodzące z lat dwudziestych. Są wysadzone koralikami, pierzaste i drapowane. Odpowiednia osoba zapłaciłaby za nie fortunę. Wyglądają tak, że mogłyby być pokazywane w muzeum.

– Poczekaj – mówię do Klary. – Musimy rzucić na nie okiem.

Przerywa szukanie, a ja tymczasem otwieram szerzej pudło z sukienkami i wyciągam je z bibuły, w którą są zapakowane.

Nie mogę uwierzyć, jak ciężkie i misternie wykonane są te sukienki. Wyglądają na ręcznie szyte, a każda z nich musiała kosztować setki godzin pracy. Materiał, z których je wykonano, nie

przypomina niczego, co można w dzisiejszych czasach spotkać w sklepie.

– Musimy którąś przymierzyć – oznajmiam, zwracając się do Klary.

Dotyka frędzli jednej z sukni. Widzę, że jest nimi równie oczarowana, co ja, jednak nie należy do osób, które łamią zasady. Suknie znajdują się wewnątrz domu, a to oznacza, że są własnością Bestii.

Ja mam w dupie, do kogo należą. Zamierzam którąś założyć.

Wyciągam niebieską, aksamitną suknię z długimi motylkowymi rękawami. Głębokie wcięcie w kształcie litery V z przodu sięga prawie do talii. Suknię oplata wysadzany klejnotami pasek. Zdumiona, jak ciężka jest ta suknia, zakładam ją na swoje body. Czuję się jak cesarzowa, która powinna mieć służącego, który niósłby za nią tren.

Klara patrzy na sukienkę z szeroko otwartymi oczami. Widzę, że ona również chce którąś przymierzyć.

– Chodź – namawiam ją. – Nikt nas nie zobaczy.

Przygryzając wargę, podejmuje decyzję. Pospiesznie zdejmuję swój okropny strój pokojówki. Jeśli istnieje dowód na to, że Mikołaj jest potworem, to świadczy o tym fakt, że każdego dnia każe nosić jej to okropieństwo. Wygląda na to, że w tym ubraniu jest niewygodnie i gorąco.

Paskudny strój Klary skrywa naprawdę śliczną figurę. Jest szczupła i silna – prawdopodobnie od całodniowego dźwigania i szorowania.

Wyciąga z pudła długą czarną suknię ze stanikiem ozdobionym srebrnymi paciorkami. Zakłada ją, a ja zapinam suwak na jej plecach. Następnie odwraca się, więc mogę podziwiać efekt końcowy.

Wygląda wspaniale. Gorset sukni jest niemal przezroczysty, zrobiono go z cienkiej czarnej siateczki. Na piersi wyhaftowane są srebrne księżycy oraz gwiazdki. Wokół talii zawiązany jest długi, srebrny pas, przypominający coś, co można zobaczyć na rysunkach średniowiecznych sukni. Czarnowłosa i ciemnooka Klara wygląda w niej jak czarodziejka.

– O mój Boże – wzdycham. – Jest taka piękna.

Zaciągam Klarę w stronę opartego o ścianę starego, zakurzonego lustra. Przecieram je dłońmi, aby mogła wyraźnie zobaczyć swoje

odbicie.

Wbija wzrok w szklaną taflę. Ona również jest oczarowana swoim widokiem.

– Kto to jest? – pyta cicho po polsku.

– To ty – śmieję się. – Wyglądasz bajecznie.

Moja sukienka jest ładna, lecz ta, którą Klara ma na sobie, jest dla niej stworzona. Nigdy nie widziałam, żeby ubranie pasowało do kogoś tak idealnie. Zupełnie, jakby krawcowa patrzyła na swoją mużę z przyszłości.

– Musisz ją zatrzymać – oznajmiam. – Zabierz ją do domu. Nikt nie wie, że ona tutaj jest.

Co prawda mówię po angielsku, ale Klara rozumie, co chcę jej powiedzieć. Dziko kręci głową, próbując rozsunąć zamek.

– Nie, nie – mówi po polsku, szarpiąc. – Zdejmij ją.

Pomagam jej rozsunąć zamek, zanim porwie materiał. Zdejmuje sukienkę, po czym błyskawicznie ją składa i chowa z powrotem do pudła.

– To nie dla mnie – mówi, kręcąc głową.

Wiem, że cokolwiek bym nie powiedziała i tak jej nie przekonam.

To straszne myśleć o pleśniejącej na strychu sukience, której nikt nie nosi ani nie uwielbia tak jak Klara. Ale rozumiem, że bojąc się, że Mikołaj się dowie, nigdy nie mogłaby się nią cieszyć. Gdzie, tak w ogóle, miałyby ją nosić? Z tego, co wiem, to cały czas siedzi tutaj.

Chowamy suknie z powrotem na miejsce, a Klara ponownie zakłada swój uniform, który w porównaniu z cudowną suknią jest pewnie jeszcze bardziej swędzący i drażniący. Potem Klara grzebie jeszcze w kilkunastu kartonach, aż w końcu znajduje to, czego szukała.

– Tam! – mówi radośnie po polsku.

Wyciąga pudełko, a następnie wciska mi je do rąk. Zataczam się pod jego ciężarem. A kiedy unosi wieko, widzę że w środku są dziesiątki długich, smukłych grzbietów w przeróżnych kolorach. To pudełko ze starymi płytami.

– A gramofon? – pytam.

– Na dole – odpowiada po polsku, kiwając przy tym głową.

Kiedy zanoszę płyty do starego pokoju artystycznego, Klara wygrzebuje gramofon. Stawia go na jednym z niewielkich stolików, które upchnęłam w rogu. Gramofon jest równie stary jak winyle i jeszcze bardziej zakurzony. Pokojówka musi przetrzeć go wilgotną szmatką. Nawet po podłączeniu go do prądu, aby udowodnić że talerz wciąż się obraca, żadna z nas nie ma pewności, czy w ogóle będzie grać.

Wyciągam jedną z płyt, a następnie wysuwam ją z rękawa ochronnego. Klara ostrożnie kładzie ją na talerzu i kładzie igłę w odpowiednim miejscu. Najpierw rozlega się nieprzyjemny dźwięk zakłóceń, a potem, ku naszej radości i zdumieniu, rozbrzmiewa *All I have to do is dream* w wykonaniu The Everly Brothers.

Obie zaczynamy się śmiać. Nasze twarze i dłonie są brudne od kurzu pokrywającego strych, lecz obie uśmiechamy się promiennie jak nigdy.

– Proszę bardzo. Muzyka – mówi po polsku Klara.

– Dziękuję, Klaro – odpowiadam również w jej języku.

Uśmiecha się, wzruszając szczupłymi ramionami.

Jak tylko wychodzi, zaczynam przeglądać pudełko z płytami. Większość z nich pochodzi z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – nie jest to coś, do czego zazwyczaj tańczę, ale nie mam zamiaru wybrzydząć.

Jest tam również kilka płyt z muzyką klasyczną. W kolekcji znajdują się kompozytorzy, o których nigdy wcześniej nie słyszałam. Puszczam kilka różnych utworów, szukając czegoś, co pasowałoby do mojego nastroju.

Zwykle skłaniam się w kierunku wesołej, optymistycznej muzyki. Niechętnie się do tego przyznaję, ale od lat jedną z moich ulubionych piosenek jest Taylor Swift.

Jednak w pudełku nie ma niczego takiego. Wielu rzeczy, które tam są, w ogóle nie poznaję.

Jedna z okładek przyciąga moją uwagę. To pojedyncza biała różna na czarnym tle. A kompozytor nazywa się Egelsei.

Zmieniam płytę i nastawiam ramię z igłą.

Ta muzyka nie przypomina niczego, co do tej pory słyszałam – jest dręcząca, dysharmonijna oraz... urzekająca. Przywodzi mi na myśl tę

skrzypiącą w nocy starą rezydencję. Lustrzane odbicie Klary w sukni czarownicy oraz siedzącą przy długim oświetlonym świecami stole dziewczynę, która siedzi naprzeciwko Bestii.

Kojarzy mi się z baśniami – mrocznymi i przerażającymi. Pełnymi przygód, niebezpieczeństw oraz magii.

Moimi ulubionymi baletami zawsze były te bazujące na baśniach – *Kopciuszek*, *Dziadek do orzechów*, *Śpiąca królewna*, *Kamienny kwiat* czy *Jezioro łabędzie*.

Zawsze żałowałam, że nie powstał balet w oparciu o moją najukochańszą bajkę: *Piękną i Bestię*.

Dlaczego miałby nie powstać?

Mogę go stworzyć.

Skomponowałam dla Jacksona Wrighta choreografię do czterech utworów.

Gdybym chciała, mogłabym skomponować cały balet, od początku do końca. Taki, który byłby jak ten dom: mroczny, gotycki, przerażający i piękny. Mogłabym zebrać cały swój strach oraz fascynację i przelać to wszystko na taniec. I byłoby to bardziej rzeczywiste niż wszystko, co do tej pory stworzyłam.

Jackson mówił, że w mojej pracy brakuje emocji. Może miał rację, bo co ja wcześniej czułam? Nic!

Teraz coś czuję. Przeróżne rzeczy. W ciągu dwutygodniowej niewoli doświadczyłam więcej emocji niż przez całe swoje życie.

Podkreślam głośność i zaczynam komponować choreografię do swojego baletu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

MIKO

Wracając z cmentarza do domu, jestem pewny, że posiadłość będzie otulona ciszą i mrokiem.

Ale gdy przechodzę przez główny hol, słyszę w oddali grającą gdzieś we wschodnim skrzydle muzykę.

Nessa nie powinna mieć dostępu do muzyki. Nie może mieć telefonu, komputera ani nawet radia. A jednak bez wątpienia słyszę zmieszane ze sobą dźwięki pianina i wiolonczeli oraz delikatne uderzenia jej bosych stóp.

Odgłosy te ciągną mnie niczym haczyk w pysku pstrąga i zanim w ogóle udaje mi się podjąć świadomą decyzję, aby ruszyć się z miejsca, już idę po schodach na górę. Podążam za muzyką, lecz nie do pokoju Nessy, tylko do salonu, w którym córka barona eksponowała swoje akwarele.

Podchodzę do otwartych drzwi. Zatrzymuję się w nich, wpatrzony w to, co dzieje się w środku.

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Nessa tak tańczyła. Kręci wiele piruetów z rzędu, uniesioną nogę raz po raz prostuje i zgina w kolanie, a następnie rozpościera ramiona, by po chwili przyciągnąć je bliżej ciała, aby móc wirować jeszcze szybciej.

Można odnieść wrażenie, że Nessa jest łyżwiarką figurową, a podłoga to tafla lodu. Nigdy nie widziałem kogokolwiek poruszającego się z taką łatwością.

Wyraźnie się zmęczyła, a jej jasnoróżowe body jest przemoczone od potu tak, że dostrzegam pod nim każdy szczegół jej anatomii – zupełnie jakby była całkiem naga. Ciasny kok, który upięła na głowie, nieco się rozpadł i wilgotne kosmyki przyklejają się do jej twarzy oraz szyi.

A ona wciąż porusza się coraz szybciej, skacze, pada na podłogę, przewraca się po niej i znowu podskakuje.

Zdaję sobie sprawę, że coś odgrywa – jakąś scenę. Wygląda, jakby uciekała, oglądając się przez ramię. Po chwili zatrzymuje się, wraca do miejsca, w którym zaczynała i tańczy to samo od nowa.

Ćwicz coś. Nie, to nie tak – tworzy coś. Ulepsza to.

Komponuje choreografię do jakiegoś tańca.

Zatrzymuje się i zaczyna od nowa.

Tym razem odgrywa inną część. Teraz to ona goni niewidzialną postać po scenie. Powinien to być duet, lecz nie mając nikogo innego, musi odgrywać obie role sama.

Chciałbym zobaczyć, co widzi w swojej głowie.

Rozumiem tylko skrawki tego wszystkiego. To, co widzę, jest pełne emocji i niezwyklej dynamiki. A przecież to tylko dziewczyna zamknięta w pustym pokoju. Widzi wokół siebie cały świat.

To hipnotyzujące. Przyglądam się, jak raz za razem powtarza ten sam fragment. Raz odgrywa rolę myśliwego, a za chwilę ofiary. Raz dokładnie odtwarza to, co robiła wcześniej, a innym razem nieco to zmienia.

Potem płyta przestaje grać i oboje wracamy do rzeczywistości.

Wyczerpana Nessa dyszy, a ja stoję w drzwiach i nie mam pojęcia, ile czasu minęło.

Dziewczyna unosi głowę i mnie zauważa. Jej ciało się napina, a ręka unosi w stronę ust.

– Widzę, że się rozgościłaś – stwierdzam.

Przesunęła meble pod ścianę i zwinęła wszystkie dywany. Z poczuciem winy wymalowanym na twarzy, rozgląda się po nagiej podłodze.

– Potrzebowałam miejsca do tańczenia – odpowiada zachrypniętym głosem. Zaszło jej w gardle od wielogodzinnego tańczenia.

– Co to jest? – pytam.

– To coś... coś, co komponuję.

– Co?

– Balet.

– To widzę – mówię krótko. – O czym?

– To bajka – szepcze.

No przecież. Ależ z niej dzieciuch.

Jednak taniec wcale nie był dziecinny. Był zniewalający.

Z gramofonu dobiega pusty, powtarzający się dźwięk, co oznacza, że płyta się skończyła. Igła skacze po winylu. Przechodzę przez pokój, unoszę ramię z igłą i wciskam przycisk zatrzymujący talerz.

– Skąd go masz? – pytam.

– Z... Znalazłam – odpowiada.

Jest fatalnym kłamcą. To oczywiste, że Klara jej go dała. Przecież były w domu same.

Spodziewałem się tego, że Klara zacznie współczuć naszemu więźniowi. To zagadka, której nie jestem w stanie rozwikłać. Wiedziałem, że każdy, kto ma serce, będzie miał problem z ignorowaniem słodkiej, małej Nessy. Ale nie jestem w stanie zaufać żadnemu ze swoich ludzi, by jej pilnowali. Jest zbyt piękna. Już i tak mam wiele problemów ze zmuszeniem ich, aby zostawili Klarę w spokoju, chociaż ciągle nosi ten ohydny strój. Niewinna Nessa ubrana w trykot i spodenki gimnastyczne to pokusa, której nie sposób się oprzeć. Musiałem zabronić im wchodzić do jej pokoju. A mimo to widzę, że przyglądają się jej gdziekolwiek by nie poszła. Jonasz gapi się na nią w sposób szczególny.

To sprawia, że chciałbym odciąć mu jajca. Każdemu z nich.

Nessa jest moim więźniem. Nikt, poza mną, nie będzie jej dotykać.

Kropla potu spływa po jej twarzy, potem po szyi i mostku, aż w końcu znika w przestrzeni między piersiami.

Moje oczy podążają za nią. Półprzezroczysty materiał body przylega do małych, krągłych piersi Nessy. Widzę jej pomarszczone brodawki i małe, lekko sterczące ku górze sutki. Myślałem, że są różowe, lecz są jasnobrązowe, zupełnie jak piegi na policzkach. Są tak wrażliwe, że twarzoneją na moich oczach od samego ciepła mojego spojrzenia.

Mój wzrok wędruje niżej. Widzę biegnące w dół jej umięśnionego brzucha bruzdy oraz wcięcie pępka. Niżej znajduje się jej krocze, dostrzegam nawet zarys jej warg sromowych, które również są mokre od potu.

A przede wszystkim czuję jej zapach. Czuję zapach mydła, potu... a nawet delikatny piżmowy zapach jej słodkiej cipeczki.

Przez to robię się cholernie wygłodniały.

Mam tak bardzo rozszerzone źrenice, że dostrzegam każdy szczegół jej ciała – drobne kropelki potu znajdujące się nad wargą. Brązowe plamki w jej zielonych oczach. Gęsią skórę na ramionach. Drżące mięśnie ud.

Czuję się tak, jakbym spał od stu lat i nagle, w tej właśnie chwili, się obudził. Mój kutas szaleje w spodniach. Jest twardszy niż zazwyczaj – sztywny, pulsujący i strasznie chce wydostać się na zewnątrz.

Pragnę tej dziewczyny. Chcę jej, tu i teraz.

Pragnę jej tak, jak nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety. Chcę ją pocałować, przelecieć i pożreć żywcem.

Widzi to po mojej twarzy. Ma szeroko otwarte oczy i wcale nie mruga. Stoi jak sparaliżowana.

Łapię ją za spocone włosy i odchylam jej głowę do tyłu, odsłaniając długą, bladą szyję.

Przesuwam po niej językiem, zlizując pot. Jego wyraźny słony smak eksploduje na moim języku. Smakuje lepiej niż kawior. Łapczywie przełykam ślinę.

A potem ją całuję. Ma suche od tańca usta. Oblizuję je, czując smak słonej skóry, a następnie wsuwam język do jej ust i namiętnie całuję. Pochłaniam jej zapach i smak. Pieprzę jej usta swoim językiem.

Przez chwilę Nessa stoi nieruchomo w moich ramionach. Jej ciało jest napięte jak struna. A potem, co wprawia mnie w osłupienie, odwzajemnia pocałunek. Robi to nieumiejętnie i bez żadnego stylu, lecz jej głód niemal dorównuje mojemu.

Stoimy tak połączeni ze sobą. Moje palce wbijają się w jej ciało, a ona łapie mnie za koszulę.

Nie mam pojęcia, jak długo to trwa.

Rozdzielamy się i wbijamy w siebie wzrok. Oboje jesteśmy tak samo skołowani tym, co tu się przed chwilą, do cholery, wydarzyło.

Ma krew na wardze. Czuję jej smak w ustach. Nie wiem, czy to ona mnie ugryzła, czy raczej ja ugryzłem ją.

Dotyka wargi, po czym przygląda się jasnej plamie krwi na opuszcze palca. Następnie odwraca się i biegiem opuszcza pokój, zupełnie jakbym deptał jej po piętach.

Nie idę za nią. Jestem zbyt oszołomiony, aby to zrobić.

Pocałowałem ją. Kurwa, dlaczego ją pocałowałem?

Nie miałem w ogóle zamiaru ani jej całować, ani dotykać.

Robiłem całe mnóstwo straszliwych rzeczy w swoim życiu, lecz nigdy nie zmuszałem do niczego kobiety. To jedyna rzecz, której nie zrobię.

Więc dlaczego w ogóle ją pocałowałem?

Jest piękna, lecz na świecie istnieje całe mnóstwo pięknych kobiet.

Jest niewinna, ale ja kurewsko nienawidzę niewinności.

Jest utalentowana, ale co dobrego może wyniknąć z tańczenia w świecie pełnym morderców i złodziei?

Czuję się zmuszony sprawdzić co robi i wyciągam telefon. Zdaję sobie sprawę, że oglądam ją coraz częściej. Mam dostęp do kamery znajdującej się w sypialni, tej skierowanej bezpośrednio na jej łóżko. Nie oglądam jej, gdy przebywa w toalecie lub pod prysznicem, nie jestem aż tak zdesperowany.

I rzeczywiście, leży na brzuchu na łóżku. Lecz nie szlocha, jak się tego spodziewałem.

O nie. Robi coś zdecydowanie innego.

Dotyka się, trzymając dłoń między udami. Gładzi tę swoją słodką, cipeczkę palcami, jednocześnie pocierając biodrami o łóżko. Wciąż ma na sobie body. Widzę zaokrąglone mięśnie na jej pośladkach, które napinają się przy każdym ruchu bioder.

Jezu Chryste. Serce tłucze mi się w piersi. Nie jestem w stanie oderwać wzroku od ekranu. Obraz, mimo że czarno-biały, jest wystarczająco wyraźny.

Patrzę, jak wciska poduszkę między swoje nogi, siada na łóżku i zaczyna się o nią ocierać. Zaciska na niej uda, łapie za prześcieradło i ujeżdża ją, jakby miała pod sobą mężczyznę.

Nie zdając sobie z tego sprawy, wyciągnąłem ze spodni kutasa. Trzymam go w jednej, a telefon w drugiej ręce. Moje oczy są skupione na ekranie. Nie jestem w stanie odwrócić wzroku, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Rozchyła usta, kiedy zaczyna dochodzić. Widzę, jak wydaje z siebie przeciągły, cichy krzyk.

W tej samej chwili eksploduję prosto w swoją dłoń. Moja sperma strzela raz za razem, a każdy z nich zdaje się być zsynchronizowany z ruchem bioder Nessy. Nawet nie musiałem sobie walić konia.

Czuję, jak uginają się pod mną kolana. Mocno zaciskam palce na kutasie, starając się nie jęczeć. Orgazm jest bolesny. Wraz z nim ulatuje ze mnie życie.

Wciąż wpatruję się w ekran i patrzę na delikatne rysy Nessy oraz na jej szczupłą sylwetkę. Wreszcie się odpręża i raz jeszcze pada twarzą na łóżko.

Nie mogę oderwać od niej oczu. Każda linia jej ciała – od kosmyków mokrych od potu włosów, przez ptasie łopatki aż po długie nogi – wyryła mi się w pamięć.

Nie mogę odwrócić wzroku.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

NESSA

Budzę się rano. Jestem mokra i klejąca od potu... a do tego przepełnia mnie wstyd.

Wirujące w moim umyśle wspomnienia są koszmarami. Muszą nimi być. Tak to sobie tłumaczę.

Nie ma takiej opcji, żebym zaliczyła swój pierwszy pocałunek z mężczyzną, który mnie uprowadził.

Nie mogłabym być aż tak głupia.

A jednak!

I po tym wszystkim jeszcze zrobiłam sobie dobrze!

Na samo wspomnienie tego wszystkiego policzki płoną mi z upokorzenia. Wróciłam biegiem do swojego pokoju z zamiarem ukrycia się. Byłam tak zdenerwowana, a serce tłukło mi się w piersi, dając znać, że boleśnie czegoś potrzebuję. Kiedy na sekundę położyłam tam dłoń, natychmiast poczułam przyjemność. To było coś więcej, to była przyjemność, ulga i desperacka potrzeba kontynuacji. Wszystko na raz.

A ten orgazm...

O mój Boże. Gdyby zebrać wszystkie razy, kiedy się dotykałam, wrzucić je do blendera, zmielić i podkręcić to dziesięciokrotnie – to nadal nie byłoby bliskie temu, czego niedawno doświadczyłam.

To szalone i nierealne, więc nie ma opcji, żeby to wydarzyło się naprawdę.

Cały czas to sobie powtarzam. Potem wtaczam się pod prysznic, zdejmuję z siebie to paskudne body i myję się pewnie przez godzinę. Szoruję każdy centymetr kwadratowy swojej skóry, próbując zmyć z siebie powracające do mnie doznania – dotyk jego skóry, to jak szarpał mnie za włosy. Smak jego ust, które smakowały jak

mieszanka soli, papierosów, cytrusów oraz krwi. Ciepło jego ust mnie zaskoczyło tak samo, jak sposób wodzenia językiem po mojej szyi. Sprawił, że wszystkie neurony w mojej głowie rozpalały się niczym sznur petard.

Nie, nie, NIE!

Nie znoszę tego. Wcale mi się to nie podoba. To było okropne, szalone i nigdy więcej się nie powtórzy.

Wychodzę spod prysznic, owijam się ręcznikiem i przecieram dłonią zaparowaną taflę lustra. Patrzy na mnie moja własna przerażona twarz. Mam nabrzmiałe usta i przepełnione poczuciem winy oczy.

Łapię szczoteczkę do zębów i zaciekle myję usta, starając się pozbyć jego smaku.

Kiedy wychodzę z łazienki, zauważam stojącą przy łóżku Klarę. Widząc ją, wydaję z siebie cichy pisk.

– Dzień dobry! – mówi radośnie po polsku.

– Hej – odpowiadam smutno. Jestem za bardzo przygnębiona, żeby odpowiedzieć jej tym samym.

Zaciska usta, patrząc na mnie. Po tym, jak wczoraj stworzyliśmy idealną salkę taneczną, liczyła na to, że będę radosna.

– Spójrz! – mówi, wskazując na łóżko.

Zdążyła już je pościelić, oczywiście jak zawsze wszystko jest idealnie złożone. Następnie rozkłada na nim tuzin ciuchów do tańca, wśród nich są trykoty, rajstopy, ocieplacze, skarpetki i dwie pary zupełnie nowych baletek.

To nie są jakieś tam ciuchy do tańca – body ma metkę Yumiko, a buty Grishko. Ocieplacze pochodzą z najnowszej kolekcji Eleve. Bez wątplenia są lepsze od tego, co mam w swojej szafie w domu. Biorę baletki do ręki i widzę, że są we właściwym rozmiarze.

– Skąd to się wzięło? – pytam z trudem. – Kupiłaś to?

Klara tylko wzrusza ramionami i się uśmiecha.

Mogła to kupić, ale nie sądzę, żeby zapłaciła za te ciuchy. Po prostu nie wydaje mi się, żeby aż tyle zarabiała. Czy to Mikołaj jej kazał to wszystko zdobyć? I czy zrobił to dlatego, że pozwoliłam mu się pocałować?

Myśl o tym sprawia, że mam dreszcze. Mam ochotę to wszystko zgarnąć z łóżka i wyrzucić do śmieci.

Tylko że nie mogę tego zrobić. Klara wygląda na zbyt zadowoloną i pogodną.

Myślała, że będę zachwycona, mając coś lepszego niż moje jedyne, coraz bardziej postrzępione, body.

– Dziękuję, Klaro – mówię, używając jej ojczystego języka, próbując zmusić się do uśmiechu.

Tymczasem czuję, że coś ściska mnie w żołądku.

Mam mętlik w głowie. W jednej chwili myślę, że Bestia mnie zabije, a w drugiej dostaję od niego prezenty. Sama nie wiem, co jest gorsze.

Klara gestykuluje i zachęca mnie, żebym założyła któryś ze strojów.

Boże, naprawdę nie chcę tego robić.

– Ten – mówi, wskazując na jeden z nich.

To lawendowy trykot z odkrytymi plecami, dzianinowe szare getry i dopasowany *crop top*. Jest naprawdę cudowny. I wydaje się, że jest w odpowiednim rozmiarze.

Zakładam go, doceniając dobrej jakości, rozciągliwy materiał oraz fakt, że jest nowy i dobrze dopasowany.

Klara robi krok w tył, uśmiechając się z satysfakcją.

– Dziękuję – powtarzam, tym razem bardziej szczerze.

– Oczywiście – mówi po polsku.

Przyniosła mi śniadanie – płatki owsiane, truskawki i grecki jogurt. A także kawę i herbatę. Po posiłku udaję się prosto do swojej pracowni, aby wrócić do pracy.

Nigdy wcześniej nie byłam tak bardzo pochłonięta pracą. Moim pojawieniem się Mikołaj nie zgasił mojego zapału. Przeciwnie, podsunął mi mnóstwo pomysłów. Nie chcę powiedzieć, że mnie zainspirował, ale na pewno rozbudził we mnie pewne emocje, które teraz mogę przelać w swoją pracę. Strach, zmieszanie, niepokój, a może i... trochę podniecenia.

On mnie wcale nie pociąga. Zdecydowanie nie. Jest potworem, a nie normalnym gangsterem. Członkowie mojej rodziny może i są przestępcami, ale bywają agresywni tylko wtedy, kiedy muszą.

Robimy to, co robimy, aby coś osiągnąć, a nie żeby krzywdzić ludzi. Tymczasem zadawanie mi bólu dla Mikołaja jest przyjemnością. To zgorzkniały i mściwy człowiek. Chce zabić wszystkich, których kocham.

Ktoś taki jak on nie mógłby mnie pociągać.

To, co zdarzyło się zeszłej nocy, było po prostu efektem wielotygodniowej niewoli. To musiał być jakiś pokręcony rodzaj syndromu sztokholmskiego.

Kiedy będę miała chłopaka, to na pewno będzie on słodki i uprzejmy. Będzie przynosił mi kwiaty i przytrzymywał drzwi. Nie będzie mnie straszyć, nie będzie atakować pocałunkiem, podczas którego będę się czuła jak zjadana żywcem.

O tym właśnie myślę, kiedy kładę płytę na talerzu gramofonu i ustawiam ramię z igłą.

Gdy tylko rozbrzmiewa ta upiorna, gotycka muzyka, moje myśli odpływają w zupełnie innym kierunku.

Wyobrażam sobie wędrującą po lesie dziewczynę. Przychodzi do zamku. Otwiera drzwi i zakrada się do środka.

Jest strasznie głodna. Dlatego też, gdy widzi jadalnię z suto zastawionym stołem od razu zasiada do uczty.

Lecz nie siedzi przy nim sama.

Siedzi naprzeciwko jakiegoś stworzenia.

To istota o ciemnej, wzorzystej skórze. Ma ostre kły oraz szpony. I jasne oczy, przypominające okruchy arktycznego lodu...

Jest jednocześnie wilkiem i człowiekiem. Jest również straszliwie głodny. Tylko że pragnie czegoś, czego nie ma na stole...

Pracuję przez cały ranek oraz podczas obiadu. Klara zostawia tacę w moim nowym studiu. Zapominam o posiłku, aż w końcu rosół jest już zimny.

Po obiedzie siedzę nad swoim egzemplarzem *Lalki*, a następnie mam zamiar wybrać się na spacer po ogrodzie. Przechodząc przez parter, słyszę charakterystyczny głos Mikołaja.

Sprawia on, że prąd elektryczny przemyka po moim ciele.

Zanim orientuję się, co robię, zwalniam, żeby posłuchać. Bestia idzie korytarzem w moją stronę, lecz jeszcze mnie nie zauważa.

Towarzyszy mu ciemnowłosy facet o sympatycznym uśmiechu – Marcel.

Rozumiem coraz więcej z rozmów, które prowadzą po polsku. Właściwie to kolejne wypowiedziane przez nich zdania są na tyle proste, że doskonale wszystko rozumiem.

– Rosjanie są zadowoleni – oznajmia Marcel.

– Oczywiście, że są zadowoleni – odpowiada Mikołaj. – Rosjan zadowalają dwie rzeczy: pieniądze i wódka.

Mikołaj zauważa mnie i przystaje. Omiata wzrokiem moje nowe ubranie. Chyba widzę na jego twarzy cień uśmiechu. I strasznie mi się to nie podoba.

– Skończyłaś na dziś? – pyta uprzejmie.

– Tak – odpowiadam.

– Niech zgadnę... spacer po ogrodzie.

Jestem oburzona tym, że uważa mnie za tak przewidywalną. Myśli, że mnie zna.

Zapytałabym go o to, co za pieniądze dał Rosjanom, tylko po to, żeby zobaczyć jego minę. Mam ochotę mu pokazać, że nie wie o wszystkim, co siedzi mi w głowie.

Lecz byłoby to bardzo głupie. Uczenie się ich języka w tajemnicy jest jedną z niewielu broni, jakie posiadam. Nie mogę jej ot tak zmarnować. Muszę z niej skorzystać w odpowiednim momencie, wtedy gdy będzie to ważne.

– Zgadza się – mówię, zmuszając się do uśmiechu. A potem, kiedy mnie mijają, dodaję: – Dziękuję za nowe ubrania, Mikołaju.

Na twarzy Marcela zauważam zaskoczenie. Jest równie zdziwiony jak ja, że mój oprawca kupuje mi prezenty.

Bestia ma jednak w dupie, co każde z nas sobie myśli.

– Stare były ohydne – odpowiada, wzruszając ramionami.

Następnie przechodzi obok mnie, zupełnie jakbym w ogóle nie istniała.

Dobrze. Mam to gdzieś, że mnie ignoruje. Przynajmniej tak długo, jak będzie trzymać ręce przy sobie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

MIKO

Dziwnie jest poznawać ludzi, których zamierza się zabić. Człowiek obserwuje ich, śledzi, dowiaduje się wszystkiego na ich temat. Pod pewnymi względami staje się im bliższy niż członkowie ich rodziny, bo posiada informacje o rzeczach, których nie wiedzą najbliżsi. Poznaje ich hazardowe nawyki, kochanki, nieślubne dzieci, a nawet zamiłowanie do karmienia gołębi w Lincoln Park.

Dantego Gallo niełatwo jest ani śledzić, ani poznać.

Jako najstarsze dziecko szefa, miał najwięcej czasu, aby uczyć się od Enzo Gallo. Jest klasycznym przykładem najstarszego syna. To przywódca, człowiek zdyscyplinowany i odpowiedzialny.

Jest również ostrożny jak ważka. Zdaje się, że potrafi wyczuć, kiedy coś jest nie tak i ktoś go obserwuje. To pewnie przez szkolenie wojskowe, jakie przeszedł. Na mieście mówią, że sześć lat służył w Iraku – co jest dość niezwykle w przypadku człowieka należącego do rodziny mafijnej. Gangsterzy nie należą do patriotów. Są lojalni wobec rodziny, ale nie kraju.

Może Enzo chciał, by jego syn został idealnym żołnierzem? A może tak się objawiał młodzieńczy bunt Dantego? Wiem, że bardzo trudno jest znaleźć jego słaby punkt.

Nie uznaje żadnych harmonogramów. Rzadko jeździ sam i, z tego, co wiem, jest człowiekiem całkowicie pozbawionym wad.

Oczywiście nie może to być prawda. Nikt się przecież aż tak nie kontroluje.

Z pewnością ma słabość do rodzeństwa. Jeśli nie pracuje, to zawozi im jedzenie. Wykonuje również lwią część pracy, prowadząc interesy ojca. Udaje mu się trzymać Nero z dala od poważnych kłopotów, co zdaje się być syzyfową pracą, choć różnorodną. Nero sprawia

wrażenie równie kreatywnego, co obłąkanego. W ciągu jednego tygodnia wziął udział w pojedynku na noże pod Prysm, rozbił swojego bel air na Grand Avenue i uwiódł żonę wyjątkowo nieprzyjemnego wietnamskiego gangstera. Między wizytami u najmłodszego brata w szkole i siostry Aidy w biurze radnego, Dantemu udaje się wytłumić każdy z tych wybryków.

Ależ zajęty jest ten nasz Dante.

Ledwo ma czas, aby strzelić sobie piwko w pubie. Wygląda, jakby nie miał dziewczyny, chłopaka ani ulubionej kurwy.

Strzelnica jest jego jedynym hobby. Trzy razy w tygodniu ćwiczy tam swoje umiejętności strzeleckie, dzięki którym prawdopodobnie sześćdziesiąt siedem osób padło trupem od Faludży do Mosulu.

Podejrzewam, że przez to zdołał trzykrotnie trafić Tymona w pierś. W końcu praktyka czyni mistrza.

Teraz, kiedy wyciągnąłem pieniądze od Griffinów i dałem je Rosjanom, zdołałem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Z Dantem chciałbym zrobić to samo. Marzę, by za jednym zamachem dojechać mu „po królewsku” i pozbyć się wroga.

Dlatego, kiedy następnym razem Dante jedzie na strzelnicę, rozkazuję Jędrzejowi, aby wykradł z jego torby Berettę. To stara broń służbowa Dantego. Jedna z niewielu, która na pewno została zakupiona legalnie i jest zarejestrowana na jego nazwisko.

Kolejna część mojego planu jest już nieco trudniejsza. Dante jest za sprytny, aby dać się tak po prostu złapać w moją pułapkę. Z tego powodu muszę zaaranżować wszystko tak, by kłopoty same zapukały do jego drzwi.

Może nie spoufalam się z komendantem policji jak Fergus Griffin, lecz mam na swojej liście płac dwóch funkcjonariuszy: Hernandeza i O'Malley'a. Jeden stawia na Cubsów i nie oddaje przegranych pieniędzy, drugi natomiast jest winien trzem różnym kobietom alimenty na dzieci.

Każę im parkować radiowóz przecnicę od domu Gallo, w samym centrum Old Town. Czekają tam co noc przez cały tydzień, aż w końcu któregoś wieczoru Enzo i Nero są poza domem, a Dante zostaje sam.

I wtedy właśnie ściągam do swojego przedstawienia Waltona Millera. Jest szefem chicagowskiego BACP¹⁷, co znaczy, że to on przyznaje licencje na sprzedaż alkoholu. On też je cofa, kiedy w jego łapie nie wylądować łapówka odpowiadająca jego zachciankom.

Z roku na rok robi się coraz bardziej chciwy, wymuszając na mnie pięć różnych opłat za moje bary oraz klub ze striptizem.

Miller ma na pieńku z Gallo, którzy są właścicielami dwóch włoskich restauracji. Dante nie zapłacił mu ani centa za żadną z nich, mimo że sprzedali dość wina, aby napełnić nim jezioro Michigan.

Płacę Millerowi okazałą sumę pieniędzy za licencję na sprzedaż alkoholu. Następnie wręczam mu teczkę pełną dowodów mającą pogrążyć Dantego Gallo – to cała sterta sfabrykowanych papierów, które wyglądają jak lewe zeznania podatkowe za restaurację.

Jak dureń – którym w istocie jest – Miller biegnie do domu Gallo, myśląc, że przyprze Dantego do muru.

Przy normalnym rozwoju sytuacji młody Gallo w sposób dosłowny przyparłby Millera do muru, wykręcając mu rękę tak bardzo, że aż by pękła. Następnie spaliby te dowody, a Miller uciekłby z jego domu z podkulonym ogonem i zrozumieniem, dlaczego nikt inny w mieście nie jest na tyle głupi, aby próbować szantażować Dantego Gallo.

Normalnie tak właśnie by było.

Ale o 10:04 Miller puka do drzwi.

O 10:05 Dante wpuszcza go do środka.

O 10:06 anonimowy rozmówca dzwoni pod 911 i zgłasza strzelaninę przy 1540 North Wieland Street.

O 10:08 funkcjonariusze Hernandez i O'Malley z racji tego, że są znajdującą się najbliżej miejsca zdarzenia jednostką, zostają wysłani do sprawdzenia tego zgłoszenia.

O 10:09 stoją pod drzwiami rezydencji Gallo. Dante otwiera im drzwi. Próbuje ich nie wpuszczać do środka bez nakazu, lecz policjanci mają uzasadnione podstawy, aby wejść. Niechętnie wpuszcza ich do środka.

Później, tej samej nocy, o reszcie dowiaduję się od Hernandeza, który jak zwykle wszystko ubarwia:

– Więc weszliśmy do domu i zaczęliśmy przeszukiwanie, a Gallo stał nadąsany ze skrzyżowanymi rękami i powiedział: „Widzicie, że nikt nie strzela. Wypierdalać”. Miller czał się w jadalni i wyglądał na kurewsko niespokojnego. Powiedziałem do niego, zupełnie jakbym nie miał pojęcia, kim jest: „Czy może pan tu przyjść?”, a on wtedy wyszedł na korytarz. Błądził wzrokiem dookoła, nie mając pojęcia, co się, do cholery, dzieje. Był strasznie zdenerwowany. Gallo natomiast był spokojny. O'Malley go zapytał: „Co panowie wyprawiają?”, na co Gallo odpowiedział: „Nie wasz pieprzony interes”. Miller wtedy próbował się wytłumaczyć, a Gallo przerwał mu, mówiąc: „Nie odpowiadaj na ich pytania”. No to ja zwróciłem się do niego: „Czy ma pan przy sobie jakąś broń?”, na co Gallo odpowiedział, że nie. Wtedy wycelowałem do niego ze swojej broni. Gallo powiedział do mnie: „Miej się na baczności, panie władzo. Nie jestem jakimś dzieciakiem spod monopolowego. Nie zdołasz wpakować mi w pierś całego magazynka i nazwać tego samoobroną”. A potem O'Malley włączył się do rozmowy, mówiąc: „Nie martw się, nie przyjechaliśmy po ciebie”, po czym wyciągnął legalną broń Gallo i wpakował połowę magazynka w Millera, który padł bez słowa, jedynie z durnym wyrazem twarzy. Nawet się tego nie spodziewał. O'Malley kopnął go w nogę, bo chciał sprawdzić, czy na pewno nie żyje. Cały czas obserwowałem Gallo i mówię ci, człowieku, ten koleś jest jak głąz, nawet się nie wzdrygnął. Ale gdy tylko zobaczył swoją broń, to natychmiast ją rozpoznał. Jego oczy stały się wielkie jak spodki, gdy zdał sobie sprawę, że jest w ciemnej dupie. Patrzył na mnie, a ja widziałem, jak poruszają się trybiki w jego głowie. Wydawało mi się, że się na mnie rzuci, ale wtedy O'Malley powiedział: „Nawet o tym nie myśl, mam jeszcze cztery kule”. Skierował swoją broń w stronę Gallo, a ja cały czas celowałem mu prosto w twarz. Wtedy lodowatym głosem zapytał: „Ile wam za to zapłacili?”. Oczywiście wcale się tym nie przejęliśmy, szefie. Odpowiedziałem mu: „Nie twój pieprzony interes. Nie wywiniesz się z tego”. No i skuliśmy sukinsyna, a O'Malley zapakował go do radiowozu. Wytarłem berettę i wcisnąłem mu ją w skutą za plecami rękę. Dzięki temu mamy jego odciski na spluwie, a on miał na dłoni resztki prochu. Upewniłem

się, że wszystko ładnie wygląda i zgłosiłem zdarzenie. Szefie, to było świetne przedstawienie i wyszło cacy. Tak jak zaplanowaliśmy.

Tak jak ja zaplanowałem.

Ci dwaj idioci ledwo zdołaliby wypełnić podanie o pracę w McDonald's.

– Gdzie on teraz jest? – pytam.

– Miller?

– Nie – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Miller, jak zakładam, jest w kostnicy. Pytam o Dantego Gallo.

– Ach. Jest na posterunku. Stamtąd zadzwonił do Riony Griffin, a ona próbowała załatwić mu szybkie zwolnienie, jednak sędzia Pitz oświadczył, że nie ma na to szans. Kaucja również nie wchodzi w grę. Nie jest fanem Gallo, więc Dante w najbliższej przyszłości będzie siedzieć w więzieniu, kiedy my będziemy powolutku badać tę sprawę.

Uśmiecham się, wyobrażając sobie ubranego w więzienne ciuchy Dantego, który tłoczy się w celi, w której ledwo starcza miejsca, aby pomieścić jego barczyste cielsko. Tymczasem jego młodsze rodzeństwo będzie na pewno chętne do szaleństw. Wreszcie pozbędą się brata, który trzyma ich w ryzach. Enzo się starzeje, a Dante jest jego podporą, która trzyma Gallo razem. Bez niego rozpadną się na kawałki.

– Szefie, chcesz, żebym się dowiedział, z kim siedzi w celi? – pyta Hernandez. – Mogę sprawić, że – kiedy tylko zechcesz – zarobi zardzewiałą kosę między żebra.

– Nie – odpowiadam.

Nieszczęśliwy i wściekły Dante zgnije w pierdlu.

A kiedy postanowię, że nadszedł czas, by wyzionął ducha, nie oddeleguję do tego zadania takiego kretyna jak Hernandez.

Podoba mi się, że Riona Griffin broni Dantego. To otwiera przede mną mnóstwo możliwości. Dzięki temu mogę sprawić, by pobrudziła sobie ręce – nie żeby ktoś uważał, że skończyła prawo, aby go strzec.

Wszystkie kawałki układanki pięknie do siebie pasują.

Oczywiście spodziewam się, że moi wrogowie przypuszczą kontratak. Nie będą siedzieć z założonymi rękoma.

I rzeczywiście, już nazajutrz ludzie Griffinów przechwytyują pełen narkotyków magazyn należący do Rosjan, zabijając w trakcie akcji

dwóch ich żołnierzy.

Równocześnie, po drugiej stronie miasta, Nero Gallo podpala mój najbardziej dochodowy klub ze striptizem. Na szczęście było to o trzeciej w nocy i wszystkie moje dziewczyny rozeszły się do domów. Ale i tak oglądanie nagrania, na którym Nero wszystko podpala, jest niezwykle irytujące.

Spodziewałem się po nich czegoś więcej. Jak na rodziny, które przeważnie rządzą tym miastem twardą ręką, to były dość słabe akcje odwetowe. Są wstrząśnięci i rozproszeni, tak jak przewidywałem. Ewidentnie brakuje im planu.

Wszystko to niemal wystarcza, aby odwrócić uwagę od mieszkającej w moim domu dziewczyny. Tej, która całymi dniami i nocami komponuje swój balet. Słyszę, jak po schodach spływają do moich uszu szorstkie melodie dobiegające z zakurzonego gramofonu.

Przyglądam się jej częściej, niż bym się do tego przyznał. W jej pracowni, tak samo jak w każdym pomieszczeniu we wschodnim skrzydle, jest kamera. Kiedy tylko najdzie mnie na to ochota, mogę ją szpiegować na swoim telefonie. Ciągle mam Balerinę w swojej kieszeni. Bezustannie czuję, że muszę wyciągnąć smartfon z kieszeni, by na nią spojrzeć.

Tyle że chcę więcej.

Znowu chcę zobaczyć ją na żywo.

Więc, jakiś tydzień po wrobieniu Dantego Gallo, zastaję ją w niewielkiej bibliotece we wschodnim skrzydle.

Ubrana jest w jeden ze strojów, które kazałem kupić Klarze. To niebieskie body w kwiaty i szyfonowa spódnica oraz kremowe rajstopy z otworami na pięty i palce, przez które widać jej białe stopy.

A te stopy zwisają przewieszone przez oparcie fotela z miękkiej skóry. Nessa zasnęła podczas czytania. Na jej piersi leży otwarta książka – *Lalka* Bolesława Prusa.

No, no... Nessa próbuje liźnąć nieco naszej kultury. Prawdopodobnie Klara poleciła jej to przeczytać.

Ma też drugą książkę wciśniętą między uda a fotel. Jakiś stary egzemplarz ze zniszczoną, skórzaną okładką. Mam zamiar ją wyciągnąć, lecz nagle Nessa się budzi.

– Och! – sapie, chowając obie książki pod poduszkę. – Co ty tutaj robisz?

– To mój dom – przypominam.

– Wiem – odpowiada. – Ale nigdy tu nie przychodzisz. A przynajmniej niezbyt często.

Rumieni się, przypominając sobie, co się wydarzyło, kiedy ostatnim razem odwiedziłem wschodnie skrzydło.

Nie musi się martwić. To już się nie powtórzy.

– Nie musisz chować książek – oznajmiam. – Możesz je czytać.

– Tak – mówi, nie patrząc mi w oczy. – Jasne. No cóż... potrzebujesz czegoś?

Wielu rzeczy. Lecz Nessa nie może mi dać żadnej z nich.

– W sumie przyszedłem zapytać cię o to samo – mówię.

Nie miałem zamiaru tego powiedzieć. Lecz i tak przyłapuję się na tym, że o to pytam.

– Nie! – odpowiada, gwałtownie kręcąc głową. – Niczego więcej mi nie trzeba.

Nie chce już ode mnie więcej prezentów. Nie planowałem jej niczego dawać. Lecz teraz niemal mam ochotę zrobić jej na złość.

– Jesteś pewna? – naciskam. – Nie chcę, żebyś kręciła się po moim strychu i starała się wygrzebać to, czego ci trzeba.

Przegryza wargę ze wstydu, że o tym wiem. Właśnie tak – wiem o wszystkim, co się dzieje w moim domu. Byłoby dobrze, gdyby to zapamiętała.

Waha się. Jest coś, czego pragnie. Boi się mnie o to poprosić.

– A skoro już wspomniałeś o strychu – zaczyna – jest tam taka jedna suknia...

– Jaka suknia?

– Taka stara. Jest w pudle z mnóstwem innych fantastycznych ciuchów.

– I co z nią? – pytam, marszcząc brwi.

Bierze głęboki wdech, nerwowo wykręcając leżące na kolanach dłonie.

– Mogę ją sobie wziąć? I zrobić z nią co tylko mi się podoba?

Dziwaczna prośba. Odkąd się tu pojawiła o nic mnie nie prosiła, a teraz chce starą, zjedzoną przez mole suknię?

– Po co? – pytam.

– Po prostu... spodobała mi się – odpowiada nieprzekonująco.

Spodobała jej się?

W swoim pokoju ma szafę, a w niej dziesiątki sukni. Wszystkie są markowe, nowe i w jej rozmiarze.

Może potrzebuje tej starej sukni do swojego baletu?

– W porządku – oznajmiam.

– Naprawdę? – Jej twarz promienieje. Otwiera usta zarówno z zaskoczenia, jak i ze szczęścia.

Kurwa, jeśli tyle wystarczy, aby była podekscytowana, to nie chciałbym wiedzieć, jak zareagowałaby na prawdziwą przysługę. A może właśnie chciałbym to zobaczyć? Sam już nie wiem.

Wygląda na to, że dzięki podarunkowi odprężyła się. Siada w fotelu i rzeczywiście, zamiast się kulić, pochyla się w moją stronę.

– Niedawno wróciłeś z ogrodu, prawda? – pyta.

– Tak – przyznaję. – Widziałaś mnie przez okno, zanim zasnąłś?

– Nie. – Kręci głową. – Wyczuwam katsurę na twoich ubraniach.

– Kat... co?

Na jej twarzy wykwitła rumieniec. Tak naprawdę to wcale nie miała zamiaru podtrzymywać rozmowy.

– To drzewo. Rośnie w twoim ogrodzie. Zmieniające kolor liście pachną jak brązowy cukier.

Patrzy na moje ramiona widoczne spod rękawów koszulki. Patrzy na mnie, ściągając brwi i trzepocząc przy tym rzęsami.

– Czemu tak patrzysz? – pytam. – Irlandzcy gangsterzy mają tatuaże, prawda? A może Griffinowie są ponad tym?

– Mamy mnóstwo tatuaży – odpowiada niezrażona.

– Ale ty nie – stwierdzam.

– Tak się składa, że mam. – Zakłada za ucho kosmyk włosów i odwraca głowę, żebym mógł zobaczyć. Faktycznie, za prawym uchem ma wytatuowany niewielki rogalik księżycy. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

– Czemu akurat księżyc? – pytam.

– Lubię księżyc – odpowiada, wzruszając ramionami. – Ciągłe się zmienia i jednocześnie jest taki sam.

Teraz ponownie przygląda się moim ramionom, starając się rozszyfrować moje tatuaże. Nie zrozumie ich. Są gęste, pogmatwane i tylko ja znam ich znaczenie.

Dlatego jestem w szoku, kiedy mówi:

– Czy to z mapy z *Hobbity*?

Wskazuje na niewielki symbol ukryty pośród zawitych wzorów na moim lewym przedramieniu. To niewielka delta rzeki, znajdująca się tuż obok niewiele mówiącej linii. Tusz maskuje to wszystko.

Nessa swymi jasnozielonymi oczami przeszukuje moją skórę, przeskakując z miejsca na miejsce.

– Tu jest skraj góry – zauważa. – Więc to jest rzeka. A to drzewo. Och, a tam jest róg z pajęczej sieci!

Jest niczym dziecko polujące na wskazówki. Jest tak bardzo zadowolona z siebie, że nie dostrzega oburzenia malującego się na mojej twarzy. Nigdy wcześniej nie czułem się tak obnażony. Jak ona, kurwa, śmie dostrzegać rzeczy, które tak dobrze ukryłem?

Co gorsza, cały czas nawija:

– Och, to z *Królowej śniegu*! – Wskazuje na niewielki płatek śniegu.

– A to z *Alicji w Krainie Czarów*. – Dostrzega butelkę z lekarstwem. – A to... och, to jest z *Małego Księcia*! – Patrzy na wytatuowaną różę.

Dopiero gdy patrzy na mnie, spodziewając się, że będę pod wrażeniem jej spostrzegawczości, zauważa na mojej twarzy szok oraz rozgoryczenie.

– Chyba lubisz czytać... – mówi, a jej głos milknie.

Symbole z tych książek są niewielkie i dobrze ukryte. Wybrałem wyłącznie te najmniejsze i najmniej rozpoznawalne fragmenty ilustracji, ukrywając je w większych wzorach, które nic nie znaczą.

Nikt nigdy ich nie zauważył, nie mówiąc już o odgadnięciu ich znaczenia.

Czuję się zbezczeszczony. Nessa nie ma pojęcia, jaki popełniła błąd. Mogłbym ją teraz udusić i zrobiłbym to tylko po to, aby nie wypowiedziała już żadnego słowa.

Tyle że ona nie ma zamiaru mówić już nic więcej. Jej twarz znowu jest blada. Maluje się na niej strach. Widzi, że mnie uraziła, lecz nie wie czym.

– Przepraszam – szepcze.

– Skąd wiedziałaś? – pytam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie wiem – odpowiada, kręcąc głową. – Jestem dobra w dostrzeganiu różnych prawidłowości i wzorów. Dzięki temu mogę szybko uczyć się tańca. I języ... – urywa, nie kończąc zdania.

Moja skóra płonie. Każdy tatuaż, który wymieniła zdaje się płonąć.

Nie jestem przyzwyczajony do bycia wytrąconym z równowagi. Zwłaszcza przez dziewczynę, która dopiero wkracza w dorosłość. Kurwa, ona nawet nie jest dorosła w amerykańskim znaczeniu tego słowa. Ma dopiero dziewiętnaście lat. Nie może kupić piwa ani wypożyczyć samochodu. Nie może nawet głosować!

– Przepraszam – powtarza Nessa. – Nie sądziłam, że to tajemnica. Że są wyłącznie dla ciebie.

Co tu się, kurwa, dzieje?

Skąd ona to wie? Skąd wiedziała, co znaczą?

Ostatnią osobą, która była w stanie odgadnąć, co mi siedzi w głowie, była Anna. Była jedyną istotą, która mogła to zrobić.

Anna była inteligentna i miała dobrą pamięć. Była miłośniczką książek.

Jeszcze nikt nie przypominał mi o niej.

Nessa też nie. Nie wyglądają tak samo, ale nie mówią w ten sam sposób. Jedynie ta jedna rzecz stanowi wyjątek...

– Kończysz już swój balet? – pytam, aby zmienić temat.

– Tak – odpowiada, wciąż nerwowo przygryzając wargi. – No, jestem gdzieś w połowie.

– Czy to całe przedstawienie?

– Tak.

– Zrobiłaś już wcześniej jakieś?

– Cóż... – Marszczy brwi. – Skomponowałam choreografię do czterech tańców do baletu *Błogość*. Miał mieć premierę... cóż, myślę, że jakoś teraz. Tylko reżyser, Jackson Wright, powiedział, że moje tańce są gówniane. I właśnie dlatego nie umieścił mojego nazwiska w programie... – wzdycha. – Wiem, że brzmi to śmiesznie. Ale wtedy miało to dla mnie znaczenie. Zraniło mnie to. Czułam się tak, jakby ukradł moją pracę. Ale mógł mieć rację. Teraz kiedy pracuję nad czymś innym, myślę, że to, co robiłam wtedy, było głupie. I niezbyt dobre.

– Wystarczająco dobre dla niego, aby mógł to wykorzystać – mówię.

– Tak – przytakuje. – A przynajmniej jakieś części.

Oplata nogi swoimi chudymi ramionami i wtula biodra w swoją pierś. Jej elastyczność jest niepokojąca. Zupełnie jak to, że jest taka krucha. Nic dziwnego, że tak wiele osób ją wykorzystuje. Jej rodzina. Ten reżyser. No i oczywiście ja.

Nessa nie emanuje siłą.

Nie jest onieśmielająca. Ale jest... intrygująca.

Jest jak utwór muzyczny, który utkwił ci w głowie i teraz powtarzasz go w kółko. Im dłużej go słyszysz, tym bardziej wwierca ci się w mózg.

W przypadku większości ludzi, im dłużej się ich obserwuje, tym bardziej stają się przewidywalni. Nessa Griffin jest przeciwieństwem tego stwierdzenia. Wydawało mi się, że dobrze wiem, kim jest – chronioną przed światem małą księżniczką. Baleriną, żyjącą w świecie fantazji.

Jest znacznie mądrzejsza, niż sądziłem. Jest kreatywna i spostrzegawcza.

I autentycznie życzliwa.

Przekonuję się o tym już następnego dnia, gdy ponownie ją szpieguję. Widzę, jak raz jeszcze wślizguje się na strych, aby zabrać tę tajemniczą suknię, na której punkcie jest zafiksowana.

To czarno-srebrna, zdecydowanie niemodna suknia. Może pochodzi z Wieku Pozłacanego, kiedy Vanderbiltowie urządzali bale przebierańców. Nie wiedziałem o istnieniu tej sukni. Na strychu jest mnóstwo pudeł, których przybywa wraz z każdą mieszkającą tu rodziną. Chyba dotąd nic ze strychu jeszcze nie wyrzucono.

Patrzę, jak Nessa zanosí suknię do swojego pokoju. Wietrzy ją, sprawdzając, czy jest czysta.

A następnie kładzie ją na łóżku i czeka.

Gdy Klara przychodzi, niosąc tacę z obiadem, Nessa podbiega do niej.

Telefon nie wydaje żadnego dźwięku, lecz widzę ich twarze wystarczająco dobrze.

Nie chcąc mieć kłopotów Klara kręci głową.

Nessa zapewnia ją, że jest w porządku, że wyraziłem zgodę.

Klara wciąż w to nie wierzy i dotyka dołu sukni, po czym przytula Nessę.

Ze wszystkich rzeczy, o które mogła mnie prosić, chciała tę suknię. Lecz nie chciała jej dla siebie. Chciała dać ją w prezencie.

Powinienem zwolnić Klarę. To przecież oczywiste, że zbliżyły się do siebie. To zbyt ryzykowne, aby strażniczka Nessy była jej przyjaciółką.

A jednak gdy przyglądam się, jak się śmieją i delikatnie dotykają suknię, nie chcę tego robić.

Może zrobię to później. Ale nie dzisiaj.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

NESSA

Zupełnie tracę orientację w czasie. Nie wiem, jak długo jestem już u Mikołaja. Dni zlewają mi się ze sobą, przez to, że nie mam żadnego harmonogramu ani obowiązków.

Nie mam pojęcia, co się dzieje w prawdziwym świecie. Nie mam telewizora, telefonu ani komputera. Mogłaby się rozpętać trzecia wojna światowa, a ja nie miałabym o tym pojęcia.

Jestem w miejscu, w którym nie istnieją godziny i dni. W tym miejscu równie dobrze może być rok 1890 albo 2020, lub którykolwiek między nimi.

Zdawałoby się, że powinnam obsesyjnie myśleć o swojej rodzinie. Początkowo tak było. Wiedziałam, że będą mnie szukać. Że będą się martwić, bać, myśleć o mojej śmierci. Tęskniłam za nimi. Boże, jak ja za nimi tęskniłam. Nigdy nie zniknęłam na tak długo bez powiadomienia o tym mamy, nie wspominając już Riony, Calluma i taty. I Aidy! Zwykle wysyłałyśmy sobie dwadzieścia SMS-ów dziennie, nawet jeśli były w nich wyłącznie memy z kotami.

Teraz czuję się, jakbym wylądowała w innym świecie. Mam wrażenie, że wszyscy moi bliscy znajdują się o wiele dalej niż na drugim końcu miasta.

Nocami już nie pojawiają się w moich snach.

Myśli, które oplatają mnie nocą, są o wiele mroczniejsze. Rankiem budzę się zarumieniona i mokra od potu. Jestem wtedy zbyt zażenowana, by przyznać się, dokąd mój umysł zawędrował w nocy...

Za dnia myślę o mieszkających ze mną nieznajomych. Myślę o Klarze, o tym, jak wyglądało jej życie w Polsce i jaka jest jej rodzina. Myślę o pozostałych mężczyznach bywających w domu – dlaczego Jędrzej spędza tyle czasu na włóczeniu się po terenie

posiadłości oraz czy Marcel – jak podejrzewam – rzeczywiście podkochuje się w Klarze.

Jonasz to jedyna osoba, o której nie myślę. A to dlatego, że uważam go za przerażającego. Nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzy, kiedy się mijamy. Uważam go za gorszego od Mikołaja, bo Mikołaj przynajmniej jest szczery – on naprawdę mnie nienawidzi. Jonasz natomiast udaje przyjacielskiego, zawsze się uśmiecha i próbuje zagadać. Jego uśmiechy są tak samo sztuczne jak jego woda kolońska.

Dzisiaj nachodzi mnie w kuchni. Szukam Klary, lecz jej tam nie ma.

– Czegoś ci trzeba? – pyta Jonasz, opierając się o lodówkę, przez co nie mogę przejść.

– Nie, niczego.

– No dalej. – Uśmiecha się. – Musisz czegoś potrzebować, bo inaczej po co byś tu przychodziła? Co to ma być? Jakie są twoje ulubione łakocie? Chcesz ciastek? Mleka?

– Szukałam tylko Klary – odpowiadam, próbując przecisnąć się obok niego.

Prostuje się i staje mi na drodze.

– Ja też potrafię gotować – oznajmia. – Wiesz, że Klara jest moją kuzynką? To, co ona może zrobić, ja mogę zrobić lepiej...

Staram się nie dać po sobie poznać, że jestem zniesmaczona. Jonasz sprawia, że wszystko, co powie, brzmi jakby miało podtekst seksualny. Nawet jeśli nie rozumiem, o co mu chodzi, wiem, że stara się mnie sprowokować.

– Proszę, pozwól mi przejść – mówię cicho.

– Dokąd? – pyta cicho Jonasz. – Masz jakąś kryjówkę, o której nie wiem?

– Jonasz! – Słyszę czyjeś szczeknięcie dobiegające od strony drzwi.

Jonasz odwraca się szybciej ode mnie. Oboje rozpoznajemy głos Mikołaja.

– Hej, szefie – mówi, starając się nadać swojemu głosowi normalny ton.

Jednak w minie Mikołaja nie ma niczego normalnego. Ma blade usta, a jego oczy przypominają wąskie szparki.

– Odejdź od niej – syczy po polsku.

– Tak, szefie – odpowiada Jonasz w tym samym języku. Lekko pochyla przy tym głowę.

Następnie pospiesznie wychodzi z kuchni. Mikołaj ani drgnie, żeby go przepuścić, więc tamten musi przejść obok niego bokiem. Potem szybko się oddala.

Pod palącym spojrzeniem Mikołaja czuję, że zrobiłam coś złego. Nie jestem w stanie mu spojrzeć w oczy.

– Nie rozmawiaj z nim – rozkazuje. Mówi cicho, z wściekłością.

– Nie chcę z nim rozmawiać! – krzyczę oburzona. – To on mi się naprzykrza! Nienawidzę go!

– Dobrze – odpowiada Mikołaj.

Ma strasznie dziwną minę. W ogóle tego nie rozumiem. Gdybym go nie знаła, pomyślałabym, że jest zazdrosny.

Spodziewam się, że powie coś jeszcze, lecz on zamiast tego odwraca się i odchodzi bez słowa. Słyszę, jak wychodzi przez znajdujące się w oranżerii drzwi, a kiedy spoglądam przez okno, widzę, jak idzie po trawniku na drugi koniec ogrodu.

Jestem zmieszana i wściekła.

Ze wszystkich ludzi bywających w tym domu, najczęściej myślę o Mikołaju.

Nie chcę tego robić, ale nie mogę się powstrzymać. Kiedy przebywa w domu, czuję się, jakbym była uwięziona w klatce z tygrysem. Nie mogę go zignorować, muszę pilnować, gdzie jest i co robi, aby nie mógł się na mnie zacząć i zaatakować.

Lecz kiedy wychodzi, jest jeszcze gorzej, bo wiem, że robi coś strasznego i to prawdopodobnie ludziom, których najbardziej kocham.

Nie sędzę, żeby kogoś już zabił. Nie wierzę, że to zrobił. Słyszałabym, jak jego ludzie o tym rozmawiają. Albo sam by mi o tym powiedział, żeby rozkoszować się widokiem mojego przerażenia.

Ciągle czuję jak koła się obracają, popychając nas na tory prowadzące do celu, który ustalił Mikołaj. Dyszący pociąg mknie dalej.

Dlatego powinnam nienawidzić go bardziej niż Jonasza.

Nienawidzenie go powinno być najprostszą rzeczą na świecie. Porwał mnie. Oderwał od wszystkiego, co kocham, po czym zamknął w tym domu.

Jednak, kiedy patrzę na wrzącą mieszaną emocji, która kotłuje się w moim wnętrzu, dostrzegam w niej strach, zmieszanie, niepokój. Lecz jest tam również dziwny szacunek. A czasem nawet i podniecenie...

Chcę uzyskać więcej informacji o swoim porywacz. Wmawiam sobie, że to tylko po to, abym mogła mu się przeciwstawić. A może nawet uciec.

Jednak chodzi tu też o coś więcej. Zainteresowałam się nim. Był taki zły z powodu rozmowy o tatuażach. Chcę wiedzieć, dlaczego. Chcę wiedzieć dokładnie, co one dla niego znaczą.

Dlatego też, skoro znajduje się poza domem, do głowy przychodzi mi bardzo głupi pomysł.

Chcę zobaczyć, co jest w zachodnim skrzydle. Mówił mi, że bym tam pod żadnym pozorem nie szła.

Co on tam ukrywa?

Broń? Pieniądze?

Dowody na istnienie jego nikczemnego planu?

Nie ma tam jednak żadnych drzwi, które mogłyby mnie powstrzymać. Są wyłącznie szerokie, zawile schody, bliźniaczo podobne do tych, które prowadzą do moich pokoi.

Z niezwykłą łatwością wbiegam po nich na górę i wychodzę na długi, prowadzący na zachód korytarz.

Spodziewałam się, że zakazane skrzydło będzie ciemniejsze i bardziej przerażające niż moje, lecz jest zupełnie odwrotnie – ta część domu ma zdecydowanie nowocześniejsze oblicze. Widzę salon, a w nim w pełni zaopatrzony barek. Za nim jest ogromny gabinet. To musi być biuro Mikołaja. Widzę sejf, biurko i komputer. Jeśli naprawdę zależy mi na jego planach, to właśnie tam powinnam węszyć.

Ale zamiast to zrobić, przyłapuję się na tym, że idę korytarzem w stronę znajdującego się na samym końcu największego pokoju. Głównej sypialni.

Jest ogromna, nowoczesna i męska. Tuż po wśliżnięciu się do środka uderza we mnie charakterystyczny zapach mojego porywacza. Pachnie tu cedrem, papierosami, szkocką, skórą świeżej pomarańczy, pastą do butów oraz tą silną, mocną piżmową wonią, która może należeć wyłącznie do niego. Nic nie zagłusza tej zapachowej mieszanki, dlatego szczerze wątpię, aby ktokolwiek wchodził do tego pokoju. Pewnie nawet Klara tu nie zagląda, aby posprzątać.

To pomieszczenie wcale nie jest ciemne i ponure tak jak reszta domu. Rozstawione tu meble są ciemne, lecz cały pokój wypełnia jasność. Głównie dlatego, że to jeden z najwyższych punktów w całym domu, a znajdująca się prostopadle do drzwi ściana jest właściwie jednym wielkim oknem. Sięga od podłogi aż po sufit i obejmuje całą długość sypialni.

Moje okno wychodzi na wschód, na porośnięty drzewami teren wokół posiadłości. Okno Mikołaja wychodzi zaś na panoramę Chicago. Rozciąga się przed nim całe miasto. To tutaj staję, kiedy wyobraża sobie, że przejmuję nad nim kontrolę.

Teraz wiem doskonale, gdzie jestem. Niemal jestem w stanie wskazać swój znajdujący się nad brzegiem jeziora dom.

Gdybym szukała, zdołałabym go odnaleźć pośród pozostałych rezydencji znajdujących się na Gold Coast przez jego szary, gontowy dach.

Zamiast szukać wzrokiem domu, mój wzrok kieruje się ku wnętrzu sypialni. Przyciąga go nieodparta pokusa oglądania prywatnej przestrzeni Mikołaja. Oglądanie jego pokoju jest jak zaglądanie do jego umysłu. W pozostałej części domu dostrzegam tylko to, co sam chce, żebym zobaczyła. Tu znajdę wszystko to, co jest ukryte.

Tu może trzymać klucze. Mogłabym ukraść te od frontowych drzwi i uciec którejś nocy, gdy wszyscy będą spać.

Wmawiam sobie, że tego właśnie szukam.

A tymczasem wodzę palcami po jego niezaścielonej pościeli, uwalniając w ten sposób upojny zapach jego skóry. Widzę wgłębienie, w którym leżał. Trudno sobie wyobrazić, jak śpi i nie jest przygotowany do ataku. Nie wygląda jak ktoś, kto je, odpoczywa, śmieje się lub płacze.

Ale oto mam przed sobą dowód na to, że wykonuje wszystkie ludzkie czynności. Kładę dłoń w tym wgłębieniu, zupełnie jakbym wciąż mogła poczuć ciepło jego ciała. Czuję mrowienie na skórze. Krew zaczyna szybciej krążyć mi w żyłach. Dzieje się tak, dopóki nie zabieram ręki.

Jego łóżko otaczają wbudowane w ściany regały z książkami. Podchodzę do nich, aby przejrzeć grzbiety.

I faktycznie, znajduję tam dokładnie to, czego się spodziewałam. Są tu wysłużone egzemplarze *Hobbita*, *Królowej śniegu*, *Alicji w Krainie Czarów*, *Po drugiej stronie lustra* oraz *Małego Księcia*, wymieszane z *Perswazjami*, *Anną Kareniną* i dziesiątkami innych pozycji. Niektóre są po angielsku, inne z kolei po polsku.

Zdejmuję z półki *Po drugiej stronie lustra* i ostrożnie otwieram książkę, bo jest taka delikatna i krucha, że boję się, że któreś ze stron mogą się poluzować.

Na pierwszej stronie napisano ołówkiem imię: Anna.

Wzdycham.

Wiedziałam.

Był tak wściekły, kiedy wypatrzyłam ilustracje w jego tatuażach. To było jasne, że coś dla niego znaczą i są związane z kimś, kogo kochał.

Właśnie dlatego był wściekły. Dla brutalnych mężczyzn miłość jest ciężarem. Odkryłam jego słabość.

Kim była Anna?

Większość książek jest dla dzieci lub młodych dorosłych.

Była jego córką?

Nie, książki są zbyt stare. Nawet jeśli odkupiono je od kogoś, pismo nie wygląda na dziecinne.

Więc kim ona była? Żoną?

Nie, gdy wbijałam mu szpilę odnośnie małżeństwa, nawet się nie wzdrygnął. Nie, nie jest wdowcem.

Anna to jego siostra. I wszystko jasne.

Jak tylko zdaję sobie z tego sprawę, czyjaś ręka łapie mnie za nadgarstek i szarpie, odwracając ku sobie.

Książka wylatuje mi z ręki. Tak jak się obawiałam, klej sklejający jest zbyt stary, aby poradzić sobie z takim traktowaniem. Odwracam

się, a tuzin stron wzbija się w powietrze, aby spaść w dół niczym spadające liście.

– Co ty, kurwa, robisz w moim pokoju? – pyta wściekły Mikołaj.

Ma obnażone zęby, a jego palce wbijają się w mój nadgarstek. Biegł tu tak szybko, że jego jasne blond włosy opadły, przysłaniając mu lewe oko. Odgarnia je z wściekłością, ale ani na sekundę nie odrywa ode mnie wzroku.

– Przepraszam! – sapię.

Łapie mnie za ramiona i mocno mną potrząsa.

– Pytałem, co ty tu, kurwa, robisz! – krzyczy.

Mimo że widywałam go już wściekłego, to jeszcze nie widziałam, żeby stracił nad sobą panowanie. W chwilach, gdy sztychł i mnie drażnił był zupełnie powściągliwy. Teraz puściły mu hamulce. Już się nie kontroluje. Wpadł w szal.

– Mikołaju! – wołam. – Proszę...

Kiedy wypowiadam jego imię, puszcza mnie, zupełnie jakby moja skóra paliła go w ręce. Krzywiąc się, robi krok w tył.

To okazja, jakiej potrzebuję. Zostawiam rozdartą, leżącą książkę na podłodze i uciekam od niego tak szybko, jak tylko jestem w stanie.

Biegnę przez zachodnie skrzydło, potem schodami w dół, a następnie przez parter. Wybiegam tylnymi drzwiami do ogrodu, aby schować się w najdalszym zakątku ogrodu, pod osłoną wierzby, której gałęzie sięgają trawy.

Chowam się tam tak długo, aż zapada noc. Za bardzo się boję, aby wrócić do rezydencji.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

MIKO

Kurwa, co ja wyprawiam?

Podnosząc z podłogi stary egzemplarz *Po drugiej stronie lustra*, czuję się tak, jakbym to ja przeszedł przez lustro do jakiegoś dziwnego świata, w którym wszystko jest na opak.

Nessa Griffin załazi mi za skórę.

Najpierw tatuaże, potem zakrada się do mojego pokoju...

Czuję, jakby zdzierała ze mnie poszczególne warstwy, jedna po drugiej. Zagląda w pęknięcia, gdzie nikt nie powinien zaglądać.

Przez dziesięć lat odcinałem się od wszystkich: rodziny w Polsce, własnych braci z Braterstwa, a nawet od Tymona. Znali mnie, lecz wyłącznie moją dorosłą wersję. To, jakim się stałem po śmierci siostry.

Nie znali chłopca, którym byłem wcześniej.

Myślałem, że byłem martwy. Myślałem, że umarłem razem z Anną. Razem przyszliśmy na świat i sądziłem, że też razem go opuściliśmy. Jedyne, co zostało, to ta skorupa. Ten człowiek, który niczego nie czuje i który nigdy więcej nie da się skrzywdzić.

A teraz Nessa zaczyna we mnie grzebać. Odkopuje szczątki tego, co myślałem, że nigdy nie zostanie przywrócone do życia.

Sprawia, że czuję coś, o czym myślałem, że nigdy więcej nie poczuję.

Nie chcę tych uczuć.

Nie chcę myśleć o jakiejś młodej, bezbronnej dziewczynie. Nie chcę się o nią martwić.

Nie chcę wejść do kuchni i widzieć pochylającego się nad nią Jonasza. Nie chcę czuć wściekłego ukłucia zazdrości, które sprawia, że mam ochotę oderwać łeb własnemu bratu. A następnie, po

wygnaniu go do przeciwległej części domu, nie chcę, aby mój mózg zadreślał się myślami o tym, co mógłby z nią zrobić, gdyby byli sami...

To są rozpraszacze.

Oślabiają moją wolę, a także podkopują moje plany.

Po tym, jak nakrzyczałem na Nessę, wybiegła z domu i teraz chowa się w ogrodzie. Oczywiście doskonale wiem, gdzie jest. Dzięki opasce, mogę ją śledzić w promieniu kilku metrów.

Zaczyna się robić ciemno oraz zimno. Mamy już połowę jesieni. To czas, kiedy niektóre dni zdają się być niekończącym latem, tyle że z bardziej kolorowymi liśćmi, a inne są gorzkie, wietrzne i deszczowe. One zapowiadają, że będzie jeszcze gorzej.

Siedzę w swoim gabinecie i patrzę na telefon, przyglądając się niewielkiej kropce reprezentującej skuloną pod murem Nessę Griffin. Myślałem, że wróci do środka, ale przeraziłem ją bardziej, niż sądziłem albo jest twardsza, niż się spodziewałem.

W mojej głowie kłębią się przeróżne myśli.

Znajduję się w idealnej pozycji, aby uderzyć raz jeszcze. Wyciągnąłem od Griffinów sporo gotówki. Dzięki Koli Kristoffowi – który dzień w dzień dręczy mnie pytaniami o kolejny ruch – zawarłem solidny sojusz z Rosjanami. Dante Gallo siedzi w celi, natomiast Riona Griffin pali za sobą każdy most, jaki ma w biurze prokuratura okręgowego, starając się go stamtąd wyciągnąć.

Moim kolejnym celem powinien być Callum Griffin – ukochany starszy brat Nessy.

Był iskrą, która zainicjowała ten konflikt.

To on splunął Tymonowi w twarz, kiedy zaoferowaliśmy mu naszą przyjaźń.

Musi umrzeć albo przynajmniej musi zostać skrajnie poniżony. Znam go – wiem, że nigdy by się z tym nie pogodził. Widziałem wyraz jego twarzy, kiedy Tymon wbijał mu nóż w bok. Nie malował się na niej najdrobniejszy ślad kapitulacji.

Opaska Nessy wysyła mi ostrzeżenie. Nie odczytuje jej pulsu. Może w nią coś napierdala, próbując ją zdjąć.

Nie mam możliwości tego sprawdzić, bo na ekranie pojawia się informacja o przychodzącym połączeniu – to znowu Kristoff.

Odbieram.

– Dobryy vecher, moy drug – Kristoff miesza ze sobą nasze ojczyste języki oraz angielski. – Dobry wieczór – odpowiadam po polsku.

Kristoff cicho chichocze.

Polska i Rosja mają długą i burzliwą historię. Tak długo jak istnieją nasze kraje, walczyliśmy ze sobą o kontrolę nad tymi samymi ziemiami. Toczyliśmy ze sobą wojny. W XVII wieku Polacy zdobyli Moskwę. W XIX i XX stuleciu znaleźliśmy się w duszących objęciach rosyjskiego komunizmu.

Nasze mafie rozrastały się w podobny sposób. Oni nazywają się Bratvą, my mówimy o sobie Braterstwo – oba te słowa znaczą to samo. Składamy przysięgę naszym braciom. Spisujemy dokonania na swojej skórze. Oni noszą na ramionach ośmioramienne gwiazdy będące oznaką przywództwa. My z kolei umieszczamy tam stopnie wojskowe.

Jesteśmy dwiema stronami tej samej monety. Pomieszaliśmy swoją krew, języki oraz tradycję.

A jednak nie jesteśmy tacy sami. Wsadzamy ręce w tę samą glinę i tworzymy z niej coś zupełnie innego. Niech za przykład posłużą nam słowa, które występują w naszych językach – wiele z nich brzmi podobnie, lecz mają różne znaczenia. Gdy mój przyjaciel Kristoff po rosyjsku powie: *zapomniat*, oznacza to w jego języku „zapamiętać”, a z kolei przez Polaka byłoby zrozumiane jako „zapomnieć”.

Dlatego, mimo że jesteśmy teraz sojusznikami, nigdy nie mogę zapomnieć, że nasze pragnienia może i są podobne, ale nigdy nie będziemy chcieli tego samego. Przywódca Bratvy równie łatwo, jak został moim przyjacielem, może na powrót stać się moim wrogiem.

Jest groźny. A to dlatego, że zna mnie lepiej niż większość ludzi.

– Podobał mi się ten nasz numer z Irlandczykami – oznajmia Kristoff. – Wydawanie ich pieniędzy bardzo mnie cieszy.

– Nic nie smakuje tak słodko, jak owoce cudzej pracy – przytakuje.

– Myślę, że zgadzamy się w wielu sprawach – stwierdza. – Widzę dużo podobieństw między nami, Mikołaju. Obaj w młodym wieku niespodziewanie awansowaliśmy na obecne stanowiska z najniższych szczebli naszych organizacji. Ja również nie wywodzę

się z zamożnej rodziny ani rodziny z koneksjami. W moich żyłach nie płynie błękitna krew.

Chrząkam. Znam część historii Kristoffa – nie był związany z Bratwą od samego początku. Z nim było całkiem odwrotnie. Trenował z rosyjskim wojskiem. To jasne i proste, że był mordercą. Nie mam pojęcia, dlaczego z wojskowego agenta został królem podziemia. Jego ludzie mu ufają, lecz ja nie jestem równie skłonny, by zrobić to samo.

– Mówią, że Zając był twoim ojcem – mówi Kristoff. – Byłeś jego biologicznym synem?

Pyta, czy jestem bękartem Tymona. Tymon nigdy nie był żonaty, lecz spółdził ze swoją ulubioną dziewczyną syna – Jonasza. Ludzie zakładają, że muszę być jego kolejnym bękartem, skoro zająłem jego miejsce.

– O co chodzi z tymi pytaniami? – pytam z niecierpliwością.

Nie zależy mi na wyjaśnianiu Kristoffowi, że z Tymonem łączył mnie szacunek i zrozumienie, a nie więzy krwi. Jonasz o tym wiedział. Reszta chłopaków również to wiedziała. Tymon wybrał spośród nas najlepszego lidera. Potrzebował człowieka mającego ku temu najlepsze predyspozycje, a nie tych samych genów.

– Podtrzymuję rozmowę – odpowiada uprzejmie Kristoff.

– Znasz powiedzenie: „Rosjanin sika z celem”?

– Myślę, że bardziej podoba mi się jedno z waszych powiedzeń – śmieje się niezrażony Kristoff. – „Nie dziel skóry na niedźwiedziu”.

Chce dokonać podziału Chicago, ale najpierw musimy zabić niedźwiedzia.

– Chcesz zaplanować polowanie – stwierdzam.

– Owszem.

Wzdycham, wyglądając przez okno na ciemną, bezksiężycową noc. Nessa wciąż jest w ogrodzie, nie chce wrócić do środka. Kilka pierwszych kropel deszczu uderza o szybę.

– Kiedy? – pytam.

– Jutro wieczorem.

– Gdzie?

– Przyjedź do mojego domu w Lincoln Park.

– W porządku.

Już mam się rozłączyć, ale Kristoff dodaje:

– Zabierz ze sobą dziewczynę.

Nessa, odkąd została porwana, nie opuszczała terenu posiadłości. Zabieranie jej gdziekolwiek jest ryzykowne, a co dopiero wizyta w kryjówce Rosjan.

– Po co? – pytam.

– Byłem rozczarowany, że nie mogłem jej zobaczyć na żywo podczas naszej ostatniej operacji. To jeden z naszych najcenniejszych pionków, a nie tak dawno musiałem za nią zapłacić magazynem pełnym towaru. Chciałbym na własne oczy zobaczyć dziewczynę, przez którą w mieście wybuchła taka wrzawa.

Wcale mi się to nie podoba. Nie ufam Kristoffowi, wkurza mnie myśl, że będzie się nią napawał jak jakimś jeńcem wojennym.

Taki to już jest problem z sojusznikami. Domagają się kompromisów.

– Zabiorę ją ze sobą – oznajmiam. – Zrozum, że nikt nie będzie jej dotykać. Cały czas będzie u mego boku.

– Oczywiście – odpowiada Kristoff.

– Do jutra – mówię po polsku, a potem się rozłączam.

Kiedy rozpadało się na dobre, wysyłam do ogrodu Klarę, aby przyprowadziła naszą małą uciekinierkę.

Klara idzie przez oranżerię, niosąc zabrane z biblioteki gruby, pleciony koc. Kiedy wraca, blada i drżąca Nessa jest nim opatulona. Zauważam, że wciąż ma na kostce opaskę. Wygląda na porysowaną, zupełnie jakby próbowała rozwalić ją kamieniem. Jej noga również jest zadrapana. Klara obejmuje ją ramieniem, a Nessa zwiesza głowę. Jej policzki są mokre od deszczu oraz łez.

Gdyby zebrać wszystkie wypłakane przez nią tutaj łzy, można by było nimi wypełnić całą wannę.

Początkowo wcale mnie to nie obchodziło. Prawdę mówiąc, postrzegałem te łzy jako mi należne. Były solą, którą doprawiałem swoją zemstę.

Ale teraz czuję najniebezpieczniejszą ze wszystkich emocji – wyrzuty sumienia. To uczucie, które człowieka osłabia i sprawia, że żałuje nawet tych najbardziej koniecznych działań.

Te dziewczyny nawiązały zbyt silną więź.

A ja robię się zbyt miękki.

Nessa jest wyraźnie wyczerpana i na wpół zamarznięta w tym swoim lichym stroju do tańca. Jestem pewien, że Klara ją nakarmi, wykąpie i położy spać.

Ja natomiast nie będę spać jeszcze przez kilka godzin. Jeśli jutro mam się spotkać z Rosjanami, to dzisiejszego wieczoru muszę porozmawiać ze swoimi ludźmi. Zanim Kristoff do nas dołączy, chcę ustalić z nimi strategię.

Wzywam wszystkich do sali bilardowej. To jedno z największych pomieszczeń. Jest położone w centralnej części parteru i ma sporo miejsca do siedzenia. Lubię jednocześnie grać i rozmawiać. Dzięki temu wszyscy są bardziej zrelaksowani, a także bardziej szczerzy. To również przypomina moim ludziom, że mogę ich ograć w bilard, kiedy tylko zechcę.

Od dnia wprowadzenia się do tego domu prowadzimy zacięty bój w bilardowych turniejach. Niekiedy na drugim miejscu jest Marcel, a niekiedy Jonasz. Z kolei ja zawsze jestem na szczycie.

Marcel ustawia bile, a ja i Jonasz stajemy do pierwszej partii.

Jonasz odstawia przedstawienie, smarując swój kij kredą, sprawiając, że niebieski proszek osadza się na jego przedramieniu.

– Chcesz postawić jakąś kasę, szefie? – pyta.

– Pewnie – odpowiadam. – Czuję, że mam dziś szczęście... może piątkę?

Standardowy zakład to dwieście dolarów na grę. Zaczynam od pięciuset, żeby namieszać Jonaszowi we łbie i aby pokazać mu, że nie zapomniałem o jego kuchennym wybryku z Nessą. Mówiłem mu wcześniej, żeby się od niej odpierdolił. Wiem, jak postępuje z kobietami. Ciągłe nęka dziewczyny w naszych klubach. Im bardziej go olewają, tym bardziej jest nimi zafascynowany.

Jonasz wygrywa rzut monetą i rozbija bile. To ładne, czyste rozbicie, podczas którego posyła dwie pasiaste bile do narożnych łuz. Uśmiecha się, sądząc, że ma przewagę. Nawet się nie wysilił, aby przyjrzeć się, jak są rozmieszczone. I dlatego nie widzi, jak skupione są jego dwie bile – dwunastka oraz czternastka – nad czarną.

– Więc – mówię po polsku, opierając się na kiju. – Jutro spotykamy się z Rosjanami. Chcą omówić finał naszej akcji.

Uśmiechnięty i wciąż pewny siebie Jonasz wbija dziewiątkę i jedenastkę.

– Zanim zaczniemy negocjować stawkę, chcę poznać wasze pomysły. Jeśli macie coś do powiedzenia, to możecie teraz mówić.

– Czemu nie zabijemy tej dziewczyny? – pyta Jędrzej. Siedzi przy barze i pije Heinekena. Ma kanciastą głowę, bardzo krótką szyję i rude włosy. Dzisiejszego wieczoru sprawia wrażenie gburowatego i niezadowolonego. Nienawidzi Rosjan i bardzo mu się nie podoba, że z nimi współpracujemy. To zrozumiałe, bo obaj jego bracia zginęli z rąk Bratvy – jeden w we wrocławskim więzieniu, drugi natomiast w Chicago.

Jędrzej upija spory łyk piwa, po czym odstawia je na bar.

– Pozbyliśmy się Millera i wrobiliśmy w to Dantego Gallo. Z dziewczyną powinniśmy zrobić to samo. Sprawić, żeby wyglądało to tak, że zabił ją Nero albo Enzo. Dzięki temu sojusz z Irlandczykami i Włochami rozpadnie się w drobny mak szybciej niż po każdej innej rzeczy, którą moglibyśmy zrobić.

Ma rację. Początkowo, porywając Nessę Griffin, taki właśnie miałem plan. Jej zniknięcie miało rozpętać chaos. Śmierć małej Baleriny sprawiłaby, że obie rodziny oddaliłyby się od siebie.

Przede wszystkim połączyło ich małżeństwo Aidy i Calluma, ale śmierć jest silniejsza od małżeństwa.

Jednak w tej chwili mam ochotę złapać za kij bilardowy i rozwalić go na tępej łepetynie Jędrzeja za to, że zasugerował coś takiego. Nachodzi mnie wizja mężczyzny wchodzącego do jej pokoju i zaciskającego swoje paskudne, zrogowaciałe łapska na jej gardle... Nie pozwolę na to. Nawet nie będę rozważał takiego rozwiązania.

Nikt nie będzie jej, kurwa, dotykać.

Nessa nie jest zwykłym pionkiem, który można dowolnie przesuwac po planszy. Nie zostanie również kozłem ofiarnym.

Jest warta o wiele więcej. Można ją wykorzystać do osiągnięcia znacznie większego celu.

Tymczasem Jonasz pudłuje. Ja natomiast wbijam jedynekę, czwórkę i piątkę, odpowiadając:

– Nie zabijemy jej – mówię stanowczym tonem. – Obecnie to nasza najlepsza karta przetargowa. Jak myślisz, dlaczego Griffinowie

i Gallo nie zaatakowali nas bezpośrednio?

– Jak to nie? – oburza się Marcel. – Przeprowadzili nalot na magazyn Rosjan i podpalili Exoticę!

Parskam, wbijając trzy bile.

– Myślisz, że to najlepsza rzecz, jaką mogli zrobić? To było kurewsko nędzne. Jak myślisz, dlaczego nie podpalili tego domu?

Jonasz i Jędrzej wymieniają spojrzenia, lecz nie przekazują sobie w ten sposób żadnych informacji, bo obaj są tak samo głupi.

– Bo wiedzą, że możemy ją tu trzymać – oznajmia Marcel.

– Zgadza się. – Jednym strzałem wbijam dwójkę oraz siódemkę. – Póki nie mają pewności, gdzie jest – czy tu, czy u Rosjan – mogą jedynie rzucić kilka granatów. Nie zrzucą nam napalmu na głowy. Nessa, jak na razie, robi za naszą polisę ubezpieczeniową.

Zielona szóstka chowa się za trzynastką Jonasza. Podkręcam białą bilę tak, aby trafić swoją od tyłu, żeby zgrabnie wylądowała w bocznej łuzie. Patrzący na to Jonasz tylko się krzywi.

– Dlaczego nie zabijemy przywódców obu rodzin?! – rzuca agresywnie. – Zastrzelili Zająca. Powinniśmy zabić Enzo oraz Fergusa.

– A co by to dało? – pytam. – Następcy już zajęli ich miejsce.

Bez patrzenia wbijam czarną bilę. Marcel parska śmiechem, a Jonasz łapie kij tak mocno, że aż trzęsie mu się całe ramię. Wygląda, jakby chciał złamać go na pół.

– To, co? – pyta. – Jaki jest następny krok?

– Callum – oznajmiam. – Już raz go porwaliśmy. Możemy zrobić to ponownie.

– Ostatnim razem ci zwiął – przypomina Jonasz, posyłając mi mroczne spojrzenie.

Podchodzę do niego, opierając kij o stół bilardowy. Stajemy twarzą w twarz.

– Zgadza się – przytakuję cicho. – Również tam byłeś, bracie. O ile dobrze pamiętam, byłeś odpowiedzialny za jego żonę, tę małą włoską dziewczkę, Aidę Gallo. Zrobiła z ciebie głupca. Prawie zniszczyła cały magazyn. Cały czas masz bliznę po tym Mołotowie, którym oberwałeś w łeb, prawda?

Doskonale zdaję sobie sprawę, że wzdłuż pleców Jonasza ciągnie się ładna, długa blizna po oparzeniu. Zniszczyła jeden z jego ulubionych tatuaży i to do tej pory go boli. Zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

– Powinniśmy porwać ich oboje – warczy Jonasz. – Calluma i Aidę.

– No, wreszcie zaczynasz myśleć – stwierdzam. – Słyszałem, że to aranżowane małżeństwo przerodziło się w miłość. On robi dla niej wszystko.

– Nie, jeśli skręcę jej pierdolony kark – warczy Jonasz.

– Nie chcę szantażować tych irlandzkich zjebów – oznajmia z goryczą w głosie Jędrzej. – Krew za krew!

– Zgadza się – mówi cicho Marcel. – Zabili Tymona. Zabijmy chociaż jednego Griffina i jednego Gallo.

– Lepiej zabić młodego niż ojca – stwierdza Jonasz. – Callum Griffin jest ich jedynym synem. To następca – o ile jego żona nie jest w ciąży. On powinien zginąć.

Słyszę wyrażające aprobatę pomruki Jędrzeja i Marcela. Nie mówię nic, co by sugerowało, że się zgadzam lub też nie zgadzam. Od zawsze chciałem zrobić coś takiego. Lecz rozprasza mnie przytłumiony dźwięk dobiegający zza drzwi. To coś pomiędzy westchnięciem a szlochem. Podchodzę do nich i gwałtownie je otwieram, spodziewając się, że zobaczę za nimi Klarę. Zamiast tego widzę przed sobą rozhisteryzowaną twarz Nesy Griffin. Nim udaje się jej odwrócić i uciec, bo łapię ją za nadgarstek, a następnie zaciągam siłą do sali bilardowej. Balerina kopie i próbuje walczyć.

– Nie! – krzyczy. – Nie możesz zabić mojego brata! Nie pozwolę ci na to!

– Wszyscy wyjść – warczę do swoich ludzi.

Wahają się, a ich twarze zamierają w wyrazie zakłopotania.

– WON! – ryczę.

Rozchodzą się, zamykając za sobą drzwi.

Nessa pada na dywan u mych stóp. Natychmiast zrywa się na równe nogi i wymachuje rękami w szaleńczych próbach uderzenia, podrapania i rozerwania mnie na strzępy.

– Nie pozwolę ci na to! – krzyczy. – Klnę się na Boga, zabiję każdego z was!

Po początkowym zaskoczeniu wywołanym jej widokiem – Klara powinna była ją zamknąć na noc w swoim pokoju – zaczynam zdawać sobie sprawę z czegoś zupełnie innego.

Rozmawialiśmy po polsku, a mimo to Nessa zrozumiała każde słowo.

– Co robisz? Szpiegujesz mnie? – syczę po polsku.

– Będę cię szpiegowała, ile będę chciała! – krzyczy Nessa. Uświadamiając sobie, że się zdradziła, zakrywa usta dłonią.

– Kto cię nauczył polskiego? – pytam z wściekłością. Jednak już znam odpowiedź na to pytanie. To musiała być Klara.

Zachowanie Nessy zbija mnie z tropu. Staje wyprostowana na tyle dostojnie, na ile to możliwe z jej splątanymi włosami, wciąż opuchniętą od łez twarzą i faktem, że ma na sobie koszulę nocną.

– Nikt mnie nie nauczył polskiego – mówi dumnie po polsku. Po chwili dodaje po angielsku: – Nauczyłam się go w bibliotece. Mam mnóstwo wolnego czasu.

Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wcześniej mnie tak zatkało.

Jej wymowa jest do dupy, a poziom gramatyki przeciętny, ale to naprawdę niezwykle, ile zdołała się nauczyć.

To podstępna mała diablica. Miałem w dupie, że kręci się po domu, bo nie spodziewałem się, że rozumie, o czym rozmawiamy. Nie, żeby to miało znaczenie – nic z tymi informacjami nie może zrobić. Wciąż jest moim więźniem.

Jednak... jestem pod wrażeniem. Kryje w sobie mądrość i odwagę, o których nie miałem pojęcia.

Mimo to grubo się myli, jeśli myśli, że będzie mnie rozstawiać po kątach w moim własnym domu i to przed moimi ludźmi. To nie ona wydaje tu rozkazy. To ja jestem panem. Ona jest więźniem.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – warczę, patrząc jej w prosto w twarz. – Sądzisz, że możesz mi grozić? Spróbujesz mnie zaatakować? Nie wysilając się, mógłbym połamać ci każdą kość.

Kręci głową, a po jej twarzy spływa jeszcze więcej łez. Kiedy płacze, jej oczy robią się bardziej zielone niż zazwyczaj. Każda łza na jej czarnych rzęsach jest jak załamująca światło soczewka, która powiększa każdy z piegów na jej twarzy.

– Wiem, że jesteś ode mnie silniejszy – syczy. – Wiem, że jestem nikim. Ale kocham swojego brata. Rozumiesz to? Nikogo na tym świecie nie kocham tak bardzo jak jego. Czy kiedykolwiek czułeś coś takiego, zanim stałeś się taki zimny i wściekły? Czy kiedykolwiek kogoś kochałeś? Wiem, że tak. Wiem o Annie.

Teraz naprawdę mam ochotę ją zdzielić.

Jak ona śmie wymawiać to imię?!

Ona o niczym nie wie... o niczym.

Sądzi, że może grzebać mi w głowie i próbować wyciągać z niej rzeczy, które w niej ukryłem.

Chce, abym był tak samo słaby i sentymentalny jak ona.

Łapię ją za koszulę nocną i mówię prosto w twarz:

– Nigdy więcej nie wypowiadasz jej imienia.

Nessa unosi rękę i wydaje mi się, że będzie próbowała mnie spoliczkować... a ona zamiast tego kładzie swoją dłoń na mojej. Jej szczupłe palce obejmują moją zaciśniętą pięść.

Patrzy mi w oczy.

– Mikołaju, proszę – błaga. – Mój brat jest dobrym człowiekiem. Zdaję sobie sprawę, że to wojna, a wy stoicie po przeciwnych stronach barykady. Wiem, że cię skrzywdził. Zabijając go, nie wyrządzisz mu krzywdy. Wyrządzisz ją mnie, a ja cię nigdy nie skrzywdziłam.

Mówi o uczciwości, sprawiedliwości. Na tym świecie nie ma pierdolonej sprawiedliwości. Są wyłącznie długi, które trzeba spłacić.

Ale istnieje więcej niż jeden rodzaj waluty.

Nessa stoi naprzeciw mnie – jest smukła, delikatna i drży jak liść. Gęstwina jej jasnobrązowych włosów przypomina, otaczającą jej twarz oraz ramiona, chmurę. Ma duże, zalane łzami oczy i miękkie, różowe usta.

Dotyka mojej dłoni. Nigdy wcześniej dobrowolnie mnie nie dotknęła.

Czuję, jakby moja ręka płonęła. Rozsyła ciepło po całym moim ciele. Sprawia, że każda część mnie pulsuje, jakby była zamrożona i powoli wracała do życia.

– Przekonaj mnie, Nesso – mówię. – Przekonaj mnie, że powinienem oszczędzić twojego brata.

Przygląda mi się, początkowo nie rozumiejąc. Dopiero po chwili w jej oczach pojawia się zrozumienie.

Wciąż trzymam w garści jej koszulę nocną. Czuję w zaciśniętych palcach bicie jej serca. Rozluźniam uścisk, czekając na to, co zrobi.

Wysuwa czubek języka, aby zwilżyć nim usta.

– Usiądź na kanapie – mówi.

Siadam na niskiej sofie. Jest to pierwsze polecenie, jakie wykonałem od bardzo, bardzo dawna. Siadam, opierając się o poduszki, ręce trzymam przy bokach, nogi natomiast mam lekko rozłożone.

– Mogę skorzystać z twojego telefonu? – szepcze Nessa.

Podaję go jej bez słowa.

Przez chwilę scrolluje palcem po ekranie, po czym coś przyciska. Z głośników płynie muzyka – niski, nastrojowy, stanowczy bit. Moja mała Balerina zwykle nie puszcza takiej muzyki. To jest coś znacznie mroczniejszego.

Na zewnątrz deszcz tłucze o szyby. Rytm spadających kropli miesza się z rytmem muzyki. Wpadające do środka światło jest słabe i rozmyte, z kolei krople deszczu zniekształcają wszystkie cienie.

Nessa wygląda, jakby była pod wodą. Jej skóra ma bledszy kolor niż zazwyczaj. Staje przede mną i zaczyna kołysać się w rytm muzyki.

Niezliczoną ilość razy oglądałem, jak tańczy. Lecz nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób. Nigdy nie tańczyła przede mną. Nigdy jej taniec nie był skierowany do mnie. Patrzy mi prosto w oczy. Jej ciało kołysze się na boki.

Kiedy pierwszy raz ujrzałem ją w klubie, tańczyła bardzo podobnie.

Wtedy to było jak podglądanie przez dziurkę od klucza. Tym razem drzwi są szeroko otwarte.

Widzę wyzwoloną Nessę. Nessę, na którą nikt nie patrzy. Nikt – z wyjątkiem mnie.

Kołysze się na boki, nigdy wcześniej nie widziałem, żeby tak poruszała biodrami. Cały czas patrzy mi prosto w oczy. Pochyliła się aż do ziemi, a następnie przesuwając ręką wzdłuż swojej długiej nogi, unosząc skraj koszuli nocnej, by pokazać gładkie, kremowe udo.

Następnie odwraca się do mnie plecami i gdy się pochyla, zauważam krągłość jej pośladka pod rąbkiem koszuli nocnej.

Drażni się ze mną. Wie, że wbijam wzrok w jej ciało i każdy jej ruch sprawia, że przechodzą przeze mnie dreszcze sprawiające, że mój kutas sztywnieje i robi się nabrzmiały. W końcu muszę się poruszyć w miejscu, próbując ułożyć się jakoś wygodniej.

Znowu odwraca się do mnie twarzą. Nie przerywając kontaktu wzrokowego, łapie za skraj koszuli nocnej i powoli zdejmuje ją przez głowę. Odsłania wąskie biodra, niesamowicie szczupłą talię, a następnie małe, okrągłe piersi. Zwija cienką, bawełnianą koszulę nocną w kłębek i odrzuca ją na bok.

Nie licząc majtek – jest teraz naga.

Pierwszy raz widzę jej nagie piersi w całej okazałości. Widziałem je przez mokry materiał, lecz nigdy nie były całkowicie nagie. Nie są wystarczająco duże, aby wypełnić moje dłonie, ale i tak są zajebiste. Nigdy nie widziałem takich sterczących małych cycków. Wyglądają, jakby były wyrzeźbione z marmuru, o ile marmur mógłby być miękki i wrażliwy.

Są jednak wystarczająco duże, aby podskakiwać i poruszać się w rytm muzyki. Teraz zdaje mi się, że każdy kawałek Nessy woła mnie, kusi i błaga o dotknięcie.

Nigdy nie widziałem takiego idealnego i szczupłego ciała. Wytrenowane i wyrzeźbione zgodnie z jego przeznaczeniem. Balerina jest silną kobietą. Pełną wdzięku. Nie można sobie wyobrazić nikogo równie seksownego.

Dudnieniu muzyki towarzyszy dudnienie deszczu.

W moją głowę wwiercają się słowa *Blood in the cut*.

Nessa odwraca się i pada na podłogę, po czym niczym polująca na swoją ofiarę pantera czołga się w moją stronę. To ja powinienem być myśliwym. A tymczasem siedzę w miejscu, zahipnotyzowany przez jej zielone oczy, którymi mi się przygląda.

Wspina się po moich nogach, przesuwając dłońmi po moich udach. Wiem, że widzi mojego naprężonego kutasa napierającego na materiał spodni. A kiedy odwraca się i pociera o mnie swoim ciałem, wiem, że czuje, jak wbija się w jej tyłek.

Mój kutas ocieka spermą. Nie może się doczekać, aby się uwolnić i zamiast ciasnego materiału spodni poczuć tę niezwykle miękką skórę.

Nessa siada okrakiem na moich kolanach, kręcąc tyłkiem nad moim kroczem. Oplata moją szyję ramionami, a te jej piękne piersi dzielą od mojej twarzy zaledwie milimetry. Boże, mam ochotę wziąć do buzi te sztywne, małe sutki.

Ale czekam. Chcę zobaczyć co robi sama, bez mojej ingerencji.

Czekanie wymaga ode mnie użycia całej siły woli. Nigdy w życiu nie byłem bardziej podniecony. Mój wściekły kutas chce się uwolnić i wbić się głęboko w jej ciasne, drobne ciało. Ja nie tylko tego chcę... potrzebuję tego. Bez tego, kurwa, eksploduję.

Nigdy nie widziałem poruszającej się w ten sposób kobiety, a mam przecież pierdolony klub ze striptizem. Nessa jest niewinna jak diabli. Raz ją pocałowałem – wiem, jaka była niezdarna i niedoświadczona.

Ale wie, jak się tańczy. I dowiaduję się, że potrafi być zmysłowa. Głęboko w jej wnętrzu drzemie ukryty popęd seksualny. Po prostu nigdy wcześniej go nie uwalniała.

Jest tuż przy mnie, ocierając się o mnie miękkimi, małymi piersiami i cipką. Niemo błaga mnie, żebym dotknął jej pleców, wyrażając swój podziw. Jej rzęsy uginają się od ciężaru pożądania, ma zarumienioną twarz i rozchylone usta.

Raz jeszcze zsuwa się po moim ciełe i klęka między moimi nogami. Jej palce majstrują przy guzikach moich spodni.

Rozpina je, uwalniając przy tym mojego kutasa, który wyskakuje jej na spotkanie. Jest gruby i twardy jak skała. To jedno z niewielu miejsc na moim ciełe, gdzie skóry nie zdobią żadne tatuaże.

Nessa wydaje z siebie krótki jęk zaskoczenia. Jestem niemal pewien, że to, co podejrzewałem, jest prawdą – to dziewica. Nigdy wcześniej nawet nie widziała kutasa, nie wspominając już o tym, że żadnego nie dotykała.

Wahając się, wyciąga dłoń i zaciska palce na moim fiucie. Wypełnia jej dłoń. Trzymając za trzon, nie może objąć go palcami.

Patrzy na mnie raz jeszcze. Jest zdenerwowana, ma szeroko otwarte oczy.

Jej bladoróżowe wargi się rozchylają. Za chwilę obejmie ustami
mojego kutasa.

Powstrzymuję ją.

Delikatnie ją odpycham, chowając fiuta z powrotem do spodni.

Chciałbym, aby Nessa zrobiła mi laskę. Cholera, strasznie tego
pragnę. Lecz nie chcę osiągnąć tego w ten sposób. Nie pod
przymusem.

Nie chcę, żeby robiła to ze strachu, żeby przekonać mnie, abym nie
krzywdził jej brata.

Chcę, żeby to zrobiła dlatego, że pragnie mnie tak bardzo, jak ja
pragnę jej.

Ale to niemożliwe.

Ona jest moim więźniem, a ja potworem.

Muszę z powrotem zamknąć ją w pokoju, zanim kompletnie stracę
panowanie nad sobą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

NESSA

Leżę w ciemnościach na łóżku. Moje serce wali jak młot pneumatyczny.

O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże!

Dlaczego mnie tu przyprowadził?

Wiem, że Mikołaj ma na mnie ochotę. Wyczytałam to z jego twarzy.

Oboje czuliśmy to samo, tę samą desperację. Tę samą żądzę i dzikość, które mówią mi, że mam zignorować racjonalne myślenie i wziąć to, co chcę, pieprząc przy tym konsekwencje.

Chciałam JEGO.

Wiem, że to szaleństwo. Wiem, że jest moim wrogiem i chce zniszczyć wszystko, co kocham.

Ale moje ciało i mózg to dwa oddzielne byty.

Nigdy nie miałam chłopaka! Byłam pod wrażeniem chłopców, których uważałam za uroczych. To było prawie jak gra – coś co lubiałam sobie wyobrażać, bez podejmowania żadnych działań.

Tak naprawdę nigdy aż tak bardzo nie pragnęłam być pocałowana, żeby mogło do tego dojść. W żadnym z tych wszystkich chłopaków nie było niczego wyjątkowego. Nic ich nie wyróżniało. W moich fantazjach można ich było podstawiać zamiennie.

Nigdy nie czułam tak silnego pociągu do żadnego mężczyzny.

Aż do teraz.

Mój pociąg do Mikołaja jest wewnętrznym przymusem. To nie takie proste jak pożądanie. To jedna emocja, która składa się z wielu innych: lęku, poniżenia, podniecenia, obsesji oraz niepokoju. To uczucie tak intensywne, że nic tak zwyczajnego jak zauroczenie nie

może się z nim równać. To siła natury... cholerne tsunami, które przejmuje nade mną kontrolę.

Wiem, że on też to czuje. Z tym że mnie odepchnął i zaprowadził z powrotem do mojego pokoju, w którym mnie zostawił.

Dlaczego?!

Niewielka, wciąż myśląca racjonalnie, część mojego mózgu mówi mi:

Bo zdaje sobie sprawę, że to przesądzone. Wie, że zabije twojego brata, rodziców i nawet ciebie. A ta resztką moralności, jaka mu została, mówi mu, że pieprzenie cię przed zabiciem jest czymś złym.

Ta myśl mnie otrzeźwia. Powinna mnie wyrwać z tego szaleństwa.

Przewracam się pod kocami i zamykam oczy, próbując zmusić się do zaśnięcia.

Jestem dręczona przez pulsowanie między nogami. Czuję, że skóra mnie swędzi i piecze. Tak bardzo chciałam, żeby mnie dotknął. Dlaczego chociaż nie położył rąk na moim ciele?

Byłabym usatysfakcjonowana, gdyby po prostu mnie raz jeszcze pocałował. Mogłabym zasnąć z tą myślą. Lecz on nie chciał mnie dotknąć.

To prawie wywołuje we mnie gniew. Powiedział mi, że mam go przekonać. A potem siedział tam jak jakiś pierdolony robot.

Taaa, zdecydowanie jestem wkurzona.

Kiedyś byłam dziewczyną, która będąc zawiedziona zwinęłaby się w kłębek i zaczęła płakać. No cóż, już taka nie jestem. Mam już dosyć płaczu. Mam już dosyć robienia tego, co inni mi każą. Mam już dość bycia zamkniętą w tym pokoju.

Gramolę się spod koca i boso idę w stronę drzwi.

Nie licząc bielizny, wciąż jestem naga. Nie odzyskałam swojej koszuli nocnej – prawdopodobnie wciąż leży na podłodze w sali bilardowej.

Próbuję przekręcić klamkę. Gałka, nie wydając żadnego dźwięku, obraca się w mojej dłoni.

Zamierzam potraktować to jako znak. Mikołaj nie zamknął mnie w pokoju. A on nie bywa niedokładny. Albo zrobił to celowo, albo podświadomie pragnie tego tak samo jak ja.

Wychodzę z pokoju i ruszam ciemnym korytarzem.

Pamiętam, jak byłam przerażona, robiąc to po raz pierwszy.

Spędziłam już ponad miesiąc w tym domu. Znam odgłosy, które wydaje, równie dobrze jak bicie własnego serca i jak świst powietrza w swoich płucach. Doskonale wiem, jak unikać pełniącego wartę Jędrzeja. Słyszę, że jest w kuchni i nalewa sobie szklankę mleka. Nigdy nie pije wody, zawsze mleko.

Przechodzę przez parter.

Słyszę dźwięk dobiegający od strony schodów prowadzących do pokoju Klary. To niski pomruk, zupełnie jakby rozmawiały dwie nie chcące zostać usłyszane osoby. Założę się, że to Marcel. Widziałam, jak patrzy na Klarę. Widziałam również, jak ona patrzy na niego, gdy sądzi, że nikt tego nie zauważy.

Nie usłyszą mnie. Są zbyt zajęci prowadzoną szeptem rozmową.

To znaczy, że muszę uważać tylko na Jonasza.

Przechodzę do zakazanej części domu – zachodniego skrzydła. Minęło dopiero dziewięć godzin odkąd Mikołaj mnie stąd wygonił. Wyglądał na tak wściekłego, że myślałam, że tym razem – tu i teraz – mnie udusi.

Wcześniej kierowała mną czysta ciekawość. Teraz napędza mnie coś silniejszego.

Wchodzę po schodach, a następnie idę cicho przez długi korytarz. Mijając gabinet Mikołaja, na wypadek gdyby pracował, zaglądam do środka. Jest pusty.

Dochodzę do głównej sypialni z ciężkimi, podwójnymi drzwiami. Przekręcam klamkę i wślizguję się do środka z myślą, że na pewno jeszcze nie śpi. Ledwie godzinę temu odstawił mnie do mojego pokoju. Spodziewam się usłyszeć jego niski, wyraźny głos, domagający się wyjaśnienia, dlaczego tu jestem. Jednak w sypialni jest ciemno i głucho.

Podchodzę do łóżka.

Leży na nim. Moja Bestia. Mój wróg. Mój porywacz.

Nie licząc bokserek, leży wśród pościeli nago. Po raz pierwszy mam okazję ujrzeć całe jego ciało.

Każdy centymetr kwadratowy jego skóry pokrywają tatuaże. Wyjątek stanowią dłonie oraz twarz. Jego ciało jest żyjącym, oddychającym dziełem sztuki. Przypomina ukończony gobelin pełen

szarych, błękitnych i czerwono-brunatnych wzorów, obrazów oraz zawijasów.

Pod tatuażami kryją się płyty beztłuszczowej, twardej masy mięśniowej. Jest bardziej umięśniony niż niejeden tancerz. Patrząc na głębokie nacięcia na jego brzuchu, potem są kości biodrowe i gumka ledwo zakrywających jego penisa bokserki.

Czuję, że cieknie mi ślinka i aż muszę ją przełknąć.

Dzisiaj prawie wsadziłam go sobie do buzi.

Nie wiem jak, do diabła, zdobyłam się na odwagę, żeby to zrobić. Rozpięłam mu spodnie, a on wyskoczył jak wąż. Był dwukrotnie większy, niż się tego spodziewałam. To było przerażające, a ja nie miałam pojęcia co z tym zrobić.

Równocześnie byłam zafascynowana tą gładką, nagą skórą. Wyglądała, jakby był to najdelikatniejszy kawałek skóry na całym jego ciele. Trzymając jego męskość w dłoni, czułam jak żyje w niej własnym życiem, drżąc i pulsując.

Spodziewam się, że lada chwila się obudzi, gdy tak nad nim stoję. Prawdopodobnie będzie wściekły.

Teraz na jego twarzy maluje się całkowite odprężenie.

Nigdy go nie widziałam w takim stanie.

To sprawia, że zdaję sobie sprawę, jaki jest piękny. Ma bardzo wyraźne rysy twarzy, są niemalże boskie. Jak by wyglądał, gdyby był szczęśliwy? Gdyby faktycznie się uśmiechał? Tego mogłoby być za dużo. Nie sądzę, abym mogła to znieść.

Przez dłuższy czas wpatruję się w jego twarz.

Patrząc na człowieka, jakim mógłby być. Na człowieka bez gniewu i goryczy. Na człowieka bez bólu.

Serce mi krwawi i sama nie wiem, dlaczego. Dlaczego miałabym współczuć Bestii?

Ale mu współczuję. Wytworzyła się między nami jakaś dziwna więź, której żadne z nas nie chciało.

Spodziewając się, że lada moment się obudzi, wślizguję się do jego łóżka.

Obudzi się teraz, gdy leżę obok niego.

Teraz, gdy położyłam dłoń na jego brzuchu.

Teraz, gdy wsuwam ją do jego bokserki...

Wzdycha – to długie, powolne, męskie westchnienie. Sprawia ono, że moje uda się ściskają.

Trzymam w dłoni jego penisa. Jest ciepły, na wpół twardy i z każdą chwilą robi się coraz twardszy.

Pochyliłam się i wkładam go sobie do buzi.

Czuję piżmowy zapach rozpalonej od snu skóry. Czuję również bogaty, słony i zniewalający smak jego męskości. Sprawia, że moje usta wypełnia ślina. Z łatwością przesuwam językiem po jego gładkiej skórze, a główka penisa wypełnia moje usta.

Im robi się twardszy, tym szerzej muszę otworzyć usta.

Nie mam pojęcia, jak prawidłowo zrobić loda. Próbuję różnych rzeczy – trochę go liżę, trochę ssę, trochę po prostu przesuwam po nim językiem oraz ustami.

Serio, robię to, co uważam za stosowne. Ale wydaje mi się, że działa całkiem nieźle, bo jego kutas zrobił się tak samo twardy jak wtedy, gdy tańczyłam dla niego w sali bilardowej.

Dłonie Mikołaja wplątują się w moje włosy i przytrzymują moją głowę z obu stron.

Unosząc wzrok, widzę, że nie śpi i mi się przygląda.

Myślałam, że będzie rozdrażniony albo zły. To jedyne dwie opcje, jakie brałam pod uwagę. A tymczasem widzę, że na jego twarzy maluje się coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć. To wygląda prawie jak wdzięczność.

Trzyma mnie za głowę i porusza biodrami w taki sposób, że jego penis w jednostajnym rytmie wsuwa się i wysuwa z moich ust. Cały czas liżę i ssę go najlepiej jak potrafię. Oddech Mikołaja przyspiesza, wydaje z siebie ciche odgłosy przypominające mieszankę westchnień i jęków.

Zaczyna mocniej pchać, a jego kutas wchodzi zbyt głęboko i uderza w tył mojego gardła. Krztuszę się.

– Przepraszam – dyszy.

Mikołaj nigdy wcześniej za nic nie przeproszał. To brzmi tak dziwnie, że prawie się śmieję.

Mam otwarte oczy, jestem zafascynowana jego widokiem. Jego ciało jest niesamowicie seksowne, ma napięte mięśnie ramion, klatki piersiowej oraz brzucha.

Cały czas porusza swoim penisem w moich ustach. Szczęka zaczyna mnie boleć, lecz nie chcę przestawać. Patrzymy na siebie z Mikołajem, jesteśmy spleceni ze sobą w tej intymnej, głębokiej i niemożliwej do zatrzymania sytuacji.

Następnie zamyka oczy i odchyła leżącą na poduszce głowę, a ja czuję, jak jego męskość zaczyna pulsować w moich ustach. Z gardła Mikołaja dobiega długi, niski krzyk. Moje usta zalewa śliskie i słone ciepło, lecz mi to nie przeszkadza, a wręcz przeciwnie...

Jego męskość wciąż pulsuje, więc ciągle ssę, nie chcąc za szybko przestać.

Gdy w końcu jest już po wszystkim, puszcza moją głowę i łapie mnie za ramiona, by pociągnąć mnie na łóżko i przeturlać się na mnie.

Całuje mnie, nie przejmując się tym, czy w moich ustach wciąż gości smak jego spermy.

Ten pocałunek różni się od pocałunku z sali bilardowej. Mikołaj jest jeszcze ciepły i rozespany. Jego usta są bardziej miękkie, niż mogłabym sobie to wyobrazić.

– Co tu robisz, mała Balerino? – mruczy.

– Nie mogłam spać – odpowiadam.

– Wiem, dlaczego – mówi.

Teraz to on ześlizguje się po moim ciele i zatrzymuje przy piersiach, by po kolei wziąć każdą z nich do ust. Ssie sutek, aż robi się zupełnie twardy, a potem delikatnie się nim bawi i ściska między palcami, jednocześnie ssąc drugi.

Potem schodzi niżej, prosto między moje uda.

Odruchowo chcę go odepchnąć. Stresuję się tym, że mogę źle smakować lub pachnieć. Szkoda, że tego nie sprawdziłam przed przyjściem tutaj.

Jednak Mikołaj nie wydaje się bardziej zaniepokojony stanem moich kobiecych partii niż moich ust. Chowa twarz między moimi udami i długimi, mokrymi pociągnięciami języka liże moją cipkę.

O mój Boże, nigdy nie wyobrażałam sobie, że to może dać tyle przyjemności.

Wielokrotnie się masturbowałam, ale zabawy palcami bardzo się różnią od pieścizot językiem. Język jest ciepły i wilgotny, a przy tym

zdaje się, że pobudza zakończenia nerwowe, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

Wypływa ze mnie mnóstwo wilgoci i przez chwilę boję się, że się zmoczyłam. Zupełnie na to obojętny Mikołaj ciągle mnie liże i całuje.

Zwilża jeden palec, po czym wsuwa go we mnie. Wzdycham, myśląc, że to zaboli. Zwykle niczego tam nie wkładam, ani zabawek, ani swoich palców, bo jest tam straszliwie ciasno.

Mimo że palec Mikołaja jest o wiele większy od mojego, zdaje się idealnie do mnie pasować. To prawdopodobnie dlatego, że nigdy wcześniej nie byłam tak bardzo podniecona.

Właściwie to jest o wiele lepiej niż nieźle. Jest niesamowicie.

Język Mikołaja jednostajnie uderza o moją łechtaczkę, a palec w środku zdaje się zwiększać to uczucie, więc zaciskam na nim mięśnie, jednocześnie pocierając łechtaczką o jego język.

Czuję narastające znajome uczucie – początek orgazmu. Ale Boże, o Boże, z jego językiem jest o niebo lepiej niż z poduszką. Te pieszczoty są jak ciepła kąpiel, masaż i najseksowniejszy sen, jaki można sobie wyśnić – wszystko w jednym.

Przyjemność tak narasta, że aż się jej boję.

Następnie fala orgazmu z siłą wodospadu spływa przez moje ciało.

Uderzam biodrami o jego twarz, jednocześnie starając się przytłumić krzyki poduszką. Niezręcznie mi być tak głośno, ale to takie przyjemne, że mam to w dupie.

Krzyczę i wiję się na łóżku. Po chwili jest już po wszystkim i leżę na nim, sapiąc i pocąc się, jednocześnie myśląc, jakie to wszystko szalone.

Mikołaj podarował mi najprzyjemniejszą chwilę w moim życiu.

Patrzymy na siebie z przeciwnych końców poduszki. Myślę, że Mikołaj jest równie zagubiony jak ja. Nie wie, co robić.

Raz jeszcze całuje mnie w usta, tym razem delikatnie.

– Wracaj do swojego pokoju, mała Balerino – mówi po chwili. – Nie pozwól, by ktoś cię zobaczył.

Cichutko wyslizguję się z jego łóżka i puszczam się biegiem tą samą drogą, którą tu przyszedłam. Moje ciało jest osłabione od przyjemności i kręci mi się w głowie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

MIKO

Następnego ranka wszystko jest jak zwykle.

Kiedy wchodzę na parter, słyszę ćwiczącą w swoim studio Nessę. Z gramofonu sący się zupełnie nowa muzyka. Pewnie skończyła jedną choreografię i zabrała się za kolejną.

Dom wygląda zwyczajnie. Po prysznicu i ubraniu się moja twarz w lustrze też wygląda tak jak zazwyczaj.

A jednak czuję się zupełnie inaczej.

Po pierwsze, naprawdę jestem głodny.

Wchodzę więc do kuchni, gdzie Klara zgarnia resztki śniadania, które zrobiła dla Nessy.

Widząc mnie, wygląda na zaskoczoną, bo rano piję zazwyczaj tylko kawę.

– Został jakiś bekon? – pytam.

– Och! – odpowiada, krzątając się po kuchni z patelnią. – Zostały tylko dwa kawałki... daj mi chwilę, to przygotuję więcej.

– Nie ma potrzeby – oznajmiam. – Zjem to, co jest.

Zgarniam bekon z patelni i jem go, opierając się o kuchenną wyspę. Jest słony, lekko przypalony i chrupiący. Smakuje obłędnie.

– Mogę zrobić więcej! – mówi speszona Klara. – Zajmie mi to tylko minutkę. Ten jest pewnie zimny.

– Idealny – oznajmiam, zabierając ostatni kawałek z patelni.

Klara wygląda na zaniepokojoną faktem, że przyszedłem do kuchni, bo nigdy nie robię. Może też czuć się nieswojo z tym, że jestem w dobrym nastroju, co też nigdy się nie zdarza.

– Nessa jest w swoim studio? – pytam, mimo że i tak znam odpowiedź.

– Tak – odpowiada ostrożnie.

– Lubi pracować. Ciągłe ją tam słyszę.

– Zgadza się.

Klara prawdopodobnie to szanuje. Sama ma wysoko rozwiniętą etykę pracy, bo gotuje, sprząta i załatwia dla nas przeróżne sprawy, a to robota dla przynajmniej trzech osób.

Dobrze jej płacę, ale i tak jeździ dwudziestoletnią Kią i nosi płócienną torbę, zamiast szykownej galanterii. Wszystkie pieniądze wysyła do swoich rodziców i dziadków do Polski. To też rodzina Jonasza, lecz on im niczego nie wysyła, mimo że zarabia o wiele więcej niż Klara.

– Dobrze się opiekujesz naszym małym więźniem – mówię do Klary.

Nie patrząc na mnie, wstawia patelnię do zlewu i odkręca wodę.

– Tak – odpowiada cicho.

– Zbliżyłyście się do siebie.

Polewa patelnię płynem do naczyń. Jej ręka lekko drży i część płynu spływa na kran. Pospiesznie wyciera go myjką.

– To dobra dziewczyna – oznajmia. – Ma dobre serce.

Wyłapuję nutkę wyrzutu w jej głosie.

– Wiesz, że nauczyła się mówić po polsku? – pytam.

Klara sztywnieje i patrzy mi w twarz oczami pełnymi poczucia winy.

– Nie chciałam jej niczego uczyć! – Klara przełyka ślinę. – Tak szybko to podłapała... sądziłam, że dla zabawy nauczyła się jak jest „łyżka” albo „kubek”. Nim się obejrzałam, mówiła już pełnymi zdaniami...

Klara wylewa z siebie cały potok wyjaśnień, a jej policzki płoną z niepokoju. Nie musi mnie przekonywać – na własne oczy widziałem, że Nessa jest mądra i spostrzegawcza. Wygląda jak niewinny mały faun, lecz jej umysł ciągle pracuje z szybkością tysiąca kilometrów na minutę.

– Nie gniewaj się na nią, proszę – dodaje Klara. – To nie jej wina.

Myślałem, że Klara prosi o wybaczenie, chcąc uniknąć kary. Teraz zdaję sobie sprawę, że martwi się o Nessę.

Jest gorzej, niż myślałem. Zostały bliskimi przyjaciółkami.

Powinienem zwolnić Klarę. A przynajmniej trzymać ją z dala od Nissy.

Ale komu mógłbym zaufać i powierzyć mu zadanie pilnowania panny Griffin?

Nikommu, kurwa.

Ona mogłaby wedrzeć się do serca wściekłego borsuka.

Milcząc, przyglądam się Klarze. Dziewczyna w końcu przestaje mówić i nerwowo przygryzając wargę, wyciera mokre ręce o fartuch.

– Twoja lojalność mnie martwi – informuję Klarę.

Ciągnie za brzeg fartucha swoimi spierzchniętymi dłońmi.

– Nigdy nie zdradziłabym Braterstwa – oznajmia.

– Nessa Griffin nie jest zwierzątkiem domowym. Jest atutem – bardzo cennym atutem.

– Wiem – szepcze.

– Gdybyś jednak pomyślała o uwolnieniu jej...

– Nigdy!

– Pamiętaj tylko, że wiem, w której części Bolesławca mieszka cała twoja rodzina. Twoja matka, wujek, małe siostrzenice, dziadkowie... To, że Jonasz jest z nimi spokrewniony wcale nie oznacza, że są bezpieczni. Wpakowałby bez wahania kulkę w głowę każdego z waszych krewnych, gdybym mu tak rozkazał.

– Wiem – mówi Klara, wypuszczając powietrze. – Wiem, że by to zrobił.

– Po prostu o tym pamiętaj. Hodujesz jagnię, które pójdzie na rzeź. Bez względu na to, jakie jest słodkie.

Klara ze wzrokiem wbitym w podłogę kiwa głową.

Nalewam sobie filiżankę kawy, po czym wychodzę z kuchni.

Wygłosiłem niezłe przemówienie. Zastanawiam się, czy było ono skierowane do Klary, czy raczej do mnie.

Nie mogę przestać myśleć o zeszłej nocy. To było jak sen. A jednak było to bardziej realne niż moje zwyczajne codzienne życie. Nie mogę przestać myśleć o smaku cipki Nissy, o tym, jak nasze ciała się ze sobą stykały. Mógłbym w tej chwili wejść na górę i zrobić to jeszcze raz...

Nie. Nie ma mowy. Muszę przygotować się na dzisiejsze spotkanie z Kristoffem. Z tego powodu większość dnia spędzam ze swoimi

ludźmi, opracowując ostatni atak na Griffinów. W tej chwili mamy pełny obraz harmonogramu Calluma oraz Aidy. Za sześć dni, radny i jego małżonka, jadą otworzyć bibliotekę w Sheffield. To idealna okazja, aby ich dopaść.

Raz jeszcze zrealizujemy pomysł Tymona, oparty o ich uprowadzenie, lecz tym razem będziemy dysponować odpowiednim planem. Wykorzystamy Aidę jako środek nacisku na jej męża i opróżnimy jego rachunki bankowe w Hyde Park Bank i Madison Capital.

W tym samym czasie zawrzemy umowę z Gallo. Przepiszą nam wieżę przy Oak Street, a w zamian dostaną z powrotem Aidę i dowody odcinające Dantego Gallo. Pozwolę mu wyjść z więzienia. A potem, kiedy postawi stopę na chodniku, strzelę mu prosto w ten jebany pysk.

Tak obecnie wygląda nasz plan. Dzisiejszego wieczoru przedstawię go Kristoffowi.

Wolałbym nie zabierać tam Nessay ze sobą, lecz Kola na to nalegał.

Klara przygotowuje Nessę, a ja zakładam na siebie cienki kaszmirowy sweter w kolorze szarym, spodnie oraz mokasyny.

W przeciwieństwie do większości gangsterów – nie noszę garniturów. Oni chyba sądzą, że dzięki nim wyglądają na biznesmenów. Ja natomiast uważam, że to jebana farsa. Marynarki są dobre, aby ukryć broń, lecz poza tym są nieporęczne i krępują ruchy. Nie jestem biznesmenem – jestem drapieżnikiem. I nie zamierzam zakuwać się w kajdany mody. Nie chcę zarobić kulki tylko dlatego, że nie zdążyłem się na czas odsunąć.

Przygotowania nie zajmują mi wiele czasu. Czekam u stóp schodów, patrząc w stronę wschodniego skrzydła.

W końcu na górze pojawia się Nessa pozująca przy oknie, jakby to była rama obrazu.

Ma na sobie białą szyfonową suknię, z warstwami zwiewnego materiału, które unoszą się wokół niej niczym skrzydła. Włosy ma upięte na czubku głowy, a z uszu zwisają jej diamentowe kolczyki w kształcie łez. Nagie, smukłe ramiona błyszczą w wieczornym świetle.

Kiedy schodzi po schodach, stoję tak, jakbym wrósł w podłogę i wbijam w nią wzrok. Zamiast schodzącej po schodach Nessa, widzę ją, jak idzie w moją stronę główną nawą. Nie ma na sobie wieczorowej sukni, lecz białą suknię ślubną. Widzę, jak wyglądałaby, gdyby była moją narzeczoną.

Zupełnie jakbym doznawał jakiejś wizji. Czas zwalnia, a wszystkie dźwięki milkną. W tej chwili istnieje dla mnie tylko ta dziewczyna – jest trochę nieśmiała, trochę zdenerwowana, ale mimo to bije od niej radość, której nie można w niej zgasić. Zapewne przez to, że ta radość nie jest wynikiem okoliczności czy określonej sytuacji, tylko pochodzi z jej wewnętrznej dobroci.

Nessa dociera na sam dół schodów.

Mrugam nerwowo oczami, a wizja rozprasza się jak poranna mgła.

Mała Balerina nie jest już moją narzeczoną tylko więźniem. Zabieram ją na negocjacje, podczas których zdecydujemy z Kristoffem, jak podzielić truchło jej rodzinnego imperium.

Patrzy na mnie wzrokiem pełnym ciepła i wyczekiwania, spodziewając się, że powiem jej, jak pięknie wygląda.

Tymczasem moja twarz pozostaje niewzruszona.

– Chodźmy – mówię. – Spóźnimy się.

Idzie za mną do samochodu.

Przed drzwiami czeka na nas zaparkowany land rover.

Wychodząca z domu Nessa zatrzymuje się w drzwiach frontowych. Chylące się ku zachodowi słońce barwi jej suknię. Jej skóra połyskuje złotem, a oczy nigdy wcześniej nie były tak jasne.

Starając się na nią nie patrzeć, wsiałam do samochodu.

Jonasz ujmuje jej dłoń, aby mogła unieść spódnicę i, bez brudzenia jej, wejść do samochodu. Strasznie mnie drażni, że on jej dotyka. Wkurza mnie, że ona mu na to pozwala.

Jak tylko siadamy z tyłu, Jonasz z Marcelem zajmują miejsca z przodu i ruszamy w drogę. Samochód mknie po krętym podejździe, a potem przejeżdżamy przez bramę. Nessa siedzi wyprostowana i z przyciśniętym do szyby czołem wygląda przez okno.

Minęło trochę czasu, od kiedy jechała samochodem. Od dawna nie widziała niczego innego poza domem i ogrodem. Widzę, że jest podekscytowana widokiem ulic, budynków i ludzi na chodnikach.

Interesuje ją wszystko – także sprzedawcy stojący przy skrzyżowaniach dróg.

Okna w wozie są przyciemnione i nikt nie może zajrzeć do środka. Mimo to czuję niepokój, zabierając ją ze sobą. To zupełnie tak, jak z wypuszczeniem słowika z klatki – odleci, jeśli coś pójdzie nie tak.

Podróż na południe nie trwa długo. Jedziemy do Lincoln Park, gdzie znajduje się dom Koli Kristoffa. To rozległy i niesamowicie nowoczesny kompleks. Główny budynek wygląda, jakby ktoś wzniósł go z kilkunastu ustawionych, jedno na drugim, szklanych pudeł różnej wielkości. Biorąc pod uwagę kwestię bezpieczeństwa, ta konfiguracja wygląda na okropną. Ale Kristoff jest ekscentrycznym człowiekiem i lubi się popisywać: czy to Maserati, czy garniturami Zenga.

Wnętrze domu wygląda na równie niepraktyczne. Pod żyrandolem składającym się z obracających kul, jakby to był układ słoneczny, przepływa sztuczna rzeka.

Kiedy Kristoff przychodzi, aby nas powitać, ma na sobie aksamitną bonżurkę i mokasyny z frędzlami. Mam ochotę zrezygnować z naszego sojuszu tylko dlatego, że nie chcę ubijać interesów z kimś, kto uważa się za nowe wcielenie Hugh Hefnera.

Jestem podenerwowany i zirytowany, a jeszcze nawet nie zaczęliśmy naszego spotkania.

Nie pomaga również to, że pierwszą rzeczą, jaką robi Kristoff, jest spacerowanie wokół Nessy, jakby była rzeźbą stojącą na cokole. Jego wzrok wędruje po każdym centymetrze jej ciała.

– Mój Boże, cóż to za okaz – mówi. – Mikołaju, coś ty jej zrobił? Porwałś dziewczynę i zmieniłeś ją w boginię.

Nessa spogląda na nas nieśmiało, a jej policzki pokrywa dobrze mi znany rumieniec. Takie uwagi się jej nie podobają i szuka u mnie ochrony.

– Wygląda tak samo jak zwykle – warczę.

Żałuję, że Klara ją tak bardzo odpicowała. Kazałem jej tylko sprawić, aby Nessa wyglądała elegancko, a ona zrobiła z niej od razu księżną Grace Kelly.

– Myślałem, że my, Rosjanie, mamy najpiękniejsze kobiety – mówi z uśmiechem Kristoff. – Widocznie nie zaznałem zbyt wiele

różnorodności...

Nessa odsuwa się od niego, zbliżając do mnie.

– Czy Irlandczycy je trenują? – pyta Kristoff, unosząc swoje ciemne brwi. – Rosyjskie dziewczyny uczą się ssać kutasy lepiej od gwiazd porno. Obciągną ci w czasie potrzebnym na zagotowanie wody. Co powiesz, Mikołaju... jak się spisuje?

Jeśli Kristoff będzie ciągle gadać, to wyrwę mu struny głosowe i go nimi uduszę.

Nessa jest bliska płaczu, a mój żołądek ścisnął się do rozmiarów orzecha włoskiego.

W tym przypadku żadna odpowiedź nie będzie dobra. Jeśli powiem Kristoffowi, że jej nie przeleciałem, to mi i tak nie uwierzy. Z kolei jeśli pozna prawdę, będzie jeszcze gorzej. Dla Nessy nie ma niczego groźniejszego niż to, że przywódca Bratvy wie, że ma w swoim domu piękną dziewicę, która jest córką jego rywala.

– Nie zainteresowałamby cię – rzucam krótko. – Zero umiejętności.

Dotknięta i zraniona Nessa patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi, zielonymi oczami. Nie potrafię na nią spojrzeć. Nie mogę jej okazać żadnych przejawów sympatii.

– Bierzmy się do roboty – mówię. – Nie mam całej nocy.

– Oczywiście – odpowiada Kristoff z uśmiechem.

Prowadzi nas do jadalni, gdzie stoi stół pełen jedzenia. Na jednym końcu siada Kristoff wraz ze swoimi najlepszymi żołnierzami, a na drugim Nessa i ja. Jonasz i Marcel zajmują miejsca po naszych obu stronach.

Błada i milcząca Nessa nie chce ruszyć jedzenia.

– Coś nie tak? – pyta Kristoff. – Nie lubisz *pielmeni*¹⁸?

– Wiesz, jakie są tancerki – mówię. – Mało jedzą.

Nessa przypomina mi teraz Persefonę, którą Hades porwał i zmusił do zostania jego królową w królestwie umarłych. Persefona bardzo starała się niczego nie jeść w podziemiach, aby móc wrócić do świata pełnego słońca i życia.

Z tym że Nessa już jadła moje jedzenie. Tak jak Persefona, która była tak bardzo głodna, że straciła rezon i zjadła sześć niewielkich pestek granatu.

Kristoff wygląda na urażonego. Rosjanie są bardzo wrażliwi na punkcie swojej kuchni. Na szczęście Jonasz z Marcelem pakują sobie do ust dość, aby zrekompensować jej zachowanie.

– *Davayte pristupim k delu*¹⁹ – mówię.

Kristoff jest zaskoczony, że przemawiam po rosyjsku. Doskonale znam ten język, ale zazwyczaj nie chcę się nim posługiwać. Angielski to nasza *lingua franca*²⁰. Ale tym razem nie chcę, aby Nessa musiała słuchać naszej dyskusji o tym, jak planujemy zniszczyć jej rodzinę. Wystarczy, że siedzi między mną a Jonaszem, a Kristoff gapi się na nią zza drugiego końca stołu. Jedyne, co mogę zrobić, to nie uświadamiać jej co do nadchodzących zdarzeń.

Ale Nessa jest zbyt mądra, aby niczego się nie domyślać. Podczas gdy my omawiamy nasze plany – oczywiście nie obyło się przy tym bez sporów i licznych dyskusji – Nessa podchwytuje temat, mimo że nie rozumie szczegółów. Przygnębienie na jej twarzy staje się coraz bardziej widoczne, a jej ramiona opadają coraz niżej.

W końcu dochodzimy z Kristoffem do porozumienia.

Zaatakujemy Calluma Griffina podczas otwarcia biblioteki i w międzyczasie porwiemy Aidę. To będzie niewielkie wydarzenie, więc ochrona pewnie nie będzie zbyt liczna.

Kiedy już wszystko omówiliśmy, Kristoff odchyła się na krześle, popijając wino.

– Co zamierzasz z nią zrobić? – pyta, kiwając głową w stronę Nessay.

– Na razie zostanie ze mną.

– Powinieneś ją zapłodnić – oznajmia Kristoff. – Oni zabili twojego ojca. Ona natomiast może dać ci syna.

Nie powiem, że o tym nie myślałem.

Nessa rzuca mi szybkie spojrzenie. Jest świadoma tego, że rozmawiamy na jej temat.

Griffinowie oraz Gallo dzięki małżeństwu zawarli sojusz. Mogę zrobić to samo.

Z tym że nie zależy mi na sojuszach. Nigdy mnie nie obchodziły. Zależy mi na całkowitej i pełnej dominacji. Nie chcę dzielić miasta. Chcę, aby było moje. Nie pragnę rekompensaty – pragnę zemsty.

– Za zwycięstwo – mówi Kristoff, unosząc kieliszek po raz ostatni.

– *No strovia!*²¹ – Nasze szkło z brzękiem uderza o siebie.

Kiedy jesteśmy już gotowi do wyjścia, Kristoff odprowadza nas w stronę drzwi. Powoli potrząsa moją dłońią przy uścisku, chcąc w ten sposób przypieczętować naszą umowę.

Potem dostrzega opaskę na kostce Nessy.

– Powinieneś założyć jej obrożę – stwierdza. – Bardzo bym chciał, żeby taki kociak podążał za mną jak na smyczy...

Wyciąga rękę, chcąc dotknąć jej twarzy.

Nim zdążę o tym pomyśleć, łapię go za rękę i zaciskam palce na jego nadgarstku.

Ludzie Kristoffa stają na baczność, dwóch z nich mnie otacza, a jeden kładzie dłoń na broni. Jonasz z Marcelem również się napinają, łypiąc na rosyjskich żołnierzach i gotując się do walki. Niecierpliwe wyczekiwanie sprawia, że atmosfera w pomieszczeniu jest gęsta. Wokół panuje taka cisza, że jedynym dźwiękiem, jaki słychać, jest szum płynącej sztucznej rzeki.

– Przestań – informuję.

– Uważaj – mówi cicho Kristoff. – Pamiętaj, kto z tu obecnych jest ci przyjacielem, a kto wrogiem.

– Jeśli chcesz, abyśmy pozostali przyjaciółmi, pamiętaj o tym, co należy do mnie – odpowiadam.

Puszczam jego nadgarstek.

Robi krok w tył, a jego żołnierze się uspokajają. Jonasz i Marcel robią to samo – a przynajmniej wyglądają na uspokojonych. Jestem przekonany, że ich serca – tak jak moje, wciąż walą jak oszalałe.

– Dziękuję za kolację – mówię chłodno.

– Mam nadzieję, że to pierwsza z wielu – odpowiada Kristoff.

Jego spojrzenie jest lodowate. Patrzy na Nessę – lecz tym razem nie z pożądaniem, lecz urazą.

– *Spokoynoy nochi malen'kaya shlyukha*²² – mówi.

Mam zaciśniętą pięść i zgięte ramię gotowe, by obić Rosjaninowi głowę. W ostatniej chwili się powstrzymuję.

Jeśli zaatakuję Kristoffa w jego domu, to bez wątpienia żadne z nas nie wyjdzie z tego cało. To tyczy się również Nessy.

Nie rozumie zniewagi, lecz zna ten ton głosu. Odwraca się od Kristoffa, nie dając mu satysfakcji z udzielenia jakiegokolwiek odpowiedzi.

Kiedy odjeżdżamy spod jego domu, Nessa wygląda przez okno. Niedawne podekscytowanie zniknęło. Najwyraźniej przestała zauważać ostatnie spadające liście czy światła miasta. Wygląda na zmęczoną. I pokonaną.

– Nie pozwolę mu cię dotknąć – obiecuję.

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym wzdycha i nie odpowiadając, znowu wygląda przez okno.

Ma prawo mnie ignorować. Wie, że to, co Kristoff mógłby jej zrobić, jest niczym w porównaniu z tym, co Bratva i Braterstwo mają w planach względem jej rodziny.

Jadąc Halstead Street, spontanicznie mówię do Jonasza:

– Skręć tutaj.

– Tutaj?

– Tak.

Ostro skręca w lewo i jedziemy w przeciwną stronę, niż powinniśmy, oddalając się od rezydencji. Kierujemy się na południe. Jedziemy na nabrzeże, a Jonasz wykonuje moje wydawane lakonicznie polecenia.

– Zatrzymaj się tutaj – wydaję kolejne polecenie. – Zaczekajcie w samochodzie.

Jonasz zatrzymuje się przed Yard. Na chwilę wchodzę do środka, a potem wracam po Nessę.

– Co my tu robimy? – pyta zdumiona.

– Chcę, żebyś coś zobaczyła – oznajmiam. – Ale musisz mi obiecać, że obejdziesz się bez scen i nie będziesz próbowała uciec.

Jestem przekonany, że jej opaska jest zepsuta. Jeśli mi się wymknie, to będę miał przesrane. Ale myślę, że dotrzyma danego mi słowa.

– W... w porządku – odpowiada.

– Obiecujesz?

Patrzy na mnie przejrzystymi, zielonymi oczami, w których nie czai się najdrobniejszy cień kłamstwa.

– Obiecuję, Mikołaju – mówi.

Prowadzę ją po schodach do holu. Przekupiłem już biletera, który wprowadza nas tylnymi schodami aż do górnej loży, zwykle zarezerwowanej dla głównych darczyńców teatru.

Gdy Nessa tylko zauważa oświetlonych artystów znajdujących się na scenie bezpośrednio pod nami, wzdycha i zasłania usta dłońmi.

– To moje przedstawienie! – woła.

To już ostatnia noc, kiedy Lake City Ballet będzie wystawiać *Błogość*. Ominęła nas połowa występu, lecz Nessy to nie obchodzi. Oczy ma wlepione w scenę. Wodzi po niej wzrokiem, śledząc każdego z tancerzy. Nie siedzi w wygodnym fotelu ustawionym przed szybą – stoi tuż przy oknie, próbując podejść do niego tak blisko jak to tylko możliwe, aby zobaczyć każdy, najdrobniejszy nawet, szczegół.

– Moja przyjaciółka Marnie przygotowała tę scenografię – oznajmia. – Każdy z tych słoneczników jest ręcznie malowany. Robiła to tygodniami. Przychodziła w nocy i malowała je, słuchając wszystkich książek o Jacku Reacherze. A Isabel uszyła tę sukienkę. Zrobiła ją z zasłony z naszego ostatniego przedstawienia. A ci dwaj tancerze to bracia, z młodszym chodziłam do szkoły...

Mówi mi o wszystkim, o czym w danej chwili pomyśli. Jest tak bardzo podekscytowana, że zapomina o zdenerwowaniu i upokorzeniu, jakich doświadczyła dzisiejszej nocy. Kiedy z głośników sączy się muzyka, zauważam, że wystukuje palcami rytm, uderzając czubkami palców o szybę. Widzę, jak bardzo chciałaby zatańczyć, lecz nie jest w stanie oderwać wzroku od sceny.

– Och, uwielbiam to! Ja ułożyłam ten taniec! – mówi, klaszcząc w dłonie, gdy rozpoczyna się kolejna piosenka.

Przez scenę przechodzi czwórka tancerzy przebranych za motyle: Danaida Wędrownego, Morfida, Pazia, Papilio Rumanzovia. Motyle zaczynają wirować w określonym szyku, a po chwili rozbiegają się, aby niedługo potem znowu do siebie wrócić. Raz ich taniec jest zsynchronizowany, innym razem tańczą, tworząc skomplikowane kaskadowe wzory. Choreografia jest bardzo złożona, ale mimo to czuć w niej lekkość i radość. Nie mam pojęcia, jak nazywa się którakolwiek z tych figur tanecznych. Wiem tylko tyle, że to, na co patrzę, jest przepiękne.

– Ty skomponowałaś tę choreografię? – pytam.

Oczywiście wiem, że to jej dzieło. Na podstawie tego, co widziałem w swoim domu, dostrzegam bez trudu, że maczała palce w procesie twórczym tego tańca.

– Tak! – odpowiada radośnie. – Spójrz, jak dobrze wyszło!

Zamierzałem zostać tu tylko przez chwilę, lecz nie jestem w stanie wyciągnąć Nessy z teatru. Oglądamy przedstawienie do samego końca, a ona przyciska do szyby twarz oraz dłonie.

Po zakończeniu występu publiczność wiwatuje, a wysportowany mężczyzna o siwiejących włosach wskakuje na scenę, aby się jej ukłonić.

– Czy to ten reżyser? – rzucam od niechcenia.

– Tak – odpowiada. – To Jackson.

– Chodźmy – mówię. – Zanim wszyscy zaczną wychodzić.

Nie mogę ryzykować, że ktoś spośród wychodzącego z budynku tłumu zauważy Nessę.

Milczymy w drodze powrotnej do domu – Nessa się nie odzywa, bo pławi się w szczęściu po zobaczeniu swojego przedstawienia na żywo. Mogła upewnić się, że to, co sobie wyobrażała, zostało ożywione na scenie.

Ja siedzę cicho, bo coraz bardziej uświadamiam sobie, jaka ona jest genialna. Przekierowała część swojego ducha, swojej błogości, aby powołać przedstawienie do życia, aby wszyscy mogli to zobaczyć. Sprawia, że to poczułem. Błogość. Ja, człowiek, który nigdy odczuwa szczęścia, nie mówiąc już o odczuwaniu czystej radości.

Gdy zatrzymujemy się pod domem, Nessa wysiada z auta i czeka na mnie, myśląc że wejdziemy do środka razem.

Zamiast tego, każe Jonaszowi zaczekać.

– Zabierz ją do jej pokoju – mówię do Marcela. – Dopilnuj, by miała wszystko, czego potrzebuje.

– Gdzie jedziesz? – pyta zaniepokojona Nessa, marszcząc brwi.

– Muszę szybko coś załatwić – odpowiadam.

Dziewczyna staje na palcach i delikatnie całuje mnie w policzek.

– Dziękuję, Miko – oznajmia. – Obejrzenie tego przedstawienia to najlepsze, co mogłeś mi podarować.

Czuję na sobie wzrok zarówno Marcela jak i Jonasza.

Sztywno kiwam głową.

– Dobranoc, Nesso.

Wracam do samochodu.

– Dokąd? – pyta Jonasz.

– Wracamy pod Yard – odpowiadam.

Jedziemy otulonymi ciszą ulicami miasta. Siedzę teraz obok Jonasza na fotelu pasażera. Widzę, że zaciska palce na kierownicy oraz że ma napięte mięśnie ramion.

– To teraz zabieramy ją na wycieczki? – pyta.

– Jeśli będę miał na to ochotę, to zabiorę ją na pierdolonego Marsa – odpowiadam.

Jonasz po chwili przerywa milczenie, mówiąc:

– Miko, jesteś mi bratem. Nie tylko w Braterstwie, lecz pod każdym innym względem. W Warszawie ocaliłeś mi życie. Mówiłem, że nigdy ci tego nie zapomnę i nie zapomniałem. Wykonywaliśmy razem brudną robotę i to wiele razy – chyba ze sto. Razem przybyliśmy do tego kraju. Razem zbudowaliśmy nasze imperium. Obiecuj mi, że nie zaprzepaścisz tego wszystkiego tylko dlatego, że jakaś ładna dziewczucha zawróciła ci w głowie.

W pierwszym odruchu mam ochotę odgryźć mu głowę za to, że ośmiela się we mnie wątpić. Lecz w jego słowach słyszę szczerłość. Jonasz naprawdę był mi bratem. Cierpieliśmy, uczyliśmy się i triumfowaliśmy razem. Łączy nas więź, którą znają wyłącznie żołnierze.

– Zajęcie miejsca Zająca to spory ciężar – mówię. – Mamy dług wobec naszego ojca. Nie chcę poświęcać swoich braci, aby go spłacić.

– Nie boję się ani Włochów, ani Irlandczyków – odpowiada Jonasz.

– Jesteśmy od nich silniejsi. Zwłaszcza, kiedy mamy po swojej stronie Rosjan.

– Słowa to nie czyny – mówię.

Zając zawsze nam to powtarzał.

– Nie wierzysz już we własną rodzinę? – pyta Jonasz. Mówi niskim głosem, w którym pobrzmiewa złość.

– Chcę sam wybrać bitwę, którą mogę wygrać.

Mógłbym poślubić Nessel Griffin, a ona mogłaby urodzić mi dziecko. Mógłbym wziąć kawałek ich imperium bez kroczenia po ciałach wszystkich, których kocha. Bez poświęcania życia moich

braci. Bo bez względu na słowa Jonasza, jeśli wciąż będziemy atakować Griffinów oraz Gallo, nie zdołamy wygrać tej wojny bez ofiar. Zakładając, że w ogóle ją wygramy.

Raz jeszcze podjeżdżamy pod teatr. Mówię Jonaszowi, żeby czekał przed wejściem. Przyglądamy się rozbiegającemu się tłumowi tancerzy oraz pracowników teatru, który po skończonym przedstawieniu wylewa się przez główne wejście. W końcu pojawia się Jackson Wright. Towarzyszy mu pulchna kobieta o kręconych włosach oraz wysoki, chudy mężczyzna.

Idą razem ulicą, śmieją się i rozmawiają o sukcesie dzisiejszego wieczoru. Następnie skręcają w lewo, do Whiskey Pub.

– Zaczekaj tutaj – polecam Jonaszowi.

Idę za Jacksonem do pubu. Siadam na wysokim taborecie i przyglądam się, jak zamawia Guinnessa. Siedzi i rozmawia ze znajomymi przez dziesięć, dwadzieścia minut. Nawet z odległości sześciu metrów go nie lubię. Widzę tę jego pompatyczną minę, dostrzegam jak dominuje podczas rozmowy i przegaduje pulchną kobietę za każdym razem, gdy ona próbuje coś powiedzieć.

W końcu magia Guinnessa zaczyna działać. Jackson idzie do łazienki znajdującej się na tyłach.

To pojedyncza kabina. Idealnie nada się do moich celów.

Gdy Jackson wchodzi do łazienki, wciskam się do środka, zanim zamknie drzwi.

– Hej! – rzuca zirytowanym tonem. – To chyba oczywiste, że jest zajęte.

Zamykam drzwi od wewnątrz.

Jackson unosi brwi, patrząc na mnie znad okularów w rogowych oprawkach.

– Doceniam twój entuzjazm, ale boję się, że nie jesteś w moim typie. Nie jesteś też przedstawicielem płci, którą preferuję – mówię.

Jeden krok wystarcza, abym przeszedł na drugi koniec łazienki i zacisnął dłoń na gardle Jacksona. Unoszę go i uderzam jego głową o kafelkową ścianę.

Jackson wydaje pisk przerażenia, drapiąc dłoń zaciśniętą na swoim gardle. Przekrzywiły mu się okulary i bezradnie wierzga stopami w powietrzu.

– Oglądałem dziś twoje przedstawienie – rzucam od niechcenia.
– Nie mogę... oddychać... – sapie, a jego twarz nabiera kolor ciemnego burgunda.

– To zabawne... Rozpoznałem część tej choreografii. Znasz Nessę Griffin? Widziałem w twoim przedstawieniu coś, co stworzyła. Jednak nie widziałem, żeby gdziekolwiek była wymieniona.

Nieznacznie go opuszczam, aby mógł utrzymać swój ciężar na czubkach palców, lecz się nie uspokoił. Rozluźniam uścisk, żeby mógł cokolwiek powiedzieć.

– O czym ty mówisz? – bełkocze. – Nie znam żadnej...

– Zła odpowiedź – oznajmiam, znowu go podnosząc.

Jego paznokcie wbijają się w moje dłonie oraz przedramiona. Ale głównie mnie to obchodzi. Duszę go, aż zaczyna tracić przytomność, po czym znowu go opuszczam.

– Pobudka – mówię, klepiąc go po twarzy.

– Au! Puść mnie! – krzyczy odzyskujący przytomność Jackson.

– Spróbujmy raz jeszcze. Pamiętasz Nessę Griffin?

W łazience zapada ponura cisza. A po chwili słychać pełne oburzenia:

– Tak.

– Pamiętasz, jak ukradłeś jej pracę, a potem przedstawiłeś jako własną?

– Ja nie...

Raz jeszcze obrywa głową o ścianę, po czym krzyczy:

– Dobra, dobra! Trochę pracowała przy tym przedstawieniu.

– A ty zapomniałeś o niej wspomnieć.

Jego twarz wykrzywia taki grymas, jakbym zmuszał go do zjedzenia spleśniałego owsianki. Po chwili mówi:

– Tak.

– Cieszę się, że się zgadzamy.

Odstawiam go na ziemię. Nie udaje mu się nawet mrugnąć, a ja łapię go za lewą rękę i wykręcam mu ją za plecami. Przyglądając się, jak pije piwo zauważyłem, że jest mańkutem. Wykręcam ją tak, że Jackson zaczyna krzyczeć i oblewać się potem.

– Przestań! Przestań! – krzyczy. – Co mam według ciebie zrobić? Przedstawienie już się skończyło!

– Wynagrodzisz jej to – oznajmiam.

– Jak?!

– Rozwiązanie tej kwestii pozostawiam tobie.

– Ale... ale...

– Co?

– Nessa zniknęła! Ludzie mówią, że nie żyje.

– Nessa żyje i ma się dobrze. Zamiast martwić się o nią, lepiej martw się o siebie. Martw się tym, co ci zrobię, jak nie będę zadowolony z twojego rozwiązania.

– W porządku! Cokolwiek zechcesz! Puść mnie – dyszy Jackson.

– Puszczę. Ale najpierw musisz ponieść konsekwencje.

Jednym szybkim ruchem funduję mu spiralne złamanie kości promieniowej, jednocześnie zasłaniając mu dłońią usta, aby stłumić krzyk. Jest to obrzydliwe, bo smarki, łzy i ślina spływają mi po ręce. No, ale tak to już jest w tej branży.

Puszczam Jacksona, który jęcząc i pochlipując, osuwa się na podłogę.

– Niedługo porozmawiamy – oznajmiam.

Mężczyzna się wzdryga.

– Pracujesz dla jej ojca? – skrzeczy, gdy idę w stronę drzwi.

– Nie – odpowiadam. – Jestem jedynie mecenasem sztuki.

Zostawiam go płaczącego w łazience.

Po powrocie do samochodu wydaję ze schowka mokre chusteczki, aby ogarnąć ręce. Wyglądają tak, jakby zaatakował mnie jakiś kocur.

– Wszystko w porządku? – pyta Jonasz.

– Oczywiście. Koleś waży mniej od twojej ostatniej przyjaciółki.

– Nigdy nie miałem dziewczyny, którą nazwałbym przyjaciółką – prychna Jonasz.

Owszem, nie miał takowej. Chociaż moja więź z braćmi jest silna, nie są tymi, których bym określił mianem „dobrych ludzi”. A już w szczególności Jonasza.

Lecz ja również nie jestem dobrym człowiekiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

NESSA

Marcel zgodnie z rozkazem odprowadza mnie aż do mojego pokoju. W środku spotykam Klarę, która trzepie pościel jak w eleganckim hotelu. Co prawda, nie zostawia czekoladki na poduszce, ale jestem pewna, że zrobiłaby to, gdybym ją poprosiła.

Prostuje się, kiedy wchodzę do pokoju. Za mną idzie Marcel. Kiedy Klara go zauważa, bierze szybki wdech i zauważam, jak przesuwa ręką po rąbku fartucha, próbując wygładzić na nim wszelkie zmarszczki.

– Witaj, Klaro – mówi Marcel.

– Cześć – odpowiada, patrząc w podłogę.

Można by pomyśleć, że ci dwoje nigdy wcześniej się nie spotkali. A ja wiem, że pracują razem od kilku lat.

– Pomogę ci przygotować się do spania – mówi do mnie Klara.

– W sumie to, czy mogłabyś mi zrobić herbatę? Ziołową. Jeśli nie masz nic przeciwko, muszę się trochę wyciszyć.

– Oczywiście – odpowiada, po czym wychodzi z pokoju.

Marcel na odchodne życzy mi dobrej nocy, po czym rusza za pokojówką.

W zasadzie to nie potrzebuję herbaty. Chciałam po prostu dać im chwilę, aby mogli porozmawiać, jeśliby tego chcieli. Mikołaja i Jonasza tu nie ma, więc nie ma kto ich przyłapać. Jestem tylko ja.

Wiem, że to okropne i że powinnam zostać, gdzie jestem, ale ciekawość mnie dobija. Muszę się dowiedzieć, co jest między tą dwójką. Wymyślałam w swojej głowie scenariusze niczym z oper mydlanych.

Cichutko jak myszka schodzę po schodach. Okazuje się, że jestem lepsza we wtykaniu nosa w nie swoje sprawy, niż przypuszczałam.

A przynajmniej taka się staję po tym, jak przez cały miesiąc nudziłam się, czując przede wszystkim samotność. Nigdy wcześniej nie kłamałam ani nikogo nie podsłuchiwałam. Dobry Boże, porwanie odciska na mnie swego rodzaju piętno.

Cóż, skoro mieli na mnie zły wpływ, to będą musieli ponieść tego konsekwencje.

Zatrzymuję się tuż przy kuchni, tyłem do starej, zielonej tapety z uchem prawie przy samej krawędzi drewnianej futryny drzwi.

– Klaro, to tylko kolacja – mówi po polsku Marcel. Ma miły głos. Niewiele mówi, więc nie słyszę go zbyt często. Ton jego głosu jest przyjemny i kojący. W tej chwili stara się go wykorzystać jak najlepiej.

– Umiem sama zrobić sobie kolację – odpowiada chłodno Klara.

Słyszę, jak wlewa wodę do czajnika i wyciąga filiżanki. Zrobienie herbaty nie zajmuje zbyt wiele czasu – lepiej się pośpiesz, mój drogi.

– Kiedy ostatnio jadłaś kolację, której nie musiałaś sobie sama robić? – pyta Marcel.

– Więcej czasu minęło, od kiedy ty ostatnio cokolwiek ugotowałeś – odpowiada Klara. – Pewnie nawet nie wiesz, jak używać tosterka.

– To może mnie nauczysz? – pyta Marcel.

Nie mogę się oprzeć, aby nie zerknąć do kuchni. Klara stawia czajnik na palniku, a Marcel podchodzi do niej. Stoi tak blisko, że ich ciała prawie się stykają. Dzieli je z kilkanaście centymetrów. Oboje tworzą piękną parę. Dobrali się – są wysocy, szczupli i czarnowłosi.

Marcel próbuje położyć dłonie na biodrach Klary. Ona z kolei odwraca się błyskawicznie. Muszę się schować, więc nie widzę momentu uderzenia, lecz z pewnością słyszę plaśnięcie.

– Pamiętaj, że nie pracuję w żadnym z twoich klubów! – krzyczy Klara. – Nie będę jedną z tych dziewczyn, które zrobią ci laskę za kokainę i drogie torebki, dopóki się nimi nie znudzisz.

– Czy kiedykolwiek widziałas, jak to robię?! – odkrzykuje Marcel. – Jedyne, co zrobiłem, to prosiłem cię o szansę każdego dnia przez trzy, pierdolone, lata.

– Niecałe trzy – poprawia go Klara.

– Co? – pyta zaskoczony Marcel.

– Dwa lata i jednaście miesięcy. To jeszcze nie trzy lata.

– Kobieto, doprowadzasz mnie do szału – stwierdza Marcel. Słyszę czyjeś szybkie kroki, które brzmią jak odgłos chodzenia w kółko. – Chyba po prostu lubisz mnie torturować.

– Muszę zanieść to na górę – oznajmia Klara.

Słyszę, jak zabiera tacę z herbatą. Ruszam biegiem po schodach, żeby mnie nie przyłapała.

Wskakuję na łóżko i naciągam na siebie kołdrę, po czym rozpaczliwie rozglądam się w poszukiwaniu książki.

Chwilę później Klara wchodzi do pokoju i stawia tacę przy łóżku, a następnie przygląda mi się podejrzliwie.

– Co robisz? – pyta po polsku.

– Nic. Czekam.

– To czemu tak dyszysz?

– Tak? Chyba z podekscytowania herbatą.

Jej brwi znikają pod grzywką. To oczywiste, że nie wierzy w ani jedno moje słowo.

– Och, dziękuję. Świetna herbata! – mówię szybko. Biorę za duży łyk herbaty, parząc sobie język.

Klara przewraca oczami i odchodzi w stronę drzwi, zabierając tacę.

Wypijam herbatę, lecz nie kładę się spać.

Jestem za bardzo nakręcona dzisiejszym wieczorem. Zaczął się obiecująco, bowiem po raz pierwszy mogłam opuścić teren posiadłości. Jednak potem zdałam sobie sprawę, że Mikołaj zabiera mnie na spotkanie z jakimś okropnym rosyjskim gangsterem. Jeśli uważałam, że Jonasz jest zły, to tamten koleś naprawdę sprawił, że ścierpła mi skóra. Nie byłam w stanie zrozumieć, o czym rozmawiali podczas kolacji, lecz bezduszność w jego głosie wyraźnie pokazała mi, jakim jest człowiekiem.

Gdy wychodziliśmy próbował mnie dotknąć – nie było to nic świńskiego, nie próbował mnie obmacywać czy coś. Mikołaj złapał go jednak za rękę, zupełnie jakby chciał mu ją wyrwać ze stawu. Natychmiast znaleźliśmy się w sytuacji patowej i byłam przekonana, że to ostatnie chwile mojego życia.

A potem odjechaliśmy, a siedzący w samochodzie Mikołaj był jak nieuziemiony przewód – trzeszczący prądem, mogący śmiertelnie mnie porazić, gdybym odważyła się go dotknąć.

Później niespodziewanie zabrał nas do Yard. Nawet nie pomyślałam, że wystawiają tam w tym momencie *Błogość*. Żyjąc w dziwnym wyimaginowanym świecie posiadłości Bestii, niemal zapomniałam o istnieniu tego przedstawienia. Ale gdy tylko zobaczyłam na scenie Marnie oraz Serenę, od razu wiedziałam, po co tu jesteśmy.

Mój Boże, patrzenie na coś, co stworzyłam było zupełnie niepodobne do występowania na scenie. To było jak oglądanie własnego snu – żywego, pełnego oraz prawdziwego. Nie byłam w stanie oddychać.

Widziałam wiele prób, ale to było coś zupełnie innego. Podczas występu wszyscy byli w kostiumach i pełnej charakteryzacji. Całość dopełniały oświetlenie i scenografia. Byłam jednocześnie wściekła i szczęśliwa. Tak bardzo, że chciało mi się płakać.

Powinnam siedzieć na widowni, w którymś z pierwszych rzędów, a wokół mnie powinna być rodzina. Tak by było w dniu premiery, gdyby Mikołaj mnie nie porwał.

Przez chwilę poczułam ukłucie gniewu. Przypomniałam sobie o wszystkich rzeczach, które przegapiłam w ciągu ostatnich kilku tygodni – taniec, urodziny ojca, szkołę.

Patrzyłam na mężczyznę, który mnie porwał i byłam taka wściekła, że mogłabym na niego nawrzeszczyć. Tyle że on w ogóle na mnie nie patrzył – patrzył przez szybę na przedstawienie. Miał wtedy podobną minę do tej, kiedy spał. Surowość i gniew zniknęły z jego twarzy, a w ich miejsce pojawił się spokój.

Wtedy przypominałam sobie, że w jego domu nie ominęłam ani jednej sesji tanecznej. Właściwie, to pracuję więcej niż kiedykolwiek wcześniej, tworząc coś zupełnie niepodobnego do wszystkiego, co robiłam do tej pory. To dzieło nie starej Nussy, lecz nowej – kształtującej się dziewczyny, która z każdą chwilą dorasta i zmienia się tak, jak nigdy by się nie zmieniła, gdyby została w domu.

Gniew zniknął. Skończyliśmy oglądać przedstawienie i pojechaliśmy do domu. Sądziłam, że Mikołaj pójdzie ze mną na górę, a zamiast tego on gdzieś pojechał.

A teraz leżę tutaj i nie usnę, dopóki nie usłyszę na podjeździe jego samochodu. Bo gangsterzy nigdy nie są bezpieczni, bez względu na

to, gdzie pojadą. Zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że na noc nie wrócą do domu.

Mija godzina. A może więcej. W końcu słyszę toczące się po żwirowym podjeździe opony.

Rozsuwając zakurzone zasłony baldachimu, wyskakuję z łóżka.

Zbiegam po schodach, pod rąbkiem mojej koszuli nocnej błyskają gołe nogi. Klara wypchała mi szafę i szuflady licznymi pięknymi ubraniami. Koszule nocne są jedyną rzeczą, która sprawia, że chce mi się śmiać. Są takie staroświeckie. Przypominają coś, co nosiłaby dziewczynka z epoki wiktoriańskiej. Pewnie wyglądam w niej, jak snujący się po domu duch.

Mikołaj słyszy, że idę, kiedy jestem gdzieś w połowie schodów. Odwraca się, a ja zauważam długie zadrapania biegnące wzdłuż jego ramion i wierzchów dłoni.

– Co się stało?! – sapię.

– To nic – odpowiada.

– Gdzie byłeś? – Już mam dotknąć jego ramienia, aby przyjrzeć się jego ranom, lecz zastygam w bezruchu. Członkowie mojej rodziny są najbardziej prawdopodobną przyczyną obrażeń Mikołaja. A to oznacza, że w zamian mógł im zrobić coś strasznego.

Otwieram usta w przerażeniu.

– Nie! Ja nie... to nie... – zaprzecza, domyślając się, o co mi chodzi.

– Czy skrzywdziłeś kogoś, kogo znam? – pytam zdrętwiałymi ustami.

– No... to nie...

Nigdy wcześniej nie widziałam jękającego się Mikołaja. Mój żołądek fika kozła. Chyba zaraz zwymiotuję. Odwracam się od niego, ale mężczyzna łapie mnie za ramiona i przyciąga do siebie.

– Zaczekaj – mówi. – Pozwól mi wyjaśnić.

Odciąga mnie od drzwi wyjściowych, prowadząc do oranżerii.

Idziemy przez gęstwinę zieleni. Na dworze właściwie panuje już zima, lecz tu wciąż jest ciepło oraz wilgotno, a powietrze jest bogate w tlen i chlorofil. Mężczyzna zaciąga mnie na ławkę, na której siedział, kiedy pierwszy raz obudziłam się w jego domu.

– Słuchaj – mówi. – Nikogo nie zabiłem. Zrobiłem komuś krzywdę, ale on sobie na to zasłużył.

– Komu? – pytam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Temu reżyserowi.

– Co? – Przez chwilę patrzę na niego tępo. Nie jestem w stanie połączyć kropek, bo to znacznie wykracza poza to, czego się po nim spodziewałam.

– Jest cały – oznajmia Mikołaj. – Złamałem mu tylko rękę.

To bardzo swobodne podejście do określenia „bycia całym”, ale i tak jest lepsze od tego, o czym myślałam.

– Złamałeś rękę Jacksonowi Wrightowi – mówię tępo.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo to zasrany złodziej – odpowiada.

Oślupiałam.

Mikołaj złamał rękę Jacksonowi... dla mnie. To najdziwniejsza rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił.

– Nie chcę, żebyś w moim imieniu krzywdził ludzi – oznajmiam.

– Tacy ludzie się niczego nie uczą, jeśli nie doświadczą żadnych konsekwencji swoich czynów – stwierdza Mikołaj.

Nie jestem pewna, czy taki palant jak Jackson nauczy się czegokolwiek w ten, czy inny sposób, ale ani trochę mnie on nie obchodzi. Wewnątrz mnie wiruje zupełnie inny rodzaj lęku.

Przebywając w domu mojego porywacza, jestem od wszystkiego odcięta. Nie mam kontaktu z nikim, kogo bym znała i kochała. Zakładałam, że podczas mojej nieobecności nie wydarzyło się nic strasznego, lecz tak naprawdę nie wiem, czy to prawda.

– O co chodzi? – pyta Mikołaj.

Trzeźwym i spokojnym wzrokiem jasnoniebieskich oczu patrzy na moją twarz.

Właśnie do mnie dotarło, że odkąd tu jestem ten mężczyzna nigdy mnie nie okłamał. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Czasami bywa szorstki i agresywny, a nawet nienawistny. Zawsze jest jednak szczery.

– Miko – zaczynam. – Czy z moją rodziną wszystko w porządku? Czy ktoś stał się krzywdą?

Widzę, że myśli kotłują mu się w głowie, gdy rozważa, co powinien mi powiedzieć. Mięśnie jego szczęki napinają się, kiedy przełyka

ślinę. Po chwili mówi:

– Tak. Jack Du Pont nie żyje.

Mój żołądek zaciska się w supeł. Jack Du Pont to jeden z najbliższych współpracowników mojego brata. Chodzili razem do szkoły. Od lat pracował w naszym domu. Był moim kierowcą, ochroniarzem, a także przyjacielem.

– Och – mówię.

Czuję łzy spływające mi po policzkach.

Mikołaj nie przepasza, nie odwraca również wzroku. W jego spojrzeniu widać spokój.

– Sprawilem ci ból – stwierdza.

– A z pozostałymi wszystko dobrze? – pytam.

– Dante Gallo siedzi w więzieniu – odpowiada. – Poza tym, tak.

Chowam twarz w dłoniach. Mam rozpaloną twarz i w porównaniu z nią lodowate ręce. Aida kocha Dantego tak, jak ja kocham Calluma. Pewnie odchodzi od zmysłów.

Cała moja rodzina będzie odchodzić od zmysłów. Ciągłe mnie szukają, a Jack nie żyje. No i wiedzą, że zbliża się coś więcej.

Unoszę głowę i staram się spojrzeć Mikołajowi w oczy z takim samym spokojem.

– Co się jeszcze stanie? – pytam go.

Kiedy rozmawialiśmy tu po raz pierwszy, oznajmił, że zniszczy wszystko, co jest mi drogie. Muszę wiedzieć, czy wciąż ma taki plan.

– Cóż – mówi Mikołaj – to zależy.

– Od czego?

– Od ciebie, Nesso.

Przeczesuje palcami swoje popielate włosy, odgarniając je z twarzy. Natychmiast opadają, bo nigdy nie pozostają na swoim miejscu. Ten gest mówi o tym, że Mikołaj jest zdenerwowany. Inaczej człowiek by się niczego nie domyślił.

– Podoba ci się ten dom? – pyta.

Cóż za dziwaczne pytanie.

– Oczywiście – odpowiadam z wahaniem. – W pewien upiorny sposób jest piękny.

– A gdybyś tutaj została? – pyta Bestia, patrząc na mnie tymi swoimi oczami o kolorze lodu. – Ze mną.

W oranżerii jest ciut za dużo powietrza. Odrobinę kręci mi się w głowie, zupełnie jakbym nawdychała się tlenu azotu.

– Nie mam innego wyjścia, prawda? – pytam cicho.

– A jeślibyś miała? – odpowiada pytaniem na pytanie. – Czy potrafiłabyś być tu szczęśliwa?

– Z tobą?

– Tak.

– Mówisz o małżeństwie.

– Tak – odpowiada. – O ile twoja rodzina się na to zgodzi.

Cała oranżeria zaczyna wirować wokół mnie. To jednocześnie najbardziej przerażająca rzecz, jaką mogę sobie wyobrazić oraz taka, która daje mi nadzieję.

Nie umiem tego sobie zwizualizować nawet w snach. Oczywiście rozumiem, o co chodzi w mafijnych małżeństwach – w podobnych okolicznościach mój brat poślubił Aidę. Jednak to było coś innego.

Mój brat jest gangsterem. Jest również politykiem oraz biznesmenem, ale został wychowany, aby prowadzić takie życie. Ja – nie. Nawet w najmniejszym stopniu.

Nie jestem taka jak Callum i Aida. Nie jestem twarda i zaradna. Nie jestem dzielna. Boję się być skrzywdzona. Zarówno fizycznie jak i w ten głębszy, bardziej trwały sposób.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie stanowi dla mnie Mikołaj. Od kiedy mieszkam w jego domu, przenikał przez moją skórę i wwierał mi się w głowę. Śnię o nim po nocach. Za dnia myślę o nim, komponując swój balet. Jako mój porywacz przejął nade mną całkowitą kontrolę.

O ile gorzej mogłoby być, gdyby był moim mężem?

Zawsze myślałam, że zakocham się w normalny sposób. Że towarzyszyć temu będzie flirtowanie, amory, życzliwość oraz delikatność.

Zamiast tego wpadłam w coś bardzo mrocznego.

Za każdym razem, kiedy się do mnie odzywa i kiedy na mnie patrzy, mam wrażenie, że oplata mnie cieniutką nicią pajęczego jedwabiu. Każda z nich jest tak cieniutka i lekka, że ich nie zauważam. Kiedy razem tańczymy, kiedy mnie całuje. Kiedy patrzy w moją stronę...

Nie miałam pojęcia, jak bardzo byłam opleciona.

Tym, co mnie przeraża, jest to, jak daleko to może zajść.

Do tej pory wszystko, co się między nami wydarzyło, było dziełem przypadku. A co, jeśli miałabym się zaangażować w to świadomie? Jak głęboka jest ta studnia? Czuję, że mogłabym wpaść w nią już na zawsze. Tak głęboko, że nigdy więcej już bym nie ujrzała słońca.

Nie patrzę na niego, lecz nie dlatego, że nie jestem w stanie. Jego spojrzenie jest tak przeszywające, że mam wrażenie, że byłby w stanie odczytać każdą myśl, jaka siedzi mi w głowie.

Mikołaj bierze moją twarz w swoje dłonie i odwraca w swoją stronę, zmuszając mnie bym spojrzała mu w oczy.

Widząc tę twarz po raz pierwszy, wydawała mi się uosobieniem okrucieństwa. Teraz myślę, że to nic innego jak załamanie. To psuje moje wyobrażenie tego, co wcześniej uważałam za piękne. Podobał mi się ten prosty, chłopięcy wygląd. Lubiłam jego słodkość oraz zwyczajność.

Nie było jeszcze mężczyzny, który wyglądałby jak Mikołaj. Jest ukoronowaniem zarówno męskiego jak i kobiecego piękna. Ma wysokie kości policzkowe, oczy jak z morskiego szkła oraz jasne blond włosy, które współgrają z ostrą linią szczęki, wąskimi ustami i bezwzględny spojrzeniem.

Jest człowiekiem złośliwym oraz delikatnym. Jego tatuaże są niczym zbroja, której nigdy nie może zdjąć. Pośród nich widać jednak kilka bladych plam – słabych punktów – twarz oraz dłonie są jedynymi fragmentami całego ciała, które pokazują, kim kiedyś był.

Wiem, że jego wnętrze również jest takie złożone. To lider, planista, zabójca, ale także ktoś, kto kocha muzykę oraz sztukę. Jest kimś lojalnym. Kimś, kto kiedyś opiekował się innymi ludźmi – siostrą, ojcem, braćmi...

A może również... i mną?

Mikołaj wprowadził mnie w zakłopotanie, przerażał. Wyśmiewał mnie i dręczył. Lecz jestem świadoma granic, których nie przekroczył.

Sądzę, że tak samo jak ja nie chciał tej więzi, która pojawiła się między nami. To się po prostu stało. To coś prawdziwego. Nie wydaje mi się, że mogłabym go od siebie odciąć, gdybym chciała.

Co, jeśli odeśle mnie teraz do domu?

Przez cały czas właśnie tego chciałam.

Wyobrażam sobie powrót do jasnego, nowoczesnego domu nad jeziorem. Stałabym się z powrotem przytulaną, całowaną i ochranianą przez rodziców dziewczynką. Bezpieczną małą tancerką.

Myślę o swoim pokoju. Nawet w mojej głowie wygląda teraz dziecinnie. Jest w nim koronkowa narzuta, a do tego włochate poduszki, różowe zasłony i stary, pluszowy miś.

Wzdrygam się na samo wyobrażenie tego pomieszczenia. Czy teraz czułabym się tam jak w domu? Czy raczej leżałabym na tym koronkowym, wąskim łóżku i myślała o zapachu kamieni, farby olejnej, kurzy, cytrusów i męskim zapachu samego Mikołaja?

Już znam prawdę.

Tęskniłabym za tym mrocznym, starym domem i jeszcze mroczniejszym mężczyzną w jego wnętrzu. Czułabym się przyciągana do tego miejsca jak jedna z ofiar Drakuli, która po ugryzieniu zostałaby zarażona i zmuszona do powrotu.

Czy dobrze jest czuć się zniewoloną przez mężczyznę? Raczej nie. To prawdopodobnie jest na wielu płaszczyznach chore oraz złe.

Ale mimo to jest to silne i rzeczywiste. Nie potrafię z tym walczyć. Nie wiem nawet, czy w ogóle chcę to robić.

Przez cały ten czas, kiedy w mojej głowie wirują te wszystkie myśli, Mikołaj patrzy mi w oczy, nawet nie mrugając. Jego cierpliwość zdaje się nie mieć granic. Czeka, aż podejmę decyzję.

Tylko że nie mam już, o czym decydować.

Klamka zapadła, tylko o tym nie wiedziałam.

Złapał mnie i już nie puści.

Zamykam oczy i zbliżam swoje wargi do jego ust. Całuję go, początkowo delikatnie. Potem smakuję jego usta oraz język, wdycham jego zapach. To jest jak dolewana do ognia benzyna. Ja jestem drewnem, a on substancją wzmagającą rozprzestrzenianie się ognia. Bez względu na to, ile będziemy się palić, nigdy się nie wypalimy.

Siedząc mu na kolanach, obejmuję dłońmi jego twarz, a on kładzie swoje ręce na moich. Całujemy się namiętnie, zachłannie, zupełnie tak, jakbyśmy nigdy nie mieli się zadowolić tym pocałunkiem.

Następnie Miko bierze mnie na ręce i wyprowadza z oranżerii. Przechodzi przez parter i wspina się po schodach ku zachodniemu skrzydłu.

Zanosi mnie do swojego pokoju i przenosi przez próg, jakbym była panną młodą. Nasze usta są cały czas złączone. Każdy haust powietrza, jaki biorę, pochodzi z jego płuc.

Rzuca mnie na łóżko i jestem przerażona, widząc jego wilczą twarz i błyszczące oczy.

Chcę tego. Tak samo mocno jak on.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

MIKO

Rzucam Nessę na łóżko i powtarzam sobie, żeby się nie spieszyć i być wobec niej delikatnym.

Ale minęło kilka tygodni, które były przepełnione czekaniem, bo z tysiąc razy powstrzymywałem się przed zbliżeniem się do niej w ten najpiękniejszy sposób. Dłużej już nie mogę.

Balerina ma na sobie jedną z tych staroświeckich koszul nocnych z kremową koronką i setką malutkich guzików z przodu. Majstruję przy jednym z nich, lecz po chwili łapię obiema rękami koszulę i rozrywam ją od szyi aż do pasa, odsłaniając jej delikatne, małe piersi.

Koronka koszuli nocnej jest miękka, lecz jej piersi są o niebo delikatniejsze. Przesuwam językiem po krągłości jej piersi, a potem obejmuję ustami jej sutek. Są one na tyle małe, że mogę objąć ustami także obszar poza nim – ciepłe ciało wypełnia moje usta, a ja zaczynam je mocno ssać, jednocześnie ugniatając dłońią drugą pierś.

Nessa wzdycha. Jej ciche okrzyki zaskoczenia są niesamowicie erotyczne. Jest jak zwierzę, które wpadło w sidła. Im dłużej woła, tym bardziej rozpala mój głód.

Przesuwam językiem po jej piersiach i szyi. Oblizuję jej wargi i wsuwam język głęboko w jej usta.

Następnie schodzę niżej, do miejsca, o którym marzyłem we dnie i w nocy. Zbliżam twarz do przestrzeni między jej udami i wdycham jej zapach. Cipka Nessy jest słodka jak miód i aromatyczna jak najdojrzalsza z jagód. Każda kobieta pachnie inaczej. Gdyby zapach tej młodej kobiety można było zamknąć w butelce, byłby lekarstwem na każdego bezwładnego kutasa na całym świecie. Nie ma człowieka, który mógłby to poczuć bez budzenia swojej męskości do życia.

Jej zapach jest odurzający, niepowtarzalny i uzależniający. Gdy tylko wsadziłem język między jej nogi, zapragnąłem go więcej.

Liżę jej cipkę jak dzikie zwierzę. Liżę, skubię i wsadzam w nią język. Potem wsuwam w nią również palce, chcąc zobaczyć, czy naprawdę jest tak ciasna, jak ją zapamiętałem.

Boże, jest jeszcze ciaśniejsza. Bądź ostrożny. Nie zrób jej krzywdy – powtarzam sobie to wszystko cały czas w myślach.

Z trudem panuję nad oddechem. Serce coraz szybciej tłucze się w mojej piersi. Czuję, jak moje źrenice się rozszerzają, a skóra płonie. Z kolei mój kutas błaga, aby móc zanurzyć się w tej ciepłej, ciasnej, gładkiej jak aksamit, cipce.

Kiedyś myślałem o seksie jak o spaniu – rzeczy koniecznej, ale będącej stratą czasu.

Tymczasem chcę pieprzyć Nessę tak, jakby to było moje przeznaczenie – jedyna rzecz, do której zostałem stworzony.

Używając palców oraz języka, przygotowuje ją, jak tylko mogę. Czekam, aż zrobi się wilgotna, dzięki czemu będę mógł z łatwością wsuwać i wysuwać z niej palec wskazujący. Językiem masuję jej łechtaczkę, doprowadzając ją w ten sposób do orgazmu.

Następnie biorę do ręki swojego kutasa. Pocieram nim o jej wilgoć, nawilżając główkę. Nawet ten zewnętrzny kontakt sprawia, że pocierając łebkiem penisa między jej wargami, czuję kurewsko przyjemny ból. Nerwy mi drżą. Mógłbym już strzelić, na sam widok jej szczupłego, małego ciała oraz różowych warg sromowych.

– Jesteś gotowa? – pytam moją Balerinę, zatrzymując się przed jej wejściem.

Patrzy na mnie tymi swoimi dużymi, zielonymi oczami o tak wyrazistych brwiach, że zdają się mieć własny rozum. Po raz pierwszy się nie ruszają – na całej jej twarzy maluje się spokój i oczekiwanie.

– Tak – wzdycha.

Jednym długim, powolnym ruchem wślizguję się w nią.

Nessa wydaje z siebie krótkie westchnienie, a ja zatrzymuję się z kutasem zanurzonym głęboko w jej wnętrzu.

Spoglądam na jej twarz. Jesteśmy fizycznie połączeni tak, jak tylko połączone może być dwoje ludzi. Jestem głęboko w jej wnętrzu, a ona

z kolei ciasno oplata mnie ramionami i zaciska uda wokół moich bioder. Dzielimy się tym samym oddechem, wdycham jej zapach, a ona leży w moim łóżku, w zagłębieniu, w którym śpię każdej nocy.

Patrząc jej w oczy, widzę, że to już nie ta sama dziewczyna, którą porwałem. Przeszła metamorfozę. Nie jestem pewien, kim ona teraz jest. Ciągłe się zmienia, jeszcze nie jest w pełni ukształtowana.

To, co widzę jest piękne. Niektóre rzeczy pozostają, mimo wszystko, takie same – na przykład jej dobroć i kreatywność. Była połyskującym w słońcu strumieniem. Potem, z każdym dniem wody zaczęło przybywać – zaczęła przeistaczać się w jezioro, a teraz staje się oceanem.

Widzę ją, a ona widzi mnie.

Byłem śmiercią, a ona życiem.

Myślałem, że ją porwałem i sprowadziłem do podziemnego świata.

Cały czas mnie budziła, wzburzając krew w moich żyłach i wpompowując powietrze do moich płuc.

Jestem tak poruszony jej widokiem i naszym połączeniem, że zupełnie zapominam, aby się ruszać.

Dopiero, gdy Nessa przytula się do mnie, delikatnie poruszając biodrami, przypominam sobie, że jesteśmy w trakcie uprawiania seksu.

Wchodzę i wysuwam się z niej, patrząc w jej twarz po to, aby upewnić się, że nie robię tego zbyt boleśnie.

Lekko się krzywi, lecz rumieniec i półprzymknięte powieki – które trzepoczą i przysłaniają skołowane oczy – mówią mi, że jest jej dobrze.

Całuję jej usta oraz szyję, wbijam się w nią, aż odchyła głowę i wydaje z siebie jęk, czuję pod językiem pulsowanie jej żył.

W odpowiedzi na mój ruch zaczyna kołysać biodrami, poruszając się i dostosowując do mojego rytmu. To jak powtórka ze wspólnego tańca. Poruszamy się w idealnej harmonii, nasze ciała są ze sobą tak zgodne, że nawet oddychamy w tym samym rytmie.

Nigdy wcześniej nie miałem problemów z tym, aby „wytrzymać”. Tak naprawdę to problem stanowił sam punkt kulminacyjny. Częściej nudziłem się i rezygnowałem.

Teraz doświadczam tego, co jest po drugiej stronie medalu: niezwyklej przyjemności i nagłej, desperackiej chęci, aby już eksplodować, nie czekając ani chwili dłużej.

Nessa jeszcze nie osiągnęła tego punktu. Oddycha coraz szybciej i porusza się pode mną. Chcę, żeby doszła. Chcę poczuć, jak ta ciasna cipeczka zaciśnie się na moim penisie.

Wbijam się w nią nieco głębiej, obejmując ją ramionami i mocno przytrzymując. Chowam twarz w jej szyi i delikatnie gryzę ją tam, gdzie zaczyna się jej ramię.

Ugryzienie sprawia, że mięśnie dziewczyny się napinają. Spycha ją ze skarpy w otchłań. Pociera o mnie swoim ciałem, a ja czuję na kutasie rytmiczne skurcze jej cipki.

– O mój Boże! – krzyczy.

Mój krzyk jest o wiele mniej klarowny. Wtulając się w jej szyję, wydaje z siebie długi, niski i gardłowy jęk. Moje jądra kurczą się i eksplodują wewnątrz Nessy, zalewając ją gorącym strumieniem, wraz z którym dusza również opuszcza moje ciało – a przynajmniej takie mam wrażenie. Chwila ta trwa i trwa, bezustannie zalewam ją, a ona przytula się do mnie, aż w końcu oboje zaczynamy trząść się z przyjemności.

Następnie jest już po wszystkim i odklejamy się do siebie, aby położyć się na łóżku. Oboje jesteśmy zdyszani. Na jej udach i pościeli widać trochę krwi, jednak obawiałem się, że będzie jej więcej.

– Boli? – pytam.

– Trochę piecze – odpowiada.

Sięgam między jej uda i delikatnie jej dotykam, pocierając kciukiem opuchnięty guziczek łechtaczki.

– Pomaga czy pogarsza sytuację? – pytam.

– Pomaga – odpowiada.

Dotykam jej trochę niżej, tam skąd wypływa moja sperma. Dzięki niej moje palce są śliskie i z łatwością mogę ślizgać nimi po jej łechtaczce.

– Co ty na to? – pytam.

– Tak – wzdycha, zamykając oczy. – Teraz jest nawet lepiej.

Pocieram kciukiem o jej łechtaczkę i powoli zaczynam zataczać kręgi. A kiedy na policzkach Nessy wykwita rumieniec, pocieram ją

kilkoma palcami na raz, wywierając większy nacisk na jeszcze większym obszarze.

– Och, łał – wzdycha – to znowu się dzieje...

– Wiem – odpowiadam.

Obserwuję jej twarz, dzięki czemu wiem, kiedy przyspieszyć, a kiedy zwiększyć nacisk. Niedługo potem jej skóra jest rozpalona, zupełnie jakby trawiła ją gorączka. Wygina biodra, naciskając na moją dłoń i ponownie dochodzi. Nawet teraz z plecami wygiętymi w łuk jest pełna wdzięku. Nic nie może na to poradzić, że każdy jej ruch to czyste piękno.

Nie mogę się tym nasycić. Pragnę to robić bezustannie. To i tysiąc innych rzeczy. Dopiero się rozkręcam.

Kiedy Nessa wydaje ostatnie ciche jęki, raz jeszcze przewracam się na nią i zaczynam ją namiętnie całować.

Czuję jej podniecenie. Jest wspaniałe i uderza mi do głowy. Jej oddech syci niczym gorzka czekolada.

– Chcesz więcej? – pytam.

– Tak – odpowiada błagalnym tonem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

NESSA

Następnego ranka budzi mnie krzyk.

Mimo że to dochodzący z oddali dźwięk, to i tak otwieram oczy.

Leżę w łóżku sama. Mikołaj zniknął.

Nie czuję się opuszczona, bo zostawił mnie w swoim pokoju, a zaledwie kilka dni temu w przypływie szału przepędzał mnie stąd. Coś się między nami zmieniło.

Nie mam czasu, aby się nad tym zastanawiać, ani też rozkoszować przyjemnymi wspomnieniami minionej nocy. Wyślizguję się z łóżka, odnajduję swoje majtki oraz koszulę nocną. Jest rozerwana, więc zamiast niej zakładam porzuconą przez Mikołaja koszulkę. Sięga mi do połowy ud i pachnie jak on – papierosami i mandarynkami.

Wychodzę z pokoju i biegnę korytarzem, żeby zorientować się o co chodzi. Zanim jednak mogę zrozumieć, co się dzieje, kłótnia dobiega końca. Widzę już tylko otwierające się drzwi od sali bilardowej, z której wychodzi trzech mężczyzn. Od razu się rozdzielają – Jonasz z Jędrzejem idą w jedną stronę, a Marcel zmierza w przeciwnym kierunku.

Nigdzie nie widzę Mikołaja, więc domyślam się, że wciąż jest w środku.

Zbiegam na bosaka po schodach. Jestem świadoma tego, że nie umyłam zębów i jestem nieuczesana, ale mam to gdzieś. Muszę z nim porozmawiać.

Coś tu nie gra. Czuję w powietrzu napięcie.

Kiedy wchodzę do sali bilardowej, Mikołaj stoi odwrócony do mnie plecami. W ręce trzyma jedną z bil – czarną ósemkę. Obraca ją w tych swoich długich, zwinnych palcach.

– Nesso, grywasz w bilard? – pyta, nie odwracając się.

– Nie – odpowiadam.

– Aby wygrać, musisz wbić wszystkie swoje bile, nim przeciwnik zrobi to samo. Można zatem wygrać tylko w jeden sposób, lecz możliwości przegranej jest wiele. Możesz przypadkowo wbić ostatnią bilę albo za wcześnie wbić ósemkę. Możesz też niechcący wbić jednocześnie ósemkę i bilę. – Odkłada bilę na pokryty filcem stół i odwraca się, aby na mnie spojrzeć. – Możesz przegrać już na samym końcu, bez względu na to, jak dużą masz przewagę i kiedy myślisz, że zwycięstwo należy już do ciebie. Czasami wynika to z powodu drobnej niedoskonałości sukna stołu bilardowego albo z własnej winy, bo było się rozkojarzonym.

Rozumiem tę metaforę, lecz nie jestem pewna, o co mu chodzi. Czy to ja jestem źródłem tego rozkojarzenia? A może nagrodą, jeśli uda się nam nie ponieść porażki?

– Słyszałam krzyki – oznajmiam. – To był Jonasz?

Mikołaj wzdycha.

– Chodź tutaj – mówi.

Podchodzę bliżej, a on kładzie dłonie na mojej talii. Następnie podnosi mnie i sadza na brzegu stołu bilardowego.

Bierze w swoje dłonie opaskę oplatającą moją kostkę. Jednym szybkim szarpnięciem ją rozrywa, a połamane kawałki odrzuca na podłogę.

– Co robisz? – pytam zdziwiona.

– Nie działa od tamtej nocy, kiedy w ogrodzie uderzyłaś w nią kamieniem – oznajmiam.

– Och. – Rumienię się. – Nie wiedziałam o tym.

Dziwnie mi bez tej upiornej bransoletki na nodze. Teraz czuję na swojej skórze każdy powiew powietrza. Na próbę poruszam stopą.

– Nie będziesz już jej potrzebowała – oświadcza. – Dzisiaj wracasz do domu.

– Co przez to rozumiesz? – Ogarnięta szokiem wbijam w niego wzrok.

– Dokładnie to, co powiedziałem.

Nie jestem w stanie rozszyfrować jego miny. Nie wygląda na złego, ale również nie wygląda na szczęśliwego. Na jego twarzy maluje się

obojętność. Widać jednak, że kosztuje go sporo wysiłku, by tak pozostało.

– Zrobiłam coś złego? – pytam.

Śmieje się nerwowo.

– Myślałem, że będziesz szczęśliwa – stwierdza.

Nie wiem, czy jestem szczęśliwa. Wiem, że powinnam taka być, jednak czuję się po prostu skołowana.

– Zmieniłeś zdanie? – pytam.

– Na temat?

Dziwnie zawstydzona wbijam wzrok w swoje kolana.

– Na temat... poślubienia mnie.

– Nie.

Moje serce się ożywia, wzbijając się w górę.

Teraz dostrzegam konflikt wymalowany na jego twarzy. Walkę między tym, co robi, a tym, co naprawdę chce zrobić.

– To dlaczego mnie odsyłasz? – pytam.

– Na znak dobrej woli – odpowiada. – Odeślę cię do domu. Zorganizuję spotkanie z twoim ojcem, żebyśmy mogli negocjować. A ty, jeśli będziesz chciała do mnie wrócić po tym... – Unosi rękę, abym niczego nie mówiła. – Nic nie mów, Nesso. Jedź do domu. Zastanowisz się na spokojnie, co czujesz i co chcesz zrobić.

Te słowa dowodzą, że Mikołaj uważa, że zeszłej nocy zgodziłam się na jego propozycję małżeństwa wyłącznie dlatego, że byłam uwięziona w jego domu i był to jedyny sposób, aby powstrzymać go przed wymordowaniem mojej rodziny.

Tu chodzi o coś innego, ale... może i ma rację. Może niemożliwe jest trzeźwe myślenie, kiedy jestem tu uwięziona z nim. Jego oferta jest niezwykle hojna – to wolność i trzeźwość umysłu.

To dlatego jego ludzie są wkurzeni. Pozbywa się karty przetargowej, nie otrzymując niczego w zamian.

– Spakuj wszystko, co chcesz zabrać – oznajmia Mikołaj. – Marcel odwiezie cię do domu.

Wydaje mi się teraz, że jestem zrobiona z papieru i właśnie rozdieram się na pół.

Wciąż bardzo pragnę zobaczyć znowu swoją rodzinę. To uczucie jest wyraźne i silne, a jednak tak naprawdę nie chcę stąd wyjeżdżać.

Zeszła noc była dla mnie niezwykłym przeżyciem. W całym życiu niczego takiego nie doświadczyłam. To było mroczne, dzikie i przyjemne doświadczenie, które przekroczyło moje najśmielsze wyobrażenia.

To jak zastrzyk z heroiny. W tym domu zawsze jestem odurzona. Muszę od niego uciec, zanim w ogóle będę mogła na cokolwiek trzeźwo spojrzeć.

Kiwam więc głową, mimo że naprawdę tego nie chcę.

– W porządku – oznajmiam. – Pójdę się spakować.

Mikołaj znowu się odwraca, a jego wyprostowane szerokie ramiona są jak bariera, której nie mogę przekroczyć.

Wychodząc z sali bilardowej, dostrzegam na końcu korytarza rozmawiających przyciszonymi głosami Jonasza i Jędrzeja. Przerywają, gdy mnie zauważają. Jonasz obdarza mnie fałszywym uśmiechem, z kolei Jędrzej przygląda się chłodno.

Pospiesznie wchodzę po schodach prowadzących do wschodniego skrzydła. Czuję ulgę, widząc Klarę w pokoju. Jednak widok walizki, którą położyła na łóżku już, nie przynosi mi aż takiej radości.

– Pomyślałam, że chciałabyś zabrać ze sobą trochę nowych ubrań – mówi.

– Czy Jonasz jest zły, że wyjeżdżam? – pytam. – Wygląda na wkurwionego.

– Chłopaki wykonają polecenia Mikołaja – odpowiada Klara. – To on tu jest szefem.

Nie jestem tego taka pewna. Ufali mu bezgranicznie, gdy zgodnie z ich oczekiwaniami był bezdusznym najemnikiem. Lecz nawet ja wiem, że to, co teraz robi, nie służy dobru Braterstwa, lecz mojemu.

– Nie wiem, czy powinnam wyjeżdżać – oznajmiam.

Klara – tym razem bez swojego typowego perfekcjonizmu – wrzuca ciuchy do walizki.

– Decyzja nie należy do ciebie – mówi stanowczo. – Mikołaj tak postanowił. A poza tym, Nesso, tu nie jest dla ciebie bezpiecznie.

Mówi cicho, a jej ciało sztywnieje. Zdaję sobie sprawę, że nieważne, co by powiedziała, jest przerażona. Ona również nie wie, co się wydarzy.

– A dla ciebie jest bezpiecznie? – pytam.

– Oczywiście, że tak – odpowiada. W jej ciemnych oczach widzę spokój oraz stanowczość. – Jestem tylko pokojówką.

– Nie jesteś pokojówką – oznajmiam. – Jesteś moją przyjaciółką.

Obejmuję ją i mocno przytulam. Klara na chwilę sztywnieje, po czym się odpręża i wypuszcza z palców body, aby móc mnie przytulić.

– Dziękuję, że się mną opiekowałaś – mówię.

– Dziękuję, że nie byłaś dupkiem – odpowiada.

– Przez większość czasu – oznajmiam, przypominając sobie o tych wszystkich posiłkach, których odmawiałam.

– Tak – śmieje się. – Przez większość czasu.

Ładnie pachnie mydłem, wybielaczem i wanilią. Jest taka zdolna i zawsze wydaje się wiedzieć co zrobić, przez co przytulanie jej jest podnoszące na duchu.

– Jeszcze się spotkamy – oznajmiam.

– Mam nadzieję – mówi. Brzmi jednak tak, jakby sama w to nie wierzyła.

Biorę prysznic i myję zęby, a następnie zakładam czyste legginsy i miękką, luźną bluzę. Nie wiem, gdzie się podziały moje jeansy oraz bluza z kapturem, które miałam na sobie, kiedy zostałam porwana przez Jonasza. Zniknęły.

Klara po raz ostatni suszy mi włosy i wiąże je w wysoki kucyk.

A kiedy wrzuca do walizki moje przybory toaletowe, stoję przy oknie i patrzę na ogród. Zauważam dwóch ludzi Mikołaja, którzy idą szybko przez podwórko ze spuszczonej głowami. Jednego z nich rozpoznaję – to bramkarz z klubu Jungle, drugiego zaś nigdy wcześniej nie widziałam.

Wiem, że Mikołaj poza rezydencją ma więcej żołnierzy, niż tutaj mieszka. Zazwyczaj po prostu nie pozwala im tu przychodzić. Klara mówiła mi, że kiedyś było inaczej, ale teraz nikt nie powinien mnie widzieć albo powinno to być jak najmniej osób. Wydaje mi się, że obecnie, kiedy wyjeżdżam, to już nie ma żadnego znaczenia.

– Chodź – mówi Klara. – Nie ma sensu snuć się z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną.

W domu panuje niezwykła cisza, kiedy schodzę po krętych schodach. Niepokoi mnie to. Zazwyczaj słyszeć przeróżne dźwięki –

brzdęk talerzy w kuchni albo stukot uderzających o siebie bil w sali bilardowej. Gdzieś grał telewizor albo ktoś się śmiał.

Przy drzwiach wyjściowych czeka na mnie Marcel. Przyprowadził samochód – tego samego land rovera, którym zostałam tu przywieziona. Tak naprawdę to nie muszę znać zasad panujących w tym miejscu.

Myślałam, że Mikołaj również będzie czekał.

Jego nieobecność mnie boli. To ostre ukłucie zdaje się przybierać na sile, kiedy Marcel otwiera mi drzwi, a ja zdaję sobie sprawę, że Mikołaj naprawdę nie przyjdzie się pożegnać.

Co jest ze mną nie tak?

Dlaczego, kiedy mam wrócić do domu trzepoczę powiekami, aby powstrzymać łzy? Powinnam przecież w podskokach wsiadać do tego samochodu, a zamiast tego człapię w jego stronę niczym skazana więźniarka. Marcel w tym czasie ładuje moją walizkę do bagażnika. Kiedy z wnętrza samochodu spoglądam na starą, masywną rezydencję, zauważam jedynie Klarę. Stoi w drzwiach, ma poważną minę i ręce skrzyżowane na piersi.

Przyciskam dłoń do szyby.

Klara unosi rękę w geście pożegnania. Potem Marcel odjeżdża.

Dzień jest ciemny i ponury. Niebo jest nijakie i szare jak szkolna tablica, powietrze z kolei jest przeszywająco zimne. Ostatnie suche liście oraz resztki śmieci hulają po ulicy targane podmuchami wiatru. Mamy kolejną porę roku. To już zima.

Patrzę na przystojne i zatroskane oblicze Marcela.

– Klara cię lubi – mówię po polsku.

– Wiem – odpowiada z lekkim uśmiechem.

Przez chwilę milczy i nie wydaje mi się, że będzie chciał ze mną rozmawiać dłużej niż zwykle. Po chwili wygląda na to, że zmienił zdanie. W sumie to patrzy na mnie chyba po raz pierwszy. Zauważam, że jego oczy są jaśniejsze, niż sądziłam – bardziej miodowe niż w kolorze głębokiego brązu.

– Ojciec Klary był pijakiem, a jej wujowie to dupki – oznajmia. – A w szczególności ojciec Jonasza. Przez to zna tylko jeden typ facetów, ale to nie ma znaczenia. Jestem tak samo uparty jak ona.

– Och – mówię. – To dobrze.

– Tak. – Uśmiecha się i z powrotem patrzy na drogę. – Nie martwię się.

Zbliżamy się do Gold Coast. Te ulice są mi znajome. Jeździłam nimi setki razy.

Z każdym przejechanym kilometrem powinnam być coraz bardziej podekscytowana. Za kilka minut przekroczę próg swojego domu i zobaczę rodzinę. Będą tak bardzo zaskoczeni moim widokiem, że mogą mieć atak serca. Prawdę mówiąc, prawdopodobnie powinnam wcześniej powiedzieć strażnikom stojącym przy bramie, aby zapowiedzieli moje przybycie.

To dziwne, ale zamiast narastającego podekscytowania, czuję przybierający na sile niepokój. Nie spodobał mi się wzrok Jonasza, gdy stał na korytarzu. To był kolejny z jego głupkowatych uśmieszków, lecz kryło się za nim coś jeszcze. Nowy rodzaj złośliwości.

– Dlaczego tamci dwaj przyszli do domu? – pytam Marcela.

– Co? – pyta, pokonując ostro jeden z ostatnich zakrętów przed moją ulicą.

– Widziałam na podwórku bramkarza z Jungle i jeszcze jakiegoś faceta.

– Nie wiem – odpowiada stanowczo. – Nic na ten temat nie słyszałem.

– Zatrzymaj samochód – mówię.

– Co ty...

– ZATRZYMAJ SAMOCHÓD!

Marcel, wciskając hamulec, zjeżdża na pobocze, a wymijający nas biały minivan trąbi z irytacją.

Mężczyzna wpatruje się we mnie, a silnik wciąż pracuje.

– Mam odwieźć cię do domu – oznajmia. – To rozkaz Mikołaja.

– Ale coś jest nie tak. Jonasz zamierza coś zrobić, jestem tego pewna.

– Jonasz to pyszałek – rzuca lekceważąco. – A Mikołaj jest bossem.

– Proszę – mówię błagalnym tonem. – Proszę, zawróć, tylko na chwilę. Albo chociaż zadzwoń do Miko.

Marcel przygląda mi się, wyraźnie się zastanawiając, co powinien zrobić.

– Zadzwońę do niego – mówi w końcu.

Wybiera numer i przykłada telefon do ucha z miną, którą wyraźnie chce mi powiedzieć, że robi to tylko po to, aby mnie udobruchać.

Telefon dzwoni, ale nikt nie odpowiada.

Po szóstym lub siódmym sygnale uśmiech znika z twarzy Marcela, po czym odjeżdża od krawężnika.

– Wracasz, żeby to sprawdzić? – pytam.

– Tak – odpowiada. – Sprawdzę to.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

MIKO

Patrzenie jak Nessa opuszcza podwórko i odjeżdża do swojego domu, jest jak obserwowanie znikającego za horyzontem słońca. Światło traci blask, a jego miejsce zajmują wyłącznie ciemność oraz chłód.

Dom spowija cisza. Z niewielkiego studia Nessy nie sączy się żadna muzyka. Nigdzie nie ma śladu po jej delikatnym uśmiechu, nie słyszeć też już, jak pyta o coś Klarę.

Właściwie to niczego nie słyszeć. Chłopaki również milczą. Są na mnie wkurzeni.

Ze strategicznego punktu widzenia to, co robię, jest szalone. Oddanie Griffinom Nessy bez jakiegokolwiek wymiany, nawet bez żadnego porozumienia, jest kwintesencją głupoty.

Mam to w dupie.

Przez całą noc nie spałem, tylko przyglądałem się jej jak śpi.

We wczesnych godzinach porannych, kiedy promienie światła z szarych przybrały złotawą barwę, jej twarz błyszczała jak na portrecie pędzla Caravaggia. Pomyślałem sobie, że ze wszystkich rzeczy godnych zobaczenia, jakie kiedykolwiek widziałem, to właśnie Nessa była najpiękniejsza.

Wiedziałem, że nie zasługuję na to, aby mieć ją w swoim łóżku. Nessa jest perłą, a ja tylko mułem pokrywającym dno oceanu. Jest nieskazitelna i czysta, utalentowana i inteligentna, ja natomiast jestem przestępcą bez wykształcenia. Potworem, który robił straszliwe rzeczy.

Co najdziwniejsze, mogę być najlepszą osobą, która naprawdę ją doceni. A to dlatego, że widziałem najbrzydsze części świata. I wiem, jak rzadko zdarza się dobroć taka jak jej.

W tamtym momencie, patrząc jak śpi, zdałem sobie sprawę, że ją kocham.

Miłość jest jedyną rzeczą, której nie można ukraść. Nie można jej również stworzyć. Istnieje albo nie. A jeśli istnieje, nie można jej zabrać siłą.

Nigdy się nie dowiem, czy Nessa mnie kocha, jeśli zmuszę ją do ślubu. Ona również się nigdy tego nie dowie.

Muszę dać jej szansę na dokonanie wyboru. Aby mogła to zrobić świadomie, musi być wolna i niczym nieskrępowana.

Jeśli mnie kocha, to wróci.

Ale nie oczekuję, że to zrobi.

Patrząc na odjeżdżający samochód, wątpię czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę.

Wróci do domu, do matki i ojca, siostry oraz brata. Bliscy obejmą ją ramionami, poleją się łzy, będą wspólnie się cieszyć. Ulży jej i będzie szczęśliwa. A to, co miało tu miejsce między nami, zacznie się jej wydawać szaleństwem. Będzie niczym sen na jawie – w tej chwili jest dla niej prawdziwy, lecz zniknie w świetle dnia.

Wiem, że ją straciłem.

Pustka pochłania mnie w całości.

Nie obchodzi mnie to, że moi bracia są wkurzeni. Nie obchodzi mnie to, co zrobią Rosjanie. Nic mnie już nie obchodzi.

Schodzę na parter i idę do znajdującego się na tyłach rezydencji ogrodu.

Obecnie nie przypomina to żadnej wytrawnej kompozycji kwiatów, krzewów i drzew. Wszystkie liście opadły i spleśniały. Na tle szarego nieba są widoczne wyłącznie czarne, nagie gałęzie. Krzewy róż są tylko płataniną cierni. Milczą pozbawione wody fontanny milczą.

Zimą wszystko wygląda na martwe. Chicagowskie zimy są mroźne i okrutne – są tak samo paskudne jak w Polsce. Zastanawia mnie, czy gdybym żył i dorastał w cieplejszych miejscach, to byłbym innym człowiekiem. Może los postanowił, że mroczne dusze rodzą się i żyją w mroźnym klimacie?

Słyszę szuranie butów po suchej ziemi.

Obok mnie staje Jonasz. Na jego twarzy maluje się ponura mina.

– Znowu sam – stwierdza.

– Nie jestem sam – odpowiadałam słabo.

Poza mną w domu mieszkają jeszcze cztery osoby. Kieruję przy tym tuzinem żołnierzy i jeszcze większą liczbą pracowników. Mam do dyspozycji małą armię. Jestem tak samo „samotny” jak przed pojawieniem się Nessay. To znaczy – zupełnie.

– Rozmawiałeś już z Kristoffem? – pyta Jonasz.

– Nie.

– Jak myślisz, jak zareaguje na zmianę planów?

Przyglądałam mu się zmrużonymi oczami i odpowiadałam lodowatym tonem:

– To nie twoja sprawa. Zajmę się Rosjanami, dokładnie tak, jak zajmuję się pozostałymi sprawami.

– Oczywiście, że tak. Dlatego to ty jesteś bossem – mówi Jonasz. Uśmiecha się. Zawsze to robi, bez względu na nastrój. Ma uśmiech wyrażający gniew, kpinę i oszustwo. Tego uśmiechu nie jestem w stanie rozszyfrować. Wygląda niemal smutno.

Jonasz wydaje z siebie długi, przypominający westchnienie gwizd. Następnie kładzie lewą rękę na moim ramieniu i mocno zaciska na nim palce.

– I dlatego cię kocham, bracie.

Znamy się bardzo długo, wystarczająco długo, abym wiedział, kiedy kłamię.

Nóż przecina powietrze między nami, kierując się prosto ku mojej wątrobie.

Jonasz jest szybki, lecz ja jestem szybszy. Odchyłam się na tyle, aby ostrze przecięło mój bok, tuż pod żebrami.

To płytka rana, która piecze, lecz nie pozbawia sił.

Jednak kolejny cios naprawdę mnie rani.

Ostrze ze świstem spada na mnie od tyłu, aby uderzyć mnie w plecy. Klinga wbija się po rękojeść w moją prawą łopatkę.

Wykręcam się z uścisku Jonasza, obracając twarzą do napastnika. To Jędrzej, zdradziecki skurwiel. Mogłem się domyślić. Naśladuje Jonasza we wszystkim, co robi. Nie jest wystarczająco sprytny, aby samemu coś wymyślić. Tuż obok niego są Szymon oraz Franciszek, kolejni moi „wierni” żołnierze.

Ich noże spadają na mnie ze wszystkich stron. Unikam ostrza Szymona, odtrącam jego ramię i mocno uderzam go pięścią w szczękę. Lecz gdy to robię, ostrze Franciszka wbija mi się w brzuch.

Bycie dźgniętym boli bardziej niż rana postrzałowa. Kula jest mała i szybka. Nóż natomiast ogromny. Przebija twoje ciało i zanurza się w nim niczym rozpalona żagiew. Wpadasz w szok, zaczynasz się pocić jak szalony, a twoje kolana mają ochotę zesztynnieć i ugiąć się pod tobą. Twój mózg żąda, abyś się położył w celu zmniejszenia utraty krwi. Jednak wiem, że umrę, jeśli to zrobię.

Jonasz wyrywa mi nóż Jędrzeja z pleców, zamierzając mnie dźgnąć raz jeszcze. To, jak ostrze wychodzi z ciała, jest bardziej bolesne. Prawie mdleję.

Dobrze wiem, co się ze mną dzieje. Tak właśnie w Braterstwie wygląda „wotum nieufności”. Jego tradycja jest bardzo długa i sięga czasów Juliusza Cezara. Zabójstwa dokonuje się w taki sposób, aby nikt nie wiedział czyje ostrze zadało śmiertelny cios. Nikogo nie można nazwać zdrajcą – śmierć staje się efektem działań całej grupy.

Rzucają się na mnie z uniesionymi ostrzami. Nie jestem w stanie walczyć z nimi wszystkimi.

Nagle słyszę czyjś krzyk:

– PRZESTAŃCIE!

To Klara. Biegnie przez trawnik, machając rękami, jakby próbowała spłoszyć stado wron.

– Wracaj do domu – warczy Jonasz.

– Co wy robicie?! – woła. – Tak nie można!

– Zignorujecie ją – rzuca Jonasz do pozostałych.

– Nie!

Klara wyciąga z kieszeni fartucha broń. Drżącymi dłońmi celuje w Jonasza.

– Przestańcie wszyscy – mówi.

Widzę, że jest przerażona. Ledwo utrzymuje broń, robiąc to nawet obiema rękami. Ktoś ją nauczył, jak trzymać spluwę i z niej celować. Domyślam się, że był to Marcel.

– Zajmij się nią – mruczy Jonasz do Szymona.

Szymon z zaciśniętymi pięściami zaczyna iść w jej kierunku.

– Nie podchodź! – krzyczy Klara.

A kiedy Szymon nie rezygnuje, Klara pociąga za spust. Rozlega się huk wystrzału i kula trafia go w ramię. Rycząc jak lew, rzuca się na dziewczynę.

Wykorzystuję okazję, aby skoczyć na Franciszka, wyrywając mu nóż z ręki. A kiedy Jędrzej robi na mnie kolejny zamach swoim ostrzem, blokuję cios i tnę jego przedramię, a potem brzuch. Zatacza się do tyłu, przyciskając dłoń do rany. Krew sączy mu się spomiędzy palców.

Jonasz z Franciszkiem szarżują na mnie z przeciwnych stron. Pierwszy rani mnie w ramię, a drugi powala na ziemię. Nie jestem tak szybki jak zwykle – straciłem już za dużo krwi. Czuję jak prawa ręka mi drętwieje.

Słyszę kolejne dwa wystrzały – mam nadzieję, że oznaczają, iż Klara powaliła Szymona, a nie że to on wyrwał jej broń i wykorzystał ją przeciwko niej. Walczymy z Franciszkiem o kontrolę nad jego nożem. Jonasz podchodzi do nas z drugiej strony, próbując dźgnąć mnie, kiedy znowu będę na górze.

Nagle słyszę wściekły ryk i westchnienie zaskoczonej Klary.

– Marcel! – krzyczy.

Jonasz dźga mnie raz jeszcze, tym razem tuż nad obojczykiem.

Słyszę cztery strzały, brzmią jak oddane z SIG Sauera Marcela.

– Zastrzelić go? – mruczy Franciszek do Jonasza. Nie wiem, czy chodzi mu o mnie, czy Marcela.

Jonasz patrzy na mnie. Jego oczy są czarne i pozbawione wyrazu – nie ma w nich ani grama litości czy wyrzutów sumienia.

– Jebać to – warczy do Franciszka. – Już po nim, spadamy.

Franciszek pośpiesznie zrywa się na równe nogi i odbiegają, ciągnąc ze sobą Jędrzeja.

Próbuję się przeturlać, aby zobaczyć, co się dzieje, do cholery. Niestety wygląda na to, że utknąłem, leżąc na boku. Moje całe ciało pulsuje i płonie z bólu. Gdy próbuję poruszyć głową, niebo oraz trawa zaczynają szybko wirować, zamieniając się miejscami.

Czuję na ramieniu czyjaś dłoń, która przewraca mnie na plecy. A potem zauważam unoszącą się nade mną twarz anioła.

– Mikołaju! – krzyczy Nessa. – Miko!

Jej dłonie delikatnie muskają moją twarz. Pozostałe części mojego ciała wyją z agonii. Na początku czułem, jakbym płonął, lecz teraz robi mi się zimno. Straciłem sporo krwi.

– Pomóżcie mu! – wrzeszczy Nessa.

Słyszę czyjeś kroki. Wieki zajmuje tej osobie podejście do mnie.

Patrzę na Nessę. Jej duże zielone oczy i ciemne brwi wyrażają większy niepokój, niż kiedykolwiek u niej widziałem. Jej łzy spływają po mojej twarzy. To jedyne ciepło, jakie czuję. Cała moja krew wypływa na wpół zamarznąłą ziemię.

Nessa jest taka piękna.

Jeśli ma to być ostatnia rzecz, jaką ujrzę, to mogę umierać spokojnie.

– Nessa – sapię. – Wróciłaś.

Obejmuje moją dłoń i mocno ją ściska.

– Wszystko będzie dobrze – przyrzeka.

Prawdopodobnie nie, lecz nie będę się spierać. Muszę jej coś powiedzieć, póki jeszcze mam czas.

– Wiesz, dlaczego cię odesłałem? – pytam.

– Tak – odpowiada, szlochając. – Bo mnie kochasz.

– Dokładnie – wzdycham.

Marcel klęka obok mnie i przyciska dłoń do najpaskudniejszej rany na moim brzuchu. Klara robi to samo z moim ramieniem. Na jej policzku zauważam paskudne skaleczenie, poza tym wygląda na całą i zdrową.

– Dzwon po karetkę – mówi Klara do Nessy.

– Nie ma czasu – oznajmia Marcel.

Chciałbym, żeby Nessa położyła głowę na mojej piersi. To by mnie ogrzało. Jednak nie jestem w stanie unieść ramienia, żeby ją do siebie przyciągnąć.

Marcel coś mówi, ale nie słyszę jego słów. Jego głos się rozmywa, a wraz z nim szare niebo i śliczna twarz Nessy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

NESSA

Zabieramy Mikołaja do kryjówki znajdującej się w Edgewater. Klara prowadzi wóz, a Marcel wykrzykuje, jak ma jechać i rozrywa zębami zestaw medyczny. Wydobywa z niego niewielkie opakowanie zawierające długą rurkę oraz strzykawkę.

Mikołaj leży rozciągnięty na tylnym siedzeniu. Oczy ma zamknięte, a jego skóra przybrała szarawy odcień. Nie reaguje, gdy zaciskam palce na jego dłoni. Staram się mocno przyciskać szmatkę do jego brzucha, lecz przy dzikiej jeździe Klary i tym, że materiał już się przemoczył, jest to trudne.

– Jaką masz grupę krwi? – pyta nerwowo Marcel.

– Co? Ja...

– Grupa krwi!

– Uch... 0 Rh+, chyba – odpowiadam. Kilukrotnie oddawałam krew podczas szkolnych zbiórek.

– Dobrze – mówi z ulgą. – Ja mam AB, moja się nie nadaje.

Wbija igłę w ramię Mikołaja, a następnie mówi:

– Daj rękę.

Każe mi się podnieść, więc teraz na wpół kucam w pędzącym samochodzie, dzięki czemu moja ręka znajduje się wyżej niż ręka Mikołaja.

– Skąd wiesz, jak to robić? – pytam.

– W Warszawie chodziłem do szkoły medycznej – odpowiada. Mówi trochę niewyraźnie, bo owija wokół mojego ramienia długą gumkę, a jeden jej koniec trzyma w ustach. – Wpadłem w tarapaty przez łykanie pigułek na pobudzenie. Zacząłem je też sprzedawać. W ten sposób poznałem Miko.

Wbija drugi koniec rurki w moją żyłę.

Ciemna krew spływa nią do ramienia Mikołaja. Nie czuję, jak ze mnie wypływa, ale modłę się do Boga, aby poruszała się szybciej, bo Mikołaj strasznie jej potrzebuje. Nie jestem nawet pewna, czy on jeszcze żyje.

Po chwili mam wrażenie, że jego policzki znowu nabrały kolorów. A może to tylko moje pobożne życzenie?

To zabawne wiedzieć, że nasza krew miesza się w jego żyłach. Już miałam go trochę w sobie, a teraz on ma mnie w swoim wnętrzu.

– Tu, w lewo – mówi Marcel do Klary.

Klara skupia się na drodze, sztywno trzyma kierownicę.

– Jak on się ma? – pyta, nie mogąc na nas spojrzeć.

– Jeszcze nie wiem – odpowiada Marcel.

Zatrzymujemy się przed budynkiem, który wygląda na opuszczony. W oknach nie pali się światło, niektóre szyby są powybijane, a inne pozaklejane tekturą. Marcel przerywa transfuzję, wyjmując igłę z mojego ramienia.

– Pomóż mi z jego nogami – mówi.

Zaciągamy Mikołaja do środka, starając się go przy tym nie poturbować.

– Cyrus! CYRUUUUS! – krzyczy Marcel po przekroczeniu progu.

W korytarzu pojawia się drobny mężczyzna – jest niski, łysiejący, bardzo opalony i ma białą bródkę.

– Nie uprzedzałeś, że przyjeżdżasz – sapie.

– Nie? Dzwoniłem dwa razy! – odpowiada Marcel.

– Ach – rzuca Cyrus. – Zapomniałem włączyć aparat słuchowy.

Majstruje przy urządzeniu w prawym uchu.

– Powinniśmy zabrać go do szpitala – mruczę do Marcela. Jestem bardzo zaniepokojona.

– Tu było bliżej – odpowiada. – Nikt się nim lepiej nie zaopiekuje. Przysięgam, że Cyrus jest czarodziejem. Mógłby zszyć ser szwajcarski.

Zanosimy Mikołaja do niewielkiego pokoju, w którym znajduje się coś, co wygląda jak fotel dentystyczny oraz kilka szafek z artykułami medycznymi. To zbieranina niepasujących do siebie przedmiotów, starych i starszych, większość jest pokryta rdzą i powyginana. Z każdą chwilą coraz bardziej się niepokoję.

Po posadzeniu Mikołaja na fotelu, Marcel wypycha mnie i Klarę z pomieszczenia.

– Zajmiemy się tym – oznajmia. – Idźcie i zaczekajcie... Zawołam was, jeśli będę czegoś potrzebował.

Zamyka drzwi tuż przed naszymi nosami.

Wycofujemy się z Klarą do małego pokoiku ze starym telewizorem, lodówką oraz mnóstwem kanap i krzeseł. Wyglądająca na wyczerpaną Klara, opada na szeroki fotel.

– Myślisz, że nic mu nie będzie? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada, kręcąc głową. A potem, widząc moją nieszczęśliwą minę dodaje: – Prawdopodobnie przeżył już gorsze rzeczy.

Próbuję usiąść na kanapie, a potem przez chwilę kręcę się po pokoju, by następnie znowu usiąść. Jestem niespokojna, lecz oddałam zbyt dużo krwi, aby chodzić dalej.

– Ten pierdolony zdradziecki Judasz – syczę. Jestem wściekła na Jonasza.

Klara unosi brwi. Normalnie nie używam takiego słownictwa. Nigdy nie widziała mnie takiej wściekłej.

– Jest śmieciem – przytakuje spokojnie.

– To nie twój kuzyn? – pytam.

– Tak... – wzdycha, odgarniając ciemną od potu grzywkę – Lecz nigdy za nim nie przepadałam. Mikołaj zawsze dobrze mnie traktował. Był sprawiedliwy. Nie pozwolił, aby faceci mnie obmacywali. I dał mi pieniądze dla mojej matki, gdy zachorowała. Jonasz nic jej nie wysyłał. To siostra jego ojca, a i tak miał to w dupie.

Sama bym dźgnęła Jonasza, gdyby tu teraz stał.

Nigdy wcześniej nie czułam tego rodzaju wściekłości. Nie tracę nad sobą panowania. Nie mieszkam morderczych myśli. Nawet nie zabijam pajaków, gdy jakiegoś znajdę w domu. Lecz jeśli Mikołaj umrze... Przestaną być pacyfistką.

– Marcel się nim zaopiekuje, prawda? – pytam.

– Tak – odpowiada stanowczo. – Wie, co robi. – Przez chwilę milczy, po czym dodaje: – Marcel pochodzi z zamożnej rodziny. Dlatego wydaje się taki elegancki. Jego ojciec oraz dziadek byli

chirurgami. Mógł iść w ich ślady – chichocze cicho. – W Warszawie nigdy nie spojrzały na mnie po raz drugi.

– Ależ by spojrzał! – zapewniam. – Tutaj ogląda się za tobą ze sto razy dziennie. Nie jest w stanie się na niczym skupić, kiedy jesteś w pokoju.

Na twarzy Klary wykwita rumieniec. Nie uśmiecha się, lecz jej ciemne oczy zdradzają zadowolenie.

– Zastrzelił Szymona – oznajmia. Wciąż jest w szoku. – Szymon mnie dusił...

Dotyka gardła, na którym już zaczynają pojawiać się siniaki.

– To takie szalone – mówię, kręcąc głową. – Wszyscy poszaleli.

– Wszyscy musimy wybrać wobec kogo jesteśmy lojalni – oznajmia Klara. – Mikołaj wybrał ciebie.

Owszem.

Ja również wybrałam. Jego.

Od rodzinnego domu dzieliło mnie raptem kilka minut.

Zawróciłam i pognałam z powrotem do niego.

Wiedziałam, że to przeze mnie znalazł się w niebezpieczeństwie. Musiałam mu pomóc.

Czy dokonam takiego samego wyboru, gdy będzie bezpieczny?

Nie mam pojęcia, jak wyglądałaby przyszłość u boku Mikołaja. Ma w sobie mrok, który mnie przeraża. Wiem, że robił okropne rzeczy. A niechęć do mojej rodziny wciąż się w nim tli.

Z drugiej jednak strony wiem, że mu na mnie zależy. Rozumie mnie w szczególny sposób, inaczej niż moja matka, ojciec czy rodzeństwo. Nie jestem tylko słodką, prostą dziewczyną. Mocno wszystko przeżywam. Wewnątrz mnie znajduje się studio namiętności – skierowanej zarówno do rzeczy pięknych jak i tych zepsutych...

Mikołaj wydobywa ze mnie tę drugą naturę. Pozwala mi na bycie kimś więcej niż tylko niewinną osobką.

Prześlizgujemy się tylko po powierzchni więzi, która jest między nami. Chcę się w niej w pełni zanurzyć. Chcę się w nim zatracić i odnaleźć siebie na nowo – swoje prawdziwe ja. Kompletną Nessę.

I chcę poznać prawdziwego Mikołaja: namiętnego, lojalnego, niezłomnego. Dostrzegam to... jaki jest naprawdę.

Jestem bardziej niż dobra, a on bardziej niż zły.

Jesteśmy przeciwieństwami, a jednak jesteśmy dla siebie stworzeni.

Właśnie o tym myślę podczas kolejnych mijających godzin. Czas strasznie się dłuży. Klara też siedzi cicho. Jestem pewna, że myśli o Marcelu i żałuje, że nie może mu pomóc inaczej niż tylko myślami.

W końcu drzwi się otwierają. Z prowizorycznej sali operacyjnej wychodzi Marcel. Jego ubranie jest brudne od krwi, a on sam wygląda na wyczerpanego. Ale na jego przystojnej twarzy maluje się uśmiech.

– Nic mu nie będzie – mówi do nas.

Ogarnia mnie ulga nie do opisanego. Natychmiast zrywam się na równe nogi.

– Czy mogę go zobaczyć? – pytam.

– Tak – odpowiada. – Jest przytomny.

Wbiegam do niewielkiego pomieszczenia. Cyrus jeszcze myje ręce w zlewie, obok leży stos zakrwawionej gazy.

– Ostrożnie – skrzeczy. – Nie przytulaj go zbyt mocno.

Mikołaj na wpół leży, na wpół siedzi podparty w fotelu dentystycznym. Ciągłe jest okropnie blady. Ma rozciętą koszulę, więc dostrzegam liczne miejsca, które Cyrus z Marcelem zszyli, zakleili i obandażowali.

Jego oczy są szeroko otwarte. Są tak wyraźne i niebieskie jak zazwyczaj. Od razu mnie odnajdują i przyciągają do siebie.

– Miko – szepczę. Łapię go za dłoń i unoszę ją do ust.

– Miałaś rację – oznajmia.

– Z czym?

– Powiedziałaś, że nie umrę. A ja myślałem, że umrę. Ale ty zawsze masz rację... – Krzywi się, bo wciąż czuje ból.

– Nie musimy teraz rozmawiać – stwierdzam.

– Owszem, musimy – mówi z grymasem bólu na twarzy. – Słuchaj, Nesso... Jonasz, Jędrzej i pozostali... chcą dopaść twojego brata. Lecz nie są jedyni, Bratwa również chce to zrobić. Kola Kristoff...

– Zadzwoń do Calluma – mówię. – Ostrzeżemy go.

Widzę, że jest wyczerpany i ciężko mu mówić. Chce być jednak pewien, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa i dobitnie

powtarza:

– Oni chcą go zabić.

Mikołaj również chciał to zrobić, a teraz robi wszystko, co w jego mocy, aby go uratować. Dla mnie. Tylko dla mnie.

Wybrał mnie, zamiast pragnienia zemsty.

Wybrał mnie, zamiast swoich braci.

Wybrał mnie, zamiast swojego własnego życia.

– Dziękuję, Miko – mówię.

Uważając, by nie przygnieść jego poharatanego ciała, pochylam się nad nim i delikatnie całuję go w usta. Smakuje krwią, dymem i pomarańczami. Jak nasz pierwszy pocałunek.

– Chodź – mówi Marcel od progu. – Zabiorę cię do twojego brata.

– Nie zostawię cię – informuję Mikołaja, kurczowo trzymając się jego ręki.

– Będziemy trzymać się razem – przytakuje Miko, próbując usiąść.

– Hej! Czyś ty zdurniał?! – krzyczy Cyrus. Podbiega do niego i próbuje go ponownie położyć na fotelu. – Pozrywasz wszystkie szwy!

– Czuję się dobrze – rzuca niecierpliwie Mikołaj.

Wcale się dobrze nie czuje, ale wydaje mi się, że jest bardzo zdeterminowany, aby jego słowa stały się rzeczywistością.

– Nie możemy tu siedzieć, mamy za dużo rzeczy do załatwienia – stwierdza Miko.

– O mało nie zginąłeś – przypomina mu Marcel.

Mikołaj zupełnie ignoruje jego słowa, jakby odnosiły się do odległej przeszłości. Siada w pionie, krzywiąc się, lecz wcale nie myśli o bólu. Jego umysł pracuje z prędkością miliona kilometrów na minutę, opracowując strategię i planując nasze kolejne posunięcia. Może i połowa jego ludzi obróciła się przeciwko niemu, jednak wciąż jest tym samym przywódcą i planistą. Wciąż jest bossem.

– Musimy jechać na zachód, do więzienia Cook Country.

– O czym ty gadasz? – pyta Marcel. Najwyraźniej uważa, że Mikołaj zwariował.

Mikołaj jęczy, opuszczając nogi i powoli podnosi się z fotela.

– Wyciągniemy Dantego Gallo – oznajmia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

MIKO

Czuję się, jakbym został przejechany przez śmieciarkę. Nie ma takiej części ciała, która by nie pulsowała, nie piekła lub nie była unieruchomiona. Cyrus ostrzega mnie, że mam być ostrożny, bo inaczej rany się otworzą i znowu zaczną krwawić.

Chciałbym położyć się, a potem spać przez tydzień. Jednak nie mam na to czasu.

Jonasz z pewnością już spotkał się z Kristoffem, aby zaplanować przeprowadzenie ostatecznego ataku na Calluma Grifina. Nie mam pojęcia, czy będą próbowali zaatakować go podczas otwarcia biblioteki, czy wymyślą coś zupełnie innego.

Wiem tylko, że Griffinowie do odparcia ataku będą potrzebować całej swojej siły, a to oznacza, że muszę zebrać wszystkich, którzy są mi lojalni, a także uwolnić Dantego. Snajper jest niezbędny, jeśli w grę wchodzi obrona strategiczna.

Kiedy jedziemy do zachodniej części miasta, Nessa dzwoni do Calluma z mojego telefonu. W niewielkim wnętrzu samochodu słyszę ich głosy.

– Cal, to ja – mówi Nessa.

– Nessa! – woła. W jego głosie słyszę ogromną ulgę. – Dzięki Bogu! Wszystko w porządku? Gdzie jesteś? Przyjadę po ciebie!

– Nic mi nie jest – zapewnia. – Słuchaj, muszę...

– Gdzie jesteś? Już jadę!

– Cal – mówi. – Posłuchaj mnie! Bratwa i Braterstwo chcą cię dorwać. Być może Aidę również. Mogą pojawić się na otwarciu biblioteki. Chcą cię zabić.

Griffin milczy przez chwilę, analizując otrzymane informacje.

– Mówisz o Mikołaju Wilku i Koli Kristoffie? – mówi po chwili.

– To o Kristoffie się zgadza. O Mikołaju już nie. To jego porucznik Jonasz i kilku jego ludzi.

Dłuższa przerwa.

– Nesso, co się dzieje? – pyta Callum.

– Wszystko ci wyjaśnię – odpowiada. – Właściwie to spotkamy się w domu za jakąś... – Zerka na mnie. Podnoszę palec. – ...godzinę.

Na drugim końcu linii panuje cisza. Zdezorientowany Callum próbuje pojąć, co tu się odpiędała. Szuka Nessy tygodniami, a ona teraz dzwoni do niego i wcale nie zachowuje się jak zakładniczka. Zastanawia się, czy to pułapka i czy nie została zmuszona do wyrecytowania tego wszystkiego.

– Nic mi nie grozi – zapewnia Nessa. – Po prostu przyjeźdź do domu. Zaufaj mi, braciszku.

– Zawsze ci ufam – odpowiada natychmiast Callum.

– W takim razie do zobaczenia wkrótce.

– Kocham cię.

Nessa rozłącza się.

Ja z kolei zdążyłem już zadzwonić do funkcjonariusza Hernandeza. I wcale nie jestem z tego powodu, kurwa, szczęśliwy. Spotka się z nami niedaleko więzienia Cook Country.

Jesteśmy uzbrojeni w broń zabraną ze składziku z kryjówki. Marcel siedzi za kierownicą, a ja pokazuję Nessie, jak załadować Glocka, jak wprowadzić nabój do komory i upewnić się, że jest odbezpieczony. Pokazuję jej, jak celować i jak delikatnie naciskać spust.

– Tak? – pyta, ćwicząc z pustą komorą.

– Dobrze – oznajmiam. – Nie trzymaj go tak blisko twarzy, bo odrzut sprawi, że nim oberwiesz.

Nessa doskonale wszystko pamięta – w końcu to pewnego rodzaju choreografia. A potem kładzie sobie broń na kolanach i poważnie mi się przygląda.

– Nie chcę nikogo skrzywdzić – oznajmiam.

– Ja też tego nie chcę – odpowiadam. – To tak na wszelki wypadek. Jedziemy do La Villita Park i czekamy.

Po około czterdziestu minutach podjeżdża do nas radiowóz. Zza kierownicy wysiada zirytowany funkcjonariusz Hernandez. Rozgląda

się, chcąc się upewnić, że nikt go nie zobaczy, po czym otwiera tylne drzwi, aby Dante Gallo mógł wysiąść z auta.

Dante wciąż ma na sobie więzienny kombinezon, który wygląda jak jasnobrązowy fartuch lekarski z napisem *Cook Coutry DOC*²³ na plecach. Nie ma odpowiednich butów, tylko skarpetki oraz klapki. Kombinezon jest na niego nieco za mały, przez co Dante wygląda na jeszcze większego niż normalnie. Materiał ciasno opina jego ramiona, a kajdanki z pewnością uwierają go w nadgarstki. Ciemne włosy ma ogolone na jeża, a twarz pokrywa zarost.

Z trudem wychodzę z auta. Kiedy Dante mnie zauważa, jego czarne brwi opadają niczym gilotyna, a ramiona ściąga do przodu, jakby chciał mnie zaatakować. Jest tak do chwili, gdy Nessa staje między nami. Wtedy Dante wygląda tak, jakby właśnie zobaczył ducha.

– Nessa? – pyta.

– Nie wściekaj się – błaga go Nessa. – Wszyscy teraz jesteśmy po tej samej stronie.

Dante nie sprawia wrażenia kogoś, kto w to wierzy.

Hernandez jest spięty.

– Musiałem sfałszować dokumenty o przeniesieniu więźnia – syczy do mnie. – Zdajesz sobie sprawę, że wyląduję po pas w gównie? Nie mogę ci go ot tak przekazać, bo mnie zwolnią, a do tego jeszcze postawią zarzuty!

– Nie martw się – oznajmiam. – Możesz powiedzieć, że zostałeś do tego wszystkiego zmuszony.

– Jak, do cholery, mają w to uwierzyć?! – krzyczy Hernandez, podciągając znajdujące się poniżej krągłego brzucha spodnie. – Nigdy się na to nie zgodziłem, ja...

Przerywam tę jego tyradę, strzelając mu w nogę. Zawodząc i jęcząc, Hernandez pada na ziemię.

– Ałaaa, co do KURWY?! Ty pieprzony polski draniu...

– Zamknij pysk albo oberwiesz drugą kulę – mówię.

Przestaje krzyczeć, lecz nie przestaje jęczeć. Szlochając, zaciska palce na swoim udzie, mimo że celowałem w mięśnie i nie trafiłem

przy tym w żadną tętnicę czy kość. Naprawdę nie mógłby prosić o lepszy strzał.

– Rosjanie z połową moich ludzi ścigają Calluma Griffina – mówię, odwracając się do Dantego. – Pomożesz nam?

Dante patrzy na turlającego się po chodniku Hernandeza, a potem z powrotem kieruje wzrok w moją stronę.

– Prawdopodobnie tak – odpowiada. Unosi ręce, przez co łańcuch łączący obie obręcze kajdanek się napina. – Nie zapomnij o kluczykach.

Kiwam głową Marcelowi. Klęka przy Hernandezie, żeby odpiąć kluczyki od jego pasa.

– Lepiej uciskaj tę ranę – mówi do policjanta.

Wszyscy wsiadamy do auta. Marcel i Dante siadają z przodu, natomiast Klara, Nessa i ja zajmujemy miejsca z tyłu.

– Wygląda na wygodny – rzuca Marcel do Dantego, wskazując skinieniem głowy na kombinezon.

– Taaa – przytakuje Dante. – Ale jedzenie naprawdę jest chujowe.

Teraz jesteśmy gotowi jechać do domu Nessy nad jeziorem. Opuszczam swój świat i wkraczam do jej królestwa. Gdy tylko przekroczę próg domu Griffinów, nic ich nie powstrzyma przed zabiciem mnie.

Jednak to nie tego się boję.

Boję się, że stracę kontakt z Nessą.

Czy była ze mną tylko dlatego, bo ją więziłem?

A może wciąż będzie mnie chciała, mając na wyciągnięcie ręki każdą inną możliwość?

Jest tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

NESSA

Znam taką powieść, *Nie ma powrotu*. Opowiada o człowieku, który wyjeżdża na jakiś czas, a kiedy wraca, okazuje się, że zmieniło się tak wiele, że tak naprawdę nic już nie jest takie same, jak zapamiętał.

Oczywiście najbardziej zmienił się on sam.

Gdy widzę dom rodziców, jest to najbardziej znana i jednocześnie nieznana rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Znam jego strukturę jak własną kieszeń, ale wygląda teraz dla mnie na jaśniejszy, bardziej płaski i prostszy, niż zapamiętałam. To piękny dom – tylko po prostu nie jest tak upiornie okazały jak rezydencja Mikołaja.

Ta sama dziwność dopadła moich rodziców. Ubrani są jak zawsze, w drogie, dobrze dopasowane ciuchy. Mają również ładnie przycięte i ułożone włosy. Lecz wyglądają na starszych niż wcześniej. Wyglądają na zmęczonych.

To sprawia, że zaczynam płakać, kiedy mnie obejmują i przytulają mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Płaczę, bo tak bardzo za nimi tęskniłam. Płaczę również, bo tak się cieszą, że odzyskali córkę, choć nie wiedzą, że to nie całkiem prawda. Dostaną teraz inną Nessę – odmienioną.

Kiedy rodzice zauważają Mikołaja, wpadają we wściekłość. Ojciec krzyczy, a jego ludzie grożą, że zastrzelą Miko i Marcela. Mikołaj milczy i wcale się nie broni. Staję przed nim, krzycząc na ludzi, których kocham, których od dawna chciałam zobaczyć.

Następnie do kuchni wchodzi Callum z Aidą i przytulanie oraz płacz zaczynają się od nowa.

Mija dłuższa chwila i wszyscy uspokajamy się na tyle, aby móc racjonalnie porozmawiać.

Mój ojciec, krzyżując ramiona na piersi, opiera się o kuchenną wyspę. Posyła Mikołajowi zabójcze spojrzenie, bo jest zbyt wściekły, aby mówić. Mama nalewa chętnym drinki. Widzę, jak ręka jej drży, gdy próbuje wlać whisky do każdej ze szklanek.

Najbliżej Mikołaja siedzi Cal, znajdują się naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Też jest wkurzony, ale słucha uważnie, gdy Mikołaj krótko i bez emocji wyjaśnia, jak wygląda obecna sytuacja z Bratwą i Braterstwem, które opowiedziało się po stronie Jonasza.

To zabawne – zwykle to ojciec siadał na tamtym krześle. Cal, krok po kroku, zajmuje jego miejsce. Wiedziałam, że kiedyś to zrobi, ale widząc, jak to się dzieje, uświadamiam sobie, że wszyscy dorastamy. Wszystko się zmienia.

Przez ten czas dołączyli do nas także Nero oraz Sebastian. Wszyscy trzej bracia siedzą na stołkach barowych obok Aidy, zajmując miejsca od najmłodszego do najstarszego.

Po jej prawej siedzi Sebastian. To najmłodszy i najwyższy z braci. Ma miękkie, kręcone, ciemne włosy i delikatne rysy twarzy. Grał w koszykówkę, dopóki Jack Du Pont nie zmiotł mu kolana – to jedna z ostatnich brzydkich sytuacji, jakie miały miejsce w trakcie konfliktu między naszymi rodzinami. Cały czas trochę kuleje, chociaż Aida mówiła mi, że jest z nim coraz lepiej. Jestem zaskoczona, widząc go tutaj. Uczęszczając do college'u, zazwyczaj spędza czas na kampusie i nie interesuje się tą stroną rodzinnego biznesu. To, że tu jest, pokazuje powagę sytuacji.

Obok niego siedzi Nero Gallo. Można powiedzieć, że jest najprzystojniejszym z jej braci – o ile diabeł może być przystojny, bo szczerze mówiąc, Nero mnie przeraża. Wszystko przez dzikość i gwałtowność, z której słynie. W dodatku szyderczy uśmiech zawsze wykrzywia jego pełne usta. To uosobienie chaosu. Nigdy nie czuję się komfortowo w jego towarzystwie, bo nie wiem, co zrobi lub powie.

Kolejny jest, najstarszy z rodzeństwa, Dante. To jedyna osoba, która potrafi utrzymać pozostałych w ryzach. Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałam, żeby wypowiedział dziesięć słów z rzędu. Jego wygląd przytłacza, bo jest wielki jak góra i wydaje się straszny. W przeciwieństwie do Sebastiana – w którym kochała się połowa dziewczyn ze szkoły – oraz Nero – którego bawi uwodzenie płci

przeciwnej – nigdy nie widziałam Dantego z kobietą. Aida mówiła mi, że dawno temu był zakochany, ale tamta dziewczyna złamała mu serce.

Moja przyjaciółka Aida. To jedyna osoba, która wcale się nie zmieniła. Teraz, też jako jedyna, uśmiecha się. Cieszy się, że wróciłam. W przeciwieństwie do pozostałych, którzy zdają się chcieć zamordować Mikołaja, patrzy na niego z zaciekawieniem. Jej bystre szare oczy analizują każdy szczegół jego postaci, począwszy od tatuaży, przez zabandażowane ramiona i po zrezygnowany wyraz twarzy.

Mikołaj bardziej niż ktokolwiek inny zdaje się nie pasować do domu moich rodziców. Powinien być w swojej mrocznej, gotyckiej rezydencji. Pewnie w tej jasnej czystej przestrzeni czuje się jak wyrzutek.

Wszyscy kłócą się na temat tego, co powinniśmy zrobić z Jonaszem i Kristoffem.

Dante chce już przejść do ofensywy i zaatakować Rosjan.

– Możemy rozbić ich siły – oznajmia. – Nie chcemy jednocześnie walczyć z Braterstwem oraz Bratwą.

Mój ojciec uważa, że powinniśmy poczekać i uzyskać informacje, aby wiedzieć, co oni knują.

– Jeśli to, co mówi Mikołaj jest prawdą, to już połączyli swe siły – stwierdza ojciec z miną, która oznacza, że wcale nie bierze szczerości Mikołaja za pewnik.

– Taaa – mówi Nero. – Tyle że już potrząsaliśmy tym drzewem i nie spadło nam ani jedno pieprzone jabłko. Skoro po miesiącu poszukiwań nie zdołaliśmy odnaleźć Nessy, to ile dekad zajmie nam znalezienie dobrego źródła?

Podczas gdy wszyscy się sprzeczą, Aida i Callum mamrocą do siebie. W czasie przerwy w dyskusji Aida zwraca się do Mikołaja:

– I twoi ludzie mają cię za trupa?

– Tak. – Miko kiwa głową.

– To jedyna przewaga, jaką mamy – stwierdza Aida.

– Planują mnie zaatakować podczas otwarcia biblioteki? – pyta Callum.

– Tak.

– Więc powinniśmy im na to pozwolić – stwierdza.

Nikomu się ten pomysł nie podoba, a już najmniej mojemu ojcu.

– Musisz to odwołać i gdzieś się ukryć – oznajmia.

– Rosjanie dobrze sobie radzą z zabijaniem – mówi Callum. – Nie można uniknąć każdego przejeżdżającego obok samochodu pułapki albo kręcącego się w tłumie strzelca. Powinniśmy udawać, że o niczym nie wiemy i wyciągnąć ich z ukrycia.

Aida jest niezadowolona z tego pomysłu, ale tylko zaciska usta i nie sprzecza się z Calem – przynajmniej nie w obecności wszystkich.

– Chyba mam pomysł – mówi Marcel po kolejnej pełnej zamyślenia przerwie.

Wszyscy odwracają się, aby na niego spojrzeć, bo odezwał się po raz pierwszy, odkąd tu jesteśmy. Obok niego siedzi Klara, jest tak blisko, że już bliżej się nie da.

Do tej pory nie powiedziałam swojej rodzinie o tym, że to Marcel zabił Jacka Du Ponta. Wśród zgromadzonych już i tak kłębi się zbyt wiele urazy, więc lepiej nie pogarszać atmosfery, która i tak jest kiepska.

– Jaki masz pomysł? – pyta podejrzliwie Nero Gallo.

– Cóż... – Przyjaciół Miko zerka na Dantego. – Nie wiem, czy wam się to spodoba...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

MIKO

Jest trzecia rano. Jadę do Jungle. Po mojej prawej, na siedzeniu pasażera, siedzi Nero Gallo. Sebastian zajmuje miejsce z tyłu. Aida chce z nami jechać, lecz Dante nie wyraża na to zgody.

– Jestem lepszym strzelcem niż Seb – stwierdza.

– Gównu mnie to obchodzi – odpowiada bez ogródek Dante. – Nie będziesz uczestniczyła w strzelaninie.

– Bo jestem dziewczyną? – pyta wściekle.

– Nie – odpowiada. – Bo jesteś ulubienicą papy. To go zabije, jeśli coś ci się stanie.

– Pozwól im jechać – powiedział łagodnie Callum, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Musimy zająć się własnymi planami.

Urażona Aida potrząsnęła głową, lecz już więcej się nie sprzecza.

Podczas podróży do klubu, Nero patrzy na mnie zamiast na drogę.

– Jeśli wydasz mojego brata, to pierwsza kula, jaka wyleci z mojej broni, trafi cię prosto między oczy – stwierdza.

– Gdybym chciał go zabić, mógłbym to zrobić dzisiejszego popołudnia – odpowiadam.

– Mogłeś próbować – szydzi Nero. – Dantego nie można tak łatwo zabić.

– Mnie też nie – odpowiadam, śmiejąc się krótko. Co jak co, ale dzisiaj to udowodniłem.

Zajeżdżamy na tyły Jungle.

Klub jest zamknięty, a wszystkie światła na zewnątrz są wyłączone. Mimo to na tylnym parkingu stoi zaparkowanych kilkanaście aut. Jestem „martwy” przez niecałą dobę, a Jonasz już czuje się w moim klubie jak u siebie.

W zasadzie to czuję się żywy tylko w połowie. Może i opatrzone moje rany, ale czuję się wciąż cały obolały i zeszywniały. Zdaję sobie sprawę z tego, że przez to nie będę tak szybki jak wcześniej. Wystarczy jeden porządny cios w bebechy, tam gdzie Franciszek wbił swój nóż, a wracam do punktu wyjścia.

Niestety nie mam czasu na powrót do zdrowia.

Marcel zadzwonił do Jonasza jeszcze z kuchni Griffinów, udając, że chce się pogodzić. Tamten odebrał już po jednym sygnale:

– Marcel – powiedział pewnym siebie, szyderczym tonem. – Masz wątpliwości, czy znalazłeś się po właściwej stronie?

– Nie stanąłem po stronie Mikołaja – odpowiedział chłodno Marcel. – Mam w dupie tego zdrajcę. Ale wnerwia mnie, gdy ktoś próbuje położyć swoje łapska na Klarze.

– Wtrąciła się w nasze sprawy – stwierdził Jonasz.

– Gównu mnie obchodzi, czy strzeliła papieżowi prosto w twarz – warknął Marcel do telefonu. – Od teraz Klara jest moja, rozumiesz?

Spojrzał na Klarę. Ich spojrzenia się spotkały. Przepływ energii, który przeskoczył między nimi był namacalny.

– Dobrze, w porządku. Nie chcę jej skrzywdzić. W końcu to moja kuzynka – oznajmił wspaniałomyślnie Jonasz. – Ale zastrzeżesz Szymona. A to problem.

– Mam coś na zgodę – powiedział Marcel. – Dantego Gallo. Pomyślałem, że może będziesz chciał obedrzeć go żywcem ze skóry, zanim wbijesz mu nóż w serce.

– Masz Dantego Gallo?

– Siedzi teraz w moim bagażniku – odpowiedział Marcel. – Przewozili go dzisiejszego popołudnia i go przechwyciłem. Postrzeliłem gliniarza i zabrałem mu więźnia. Zamierzałem wrzucić go w kajdankach do rzeki dla Zająca. Ale pomyślałem, że ty chciałbyś czynić honory.

– To bardzo hojne – odpowiedział Jonasz tonem króla przyjmującego daninę od wasala.

– Gdzie mam go przywieźć? – zapytał Marcel.

W ten sposób dokładnie wiemy, gdzie dzisiejszej nocy Jonasz będzie przebywać. Bycie bossem nie sprawiło, że stał się bardziej

starannym człowiekiem. Jest leniwy i zbyt pewny siebie.

Marcel jako pierwszy wchodzi do Jungle. Przekracza próg, ciągnąc za sobą Dantego Gallo, który zgodził się, abyśmy znowu skuli mu nadgarstki i założyli worek na głowę.

Jego braciom wcale to się nie podobało.

– Tak właśnie musi być – rzucił ostro Marcel. – Jonasz nie jest skończonym kretynem.

Gdy Marcel maszeruje przodem, ja i Nero wkradamy się do środka tylnymi drzwiami. Jonasz nie zmienił zamków. Bo i po co miałyby to robić? Przecież drugi komplet kluczy ma „duch”.

Sebastian zostaje na zewnątrz. Ma być naszą czujką.

Przemykamy się z Nero przez drzwi znajdujące się z tyłu biura i mijamy magazyn. Rozdzieliliśmy się, on flankuje z lewej, a ja z prawej.

Po wejściu do głównej sali klubu, zauważam swoich ludzi, rozstawionych między boksami. Wszyscy częstują się trunkami z najwyższej półki. W sumie jest tu około piętnastu żołnierzy. Z tej piętnastki wiem, że na pewno zdradziło mnie trzech: Jędrzej, Franciszek oraz Jonasz.

Zdradził mnie jeszcze Szymon, ale on już nie żyje i się nie liczy.

Nie jestem pewny, komu pozostali są wierni.

Wiem tylko, że cieszą się z hojności swojego nowego przywódcy. Aleksey i Jędrzej wyglądają na wstawionych, z kolei Olie jest na najlepszej drodze do bycia narąbanym. Nikt nie stoi na warcie. Nikt nie zachowuje trzeźwości. To błąd, bardzo duży błąd.

Jonasz wali Redbreasta prosto w butelki. Jego zaczesane do tyłu włosy są w nieładzie, a oczy ma czerwone jak królik. Ryczy z radości, widząc Marcela, który popycha Dantego Gallo na środek pomieszczenia.

– Tu jesteś, bracie mój! I to z jakim prezentem!

Marcel ściąga worek z głowy Dantego. On natomiast ze stoickim spokojem omiata wzrokiem całą grupę i nawet się nie wzdryga, gdy wszyscy z niego szydzą.

– Oto człowiek, który zastrzelił Zająca! – krzyczy Jonasz. – Robi to z dystansu. Jak pieprzony tchórz.

Mówi po angielsku, więc zarówno chłopaki, jak i sam Dante, wszystko rozumieją. Jonasz podchodzi do Gallo i w końcu stają ze sobą twarzą w twarz. Jego oddech to przesycone whisky opary. Są teraz tak blisko, że Dante z pewnością to czuje. Obaj są krzepkimi mężczyznami. Jonasz ma miękkie cielsko niedźwiedzia, Gallo z kolei jest zbity jak dorosły wół. Jego skute kajdankami ręce napinają się, przez co wygląda, jakby miał rozwalić stal i to bez większego wysiłku.

– Rozkuj mnie, a zobaczmy, kto jest tchórzem – oznajmia Dante. Mówi neutralnym, spokojnym tonem.

– Mam lepszy pomysł – oznajmia Jonasz. – Zabiłeś Rzeźnika. Więc zabiję cię w taki sposób, jak zrobiłby to Rzeźnik... kawałeczek po kawałeczku. Odetnę ci uszy, nos, palce oraz stopy. Rozłożę cię na kawałki, będę odcinać po pół kilograma naraz. A wtedy, gdy już będziesz ślepą, niezdolną do wydania żadnych dźwięków krwawą bryłą... dopiero wtedy pozwolę ci umrzeć.

Czarne oczy Jonasza błyszczą. Jego uśmiech jest bardziej niż okrutny – jest niemal obłąkańczy. Władza w sposób widoczny uderza mu do głowy, potęgując wszystkie jego najgorsze cechy.

Potomek Zająca wyciąga zza pasa nóż – ten sam, którym dźgnął mnie dzisiaj rano. Klinga lśni w przyćmionym świetle. Przynajmniej zmył z niej moją krew...

Słyszę dobiegający z lewej strony szelest. To Nero Gallo – napina mięśnie i jest w stanie gotowości do działania. Nie zamierza siedzieć spokojnie, gdy jego brat będzie cierpieł.

Ja też nie.

– Co o tym myślicie?! – woła Jonasz do swoich ludzi. – Którą część Dantego Gallo powinienem najpierw odciąć?

– Powinieneś skończyć jedno, zanim zabierzesz się za drugie – mówię, wychodząc z ukrycia.

Słyszę, że wśród moich ludzi panuje poruszenie. Widzę, jak pośpiesznie zerkają to na Jonasza, to na mnie. Ci najbardziej pijani wyglądają na zbitych z tropu, zupełnie jakby mieli omamy wzrokowe.

Tymczasem mój zdradziecki brat odwraca się do mnie, a na jego twarzy widać szok wymieszany z irytacją.

- Mikołaj – warczy.
- We własnej osobie.
- Albo w tym, co z ciebie zostało – drwi. – Nie wyglądasz za dobrze, bracie.
- I tak jestem o wiele lepszym bossem niż ty kiedykolwiek będziesz, Jonaszu – stwierdzam.

Oczy ciemnieją mu z gniewu. Obraca nożem w dłoni tak, że teraz trzyma go ostrzem w dół. Nóż przestaje być już tylko narzędziem, staje się bronią.

- Wcale nie jesteś bossem – mówi.
 - Bossem jest się aż do śmierci – przypominam. – A ja wciąż żyję.
- Wśród moich ludzi panuje spore poruszenie. Widzę jak Olie, Patryk i Bruno rozmawiają z pozostałymi, mamrocząc. Wyglądają na najbardziej zaskoczonych faktem, że żyję. Są również najbardziej niezadowoleni z bajeczki, którą im wciśnięto. Pozostali są mniej przekonani.

Muszę położyć kres ich niepewności.

Unoszę rękę, sygnalizując Nero, żeby został tam, gdzie jest.

Jeśli zaczniemy z Marcelem i Nero strzelać, to prawdopodobnie moi ludzie opowiedzą się po stronie Jonasza. Wiem jednak, że wrócą do mnie, jeśli ich odpowiednio przycisnę. Wszyscy moglibyśmy wyjść wtedy z tego cało. No, przynajmniej większość z nas.

- Zdradziłeś nas – cedzi Jonasz przez zęby.
- Zabawne. Mówi to człowiek, który dźgnął mnie w plecy – stwierdzam.
- Wybrałeś tę irlandzką dziwkę zamiast nas – syczy Jędrzej.
- Zawieram sojusz z Irlandczykami i Włochami – oznajmiam obu.
- Chcesz, żebyśmy lizali im buty – mówi Jonasz.
- Chcę, żebyśmy się razem wzbogacili – poprawiam go. – Chcę, aby wszyscy siedzieli w maserati, a nie w trumnach.
- Pierdolenie! – krzyczy Jonasz, a z jego ust pryskają kropelki śliny. – Powie wszystko, żeby ocalić swoją skórę i ochronić tę małą sukę. Ma nas w dupie. W dupie ma też Zająca! Oni zabili naszego ojca! Zając zasługuje na zemstę!
- Odebrałem im Nessę – oznajmiam. – Wypuszczenie jej jest lepsze niż zabicie. Lepiej podzielić się władzą z Irlandczykami, niż

współdzielić mauzoleum z Zającem.

– Gadka godna roztrzęsionego kundla – spluwa Jonasz.

– Myślisz, że się boję? – pytam. – Myślisz, że lepiej ode mnie pokierujesz ludźmi? Udowodnij to, Jonaszu. Tylko nie w proporcji czterech na jednego. Udowodnij to, stając do walki sam na sam. Człowiek przeciwko człowiekowi. Boss przeciwko bossowi.

Jonasz uśmiecha się, a jego czarne oczy błyszczą szaleńczo. Mocniej zaciska palce na rękojeści noża. Nie sądzę, by wczoraj poszedł na coś takiego. Wczoraj był ze mnie o wiele lepszy wojownik. Dzisiaj ledwo żyję.

Jonasz zdaje sobie sprawę z tego, że jestem ranny. Wie, że ma przewagę.

– Skoro tego chcesz, bracie – rzuca.

Krążymy wokół siebie po otwartej przestrzeni klubu, po której zazwyczaj tańczą goście. Jedynymi światłami są te zielone, rzucające cienie przypominające wysoką trawę oraz liście. Stoimy wśród nich z Jonaszem niczym drapieżniki, które przymierzają się do walki. Jesteśmy jak dwa wilki walczące o kontrolę nad stadem.

W bójce na pięści Jonasz może mieć przewagę, bo jest ode mnie cięższy. Walcząc na noże, zazwyczaj okazuje się, że jestem szybszy. Tym razem jednak moja forma pozostawia wiele do życzenia i to spory problem. Moja prawa ręka wydaje mi się naprawdę ciężka, a moje ciało jest wyczerpane. Staram się nie okazywać, że odniosłem takie rany, ale mam świadomość tego, że nie poruszam się tak płynnie jak zazwyczaj. Jonasz uśmiecha się, wężąc krew.

Ciągle krążymy, aż w końcu mój przeciwnik decyduje się na kilka manewrów mających mnie zmylić. Praca nóg to kluczowy element walki na noże. Należy utrzymać odpowiedni dystans z przeciwnikiem. To trudne, bo Jonasz ma nieco większy zasięg niż ja.

Wyobraźcie sobie dwóch walczących na ringu bokserów. Potem pomyślcie o tym, ile razy Muhammad Ali oberwał, mimo że jest najlepszy na świecie, jeśli chodzi o unikanie ciosów. Podczas walki na noże człowiek nie może sobie pozwolić, aby przyjąć tyle razów od przeciwnika.

Dlatego zachowuję między nami sporą odległość. Jonasz cały czas próbuje zmniejszyć dzielącą nas przestrzeń, celując ostrzem noża w moją twarz i korpus. Udaje mi się unikać jego ciosów, chociaż muszę szarpać całym swoim ciałem, aby tego dokonać. Robię to ostatkiem sił. Czuję rozchodzące się na plecach oraz brzuchu szwy.

Nie chcę wypatroszyć mojego przeciwnika. Zamiast w brzuch, celuję w coś zupełnie innego – w rękę z nożem.

Jonasz atakuje po raz kolejny. Tym razem jestem zbyt wolny. Jego ostrze otwiera długą ranę na moim lewym przedramieniu. Krew z niej zaczyna spływać na parkiet. Teraz muszę na nią uważać, bo inaczej się poślizgnę.

– Daj spokój – mruczy Jonasz. – Przestań bawić się w uniki. Chodź tu i walcz ze mną, suko.

Udaję, że zdołał uśpić moją czujność. Jonasz robi kolejny ruch i tnie mnie nożem w twarz. Uchylam się, lecz i tym razem robię to za wolno. Czuję piekącą ranę na prawym policzku. Ale podszedł bliżej. Tnę go w grzbiet ręki, w której trzyma nóż, rozcinając mięśnie oraz ścięgna. Nazywamy ten manewr „obezwładnieniem węża”. Efekt jest natychmiastowy – nie może już niczego chwycić. Nóż wypada z jego palców. Łapię go w locie i teraz jestem uzbrojony w dwa ostrza.

Jonasz cofa się, lecz jego stopy ślizgają się na krwi. Pada ciężko na podłogę, a ja wskakuję na niego w pełnej gotowości, aby poderżnąć mu gardło.

Jędrzej i Franciszek wiedzą co się stanie, jeśli Jonasz zginie. Ruszają naprzód, aby pomóc swojemu upadłemu przywódcy.

Dante Gallo przechwytuje Franciszka. Splata palce skutych kajdankami dłoni i, używając ich jak obucha, uderza zdrajcę od dołu w brodę. Głowa Franciszka odskakuje w tył. Siła uderzenia sprawia, że mężczyzna nie dość, że wraca skąd przyszedł, to jeszcze wpada na jeden z pustych boksów.

Jędrzej wciąż biegnie w moim kierunku, wyciągając spod płaszcza broń. Przytrzymuję Jonasz. Unieruchamiam go, wbijając mu nóż w ramię, jest teraz jak owad wbity na szpilkę. Drugie ostrze wciąż trzymam przy jego gardle. Muszę go zostawić. Zrywam się na równe nogi, aby stanąć naprzeciw drugiego zdrajcy.

Nim udaje mi się to zrobić, rozlega się huk wystrzału.

Jędrzej gwałtownie się zatrzymuje. Broń wypada mu z bezwładnej ręki. Następnie opada na kolana i przewraca się na podłogę.

Odwracam się w stronę kryjówki Nero Gallo, zakładając, że to on był strzelcem. Jednak Nero stoi przy barze, ma otwarte z niedowierzania usta i równie oszołomioną minę jak ja.

Odwracam się więc w drugą stronę, ku drzwiom frontowym.

Sebastian Gallo opuszcza broń. Strzelił z drugiego końca sali i trafił Jędrzeja w tył głowy. Wydaje mi się, że Aida była w błędzie, co do oceny jego zdolności snajperskich.

Reszta moich ludzi zamiera w miejscu, bo nie są pewni, co powinni zrobić. Nie wiedzą, co się dzieje. Nie wiedzą, że nie ma tu miejsca na żaden precedens.

A ja wiem, że jedno jest pewne:

Boss może być tylko jeden.

Znajdujący się pode mną Jonasz szarpie się i spluwa. Jedną rękę ma bezużyteczną przez tkwiący w ramieniu nóż, lecz ciągle próbuje zamachnąć się drugą i uderzyć mnie w każdą część ciała, której może dosięgnąć.

– To ja powinienem być bossem – wypluwa każde słowo. – To było moje prawo krwi...

– W niczym nie przypominasz Zająca – oznajmiam. – Nie masz jego inteligencji ani honoru.

– Idź do diabła! – wyje, wijąc się i rzucając.

– Spotkamy się tam, bracie – mówię.

Podrzynam mu gardło od ucha od ucha.

Krew błyskawicznie wypływa z rany i zalewa moją dłoń. Wycieram ją o koszulę Jonasza, chwilę później robię to samo z nożem.

Następnie wstaję, starając się nie skrzywić.

Czuję bolesne pulsowanie twarzy oraz ramienia. Krew wsiąka mi w przód koszuli, w miejscach, gdzie rozeszły się szwy. Mimo wszystko stoję prosto. Nie mogę pozwolić, aby moi ludzie widzieli moją słabość.

Wszyscy wpatrują się we mnie. Są zszokowani i czują się winni. Nie wiedzą, jak mają zareagować.

Marcel jako pierwszy postanawia działać. Podchodzi do mnie i klęka.

– Dobrze, że wróciłeś, Miko – oznajmia.

Olie i Bruno idą w jego ślady i klękają przede mną, a rozlewająca się po podłodze krew Jonasza wsiąka w nogawki ich spodni.

– Wybacz mi, szefie – mówi Bruno. – Mówili mi, że nie żyjesz.

Reszta moich żołnierzy również podbiega, aby paść na jedno kolano. To pozycja wyrażająca pokutę. Zaakceptują każdą karę, jaką zechcę im wymierzyć.

Odciałbym każdemu po palcu, gdybym był Zającem.

Ale nim nie jestem. Winni już zostali ukarani.

– Rozkuj Dantego – mówię do Marcela.

Zdejmuje kajdanki z jego nadgarstków. Teraz on, Nero i Sebastian stoją ramię w ramię na skraju parkietu. Moi ludzie ostrożnie się im przyglądają, niektórzy z nich wciąż są wściekli.

– Nasza waśń z Włochami dobiegła końca – informuję swoich ludzi. – Sprawa z Irlandczykami ma się identycznie.

– A co z Zającem? – pyta cicho Olie.

– Postawię pomnik na jego grobie – oznajmia Dante Gallo swym dudniącym głosem. – Aby uhonorować przyjaźń między naszymi rodzinami.

Olie kiwa głową.

– Wstawać – rozkazuję pozostałym. – Posprzątajcie ten bałagan. Rozerwaliście się, a teraz pora wrócić do roboty.

W czasie, gdy moi ludzie zaczynają sprzątać klub, idę z trzema Gallo do swojego biura.

– Co to, kurwa, był za strzał? – pyta Sebastiana Nero.

Ten wzrusza tylko ramionami.

– Mówiłem ci – odpowiada bratu. – To ja jestem rodzinnym sportowcem. Mam najlepszy refleks ze wszystkich.

– Akurat – prycha szydząco Nero. – Nie mogłem oddać strzału pod odpowiednim kątem.

Dante kładzie ciężką dłoń na ramieniu Sebastiana.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak. – Sebastian wzrusza tylko ramionami.

Ma zatroskaną minę. Domyślam się, że to był pierwszy człowiek, jakiego zabił.

Mnie również to się nie podoba. Znałem Jędrzeja od sześciu lat. Mieszkał w moim domu, graliśmy razem w bilard i *czaturangę*²⁴. Jedliśmy przy tym samym stole. Śmialiśmy się z tych samych dowcipów.

Lecz w naszym świecie albo jesteście braćmi, albo wrogami. Nie ma niczego pomiędzy.

Po tym, jak dotarłem do mojego biura, dzwonię do Koli Kristoffa. Po kilku sygnałach odbiera telefon. Jego głos jest rozespany i zachrypnięty, ale umysł, mimo wszystko, jak zawsze działa na najwyższych obrotach.

– Nie spodziewałem się zobaczyć nazwiska trupa na wyświetlaczu – rzuca.

– Odebrałeś, żeby przekonać się, jak to jest po drugiej stronie?

– Oświeć mnie – śmieje się.

– Musiałbyś zapytać Jonasza.

– Ach – wzdycha. – Jego rządy nie trwały zbyt długo.

– Zawarłem pokój z Griffinami i Gallo.

– A więc mała Nessa Griffin założyła ci obrożę na szyję – chichocze cicho.

Nie zamierzam łapać rzuconej przynęty.

– Nasza umowa już nie obowiązuje – informuję.

– Jedna strona nie może rozwiązać umowy zawartej przez dwie strony – stwierdza Kristoff.

– Rób, co chcesz – oznajmiam. – Wiedz tylko, że Griffinowie się ciebie spodziewają. Zostaniecie zaszlachtowani, jeśli spróbujecie porwać Calluma i Aidę.

– Zobaczymy – mówi Kristoff.

Odkłada słuchawkę.

Patrzę na braci Gallo.

– Zarozumiały gnojek, co nie? – rzuca Nero.

Dante krzywi się i mówi:

– Będę czekać w bibliotece. Jeśli Kristoff jest na tyle głupi, aby się tam pojawić to zdmuchnę go jak świeczkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIELSTY

NESSA

Mikołaj wraca do domu rodziców wcześnie rano. Na ramieniu i prawym policzku ma świeże cięcia. Ciemne plamy na koszuli, które są widoczne z przodu i z tyłu, świadczą o tym, że jego wcześniejsze rany znowu się otworzyły. Wybiegam na podwórkę, żeby się z nim spotkać. Nigdy nie widziałam go tak bladego. Prawie wpada mi w ramiona, opadając z sił.

– O mój Boże! – wołam, obejmując jego twarz. – Co się stało? Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiada. – Nic mi nie jest.

Przyciskam swoje czoło do jego, a następnie całuję go, upewniając się, że wciąż oddycha, że pachnie i smakuje tak samo jak wcześniej.

Bierze mnie w swoje ramiona i czuję na piersi bicie jego serca. Wtula twarz w moje ucho.

– Nessa! – Przerywa nam ostry krzyk matki.

Puszczam Mikołaja.

Matka stoi w drzwiach i wpatruje się w nas z przerażoną miną.

– Włazić do domu – syczy.

Długo utrwalany nawyk posłuszeństwa sprawia, że wracam do kuchni. Moi rodzice stoją obok siebie ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, a na ich twarzach malują się nieprzyjemne miny.

Mikołaj idzie za mną.

Towarzyszą mu bracia Gallo oraz Marcel.

Klara podbiega do Marcela, gdy tylko go dostrzeży i składa na jego ustach pocałunek, zupełnie tak, jak ja całowałam swojego ukochanego. Zaskoczony Marcel podnosi ją i odwzajemnia jej gest, wpijając się w jej usta jeszcze mocniej, po czym odstawia ją na podłogę.

Chciałabym uczcić, że sytuacja między nimi się rozwija, lecz niestety muszę skupić się na swoich wściekłych rodzicach.

– Koniec z tym – oznajmia surowo ojciec, wskazując to na mnie, to na Mikołaja.

– Cokolwiek jej zrobiłeś! – krzyczy matka do Miko. – Jakkolwiek namieszałeś jej w głowie...

– Kocham go – oznajmiam.

Rodzice patrzą na mnie oniemiałi i zniesmaczeni.

– To niedorzeczne – stwierdza matka. – Nesso, on cię porwał. Tygodniami trzymał cię w niewoli. Czy ty wiesz, przez co przechodziliśmy, nie wiedząc, czy żyjesz?

Odwraca zalaną łzami twarz w stronę Mikołaja. Jej niebieskie oczy wypełnia wściekłość.

– Odebrałeś nam córkę – syczy. – Powinnam cię wykastrować.

– Uratował mi życie – informuję ich. – Wszyscy chcieli mnie zabić. Rosjanie, jego ludzie... ryzykował dla mnie wszystkim.

– Tylko dlatego, że porwał cię jako pierwszy! – krzyczy matka.

– Nie znasz tego typu ludzi – zwraca się do mnie ojciec. – Są brutalni. Okrutni. To zabójcy.

– Przestępcy? – mówię, niemal śmiejąc się z tej ironii. – Tato... Wiem, jacy są ludzie mafii.

– On nie jest taki jak my – warczy ojciec.

– Nie wiesz, jaki jest! – odgryzam się.

– Ty też tego nie wiesz! – krzyczy matka. – Nesso, on tobą manipulował. Jesteś jeszcze dzieckiem! Nie wiesz, co mówisz...

– Nie jestem dzieckiem! – odkrzykuję. – Może nim byłam, kiedy mnie porwał, jednak już nim nie jestem.

– Chcesz powiedzieć, że pragniesz być z tym zwierzęciem? – pyta ojciec tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Tak – odpowiadam.

– Wykluczone! – krzyczy. – Najpierw zabiję go gołymi rękami.

– Wybór nie należy do was – informuję ich.

– Do diabła, oczywiście, że tak – mówi ojciec.

– I co, dacie mi szlaban? – śmieję się gorzko. – Nie możecie trzymać mnie od niego z daleka, o ile nie chcecie, żebym znowu znalazła się pod kluczem.

– Nesso – mówi Mikołaj. – Twoi rodzice mają rację.

Dotknięta i oburzona obracam się na pięcie.

– Nie, nie mają! – krzyczę.

Aby mnie uspokoić, mężczyzna delikatnie bierze mnie za rękę. Ściska moje palce, a jego dłoń jak zawsze jest ciepła i silna.

Potem odwraca się, aby stanąć twarzą w twarz z moimi rodzicami. Jest opanowany i zdecydowany.

– Przepraszam za ból, jaki wam zadałem – oznajmia. – Kocham Nesselę i wiem, że trudno wam to zrozumieć. Kocham ją bardziej niż własną duszę. Nigdy bym jej nie skrzywdził. A to dotyczy również oderwania jej od jej rodziny.

– Miko...

Ściska moją dłoń w milczeniu, prosząc mnie o cierpliwość.

– Przywiozłem ją z powrotem do waszego domu. Proszę was jedynie o zgodę na dalsze spotkanie się z nią. Pragnę się z nią ożenić. Ale macie rację, jest jeszcze młoda. Mogę poczekać. Będziecie mieli mnóstwo czasu, aby mnie poznać. Abyście zobaczyli, że już zawsze będę pielęgnować i ochraniać waszą córkę.

Jest tak wyczerpany, że mówi nienaturalnie chrapliwym głosem. Mimo to jego szczerości nie da się podważyć. Nawet moi rodzice to słyszą. Nie chcą tego, ale ich gniew zaczyna gasnąć. Wymieniają niespokojne spojrzenia.

– Zostanie z nami – postanawia matka.

– I widujesz się z nią tutaj – dodaje ojciec.

– Zgoda – przytakuje Mikołaj, kiwając przy tym głową.

Nie do końca tego chciałam. Rozumiem, że stara się to zrobić dla mnie, abym miała kontakt ze swoją rodziną. Poza tym daje mi czas, żebym trochę dorosła. Abym nabrała pewności, czego naprawdę chcę.

Tyle że ja już doskonale znam swoje pragnienia.

Pragnę Mikołaja. Chcę wrócić do domu, w którym każdy dzień z nim jest jak sen – bardziej rzeczywisty niż sama rzeczywistość. Chcę wrócić do domu ukochanego mężczyzny. Do naszego domu.

W ciągu następnych tygodni przyzwyczajam się do dawnej rutyny, która teraz stała się mi obca, a także tworzę nową. Śpię w swojej sypialni w rodzinnym domu, ale ona nie wygląda już tak jak kiedyś. Pozbyłam się pluszaków, wóchatych poduszek i różowych zasłon. Teraz mój pokój jest o wiele prostszy.

Nie wróciłam do Loyoli. Opuściłam w tym semestrze zbyt wiele zajęć i zdałam sobie sprawę, że mam to gdzieś. Studiowałam tylko po to, aby uszczęśliwić rodziców. Tak naprawdę to interesuje mnie coś zupełnie innego.

Zamiast tego codziennie jeżdżę do Lake City Ballet. Prawie skończyłam swoje *magnus opus*²⁵. Godzinami pracuję w otwartych studiach, czasami tańczę sama, a czasami z innymi tancerzami. Marnie projektuje dla mnie scenografię, a Serena będzie grać jedną z drugoplanowych postaci. Główna rola należy do mnie. Nie dlatego, że jestem technicznie najlepsza, lecz dlatego, że ten balet to coś tak osobistego, że nie zdzierzyłabym tego, gdyby tańczył to ktoś inny.

Jackson Wright – co było niezwykle – tak bardzo mnie wspierał, że prawie obawiałam się, że został porwany przez kosmitów i podmieniono go na jakiegoś klona. Gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, ręka w gipsie zwisała mu na temblaku i tak bardzo chciał mnie przywitać, że prawie potknął się o własne stopy. Nie wyglądał tak elegancko jak zazwyczaj – włosy miał w nieładzie i zachowywał się strasznie nerwowo. Płoszył się za każdym razem, gdy ktoś klepnął go w ramię lub trzasnął drzwiami.

Oczywiście sponsorował mój balet, bo musiał to zrobić. Ale wydaje mi się, że wraz z upływem czasu naprawdę zaczął fascynować się tym projektem. Dobrowolnie zaproponował, że go wyreżyseruje i udzielił mi naprawdę przydatnych rad. Po próbie odciąga mnie na bok i mówi:

– Nesso, nie mogę uwierzyć, że to twoje dzieło. Zawsze uważałem cię za zwykłą nutę. Ładną nutę, lecz niewystarczającą, aby mogła stanowić całą piosenkę.

Parskam. Jakson nie byłby sobą, gdyby komplementu nie podsztył obelgą.

– Dzięki, Jacksonie – mówię. – Bardzo mi pomogłeś. Chyba koniec końców nie jesteś skończonym dupkiem.

Krzywi się, przełykając ripostę, która najwyraźniej ciśnie mu się na usta.

Mikołaj przychodzi do mnie niemal każdego wieczora. Spacerujemy wzdłuż jeziora. Opowiada mi o dorastaniu w Warszawie, o swoich biologicznych rodzicach oraz o Annie. Mówi o wszystkich miejscach, które pragnęła odwiedzić. Pyta mnie, gdzie chciałabym pojechać. Podkreśla, że może to być dowolne miejsce na świecie.

– Cóż... – zastanawiam się –... zawsze chciałam zobaczyć Taj Mahal.

Na twarzy Mikołaja maluje się uśmiech.

– Tak jak i Anna. Miałem ją tam zabrać, jak już będziemy mieli pieniądze.

– Moi rodzice nie chcieli tam polecieć, bo jest tam za gorąco.

– Lubię upał. – Uśmiecha się Mikołaj. – O wiele bardziej niż śnieg.

Akurat pada śnieg. Duże, ciężkie płatki w zwolnionym tempie spadają z nieba. Opadają na włosy Miko i pokrywają jego ramiona. Musieliśmy nieźle się opatulić, żeby wyjść na spacer. Mój ukochany ma na sobie granatowy płaszcz z podniesionym kołnierzem, ja natomiast mam białą parkę z futrzanymi frędzlami wokół twarzy.

– A co powiesz o tym? – pytam. – Czyż nie jest ładnie?

– To pierwsza zima, której nie nienawidzę – przyznaje.

Całuje mnie. Ciepło jego ust pali moją zmarzniętą twarz. Pada tak gęsty śnieg, że nie widzę stąd ani jeziora, ani swojego domu. Równie dobrze moglibyśmy być jedynymi ludźmi na całym świecie. Moglibyśmy być dwiema figurkami wewnątrz śnieżnej kuli, zawieszanej na zawsze.

Pragnę zrobić o wiele więcej, niż tylko go pocałować. Rozpinam jego płaszcz, żeby móc wsunąć pod niego rękę. Przesuwam dłońmi po jego skrytym pod koszulą twardym, ciepłym torsie. Ma to gdzieś, że mam zimne palce. Przyciąga mnie bliżej i namiętnie całuje.

Uważam, żeby nie dotykać gojących się jeszcze miejsc. Już nie nosi bandaży, jednak rany były głębokie i nie zdjęli mu jeszcze szwów.

Zazwyczaj, gdy chodzimy po terenie posiadłości, śledzą nas ludzie mojego ojca. Jednak dzisiaj śnieg jest zbyt gęsty. Nie będą w stanie nas zobaczyć.

Wsuwam rękę pod jeansy i bieliznę Miko. Jego ciało ogrzało moją dłoń. Nie wzdryga się, gdy łapię go za penisa. Jęczy i delikatnie przygryza moją wargę.

- Chcę być znów blisko ciebie – oznajmiam.
- Powinienem zdobywać zaufanie twoich rodziców – odpowiada.
- To może zająć i sto lat – jęczę. – Nie tęsknisz za mną?
- Nigdy nie przypuszczałem, że będę za kimś tak bardzo tęsknić.

Zdejmuje płaszcz i rozkłada go na śniegu. Następnie kładzie mnie na nim i rozpina moje jeansy, odrobinę je zsuwając. To samo robi ze swoimi. Ustawiając się nade mną, wsuwa swoją męskość w niewielką przestrzeń między moimi udami i wpycha ją we mnie.

Z racji tego, że cały czas mam na sobie jeansy, moje nogi są bardzo blisko siebie. To sprawia, że przestrzeń dla jego penisa jest znacznie mniejsza i ciaśniejsza niż wcześniej. To tarcie jest obłędne. Ledwo co wchodzi i wychodzi ze mnie. Mocno ściskam każdy centymetr Mikołaja.

Przy pierwszym pchnięciu Miko sapie, jakby miał zemdleć.

- Dobry Boże, Nesso – jęczy. – Zabijesz mnie.
- Dlaczego? – pytam.
- To zbyt wiele. Jest mi za dobrze.

Ja też odczuwam niesamowitą przyjemność. Ale to nie wszystko. Czuję się z nim związana, zupełnie jakbyśmy stawali się zarówno jednym ciałem jak i duszą. Wiem, że on czuje to samo co ja. Myśli o tym samym. A do tego kocha mnie tak samo jak ja kocham jego: szalenie, bezpodstawnie, bezgranicznie.

To nie ma znaczenia, że mamy ograniczone możliwości ruchowe. Oboje zachowywaliśmy wstrzemięźliwość i tęskniliśmy za sobą. Niemal natychmiast odczuwamy ulgę. Niecałą minutę później czuję rozkwitające ciepło przyjemności, które narasta, aż w końcu kompletnie mnie przepełnia. Następnie dochodzę, wcześniej nie zaciskałam się tak mocno na jego penisie. Miko również oddaje się przyjemności i obejmuje mnie tak mocno, że czuję każdy kawałek

siebie. Eksploduje, wydając z siebie przytłumiony dźwięk. Próbuje nie krzyczeć zbyt głośno.

Chcemy jeszcze trochę tu poleżeć, ale jest za zimno. Szczękam zębami. Wstaję, podciągam i zapinam jeansy. Czuję wypływającą ze mnie spernę, która moczy moją bieliznę. Uwielbiam to uczucie. To takie pierwotne i surowe. To najlepszy znak, który pokazuje, że należę do niego i tylko do niego.

Gdy już się ubraliśmy, całuje mnie raz jeszcze.

– Wkrótce zabiorę cię do domu – obiecuje.

Wie, że dom moich rodziców nie jest już moim domem.

Czasami przyprowadza do mnie Klarę oraz Marcela. Oglądamy razem filmy w kinie na dole, oczywiście z polskimi napisami dla Klary, bo jej angielski wciąż jest do dupy. Widzę, że rodzicom przeszkadza, że rozmawiamy po polsku. Patrzą na mnie jak na jakiegoś odmienca.

Nie przyzwyczaili się do tego, jak się zmieniłam. Mama chce, żebyśmy robiły to, co kiedyś: zakupy, *brunche*, pokazy. Chodzę z nią i staram się być tą wesołą dziewczyną, którą chce, żebym była. Tylko że ja strasznie tęsknię za Miko. Między mną a matką jest pewnego rodzaju bariera. Nie chce ze mną rozmawiać o miesiącu, kiedy mnie nie było. Chce, żebym była dokładnie taka jak wcześniej. Tyle że ja po prostu nie mogę tego zrobić i to bez względu na to, jak bardzo się staram.

O dziwo, osobą, która wydaje się najbardziej cieszyć z mojego powrotu, jest Riona. W nocy, kiedy wróciłam do domu, zaszyła się w swoim gabinecie i pracowała nad sprawozdaniami aż do świtu. Kiedy zobaczyła wiadomość od rodziców, porzuciła akta i natychmiast wróciła do domu, żeby przytulać mnie dziesięciokrotnie dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. Wydaje mi się, że dostrzegłam w jej oku niewielką łezkę, chociaż nigdy nie pozwoliłaby, żeby jakakolwiek spłynęła po jej twarzy.

Od tego czasu kilka razy zajrzała do Lake City Ballet, żeby zjeść ze mną lunch, mimo że wcześniej nie zwracała sobie tym głowy. Nigdy nie spędzałyśmy ze sobą zbyt wiele czasu, więc nie oczekuje, że będę się zachowywała w jakiś konkretny sposób. Pyta, jak idzie mi praca nad baletem i czy mamy już zaplanowaną datę premiery. Pyta o to,

jaką muzykę wykorzystuję do swojego dzieła i tworzy z nich playlistę do przesłuchania w drodze do pracy. Na sobotni poranek zapisuje nas na pedicure, żeby ulżyć moim obolałym stopom, chociaż widzę, że siedzenie tam przez czterdzieści minut bez sprawdzania maila ją dobija.

Ale i tak dziwniejsza jest przyjaźń, która zrodziła się między Rioną a Dantem Gallo. Przez kilka tygodni próbowała wyciągnąć go z więzienia, a potem przez kilka kolejnych musiała zająć się sprawą „uprowadzenia przez konkurencyjny gang” w trakcie fałszywego transferu. W końcu wykorzystwała szemraną opowieść funkcjonariusza Hernandeza, aby odeprzeć zarzut morderstwa. Pomocne było to, że O'Malley zgodził się zeznawać przeciwko swojemu byłemu partnerowi. Nie wiem, kto dał mu za to w łapę – Mikołaj czy Gallo – ale na pewno była to niemała kwota.

Przypuszczam, że Dante sporo rozmawiał z Rioną, która cały czas odwiedzała go w więzieniu. Dante ma bardzo uspokajającą osobowość. Przy nim moja siostra wydaje się być mniej niedostępna i mniej gotowa odgryźć komuś głowę z byle powodu.

W związku z tym zdobywam się na odwagę i pytam ją, czy uważa go za przystojnego. Riona, patrząc na mnie, przewraca oczami.

– Nie wszyscy się w sobie zakochują, Nesso – odpowiada. – Czasami mężczyźni i kobiety są wyłącznie przyjaciółmi.

– W porządku – mówię. – Myślałam tylko, że może jesteś ciekawa, jak ten konkretny „przyjaciel” wygląda bez koszulki... zwłaszcza, wiedząc o tym, że jest zbudowany jak Rock.

Riona prychnie zupełnie tak, jakby była ponad takimi błahostkami jak idealnie wyrzeźbione bicepsy i sześciopak na brzuchu.

Moi rodzice nie przekonali się do Mikołaja, ale zaczynają zdawać sobie sprawę, że to, co do niego czuję, to coś więcej niż zauroczenie. Z każdym dniem więź między nami staje się silniejsza. Tęsknię za jego domem – za kamiennymi murami, skrzypiącym dachem, przyćmionym światłem, zarośniętym ogrodem. Brakuje mi nawet zapachu kurzu, farby olejnej i samego Mikołaja. Tęsknię za wędrowaniem po labiryncie, wewnątrz którego znajduje się mężczyzna, który przyciąga mnie do siebie jak magnes.

Wiem, że beze mnie czuje się tam samotny. Teraz, gdy Jonasz i Jędrzej odeszli, w posiadłości jest już tylko Miko, Marcel oraz Klara. Jednak ta dwójka niedługo może przeprowadzić się do swojego mieszkania.

Mikołaj nieustannie pracuje. Rozwija swoją działalność i powiększa imperium bez wchodzenia w konflikt z moją rodziną lub rodziną Aidy. Wszyscy... póki co, koegzystujemy.

Jedynym, wiszącym nad nami zagrożeniem, są Rosjanie. W dzień otwarcia biblioteki wszyscy czekaliśmy na to, co się może wydarzyć: ludzie Mikołaja, Gallo oraz ludzie mojego ojca. Dante znajdował się na dachu sąsiedniego budynku, trzymając karabin w pogotowiu i wypatrując jakichkolwiek śladów Kristoffa lub któregoś z jego ludzi.

Ale nic się nie stało. Nikt z Bratvy się nie pojawił. Cała impreza przebiegła perfekcyjnie.

Może zrezygnowali ze swoich planów, wiedząc, że naszych ludzi jest więcej.

Koniec końców Chicago jest dużym miastem i można tu popełnić mnóstwo przestępstw.

Miejsca wystarczy dla wszystkich.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

MIKO

Dzisiejszego wieczoru odbędzie się premiera baletu Nessy.

Nie mogę się doczekać tego wydarzenia niemal tak samo jak ona, a może nawet bardziej. Moim oczekiwaniom towarzyszy czysta radość, z kolei moja ukochana robi się niespokojna.

O nic się nie martwię. Już i tak wiem, że przedstawienie będzie genialne.

Balet będzie wystawiany w Harris Theater. Reżyseruje go ten skurwiel Jackson Wright. Miałem zamiar – oczywiście przypadkowo – odwiedzić go kilka razy, w razie gdyby próbował wciskać Nessie jakiś kit. Miałem mu się delikatnie przypomnieć. Bez łamania kości, no chyba że by mnie zdenerwował. Ale okazało się, że to niepotrzebne. Szczerze zaangażował się w ten projekt.

Nessa załatwiła bilety dla przyjaciół oraz członków rodziny, celowo sadzając mnie obok swoich rodziców. Nie znajduję się w szczególnie komfortowym miejscu, lecz muszę wykorzystywać każdą okazję, aby lepiej ich poznać. Nie spodziewam się, że kiedykolwiek mnie polubią. Być może nigdy nie przestaną mnie nienawidzić, jednak muszą mnie zaakceptować, bo nie mam zamiaru opuścić ich córki.

Prawdę mówiąc kończy mi się cierpliwość. Sądziłem, że mogę się nie spieszyć – ale chyba przeceniłem swoją wytrzymałość.

Chcę odzyskać moją Balerinę. Chcę, żeby była w pełni moja i stała się oficjalnie moją narzeczoną.

Siedzę tuż obok Fergususa Griffina. To wysoki zadbany mężczyzna wyglądający na inteligenta. Jest dobrze ubranym człowiekiem, a siwe pasemka dodają mu uroku. Ma nienaganne maniery i dla niewprawnego oka wygląda jak zamożny chicagowski biznesmen.

Jednak ja widzę tę nieoczywistą prawdę o tym, że jest kameleonem, który przybiera najbardziej odpowiadający jego celom wygląd. Nie mam wątpliwości, że łamiąc kolana jako egzekutor, wyglądał jak chodząca zemsta. Jestem pewien, że awansując w szeregach irlandzkiej mafii ubierał się jak typowy gangster. Teraz zachowuje się, jakby całe życie był częścią klasy wyższej.

Trudno odgadnąć, co skrywa pod tą fasadą. Domyślam się kilku rzeczy: musi być inteligentny, mieć umysł stratega i kręgosłup ze stali. W przeciwnym wypadku ten człowiek nie zdołałby się wdrapać na sam szczyt.

Ale nie może być przeciętnym kryminalistą i socjopatą. Spłodził i wychował Nessę. Jej łagodne serce i kreatywny umysł nie wzięły się z powietrza.

A może to dary od siedzącej po drugiej stronie męża Imogen Griffin? Czuję, jak przygląda mi się tymi swoimi chłodnymi niebieskimi oczami, które odziedziczył po niej syn.

– Jesteś mecenasem sztuki? – pyta mnie zgryźliwie.

– Nie – odpowiadam. A po chwili chłodnego milczenia dodaję: – Ale lubię tańczyć.

– Tak? – Chłód na jej twarzy minimalnie się roztopia.

– Tak. Gdy z siostrą byliśmy młodszy tańczyliśmy tańce ludowe. – Biorę wdech, próbując wymyślić, jak zachowują się normalni ludzie podczas rozmowy. – Raz wygraliśmy konkurs, tańcząc poloneza. Nienawidziliśmy razem tańczyć. Zawsze się kłóciliśmy, bo Anna chciała prowadzić. Była ode mnie lepsza. Powinienem być jej na to pozwolić. Pewnie wygraliśmy tylko dlatego, że wyglądaliśmy tak samo. Sędziowie uważali, że to urocze.

Zanurzając się w nurt rozmowy, coraz szybciej wyrzucam z siebie słowa. Pomaga mi to, że Imogen i Nessa są do siebie trochę podobne. To zwalcza niezręczność sytuacji.

Na twarzy Imogen pojawia się uśmiech.

– Chodziłam ze swoim bratem Angusem na tańce towarzyskie – oznajmia. – Myśleliśmy, że tańczenie razem jest strasznie krępujące. Nigdy niczego nie wygraliśmy.

– Potrzebowałaś lepszego partnera – wtrąca Fergus.

– Mam nadzieję, że nie mówisz o sobie – śmieje się Imogen, a potem zwraca się do mnie: – Złamał mi nogę na naszym weselu. Nadepnął mi prosto na palce.

– Miałem wtedy wiele na głowie. – Krzywi się Fergus.

– I byłeś pijany.

– Umiarkowanie nietrzeźwy.

– Zalany w trupa.

Wymieniają rozbawione spojrzenia, lecz po chwili przypominają sobie, że siedzę obok i że mnie nienawidzą.

– W każdym razie – mówi Fergus. – Nessa odziedziczyła talent po matce.

W jego głosie słyszę dumę. To oczywiste, że kochają swoją córkę.

Nim udaje mi się cokolwiek powiedzieć, światła przygasają, a kurtyna zaczyna się podnosić.

Dekoracje są oszałamiające i imponujące pod względem wielkości. Wyglądają jak jasny, zielony las. Muzyka, którą puszczaają również jest lekka i radosna. Na scenę wychodzą trzy dziewczyny ubrane na zielono, niebiesko i różowo – to Nessa, Marnie i Serena.

Dostrzegam, że Serena Breglio wciąż ma ufarbowane na brązowo włosy, tak jak ucharakteryzowali ją Rosjanie. Chyba uznała, że ten kolor jej pasuje. Nie wiem, ile moja ukochana jej powiedziała o tym, dlaczego została najpierw porwana, a potem wypuszczona. Wiem, że Serena jest jedną z jej najlepszych przyjaciółek i nic się w tej kwestii nie zmieniło. Dlatego za sprawą przyływu winy anonimowo spłaciłem kredyt studencki Sereny. Było tego czterdzieści osiem tysięcy. To mniej niż zarabiam w tydzień, ale żeby tyle zarobić trzeba przepracować kurewsko dużo zmian w kawiarni, w której Serena dorabia sobie do skromnej pensyjki tancerki.

Kilka miesięcy temu powiedziałbym, że miała szczęście, że nie poderżnęliśmy jej gardła i nie wylądowała w rowie. Teraz jestem jak Święty Mikołaj. Tak bardzo zmiękłem.

Trzy dziewczyny tańczą w formacji, która, jak powiedziała mi Nessa, nazywa się: *pas de trois*. Ich sukienki są miękkie, nie tak sztywne jak tutu. Za każdym razem, gdy kręcą się w kółko ich spódnice rozchodzą się na boki, przypominając płatki kwiatów.

Niewiele wiem o balecie, ale te tańce, które skomponowała moja Balerina, są hipnotyzujące. Jest w nich tyle ruchu, interakcji i schematów, które wciąż się zmieniają oraz ewoluują, że przez to prawie w ogóle nic nie jest tu powtarzalne.

Rodzice Nessy od samego początku są zafascynowani. Siedzą pochyleni do przodu ze wzrokiem wbitym w scenę. Po ich zdziwionych minach widzę, że nawet oni nie zdawali sobie sprawy, jak piękne może być dzieło ich córki.

Gdy taniec dobiega końca, Nessa oddziela się od pozostałych dziewczyn. Schodzą ze sceny z lewej strony, natomiast ona rusza w przeciwnym kierunku, wędrując tak, jakby się zgubiła.

Kiedy przechodzi przez scenę, zmienia się oświetlenie. Las, który wyglądał na jasny i przyjazny, teraz robi się gęsty i ciemniejszy. Muzyka również się zmienia – z radosnej przechodzi w złowrogą.

Nessa dochodzi do zamku. Po chwili wahania wchodzi do środka.

Podzielone na części dekoracje zamku przesuwają się po podłodze, zamykając się wokół niej. Są niesamowicie szczegółowe – wszystko jest dziełem Marnie. Ogromne okna ze szkła ołowiowego sprawiają, że ściany wyglądają jak okucia klatki. Wszystko jest postrzępione, postarzałe i zaniedbane, wliczając w to kandelabry z wypalonymi świecami.

W zamku moja Balerina spotyka Bestię.

Bestię gra Charles Tremblay, jeden z głównych tancerzy w Lake City Ballet. Na co dzień to wysoki, przystojny facet o kudłatych, jasnorudych włosach surfera i delikatnym południowym akcencie. Jednak na scenie jest nie do poznania. Makijaż i protezy przeobraziły go w potwora, pół-wilka, pół-człowieka. Wygląda jak nie do końca przemieniony wilkołak.

Porusza się również w zupełnie inny sposób. Z jego ruchów zniknęła duma i pewność siebie. Teraz biega po scenie denerwująco szybko tuż przy ziemi, niemal jak zwierzę.

Nessa wytłumaczyła mi, że wybrała go właśnie z powodu umiejętności aktorskich oraz tanecznych.

Wiem, że każdego dnia ćwiczyli przez wiele godzin, co normalnie wzbudziłoby we mnie okropną zazdrość. Tyle że gdy odwiedzałem ją każdej nocy, Nessa biegła do mnie tak, jakby nie widziała mnie od

stu lat. Zupełnie, jakby nie była w stanie znieść kolejnej sekundy rozłąki. Dlatego też wiem, o kim myślała, nawet kiedy tańczyła w ramionach innego mężczyzny.

Bestia zachęca swoją piękną partnerkę do tańca.

Rozlegają się urzekające tony *Satin Birds*. Wydaję z siebie długie westchnienie. Nie wiedziałem, że Nessa zapamiętała tę piosenkę, nie wspominając o tym, że planowała wykorzystać ją w swoim balecie. Przez to mam przed oczami swoją własną salę balową i wyraźnie przypominam sobie pierwszą noc, kiedy trzymałem swoją ukochaną w ramionach.

Para na scenie zaczyna tańczyć, najpierw niechętnie, a potem coraz szybciej i z większą intensywnością.

Widzę, jak Nessa odtwarza tamtą chwilę. Nie przeszkadza mi to, że przedstawiła mnie jako Bestię. W sumie mi to pasuje. Tamtej nocy byłem dzikim zwierzęciem. Chciałem rozerwać ją na kawałki i połknąć w całości. Ledwo panowałem nad swoim pożądaniem wobec niej.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak silne było też jej pragnienie. Teraz to widzę, kiedy patrzy w twarz Bestii. Jest zaintrygowana. Bardzo ją do niego ciągnie, co przeczy instynktom samozachowawczym.

Przedstawienie trwa dalej.

To klasyczna baśń o Pięknej i Bestii. Jednak to również nasza historia – Nessy i moja. Wplotła w baśń niektóre rzeczy, które wydarzyły się między nami.

Przeżywam to wszystko od nowa.

Zapominam, że siedzę obok jej rodziców. Zapominam, że w teatrze są również inni ludzie. Po prostu widzę ją i siebie oraz to, jak się raz za razem rozstajemy, a potem wracamy do siebie. Żadne z nas nie jest w stanie oprzeć się przyciąganiu, które nas połączyło. Moja mała Balerina raz jeszcze pokazuje mi naszą historię w formie mrocznej fantazji widzianej jej oczami.

I w końcu mamy duet Pięknej i Bestii, mający miejsce podczas burzliwej nocy. Oświetlenie imituje deszcz oraz błyskawice.

Na początku ich taniec przypomina zacieklą walkę – gwałtowną oraz agresywną. Bestia ciągnie Nessę w tył, z kolei ona stara się uciec. W końcu unosi ją nad swoją głowę i niesie przez scenę. Ale

w trakcie tańca ich ruchy stają się bardziej zsynchronizowane. Ich ciała ciasno przylegają do siebie, przez co są idealnie dopasowane, nawet w najbardziej szokujących pozycjach.

Niedługo potem zaczynają poruszać się jak jeden organizm i robią to coraz szybciej. Nessa mówiła mi, że to najtrudniejszy, pod względem technicznym, taniec. Obawiała się, że nie będzie potrafiła nadążyć za Charlesem.

Jednak nie tylko nadąża, a robi coś więcej. Tańczy lepiej niż kiedykolwiek wcześniej – jest szybka, precyzyjna, a do tego namiętna. Jest zajebista.

Nie mogę oderwać od niej oczu. W teatrze panuje kompletna cisza. Nikt nie chce nawet oddychać, aby nie przeszkodzić wirującej po scenie parze. To zarazem erotyczne i ulotne, a przy tym po prostu – hipnotyzujące.

Gdy w końcu para tancerzy zatrzymuje się na środku sceny i jest pochłonięta bez reszty pocałunkiem, to cały tłum niemal eksploduje. Odgłosy oklasków są ogłuszające.

Imogen i Fergus Griffin gapią się na siebie. Są zachwyceni występem córki. Lecz jest w tym coś więcej. Wiedzą, równie dobrze jak ja, co to znaczy. Widzieli, co naprawdę czuje Nessa. Obnażyła na scenie swoje serce, żeby wszyscy mogli je zobaczyć.

Pod koniec przedstawienia publiczność bezustannie klaszcze. Cała obsada wychodzi na scenę, aby się uklonić. Dostają od publiczności owacje na stojąco. Wyjątek stanowi jeden mężczyzna, który porzuca swoje miejsce, aby wyjść bocznymi drzwiami, zanim Nessa podejdzie do pozostałych, aby się uklonić.

Ruch mężczyzny przykuwa moją uwagę. Choć jestem podekscytowany i dumny z mojej ukochanej, to nie mogę wyłączyć tej części swojego mózgu, która zawsze szuka czegoś, co nie pasuje do całości.

Rumieniąca się Nessa kroczy po scenie, a tłum wiwatuje głośniejsz niż wcześniej. Dyga, a potem rozgląda się po zebranych, szukając swojej rodziny. Widząc mnie, przesyła mi buziaka.

Jackson Wright łapie ją za rękę i triumfalnie unosi nad głowę. W końcu zdjęli mu gips, co najwyraźniej poprawiło mu humor. Uśmiecha się i wygląda na naprawdę dumnego.

Po tym, jak tancerze znikają za kulisami, wychodzimy do holu, aby poczekać na bohaterkę wieczoru. Przebiera się z kostiumu. Prawdopodobnie jest podekscytowana tym, jak gorąco przyjęto dzisiejsze przedstawienie i omawia to ze swoimi przyjaciółmi. Wszyscy są podnieceni sukcesem, jaki odniosło to widowisko.

Stoję obok rodziców Nessay. Towarzyszą nam Callum, Aida oraz Riona. Imogen milczy, zupełnie jakby miała sporo na głowie. Aida z kolei mówi za wszystkich.

– To był najlepszy balet, jaki w życiu widziałam. Co prawda, to jedyny balet jaki w życiu widziałam, ale jestem pewna, że gdybym widziała inne, to i tak myślałabym tak samo. To było piękne – przytakuje Riona.

– Czułam, że tam gdzieś kryła się metafora... – rozmyśla Aida, rzucając mi chytre spojrzenie tych swoich szarych oczu.

Callum uciska ją surowym spojrzeniem.

Ona, w ogóle nie czując się skarcona, odpowiada mu uśmiechem. Callum rewanżuje się jej, delikatnie unosząc kąciki ust.

Ubrani w smokingi kelnerzy krążą po holu z tacami pełnymi kieliszków bulgoczącego szampana. Fergus Griffin bierze drinka z jednej z tac i zaczyna go popijać. Podaje swojej żonie szkło, jednak ona przecząco kręci głową.

Burczy mi w brzuchu. Nie jadłem jeszcze obiadu. Nie sądzę, aby Nessa jadła. Może uda mi się przekonać Fergus, żeby pozwolił mi ją zabrać gdzieś, aby świętować...

Tancerze pojawiają się w holu. Przebrali się w zwykłe ciuchy, lecz nie pozbyli się makijażu scenicznego, więc trudno jest im się wtopić w tłum. Publiczność zbiera się wokół nich, żeby im pogratulować. Tworzy się do nich kręta kolejka jak do jakiejś recepcji. Przeklinam to, jak daleko stoję – będę musiał poczekać na swoją kolej, aby porozmawiać z Nessą.

Tłum porusza się bardzo płynnie. Ludzie w naturalny sposób ustawiają się w szeregu i schodzą z drogi. Raz jeszcze kątem oka dostrzegam ruch, który nie do końca pasuje do tego wszystkiego. Stojący dotychczas przy ścianie mężczyzna w wełnianym płaszczu podchodzi do tancerzy.

Ma ciemne włosy i tak bardzo postawiony kołnierzyk, że nie widzę jego twarzy. Jednak widzę, jak po coś wkłada rękę pod płaszcz.

Patrzę na Nessę, która stoi mu na drodze. Ma na sobie legginsy i sweter z dzianiny. Jej twarz wciąż ozdabiają sztuczne rzęsy i zaróżowione policzki. Włosy ma spięte w ciasno związany, przyprószony brokatem kok. Śmieje się i rumieni, a jej oczy błyszczą ze szczęścia. Przyglądam się jej, a ona przyciągnięta przez moje spojrzenie patrzy na mnie. Jej promienisty uśmiech słabnie, gdy widzi moją minę.

Puszczam się biegiem w jej stronę.

Mężczyzna wyciąga spod płaszcza broń. Odbezpiecza ją i unosi lufę.

Przedzieram się przez tłum ludzi. Potrącam kelnera, wytrącając mu z ręki tacę z szampanem. Szkło leci dosłownie wszędzie. Łapię wyrzuconą w powietrze tacę i biegnę przed siebie, krzycząc:

– NESSA!

W zwolnionym tempie widzę, jak mężczyzna celuje prosto w jej twarz. Nessa również to widzi. Zastyga w bezruchu z szeroko otwartymi oczami i wysoko uniesionymi ciemnymi brwiami. Otaczający ją tancerze odsuwają się na bok. Została zupełnie sama, bez żadnej ochrony. Jest zbyt przestraszona, żeby nawet podnieść ręce.

Skaczę na przód, wyciągając rękę z tacą.

Huk wystrzału przypomina wystrzał z armaty.

Czuję wstrząs – któremu towarzyszy hałas – gdy pocisk uderza we mnie.

Wpadam na ukochaną, przewracam ją na podłogę i osłaniam własnym ciałem. Nie wiem, gdzie trafił pierwszy pocisk. Spodziewam się, że zaraz poczuję jeszcze kilka kolejnych, wbijających mi się w plecy.

Rozlegają się trzy kolejne strzały, lecz w ogóle nie czuję bólu. Duszę Nessę ciężarem swojego ciała, trzymając ją pod sobą, żeby nie stała się jej krzywda. Wszystko przez te krzyki i odgłosy towarzyszące ucieczce spanikowanego tłumu. Zakrywam ją, aby zapewnić jej bezpieczeństwo.

Gdy otwieram oczy, widzę zakrwawioną twarz Koli Kristoffa. Leży z obnażonymi zębami na podłodze tuż przede mną. Martwy.

Fergus Griffin stoi nad nim, a z lufy jego pistoletu wciąż unosi się dym. Jego twarz wykrzywia grymas wściekłości, a zielone oczy, skryte za okularami, błyszczą makabrycznie. Teraz to widzę – prawdziwego, pierdolonego gangstera, który kryje się za fasadą uprzejmości.

Łypie w moją stronę i jestem w stanie odczytać jego myśli, zupełnie jakby były moje własne: mógłby teraz celować trochę bardziej w prawo i strzelić do mnie, rozwiązując ostatni ze swoich problemów.

Tymczasem wciąż celuje tam, gdzie dotychczas i pakuje kolejną kulę prosto w plecy Kristoffa. Następnie chowa pistolet do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Callum Griffin pomaga mi wstać. Ja z kolei podnoszę Nessę, gorączkowo szukając jakichkolwiek obrażeń.

– Nic ci nie jest? – pytam.

Jest w szoku i trzęsie się, dzwoniąc zębami, jednak nie wygląda na ranną.

– Nic mi nie jest – odpowiada.

Przytula się do mnie, obejmując moją szyję ramionami.

Widzę, jak Fergusowi drży szczeka. Nessa to jego córeczka – zazwyczaj to do niego biegła szukać pocieszenia.

Callum podnosi srebrną tacę. Na samym jej środku znajduje się wgniecenie wielkości piłki do softballu.

– Kurwa mać – rzuca. – Skąd wiedziałeś, że to zadziała?

– Nie wiedziałem – oznajmiam.

Imogen obejmuje Nessę ramionami, a łzy spływają jej po twarzy.

– O mój Boże – szlocha. – Dłużej już tego nie zniosę.

– Callumie – mówi ostro Fergus. – Zaraz przyjedzie tu policja. Zabierz Aidę do domu. Nikt nie powinien wiązać was z tą sprawą. – Patrzy na mnie. – Przypuszczam, że ty również nie masz czystej kartoteki.

– Bez Nessy nigdzie się nie ruszam – odpowiadam.

Wyraz jego twarzy nieco łagodnieje.

– Zaczekam tu z nią – oznajmia. – Złożymy zeznania na policji, a potem spotkamy się w domu.

– Zostanę z wami – mówi Riona, krzyżując ręce na piersi. – Jako twój adwokat.

Waham się. Nie chcę zostawiać swojej kobiety, jednak Kristoff nie żyje. Nie ma sensu kłócić się z Fergussem. Nie, kiedy w końcu zaczynamy się dogadywać.

Delikatnie całuję Nessę w usta. Jej rodzice na to patrzą, lecz mam to gdzieś.

– Do zobaczenia w domu – mówię do niej. – Byłaś dziś niewiarygodna, Nesso. Nie pozwól, aby to, co się wydarzyło, umniejszyło twój sukces. Jesteś, kurwa, gwiazdą.

Nie chcąc mnie puścić, całuje mnie raz jeszcze.

Słyszę policyjne syreny i delikatnie zdejmuję jej ręce ze swojej szyi.

– Do zobaczenia wkrótce – mówię.

Gdy odwracam się do wyjścia, Fergus klepie mnie po ramieniu.

– Dziękuję – oznajmia ochrypłym głosem. – Byłeś ode mnie szybszy. Nie zdążyłbym na czas.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

NESSA

Dziś jest Wigilia.

Moja mama uwielbia Boże Narodzenie. Zwykle urządza wielkie przyjęcie albo – jeśli świętujemy w rodzinnym gronie – pielęgnujemy wszystkie nasze małe irlandzkie tradycje. Do takich naszych rodzinnych obyczajów należy robienie wieńca z ostrokrzewu na drzwi oraz stawianie świecy w oknie. Tradycją jest też gotowanie krówek, robienie w kominku popcornu i otwieranie po jednym prezencie, którym zawsze jest piżama.

Dzisiejszego wieczoru robię jednak coś zupełnie innego.

Jadę na północny kraniec miasta, do domu Mikołaja.

Wrócę rano, żeby zrobić naleśniki i otworzyć z rodzicami prezenty.

Tymczasem po raz pierwszy od dłuższego czasu będę z Miko sama.

Byłam zaskoczona, że rodzice się na to zgodzili. Myślę, że po wydarzeniu w teatrze zdali sobie sprawę, że uczucie między nami jest prawdziwe i nie zniknie.

Ostatecznie Miko uratował mi życie. Zauważył Kristoffa, zanim zrobili to inni. Zatrzymał kulę lecącą prosto w moją twarz. Następnie osłonił mnie własnym ciałem. To dało mojemu ojcu czas, aby strzelić Kristoffowi w plecy.

Bratva znowu będzie potrzebowała nowego bossa.

Mam nadzieję, że będzie on sprawował swoje rządy, nie oglądając się wstecz. Rosjanie źle reagują na zerwane sojusze.

Mimo wszystko uważam, że było warto to przeżyć, bo to wydarzenie w końcu pokazało moim rodzicom, że Mikołaj naprawdę mnie kocha.

Jadę do niego nowym jeepem. Jest w kolorze zielono-żółtym. To prezent świąteczny od Gallo. Aida wybrała ten wóz, a Nero robił przy

nim te swoje „czary-mary”. Dzięki temu teraz ryczy jak maszyna posiadająca silnik odrzutowy, nie mówiąc już o dodanych gigantycznych oponach AT, wyciągarce, zestawie do podnoszenia i bocznych progach. Mówiąc krótko – mój samochód wygląda tak, że mogłabym nim pokonać największe góry.

Tak naprawdę głównie jeżdżę nim jednak do studia, bo pracuję już nad kolejnym baletem.

Dziś opony świetnie spisują się na śniegu. Znad jeziora wieje dziki i mokry wiatr.

Mam to gdzieś. Nawet zamieć nie byłaby w stanie mnie zatrzymać teraz w domu.

Miko mnie wypatruje. Kiedy podjeżdżam, brama otwiera się automatycznie. Parkuję auto pod domem, który pod białym puchem pokrywającym dach wygląda na wyższy i ciemniejszy niż zwykle.

Drzwi frontowe są otwarte. Wsiadam z jeepa i wbiegam do środka.

Staję w blasku setek świec. Całe wejście jest nimi wypełnione – są różnej wielkości i migoczą w mroku. Świece są białe, a rzucane przez nie intensywne światło jest złotawe. Całą przestrzeń wypełnia zapach dymu i słodka woń pszczelego wosku. Tak Mikołaj wita mnie w domu.

Idę wyznaczoną przez świece ścieżką przez parter, w stronę oranżerii.

Tu zawsze panuje lato. Rośliny w tym miejscu są bujne i zielone o każdej porze roku. Mikołaj – zgodnie z moimi przypuszczeniami – czeka na mnie na ławce. Widząc mnie, wstaje. Jego strój jest bardziej formalny niż zwykle. Ma na sobie zapinaną na guziki koszulę oraz eleganckie spodnie. Włosy – zwykle niesforne – są dziś starannie uczesane. Czuję znajomy zapach wody kolońskiej, a poza tym – woń jego skóry.

Wpadam w ramiona ukochanego i zaczynam go całować. Pocałunek trwa i trwa. Żadne z nas nie chce, aby się skończył. Tak się cieszę, że tu wróciłam. Nie wiem, jakim cudem tak dziwne miejsce mogło mi się tak bardzo spodobać, ale to się po prostu „stało”. Teraz uważam, że zostało dla mnie stworzone sto lat przed moimi

narodzinami, zaś Miko kupił je dla nas, zanim w ogóle dowiedział się o moim istnieniu. Prawdziwe przeznaczenie.

Gdy w końcu się od siebie odrywamy, Mikołaj strzepuje resztki topniejącego śniegu z moich włosów.

– Boże, tęskniłem za tobą – stwierdza.

– Mam coś dla ciebie – oznajmiam. – Pewien drobiazg.

Wyciągam z torebki podarek: zapakowaną książkę. Mikołaj rozrywa papier i uśmiecha się, widząc co jest w środku.

To pierwsze wydanie *Po drugiej stronie lustra*, ma ono zastąpić tę książkę, którą zniszczyłam. Ma pięknie zdobioną czerwoną okładkę ze złotą tłoczoną lamówką oraz postacią Królowej Kier.

Mikołaj otwiera na pierwszej stronie, na której znajduje się ilustracja siedzącego na koniu rycerza.

– Takiego tatuażu jeszcze nie masz – mówię, drocząc się z nim. – Zostało ci jeszcze jakieś wolne miejsce? Może na podeszwie stopy?

Miko w odpowiedzi znowu mnie całuje, mocno przytulając.

– Dziękuję, Nesso. Jest idealna.

– No to... – mówię – ...powinnam iść na górę? Stęskniłam się również i za twoim pokojem...

– Nie chcesz swojego prezentu? – pyta Miko.

Staram się ukryć swój uśmiech, lecz mi to nie wychodzi. Od zawsze kochałam prezenty. Uszczęśliwiają mnie nawet te najmniejsze. Po prostu uwielbiam być zaskakiwana.

Sądzę, że Mikołaj pewnie kupił mi nową płytę. Pozwolił mi zatrzymać stary gramofon i pudło pełne starych winyli i wie, że używam ich do pracy nad nowym baletem. Dlatego zgaduję, że ma coś, co wzbogaci moją kolekcję.

Jednak Miko naprawdę mnie zaskakuje, klękając na jedno kolano.

– To nie do końca jest prezent – stwierdza. – Bo za niego nie zapłaciłem...

Wyciąga z kieszeni małe pudełeczko, a następnie je otwiera. W środku widzę ostatnią rzecz na świecie, jakiej bym się spodziewała: pierścionek mojej babci.

– Co? – sapię. – Jak...

– Nesso, gdy cię spotkałem byłem trupem – mówi. – Nie oddychałem. Nie miałem serca. Byłem bez życia. Niczego nie czułem.

Nic mnie nie obchodziło. Wtedy cię ujrzałem i sprawiłaś, że coś się we mnie obudziło. Początkowo byłem strasznym głupcem. Byłem tak otyłały, że myślałem, że ta iskra musi być nienawiścią. Gdybym był normalnym człowiekiem, zdałbym sobie sprawę, że to miłość. Miłość od pierwszego wejrzenia. Od chwili, gdy tylko na ciebie spojrzałem. – Mężczyzna wyjmując pierścionek z pudełka i go podnosi. Diament połyskuje w zabytkowej oprawie. – Chciałem cię znienawidzić, bo to byłoby prostsze, ale obserwując cię nie mogłem zignorować twojej dobroci, inteligencji i kreatywności. Jesteś dobrym człowiekiem, Nesso. Jesteś prawdziwie i naturalnie dobra. Większość ludzi nawet nie śniła o takiej szczerości. Jesteś utalentowaną, piękną i, kurwa, najseksowniejszą kobietą na świecie. Cholera, nie zamierzałem przeklinać.

Śmieję się, jednocześnie trochę szlochając, bo jestem taka... taka szczęśliwa. Chcę coś powiedzieć, ale nie przerywam Mikołajowi. Chcę usłyszeć wszystko, co ma mi do powiedzenia.

– Nie znośłem tego, że musieliśmy być osobno przez ostatnie kilka tygodni – oznajmia. – Jednak gdy cię poznałem, zrozumiałem, jak ważna jest dla ciebie rodzina. Za pierwszym razem cię porwałem, ale tym razem chciałem otrzymać ich błogosławieństwo. – Jego palce zaciskają się na opasce pierścionka. – Twoja matka mi go dała. Wie, że cię kocham. Kocham cię bardziej niż pieniądze, władzę czy nawet własne życie. Porwałem się, Nesso. A ty skradłaś mi serce. Teraz należy do ciebie już na zawsze. Nie mogę go zabrać, nawet gdybym chciał. Wyjdiesz więc za mnie?

– Tak! – wołam. – Oczywiście, że tak!

Mikołaj wsuwa mi pierścionek na palec.

Na mojej dłoni wygląda inaczej. Wygląda, jakby należał do mnie od zawsze i był stworzony właśnie dla tej chwili.

– Moi rodzice sami ci go dali? – pytam oszołomiona.

– Niechętnie – odpowiada Miko, a ja się śmieję.

– I tak się liczy – stwierdzam.

Mój narzeczony bierze mnie w ramiona i bezustannie zasypuje pocałunkami.

Potem zanosí mnie do swojego pokoju i kładzie na leżącym przed kominkiem grubym dywanie. Słyszę, jak trzeszczy ogień.

– Pozwól, że cię rozbiorę – mówię do niego, podnosząc się.

Mikołaj stoi nieruchomo, pozwalając mi rozpiąć swoją koszulę.

Centymetr po centymetrze obnażam jego szeroką, płaską klatkę piersiową, ciemną od pokrywających ją skomplikowanych wzorów. Mięśnie Miko są twarde. Przesuwam palcami po jego piersi, wzdłuż linii wyznaczonej przez pępek. Skóra Mikołaja, jak na mężczyznę, jest niesamowicie gładka. To jedna z tych sprzeczności, jakie w nim odkryłam. Jego wygląd i uczucia nigdy ze sobą nie współgrają. Bywa blade jak wampir, a jednak zawsze ciepły w dotyku. Jest tak chudy, że pod skórą widać ostro zarysowane mięśnie, a mimo to jego skóra swoją miękkością może równać się z aksamitem. Jego oczy wyglądają jak odłamki pękniętego szkła, lecz nie są wyłącznie zwierciadłem, w którym odbija się cały ból tego świata. Dostrzegają moje wnętrze i docierają aż do mojej duszy.

Zdejmuję z niego koszulę. Delikatnie dotykam blizn na brzuchu, rękach oraz ramionach. W większości już się zagoiły, lecz biała skóra wyraźnie wyróżnia się na tle ciemnych tatuaży. Każdy ten ślad oznacza ranę, którą przyjął za mnie.

Rozpinam jego spodnie i je opuszczam. Potem robię to samo z bokserkami. Teraz stoi przed kominkiem zupełnie nagi. Światło tańczy na jego skórze, ożywiając jego atramentowe zdobienia. Teraz wyglądają, jakby ożyły i poruszały się po jego ciele.

Oczy Mikołaja lśnią w migoczącym świetle. Omiatają mnie całą. Na twarzy mężczyzny maluje się niemal zwierzęcy i namacalny głód. Widzę spojrzenie, które nigdy nie przestanie wstrząsać moim sercem i sprawiać, że zaczyna bić trzykrotnie szybciej niż normalnie. Jeszcze nawet się nie całujemy, a już przechodzą mnie rozkoszne dreszcze. Czuję, jak moje sutki twardnieją, a wilgoć zaczyna wsiąkać w bieliznę.

Nie mogę oderwać od niego oczu. Nie było jeszcze takiego mężczyzny, który wyglądałby dla mnie tak władczo, nie mając na sobie ubrań. W każdym gramie tych mięśni drzemie siła. W spojrzeniu z kolei czai się dzikość.

Jego penis leży na jego udzie. Gdy tylko kieruję na niego wzrok, zaczyna pęcznieć i sztywnieć. Jest gruby, biały, gładki i ma idealne proporcje. Im robi się twardszy, tym bardziej skóra na nim się

rozciąga. Wiem, jaka jest miękka – to najdelikatniejszy kawałek skóry na całym jego ciele. Chcę jej dotknąć swoimi najbardziej wrażliwymi częściami ciała. Począwszy od ust oraz języka.

Padam przed nim na kolana. Pozwalam, aby czubek jego męskości ułożył się ciężko na moim języku. Drażnię jego grzbiet czubkiem języka, przesuwając nim po główce i trzonie. Po chwili na penisie pojawia się niewielka kropla przejrzystego płynu. Zlizuję ją, czując jego smak. Smakuje prawie tak samo jak jego usta – to czysty, bogaty, lekko słonawy smak.

Obejmuję ustami całą główkę i mocno ssę – zupełnie tak, jakby to była nagroda. W moje usta wylewa się więcej płynu. Mikołaj jęczy.

Poruszam ustami po jego członku w górę i w dół, wkładam go tak głęboko, jak tylko jestem w stanie, oblepiając go swoją śliną. Następnie, używając dłoni, głaszczę go po trzonie, jednocześnie liżąc i ssąc główkę.

Robiłam to tylko kilka razy, ale już czuję, że wychodzi mi to o wiele lepiej. Uczę się rozluźniać szczęki i używać jednocześnie ust oraz dłoni. Mikołaj jęczy. Po sposobie w jaki oddycha i porusza biodrami rozpoznaję, co jest dla niego najlepsze.

Zatrzymuje mnie gdzieś po minucie.

– Nie podoba ci się? – pytam.

– Oczywiście, że mi się podoba – warczy.

Zdejmuje ze mnie ubranie i oboje jesteśmy nadzy, następnie rzuca mnie na leżący przed kominkiem dywan. Wciąga mnie na siebie, lecz tym razem moje uda znajdują się nad jego twarzą, a jego męskość na powrót ląduje w moich ustach.

Trochę trudniej jest to robić, będąc do góry nogami, ale wydaje mi się, że sobie z tym poradzę. A przynajmniej myślę tak, dopóki on nie wsuwa we mnie języka.

Cholera, to znacznie utrudnia koncentrację. Gdy robię mu loda, on penetruje mnie językiem i pociera palcami moją łechtaczkę. Robi to pod innym kątem niż zazwyczaj, przez co towarzyszą temu zupełnie inne doznania. Jest coś niesamowicie satysfakcjonującego w tym, że jednocześnie dotykamy się tam ustami. To sprawia, że trzymanie jego męskości w ustach staje się jeszcze bardziej przyjemne.

Moje serce bije coraz szybciej. Minęło sporo czasu od kiedy byliśmy razem po raz ostatni. Jestem niespokojna i boleśnie podniecona. Dotykałam się, leżąc w nocy w łóżku i myśląc o nim, lecz to nie było to samo, co czuć rzeczywisty smak, zapach i samego Mikołaja. Nic nie może się z tym równać. Nic poza nim nie może mnie zadowolić.

Kołyszę biodrami, pocierając cipką o jego język. To zbyt przyjemne, aby było legalne. Jęczę z penisem w ustach. Tak bardzo jestem rozproszona, że nie jestem w stanie wykonywać swojego zadania.

Mikołaj ma to gdzieś. Zaczyna lizać moją łechtaczkę i penetrować mnie palcami. Wkłada najpierw jeden palec, a potem drugi. Jęczę i ujeżdżam jego twarz. Przez moje ciało przetaczają się fale przyjemności, które zbliżają mnie do orgazmu, aż w końcu zlewają się w jedno...

Orgazm dobiega końca, jednak ja mam ochotę na więcej. Nie mogę się nim nacieszyć. Zbyt długo byliśmy rozdzieleni.

Odwracam się i wchodzę na niego, jego penis wsuwa się w moje ciasne wnętrze. Ciepło bijącego z kominka ognia pieści moją skórę. Ogrzewa moją twarz, nagie piersi oraz brzuch. Po osiągnięciu punktu kulminacyjnego jestem niesamowicie wrażliwa. Każdy ruch, kiedy on jest we mnie, wydaje się pobudzać setkę nowych receptorów, o których istnieniu nie miałam do tej pory pojęcia.

Nim się obejrzę – podniecenie znowu narasta. Jeszcze dobrze nie skończył się pierwszy orgazm, a już jestem na dobrej drodze do osiągnięcia kolejnego. Tym razem to, co czuję, jest znacznie głębsze, skoncentrowane na moim wnętrzu, a nie samej łechtaczce. Główką penisa uderza o źródło mojej przyjemności. Każde pchnięcie jest wyrzucającym iskry krzemieniem uderzającym o stal.

Nagle iskry rozniecają ogień i wzbiera we mnie istne morze ognistej przyjemności. Krzyczę, jakbym naprawdę płonęła, wydaję z siebie westchnienie, które zamienia się w krzyk. Całe moje ciało się napina. Chwilę później padam wyczerpana na Miko. Jestem bezwładna i kompletnie oszołomiona.

Tymczasem mój mężczyzna obraca mnie tak, że ląduje na czworaka. Następnie wchodzi we mnie od tyłu. Jęczę, gdy wślizguje

się we mnie. Jego penis jest dla mnie za duży – pod tym kątem wbija się niżej, uderzając o szyjkę macicy.

Wyginam plecy, co trochę pomaga. Mikołaj łapie mnie za biodra, wbijając palce w moje ciało. Czuję, jaką siłą dysponuje i ile ma jeszcze energii, którą mógłby na mnie wykorzystać.

Nie będzie już dłużej czekać. Zaczyna mnie mocno pieprzyć, uderzając we mnie bezustannie. To przyjemność granicząca z bólem, ale podoba mi się. Uwielbiam czuć jego siłę. Uwielbiam, jak przejmuje kontrolę. Uwielbiam, jak bierze ode mnie to, czego mu trzeba.

Przy każdym pchnięciu stęka głębokim, zwierzęcym głosem. Ciepło bijące od kominka sprawia, że zaczynamy się pocić. Czuję, jak kropelki potu spływające z jego twarzy i włosów spadają mi na plecy. Uderza we mnie coraz mocniej i mocniej, a ja nie mogę się tym nasycić.

Nie ma mowy, żeby przestał. Jego ciało uderza o moje, a jego męskość wbija się tak głęboko jak może. Potem następuje ostatnie pchnięcie. Jego członek eksploduje głęboko wewnątrz mnie. Czuję jak jego niemająca miejsca do wypełnienia sperma wrze. Wysuwając się ze mnie sprawia, że jego sperma również opuszcza moje wnętrze i zaczyna spływać mi po udach.

Opadam na dywanik, kładąc się na boku, Mikołaj kładzie się za moimi plecami. Leżymy „na łyżeczki”. Idealnie dopasowuję się do kształtu jego ciała. Obejmuje mnie swoimi silnymi, szczupłymi ramionami.

- Kiedy powinniśmy się pobrać? – pytam.
- Natychmiast – odpowiada.
- Chcesz poczekać do lata?
- Nie – warczy. – Nie chcę czekać ani chwili dłużej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

MIKO

Spotykam się z Geo Russo przed The Brass Pole, aby oddać mu klucze. Dzisiejszego ranka na moje konto bankowe wpłynęły jego pieniądze – będzie nowym właścicielem moich obu klubów ze striptizem (poza tym, który poszedł z dymem za sprawą Nero Gallo).

Russo podjeżdża w wyznaczone miejsce swoim luksusowym bentleyem. Jest niskim, krępy męczyzną o zupełnie łysej głowie i spuchniętych dłoniach, które wyglądają jak rękawiczki z kreskówek. Nasza umowa go zadowala i jednocześnie wzbudza w nim podejrzliwość.

– Teraz mamy to z głowy – mówi, chowając klucze do kieszeni. – Może mi powiesz, jaki jest prawdziwy powód, dla którego chciałeś to sprzedać? Co jest? Mężczyźni przestali uwielbiać cycki?

Zaczyna się chrapliwie śmiać.

– Nie – odpowiadam chłodno. – Po prostu chcę zająć się czymś innym.

– Na Boga... – Kręci głową ze zdziwieniem. – Mówili, że oszalałeś na punkcie jakiejś dziewczyny, ale...

Urywa, zauważając wyraz mojej twarzy. Z trudem przełyka ślinę i widzę, jak jego jabłko Adama podskakuje w górę i w dół.

– Chcesz skończyć to zdanie? – pytam zimno.

– Nie – mruczy, wbijając wzrok w moje buty. – Przepraszam, Mikołaju.

– Możesz podziękować „tej dziewczynie” za to, że wprowadziła mnie w tak dobry humor – mówię. – Inaczej skreśliłbym ci pieprzony kark.

Wracam do samochodu. Siedzący w nim Olie czeka, żeby mnie zawieźć do Jungle.

– Kłopoty, szefie? – pyta, gdy wskakuję na tylne siedzenie.

– Nie – odpowiadam. – Po prostu ludzie zapominają o swoim miejscu na tym świecie. Być może będę musiał zrobić z kimś porządek dla przykładu.

– Dobrze byłoby zacząć od Russo – mruczy Olie. – Kłapie tylko językiem.

– Zauważyłem.

Nie jest mi przykro, że porzucam kluby ze striptizem. Na tym świecie jest wiele innych rzeczy, które można sprzedawać – nie lubuję się w traktowaniu kobiet jak jakiegoś towaru.

Jednak Jungle nie mam zamiaru się pozbywać. To było pierwsze miejsce, w którym zobaczyłem Nessę. No i nie zmieniłem się aż tak bardzo, by rezygnować ze sprzedaży alkoholu. W zasadzie mam zamiar otworzyć kolejne sześć klubów – tutaj oraz w St. Louis. W Chicago wciąż są miejsca, w których można rozszerzyć swoją działalność, a także w sąsiednich miastach, do których nikt nie rości sobie praw.

W planach mam również remont domu. Nessa nie chce, żebym w nim cokolwiek zmieniał, ale i tak mówię jej, że powinniśmy mieć przynajmniej porządne ogrzewanie.

– Po co? – pyta. – Mam to gdzieś, czy jest zimno. Możemy się do siebie przytulać.

– Nam to nie przeszkadza, ale co z dziećmi?

Patrzy na mnie szeroko otwartymi zielonymi oczami.

– Chcesz mieć dzieci? – pyta cicho.

Nigdy wcześniej tego nie chciałem. Lecz z Nessą chcę mieć wszystko. Chcę z nią doświadczyć wszystkiego, co to życie ma do zaoferowania.

– Mogę zaczekać – mówię. – Ale prędzej czy później tak.

– Ja również tego chcę – stwierdza.

– Jesteś tego pewna? – Uśmiecham się. – Wiesz, że ciążę bliźniacze są dziedziczne.

– Nic z tobą nie jest łatwe, prawda? – śmieje się.

– Nie – odpowiadam. – Naprawdę, nie jest.

Zaplanowałem, że na miesiąc miodowy zabiorę ją do Agry, żeby zobaczyć Taj Mahal. Tylko że Nessa woli pojechać do Warszawy.

– Chcę zobaczyć, gdzie dorastałeś.

– To brzydkie miejsce – mówię. – I niebezpieczne.
– Całe miasto nie może być brzydkie! – protestuje. – Są tam pałace, parki i muzea...

– Skąd to wiesz?

– Sprawdziłam na Tripadvisor!!!

Kręcę głową, uśmiechając się z powodu niepoprawnego optymizmu Nessay. Zawsze odnajduje we wszystkim piękno. Dlaczego z Warszawą miałoby być inaczej?

– No weź! – namawia mnie. – Naprawdę chcę ją zobaczyć. Mówię już po polsku...

– Nieco.

– Jak to „nieco”?

– Ehhh... – Wzruszam ramionami.

Marszcząc brwi, opiera ręce o biodra.

– Jak dobry jest mój polski? Powiedz prawdę.

Nie chcę jej urazić, ale też nie chcę jej okłamywać.

– Jest na poziomie czwartoklasistki – odpowiadam.

– Co?! – krzyczy.

– Sprytnej czwartoklasistki – dodaję szybko.

– To niczego nie zmienia!

– Trochę tak – oznajmiam. – To bardzo trudny język.

– Ile ci zajęła nauka angielskiego?

– Może tydzień – odpowiadam. Oczywiście nie jest to prawda, ale Nessa wie, że się z nią drocę.

Próbuje dać mi figlarnego klapsa. Jestem jednak za szybki – łapię ją za rękę i całuję w dłoń.

– Jedziemy do Polski czy nie? – pyta tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Całuję ją raz jeszcze, tym razem w usta.

– Nesso, wiesz, że zabiorę cię wszędzie, gdzie zapragniesz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIELSTY CZWARTY

NESSA

Dzisiaj jest mój ślub.

Kobieta wyobraża sobie ten dzień już jako mała dziewczynka. Planuje, jakich kolorów chce użyć, jak będą wyglądać podarki dla gości... Planuje wszystko z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów.

A teraz, gdy to się dzieje... Ja sama mam to gdzieś.

Jedyną rzeczą, jaką sobie wyobrażam, jest czekający na mnie przy ołtarzu mężczyzna.

Już i tak jestem z nim związana myślą, ciałem oraz duszą. Jedyne, co nam pozostało, to wypowiedzieć te słowa na głos.

Rano mama pomaga mi w przygotowaniach. Próbuje przywołać na swoją twarz pogodną minę, lecz i tak widzę, że ciągle się martwi.

– Jesteś taka młoda – powtarza po raz kolejny.

– Babcia, wychodząc za mąż była młodsza – przypominam, unosząc lewą dłoń, którą ozdabia piękny, stary pierścionek.

– Wiem – wzdycha mama.

Moja babcia była ulubieńcem swojej rodziny, zupełnie jak ja. Była majątna, rozpieszczona i po cichu zaręczyła się ze starszym o dwadzieścia lat bankierem. Potem, jadąc rowerem po promenadzie, złapała gumę. Odstawiła go do najbliższego warsztatu samochodowego. Spod stojącego tam samochodu wysunął się młody mężczyzna – wyglądał niechlujnie, był spocony i miał na sobie pokryty olejem kombinezon.

Tym mężczyzną był mój dziadek. Oboje wymykali się przy każdej nadążającej się okazji, żeby się zobaczyć. Mówiła, że nie miała pewności, czy to on, kiedy po raz pierwszy spotkali się w parku. Z trudem go poznała, jak przyszedł taki wyszorowany.

Ostatecznie zostali przyłapani na swoich schadzkach, a jej ojciec przysiągł, że odetnie ją od pieniędzy, jeśli kiedykolwiek jeszcze spotka się z tym chłopakiem. Następnej nocy uciekli razem. Pierścioneek, który nosiła w dniu ślubu, był zwykłą, tanią niklowaną obrączką. Dziadek kupił jej ten z diamentem dziesięć lat później, po tym, jak został egzekutorem u Callaghanów.

Babcia nigdy więcej nie rozmawiała ze swoimi rodzicami.

Moja mama o tym wie. Właśnie dlatego w końcu dała Mikołajowi ten pierścioneek. Nie chce, żeby między nami wydarzyło się to samo.

Całuje mnie delikatnie w czoło.

– Nesso, wyglądasz pięknie – oznajmia.

Riona przynosi mi bukiet białych róż. Nie zawracałam sobie głowy pilnowaniem druhen, więc Riona jak zawsze przywdziała swoją zbroję w postaci obcisłej, gładkiej, sięgającej do kolan sukienki. Jej rude błyszczące i rozpuszczone włosy opadają jej na ramiona.

– Podoba mi się, jak jesteś tak uczesana – mówię jej.

– Nienawidzę, jak włosy opadają mi na twarz – oznajmia. – Ale chciałam ładnie dziś wyglądać.

Kładzie róże na toaletce.

– Kiedy skończysz nowy balet? – pyta.

– Za kilka miesięcy – odpowiadam.

– To będzie kolejna baśń?

– Nie wiem – śmieję się. – Jeszcze nie wiem, co to będzie. Eksperymentuję.

– To dobrze – stwierdza Riona, kiwając głową. – Podziwiam to.

– Tak? – pytam zaskoczona.

– Tak – odpowiada. – Odnajdujesz swoją drogę. To dobrze.

– Riona – mówię, czując wyrzuty sumienia. – Nie chciałaś pierścioneeka po babci?

– Nie – oznajmia, marszcząc brwi. – Mówiłam ci, że nigdy nie wyjdę za mąż.

– Skąd ta pewność?

Potrząsa głową.

– Wiem, jaka jestem. Nie jestem romantyczką. I ledwo wytrzymuję z własną rodziną.

– Nigdy nie wiadomo – mówię. – Możesz się zdziwić tym, kto pewnego dnia wpadnie ci w oko.

Patrząca na mnie Riona kręci głową.

– Uważasz tak, bo to ty jesteś romantyczką – oznajmia.

Jako ostatnia przychodzi do mnie Aida. Przynosi ze sobą swoje buty – te, które miała na sobie niecały rok temu w dniu swojego ślubu. Zdaje się, że to było w innym życiu.

– Proszę bardzo – mówi. Patrzy na pierścionek, bukiet oraz buty. – Teraz masz już coś starego, nowego i pożyczonego i... a masz coś niebieskiego?

Oblewam się rumieńcem.

– Mam niebieską bieliznę – mówię.

– Doskonale! – śmieje się.

Pomaga mi założyć i zapiąć buty. Trudno jest mi się pochylić w tej sukni. Jest biała, ma dopasowane rękawy z przezroczystej koronki, otwarte plecy i tiulową spódnicę. Patrząc na siebie w lustrze, po raz pierwszy widzę w nim dorosłą kobietę. Widzę, kim miałam być.

– Moi rodzice są niezbyt zadowoleni – mówię do Aidy.

W odpowiedzi wzrusza jedynie ramionami.

– W dniu mojego ślubu też nie byli zbyt szczęśliwi.

– Ale wtedy to był chociaż ich pomysł.

– To bez znaczenia – mówi ostro. – Cał i ja się nienawidziliśmy. Ty i Miko za sobą szalejecie. Liczy się tylko namiętność. Apatia tłamsi i zabija małżeństwo. Namiętność utrzymuje je przy życiu.

– Więc według ciebie idealnie sprawdzają się w roli swatek? – drocze się z nią.

– Za cholerę! – śmieje się Aida. – To, że się nie pozabijaliśmy, było wielkim szczęściem. Nie przypisuj im zbyt wielkich zasług i nie denerwuj się. Każdy ma w takim dniu stracha.

Uśmiecham się.

– Nie tchórzę. Niczego nigdy nie byłam bardziej pewna.

– Wiem – mówi Aida, przytulając mnie. – Chodź. Cał ma twój płaszcz.

Przechodzimy przez parter, kierując się w stronę tylnych drzwi.

Jesteśmy w domu Mikołaja. Ceremonia odbędzie się w ogrodzie. Nieważne, że jest luty – nie mogłabym go poślubić w innym miejscu.

To musiało być tutaj, pod gołym niebem i ciemnymi, nagimi gałęziami drzew.

Brat przykrywa mi ramiona białym, grubym płaszczem. Jego koniec – długi jak tren sukni – ciągnie się za mną po ziemi.

Wchodzę do ogrodu i przechodzę przez trawnik.

Wcale nie czuję zimna. Z nieba spadają grube, miękkie płatki śniegu. Sprawiają, że w ogrodzie panuje kompletna cisza, tłumi wszelkie dźwięki napływające zza wysokich kamiennych murów.

Czeka na mnie moja rodzina oraz tuzin ludzi Mikołaja. Zauważam, że obok Marcela stoi uśmiechnięta i podekscytowana Klara. Ma na sobie długi płaszcz, a pod nim czarną suknię ze strychu. Wygląda absolutnie wspaniale.

Mikołaj czeka pod nagim trejażem²⁶. Ma zaczesane do tyłu włosy i prosty, czarny garnitur. Wygląda na smukłego, wysportowanego i niesamowicie surowego mężczyznę. Na jego widok moje serce trzepocze jak zamknięty w klatce ptak.

Gdy podchodzę do niego, bierze mnie za rękę.

Na ceremonii nie ma księdza ani pastora. Moim rodzicom bardzo się to nie podoba, że nie jest to obrządek zgodny z Kościołem katolickim. Mikołaj nie należy do ludzi religijnych i nie chce, aby ktokolwiek poza nami wypowiadał słowa przysięgi małżeńskiej. Bierzymy ślub, bo tego chcemy i nie ma ku temu innych powodów. Nie jest nam potrzebne niczyje zwierzchnictwo.

Miko mocno zaciska palce na moich dłoniach i patrzy mi w oczy.

– Nesso, będę cię kochać w każdej sekundzie mojego życia. Będę cię kochać za to, kim jesteś i kimkolwiek się staniesz. Dostaniesz wszystko, czego chcesz. Nigdy nie będę cię ograniczać. Zawsze powiem ci prawdę. Za wszelką cenę będę zapewniać ci bezpieczeństwo oraz szczęście.

Z trudem przełykam ślinę, nie wiem, czy jestem w stanie zmusić się do mówienia. Nadmiar emocji ściska moje gardło.

– Mikołaju, kocham cię całym swoim sercem. Obiecuję, że będziesz dla mnie jedynym mężczyzną na całym świecie. Będę jednocześnie twoją kochanką i najlepszą przyjaciółką. Będziemy robić rzeczy trudne i te zabawne. Wspólnie będziemy dokonywać wyborów, które

będą dla nas dobre. Zawsze będę stawiała cię nad wszystko inne, żeby nic nie było w stanie nas rozdzielić.

Ostatni raz szybko rzucam okiem na rodziców. Odpuszczam sobie ich aprobatę, ich wpływ. Mówiłam szczerze – teraz to Mikołaj jest dla mnie priorytetem.

Niemniej jednak, cieszę się, że przynajmniej trochę się do mnie uśmiechają. Chcą, żebym była szczęśliwa.

Kieruję wzrok z powrotem na swojego ukochanego mężczyznę i czuję, że jestem szczęśliwa. W pełni szczęśliwa.

Natychmiast odpowiada na moje spojrzenie, przyciągając mnie do siebie i całując.

Reszta znika wtedy we mgle.

Tworzymy zupełnie nowy świat i znajdujemy się w jego centrum.

-
- ¹ Krokodyl – potoczna nazwa narkotyku, który zawiera dezomorfine – pochodną morfiny. Substancja produkowana metodą chałupniczą jest zanieczyszczona m.in. benzyną, kwasem solnym, jodem i fosforem. Silnie uzależnia, powodując śmierć w ciągu paru lat. Narkotyk zawdzięcza swoją nazwę temu, że w miejscu wkłucia pozostawia zielonkawy ślad, który jest efektem gnicia zniszczonych tkanek. Zmiany skórne stają się z czasem coraz bardziej rozległe, a później pokrywać zaczynają je łuski przypominające skórę krokodyla (przyp. red.).
- ² *Corps* – właściwie chodzi o *corps de balet*, to zespół tancerek, które w hierarchii zespołu baletowego są najniżej. Tańczą partie synchroniczne (przyp. red.).
- ³ Koryfejka lub koryfej – stoi w hierarchii wyżej niż tancerze należący do *corps de balet*. Jeszcze wyższym stopniem w hierarchii jest miano solistki lub solisty, stąd można powiedzieć, że są to „półsolisci” (przyp. red.).
- ⁴ Wolkanie – humanoidalna rasa z uniwersum Star Treka zamieszkująca planetę Wolkan (przyp. tłum.).
- ⁵ *Humpty Dance* – utwór grupy Digital Underground, z którym związany jest określony układ taneczny (przyp. tłum.).
- ⁶ *Cabbage Patch* – taniec polegający na wykonywaniu okrężnych ruchów ramionami z zaciśniętymi pięściami, w płaszczyźnie poziomej (przyp. tłum.).
- ⁷ *Renegade* – układ taneczny spopularyzowany poprzez krótkie nagrania na platformie Tik Tok (przyp. tłum.).
- ⁸ *Triangle* – taniec wykonywany w trzy osoby, które trzymają się za ramiona i wykonują skoki naprzemienne (przyp. tłum.).
- ⁹ Diorama – rodzaj obrazu w głębokim obramowaniu, którego pewne jego części są nieprzezroczyste i malowane na płótnie, a przezroczyste na cienkim materiale. Oświetlany z dowolnej strony w ciemnym pomieszczeniu, pozwala na uzyskanie efektów plastycznych w przestrzeni, a przy użyciu ruchomych źródeł światła może dawać wrażenie ruchomego obrazu (przyp. red.).
- ¹⁰ SEC – ang. *United States Securities and Exchange Commission*, Amerykańska Komisja Papierów Wartościowych i Giełd (przyp. tłum.).
- ¹¹ AAA – ang. *American Automobile Association*, Federacja Klubów Motorowych świadcząca między innymi usługi z zakresu pomocy drogowej (przyp. tłum.).
- ¹² Wiek Pozłacany – okres w Stanach Zjednoczonych trwający od zakończenia wojny secesyjnej do rozpoczęcia wojny amerykańsko-hiszpańskiej (przyp. tłum.).
- ¹³ Portyk – frontowa część budowli przed głównym wejściem, zwykle wysunięta ku przodowi, z rzędem kolumn (przyp. red.).
- ¹⁴ *Pliés, tendus, dégagés, rond de jambe a terre, frappés, adages, grand battement* – nazwy figur baletowych (przyp. red.).
- ¹⁵ Fryz – poziomy pas dekoracyjny (przyp. red.).
- ¹⁶ *Crepes* – cienkie francuskie naleśniki (przyp. red.).

- ¹⁷ BACP – (z ang.) *Business Affairs and Consumer Protection*, czyli Wydział Handlu i Ochrony Konsumentów (przyp. tłum.).
- ¹⁸ *Pielmieni* – potrawa kuchni rosyjskiej, rodzaj pierogów z farszem mięsnym (przyp. tłum.).
- ¹⁹ *Davayte pristupim k delu* – (ros.) przejdźmy do interesów (przyp. tłum.).
- ²⁰ *Lingua franca* – w ogólnym znaczeniu odnosi się do szeroko używanych języków, będących środkiem komunikacji między różnojęzycznymi grupami ludzi (przyp. red.).
- ²¹ *Na strovia!* – (ros.) na zdrowie (przyp. tłum.).
- ²² *Spokoynoy nochi malen'kaya shlyukha* – (ros.) dobranoc, mała dziwko (przyp. tłum.).
- ²³ *Cook Coutry DOC* – (ang.) *Department of Corrections*, czyli wydział więziennictwa, wydział karny (przyp. tłum.).
- ²⁴ *Czaturanga* – dawna indyjska odmiana szachów (przyp. tłum.).
- ²⁵ *Magnus opus* – (z łac.) wielkie dzieło (przyp. tłum.).
- ²⁶ Trejaż – budowla ogrodowa, składająca się z szeregu słupków, połączonych u góry poziomą belką. Na belce osadzone są zwykle symetryczne elementy poprzeczne w postaci krótkich grubych poprzeczek. Konstrukcja ta służy do podtrzymywania roślin, najczęściej pnących. Ma zwykle lekką konstrukcję drewnianą. Można spotkać także trejaże wykonane z innych materiałów – np. metal, beton (przyp. red.).